

Dobrze znam mężczyzn i wiem, do jakich perwersji są zdolni...



Dziennik Fanny Hill

OCTAVE MIRBEAU

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Dziennik
panny służącej

OCTAVE MIRBEAU

Przełożyła MARIA ZENOWICZ

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Do pana Jules'a Hureta

Przedmowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Przypisy

Tytuł oryginału: LE JOURNAL D'UNE FEMME DE CHAMBRE

Przekład: MARIA ZENOWICZ

Redaktor prowadzący: ADAM PLUSZKA

Korekta: JAN JAROSZUK

Adaptacja plakatu, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL

Łamanie: | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: © Carole Béthuel / Le Cercle Noir

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015

Wydawnictwo Marginesy dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 335 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych materiałów opublikowanych w książce. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku ich nie odnaleziono, Wydawnictwo Marginesy zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania materiałów aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu do Wydawnictwa Marginesy.

Warszawa 2015

Wydanie pierwsze w tej edycji

ISBN 978-83-64700-63-7

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Do pana Jules'a Hureta

Mój drogi przyjacielu,

z dwóch bardzo ważnych i ściśle określonych powodów zapagnąłem umieścić na pierwszej karcie tej książki Pana nazwisko. Przede wszystkim, by się Pan dowiedział, jak bardzo jest mi ono drogie. Po wtóre – mówię to z cichą dumą – bo ta książka się Panu spodoba. A spodoba się Panu, mimo jej błędów, dlatego że jest książką pozbawioną obłudy, że mówi o życiu takim, jak my je pojmujemy, Pan i ja. Mam zawsze w pamięci, drogi Huret, liczne postacie, tak zdumiewająco ludzkie, które suną jedna za drugą w długim szeregu Pańskich studiów społecznych i literackich. Postaci te stale mnie nawiedzają. Gdyż nikt lepiej od Pana i głębiej od Pana nie odczuł, w zetknięciu z ludzkimi maskami, jak smutno i śmiesznie jest być człowiekiem. Ów smutek, co budzi śmiech, i ową śmieszność, co skłania do płaczu, być może i tu Pan odnajdzie.

Octave Mirbeau

Ta książka, którą ogłaszam drukiem, nadając jej tytuł Dziennik panny służącej, naprawdę została napisana przez pannę Celestynę R., pokojówkę. Gdy po raz pierwszy poprosiła mnie o przejrzenie rękopisu, poprawienie i przerobienie niektórych stron – odmówiłem. Twierdziłem, nie bez słuszności, że ten dziennik właśnie taki, jaki jest, niestaranny i nieprzyzwoity, ma swą oryginalność i szczególny smak i że ja mógłbym go uczynić banalnym, „dodając coś od siebie”. Ale panna Celestyna R. była taka ładna... i tak nalegała. Więc w końcu ustąpiłem, gdyż bądź co bądź jestem mężczyzną...

Wyznaję, że popełniłem błąd. Obawiam się, czy wykonując tę pracę, o jaką mnie prosiła, to znaczy, wygładzając stylistycznie tu i ówdzie tę książkę, nie naruszyłem z lekka jej niszczyielskiego powabu, czy nie umniejszyłem bolesnej siły, a przede wszystkim – czy nie zamieniłem w zwyczajną literaturę tego, co na tych kartkach było prawdziwym wzruszeniem i życiem.

Piszę to, by zawczasu odpowiedzieć na zarzuty, których nie poskąpią pewni krytycy, poważni, uczeni... i ach, jakże szlachetni!...

O.M.

I

14 września

Dziś, 14 września, o godzinie trzeciej po południu, przy ciepłej, chmurnej i deszczowej pogodzie przyjechałam do pracy na nowym miejscu. To już dwunaste w ciągu ostatnich dwu lat. Oczywiście nie licząc tych, gdzie służyłam jeszcze dawniej. Wszystkich nie umiałabym porachować. Z pewnością mogłabym się nawet przechwalać, ile to poznałam mieszkań, twarży i wszelakiego duchowego plugastwa, a przecież to jeszcze nie koniec. Bo jeśli sądzić tylko po tym, jak bez przerwy krążyłam od domów do biur pośrednictwa pracy i od biur pośrednictwa pracy znowu do innych domów, to tu, to tam, w kółko, aż do zawrotu głowy – od Lasku Bulońskiego do Bastylli, z Obserwatorium na Montmartre, z Montmartre do Ternes i Gobelins, gdzie tylko się dało, nie mogąc nigdzie zaczepić się na dłużej – to można sobie łatwo wyobrazić, jak wymagający są teraz nasi chlebobdawcy. Po prostu nie do wiary.

Na to miejsce trafiłam z ogłoszenia w „Figaro” i mojej pani w ogóle nie oglądałam na oczy. Pisałyśmy tylko do siebie listy, to wszystko: ryzykowny sposób, bo naraża obie strony na niespodzianki. Moja pani umie pisać piękne listy, nie da się zaprzeczyć. Ale wyziera z nich małoduszność i drobiazgowość. Och, ilu żądała wyjaśnień, ilu szczegółów – a dlaczego to, a dlaczego tamto... Nie wiem, czy jest skąpa, w każdym razie na papier listowy się nie wykosztowała. Był kupiony w tanim sklepie. To ja, choć nie jestem bogata, mam na tym punkcie więcej próżności. Pisałam do niej na papierze spryskanym perfumami – Hiszpańska Skóra. Te śliczne arkusiki, różowe i bladoniebieskie, uciulałam sobie u mych poprzednich pań. Na niektórych kartkach była nawet wygrawerowana korona książęca. Musiało ją zatkać ze zdumienia.

Jednym słowem, jestem w Normandii, w Mesnil-Roy. Posiadłość pani leży blisko moich rodzinnych stron i nazywa się Opatówka. To prawie wszystko, co wiem o tym miejscu, w którym przyjdzie mi odtąd żyć.

Tak więc ugodziłam się na niewidzianego. Przyjechałam z pewnym niepokojem i smutkiem, by zaszyć się w tym kącie, na zapadłej wsi. To, co zastałam, z lekka mnie przeraziło i teraz zastanawiam się, co mi tu z kolei się przydarzy.

Z pewnością nic dobrego, tylko, jak zwykle, same kłopoty. Kłopoty to dla nas, służby, chleb powszedni. Na jedną, której się powiedzie – to znaczy, która się wyda za uczciwego chłopca lub żyje na wiarę z jakimś starcem – ileż przypada innych dziewcząt, które prześladowuje pech i wciąga wir nędzy. A zresztą nie miałam wyboru. Lepsze to niż nic.

Nie po raz pierwszy najęłam się na wieś. Przed czterema laty także pracowałam z dala od Paryża. Co prawda niedługo... i w rzeczywiście wyjątkowych okolicznościach. Mam tę przygodę w pamięci tak

wyraźnie, jakby mi się przydarzyła wczoraj. Chcę ją tu opowiedzieć, mimo że jej szczegóły są plugawe i sprośne, ba, nawet potworne. A ostrzegam osoby, co będą mnie czytać, że, na Boga, nie zamierzam w tym dzienniku niczego przemilczać i nikogo oszczędzać, ani siebie, ani innych. Przeciwnie, chcę w nim dać wyraz szczerości, na jaką mnie stać, a gdy będzie trzeba, to i przedstawię całą brutalność życia. Nie moja to przecie wina, że dusze ludzkie, gdy je obnażyć, gdy zedrzeć z nich zasłony, zioną silnym odorem zgnilizny.

Sprawa wyglądała następująco:

W biurze pośrednictwa zaczęła mnie jakaś gruba gospodyni i zaproponowała miejsce pokojówki u niejakiego pana Roubour w Turenii. Po uzgodnieniu warunków ustaliłyśmy, że przyjadę tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie, na taką a taką stację, co też się stało, zgodnie z planem.

Jak tylko oddałam mój bilet przy wyjściu, natknęłam się na jakiegoś mężczyznę, z wyglądu stangreta. Ten gbur, czerwony na twarzy, zagadał do mnie:

– Panna jest tą nową pokojówką, najętą do pana Roubour?

– Tak, to ja.

– A ma panna jakiś kuferek?

– Tak, mam kuferek.

– To dawajcie kwit bagażowy i zaczekajcie tu na mnie.

Wyszedł na peron. Kolejarze bardzo się koło niego uwijali. Nazywali go „panem Ludwikiem” i zwracali się do niego przyjacielskim choć niepozobawionym szacunku tonem. Ludwik odszukał w stosie przesyłek mój kuferek i zaniósł go do dwukółki, co stała przy szlabanie.

– No więc jak, wsiada panna?

Usiadłam przy nim na ławeczce i ruszyliśmy.

Stangret przyglądał mi się spod oka, ja też patrzyłam na niego uważnie. Od razu spostrzegłam, że mam do czynienia z prostakiem, zwykłym, nieokrzesanym chłopem, ze służącym bez krzty obycia, który nigdy nie pracował w dużych domach. Zmartwiłam się. Lubię piękną liberię. I nic nie wprawia mnie w taki zachwyt, jak białe irchowe spodnie, które tak wspaniale uwydatniają kształt jędrnych ud. Ten Ludwik nie miał żadnego szyku. Powoził bez rękawiczek, za luźna liberia z szaroniebieskiej lichej tkaniny wisiała na nim jak na kołku, a na głowie miał płaski kaszkiet z błyszczącej skóry, ozdobiony podwójnym złotym galonem. No, proszę! Ależ są zacofani w tej dziurze! A jeszcze do tego ta ponura i chamska mina, choć może nie taki straszny z niego diabeł. Znałam już podobne typy. Przez pierwsze dni odnoszą się do nowych służących nieufnie, ale potem wszystko się jakoś układa. Czasem nawet lepiej, niżby się chciało.

Jechaliśmy długo, nie odzywając się słowem. Udawał ważnego stangreta, wysoko trzymał lejce, zamasyście wywijał batem... Co tu gadać – bardzo był śmieszny. A ja siedziałam godnie wyprostowana i wpatrywałam się w krajobraz, choć prawdę mówiąc, nie było na co patrzeć. Pola, drzewa i domy, jak wszędzie. Przed jakimś wzniesieniem puścił cugle i spytał z drwiącym, uśmiechem:

– A przywiozła panna chociaż odpowiedni zapas trzewików?

– Oczywiście – powiedziała zaskoczona tym pytaniem ni z gruszki, ni z pietruszki, a jeszcze bardziej tonem, którym je zadał. – Dlaczego o to pytacie? Przecież to głupie, sami się zastanówcie, ojczulku.

Kuksnął mnie łokciem i rzuciwszy dziwne spojrzenie – nie mogłam odgadnąć, czemu było w nim tyle

bezczelnej drwiny i, dalibóg, obleśnego rozbawienia – powiedział, śmiejąc się szyderczo:

– Nie, coś podobnego! Udaje taką, co to nic nie rozumie. Oj, filutka, przeklęta filutka!

Potem cmoknął wargami i koń znowu puścił się galopem.

Zaintrygował mnie. Co to wszystko miało znaczyć? Chyba nic... Pomyślałam, że ten pocziwina to pewno jakiś głupiec, co w ogóle nie wie, jak się ma zwracać do kobiet, i chce tym sposobem podtrzymać rozmowę, którą zresztą natychmiast uznałam za stosowne przerwać.

Posiadłość pana Raboura była dość ładna i spora. Śliczny dom, pomalowany na jasnozielony kolor, otaczał rozległy trawnik, na którym rosły kwiaty i cały lasek pachnących żywicą pinii. Uwielbiam wieś, ale – rzecz szczególna – napełnia mnie ona smutkiem i nudzi.

Byłam całkiem otumaniona, kiedy weszłam do sieni, gdzie już czekała na mnie ta sama gospodyni, która najęła mnie w Paryżu, w biurze pośrednictwa pracy, po Bóg wie ilu wścibskich pytaniach o moje czysto osobiste sprawy i upodobania, co już powinno było wzbudzić we mnie podejrzenia... Ale człowiek, chociaż tyle widział i przeżył tyle ciężkich doświadczeń, niczego się z nich nie nauczył. Gospodyni nie przypadła mi do gustu już tam, w biurze pośrednictwa, a tutaj natychmiast poczułam do niej odrazę i uznałam, że wygląda na wstrętą rajfurę. Była gruba, gruba i niska, niska i nalana sadłem. Kosmyki siwiejących włosów przylepiały się jej płasko do czaszki, miała ogromny, przelewający się biust i miękkie, wilgotne dłonie, przezroczyście jak galareta. W szarych oczach kryła się złośliwość, zimna, wyrachowana i przebiegła. Patrzyła na mnie w taki sposób, takim wzrokiem grzebała w duszy i ciele, że poczułam, jak się rumienię.

Wprowadziła mnie do saloniku i zaraz wyszła, mówiąc, że idzie uprzedzić pana o moim przyjeździe. Pan chciał mnie obejrzeć, zanim rozpocznę pracę.

– Pan przecież jeszcze nie widział panienki. Ja pannę zgodziłam, to prawda, ale panna musi się także i panu spodobać.

Rozejrzałam się po pokoju. Panował w nim wyjątkowy porządek i czystość. Mosiężne klamki, meble, posadzki, framugi okien i drzwi były gruntownie wypolerowane, wywoskowane, polakierowane i lśniły jak lustro. Żadnych ozdóbek, ciężkich tkanin, żadnych haftów, które tak często widuje się w paryskich mieszkaniach. To wewnątrz było wizerunkiem solidnego, pełnego powagi dobrobytu, dostatniego, unormowanego i spokojnego życia na prowincji. Ale jak człowiek musi się tu nudzić! O, do licha!

Wszedł pan. Ach, cóż to za śmieszny jegomość, jakżeż mnie jego widok rozbawił! Wyobraźcie sobie niewielkiego staruszka, wystrojonego, gładko ogolonego, różowiutkiego jak lalka. Wyprostowany, bardzo ruchliwy, bardzo wypielęgowany i – daję słowo – chodząc, podskakiwał jak konik polny na łące. Przywitał mnie z wielką uprzejmością.

– Jak ci na imię, moje dziecko?

– Celestyna, proszę pana.

– Celestyna – mruknął – Celestyna. Do czarta! Piękne imię, nie ma co. Ale za długie, o wiele za długie. Będę cię nazywać Mary... jeśli pozwolisz. Brzmi tak samo ładnie, a jest krótkie. A poza tym każdą z moich poprzednich pokojówek nazywałem Mary. Taki już mam nawyk i bardzo byłoby mi przykro, gdybym miał z niego zrezygnować. Raczej wolałbym zrezygnować z osoby.

Oni wszyscy mają tę dziwną manię zmieniania naszych imion. Więc nie bardzo się zdziwiłam,

zwłaszcza że mnie samej zdążyli nadać imiona wszystkich świętych z całego chyba kalendarza.

– Więc nie zrobi ci przykrości, jeśli cię będę nazywał Mary? Zgoda? – nalegał.

– Ależ oczywiście, proszę pana.

– Ładna dziewczyna, dobry charakter... Pięknie, pięknie!

Mówił to wszystko żartobliwym tonem, z przesadnym szacunkiem, a przy tym nie wpatrywał się we mnie i nie szperał w moim staniku i spódnicy wzrokiem, który rozbiera, jak to zwykli robić inni mężczyźni. Ledwie rzucił na mnie okiem. Od razu jak tylko wszedł do saloniku, z maniackim uporem utkwiał wzrok w moich trzewikach.

– Masz jeszcze inne? – spytał po krótkim milczeniu i zdawało mi się, że przez tych parę chwil wzrok dziwnie mu się rozjarzył.

– Inne imiona, proszę pana?

– Nie, moje dziecko, inne trzewiki.

I zaczął szybko przesuwając po wargach spiczastym językiem jak kot.

Nie od razu odpowiedziałam. Słowo „trzewiki” przypomniało mi łobuzerskie żarty stangreta i wprawilo w osłupienie. A więc coś się w tym kryło? Przynaglona powtórnym pytaniem odrzekłam wreszcie, głosem nieco ochrypłym i drżącym, jakby wyznając grzech rozpusty:

– Tak, proszę pana, mam jeszcze inne.

– Lakierowane?

– Tak, proszę pana.

– Bardzo, bardzo błyszczące?

– Ależ tak, proszę pana.

– Dobrze, dobrze... A żółte, skórzane?

– Nie, takich nie mam, proszę pana.

– To musisz mieć i takie. Dam ci w prezencie.

– Dziękuję, proszę pana.

– Dobrze... dobrze. Nic już nie mów.

Przestraszyłam się, bo w jego oczach zamigotały niespokojne błyski i powlekła je czerwona mgła... jak w spazmie... Krople potu spływały mu po czole. Myślałam, że zaraz zemdleje, i już miałam krzyknąć, wołać pomocy, ale atak mijał powoli i po paru minutach pan odezwał się znowu zwyczajnym głosem, choć w kącikach warg zostało mu jeszcze trochę śliny.

– To nic... już minęło. Zrozum mnie, dziecko... Mam swoje dziwactwa... W moim wieku to dopuszczalne, prawda? Na przykład, zapamiętaj to sobie, nie uważam za stosowne, by jakakolwiek kobieta czyściła swoje trzewiki, a cóż dopiero moje. Bardzo poważam kobiety i nie zniósłbym tego. Ja będę czyścił twoje trzewiki, twoje trzewiki, twoje trzewiczki, twoje drogie, małe trzewiczki. Słuchaj uważnie... Każdego wieczoru, nim pójdziesz spać, przyniesiesz swoje trzewiczki do mojej sypialni... postawisz je przy łóżku... na stoliczku... a z rana, gdy wejdiesz otworzyć okna, zabierzesz je z powrotem.

Ponieważ okazałam niezwykle zdumienie, dodał:

– No i cóż w tym wielkiego? Przecież nie domagam się żadnych strasznych rzeczy... to rzecz całkiem

zwykła... A jeśli będziesz grzeczna...

Szybko wyciągnął z kieszeni dwie monety i wręczył mi je.

– Jeśli będziesz bardzo grzeczna, bardzo posłuszna, często będę ci dawał prezenciki. Gospodyni będzie ci płaciła co miesiąc pensję... Ale ja, ja sam, Mario, będę ci często dawał różne prezenciki. A czegoż to ja się od ciebie domagam? No, proszę, przecież w gruncie rzeczy to nic nadzwyczajnego?... Mój Boże, czy to doprawdy jest takie dziwne?

Pan zaczął się znowu podniecać. W miarę jak mówił, jego powieki trzepotały, trzepotały... niczym liście na wietrze.

– Dlaczego nic nie mówisz, Mario? Powiedz coś... Dlaczego stoisz w miejscu? Zrób parę kroków, żebym je zobaczył w ruchu... żeby nabrały życia... te twoje trzewiczki.

Uklęknął, całował moje trzewiki, macał je i pieścił, gorączkowo rozsznurowywał. Całując je tak, macając i pieszcząc mówił błagalnym głosem, płaczliwym głosem dziecka:

– Och, Mario, Mario, te twoje trzewiki... Daj mi je zaraz, zaraz, zaraz. Chcę je mieć zaraz... daj mi.

Opadłam z sił. Byłam jak sparaliżowana, osłupiała. Już sama nie wiedziałam, czy żyję na jawie, czy śnię? Pana oczy zamieniły się w dwie białe kulki, pocięte czerwonymi żyłkami. Usta miał umazane pianą jak mydło śliną.

W końcu zabrał moje trzewiki i zamknął się z nimi w swoim pokoju na całe dwie godziny.

– Bardzo się panu spodobałaś – powiedziała gospodyni oprowadzając mnie po domu. – Staraj się, żeby tak było nadal. To dobre miejsce.

A w cztery dni później, kiedy rano o zwykłej godzinie poszłam otworzyć okna w pana sypialni – omal nie zemdlałam ze zgrozy. Pan nie żył. Leżał na wznak pośrodku łóżka, prawie nagi, nieruchomy, trupio sztywny. Nie rzucał się przed śmiercią, pościel była w zupełnym, porządku. Na powleczeniach – najmniejszych śladów walki, agonalnych drgawek czy skurczu dłoni, którymi chciałby zdławić śmierć. Można by sądzić, że śpi, gdyby nie jego posiniała, przerażająco fioletowa twarz koloru bakłażanów. Ale bardziej niż jego twarz przejęło mnie zgrozą co innego. Pan trzymał w zaciśniętych zębach jeden z moich trzewików; ścisnął go tak mocno, że chcąc go wyrwać, musiałam, po wielu daremnych i potwornych wysiłkach, przeciąć skórę brzytwą.

Żadna ze mnie święta. Dobrze znam mężczyzn i z doświadczenia wiem, do jakich wariactw i do jakich świństw są zdolni. Ale taki wytworny mężczyzna? Nie do wiary! I czy to nie śmieszne, że w ogóle są na świecie takie typy? I skąd im się biorą te pomysły – przecież kochać się jest tak łatwo, tak prosto i przyjemnie, gdy się to robi jak normalni ludzie.

Myślę, że w tym domu nie przydarzy mi się nic podobnego. Od razu widać, że tu panuje całkiem inny styl. Ale czy lepszy? A może gorszy? Nie wiem.

Dręczy mnie jedno. Czy nie powinnam skończyć raz na zawsze z tą paskudną pracą po domach i śmiało zacząć sprzedawać się za pieniądze, jak to zrobiło tyle znajomych dziewcząt, które miały, nie chwaląc się, mniej „korzystne warunki” niż ja. Nie jestem z tak zwanych ładnych, ale mam coś więcej niż urodę. Mam szyk, mam „wabia”, mówię to bez żadnych przechwałek, i wiem, że mi tego zazdrości wiele kobiet z towarzystwa i wiele kokot. Jestem może trochę za wysoka, ale gibka i szczupła, ładnie zbudowana...

Mam przepiękne blond włosy, ciemnoniebieskie oczy, zalotne i filuterne, wyzywające usta... no i poza tym jestem bardzo obyta, sprytna i obrotna, a przy tym potulna, co podoba się mężczyznom. Mogłoby mi się poszczęścić. Ale pomijając już to, że z własnej winy przegapiłam parę świetnych okazji, które się już pewnie nie powtórzą, po prostu mam pietra. Mam pietra, bo nigdy nie wiadomo, dokąd ta droga zaprowadzi. Otarłam się o tyle nędzy w tym fachu... Wysłuchiłam tylu rozdzierających zwierzeń. I te tragiczne wędrówki – prawdziwa Golgota – z aresztu do szpitala, skąd nie zawsze da się uciec. No, a w perspektywie zawsze jeden i ten sam widok – Szpital Świętego Łazarza, gdzie leczą choroby weneryczne. To każe się namyśleć i przejmuje dreszczem. Poza tym kto mi zagwarantuje, że jako panienka lekkich obyczajów będę miała takie samo powodzenie, które mam teraz jako panna służąca? Bo nawet gdybyśmy były najpiękniejsze na świecie, nie samym sobie zawdzięczamy ten szczególny czar, który przyciąga mężczyzn. Ten czar uzależniony jest w wielkiej mierze – dobrze sobie z tego zdaję sprawę – od otoczenia, w którym żyjemy, od zbytku, od tej atmosfery frywolnych grzeszków i wreszcie – od naszych pań... to one budzą pożądanie. Mężczyźni darzą nas łaskami, bo jesteśmy dla nich poniekąd częścią tamtych dam, kochają w nas ich tajemnice.

Poza tym chodzi jeszcze o inną sprawę. Na przekór mej rozpustnej egzystencji, szczęśliwie zachowałam na dnie serca głębokie uczucia religijne, które chronią mnie od ostatecznego upadku i nie pozwalają się stoczyć w najgłębszą otchłań. Gdyby nie religia, modlitwy w kościele, okresy postów, kiedy to ubolewam nad swym upadkiem moralnym, gdyby nie Święta Panienka i święty Antoni Padewski, i cała reszta, człowiek czułby się jeszcze bardziej nieszczęśliwy, to pewne. A kim by się stał, do czego by doszedł – jeden diabeł wie!

Na koniec – i to jest najważniejsze – jestem całkiem bezbronna wobec mężczyzn. Padałabym stale ofiarą własnej bezinteresowności i ich żądy. Jestem taka kochliwa, tak lubię zadawać się z mężczyznami, że nie umiem ciągnąć z nich żadnych korzyści. To jest silniejsze ode mnie, nie mogę żądać pieniędzy od kogoś, kto daje mi szczęście, otwiera przede mną promienne wrota ekstazy. Niech no tylko któryś z tych potworów zagada do mnie, niech tylko poczuje na karku kłująca brodę i gorący oddech – już po mnie. Mięknę jak wosk, i to oni, a nie ja, mają wszystko, czego chcą.

Siedzę więc w tej Opatówce i czekam, aż coś się zdarzy. Ale co, dalibóg nie wiem. Najmądrzej byłoby nie marzyć o niczym i zdać się na los szczęścia. Może wtedy sprawy toczą się najlepiej. Byleby tylko jutro pani z punktu mnie nie odprawiła, byleby nie musiała znowu, ścigana przez nielitościwy pech, który i tak wszędzie mnie dosięgnie, zmykać i z tej budy. To by mnie złamało. Od pewnego czasu bolą mnie krzyże i brzuch, czuję zmęczenie w całym ciele... mój żołądek jest w opłakanym stanie... pamięć słabnie... Staję się coraz bardziej nerwowa i rozdrażniona. Spojrzawszy przed chwilą w lustro, zobaczyłam w nim strasznie zmęczoną twarz, szarą jak popiół, a przecież kiedyś tak byłam dumna z mej złocistej cery. Czyżbym się już starzała? Nie chcę się jeszcze starzeć. W Paryżu trudno dbać o siebie. Nie mam na to czasu. Prowadzi się zbyt gorączkowe, zbyt ruchliwe życie – bez przerwy tyle ludzi, tyle spraw, tyle rozrywek, tyle niespodzianek. I trzeba w tym wszystkim pracować. A tu jest spokój. I jaka cisza. Powietrze też chyba jest dobre i zdrowe. Och, gdybym tu mogła, nawet za cenę nudy, trochę wypocząć!

Zawsze na początku jestem nieufna. Chociaż pani jest dla mnie właściwie dość uprzejma. Pochwaliła mój sposób zachowania i zachwyciły ją moje referencje. Ciekawe, jaką by minę zrobiła, gdyby się dowiedziała, że prawie wszystkie są fałszywe lub, w najlepszym razie, wystawione z łaski. Ale najbardziej zdumiała ją moja elegancja. Zresztą rzadko się zdarza, żeby któraś z tych bab od pierwszego

dnia była niegrzeczna. Co nowe, to dobre. Znana śpiewka. A już nazajutrz wszystko się zmieni – to też znana śpiewka. Zwłaszcza że pani ma bardzo zimne, bardzo surowe oczy, co nie budzi zaufania – oczy skąpca, drapieżne, podejrzliwe, śledzące jak policja. Nie podobają mi się także jej wąskie, wyschnięte wargi, powleczone jakby białą błonką, ani jej krótki, urywany sposób mówienia, który nawet miłe słowa zamienia w obelgę lub upokorzenie. Gdy rozpytujac mnie o to i owo, o moje kwalifikacje lub przeszłość, wpatrywała się we mnie, pewna siebie, podejrzliwa jak celnik, powiedziałam sobie: „Ani chybi jeszcze jedna z tych, co to muszą wszystko mieć pod kluczem, a wieczorem liczą każdą kostkę cukru, każde winogrono i znaczą poziom wina w butelkach”. No i proszę. Niby coś się zmienia, a w kółko to samo.

Zresztą zobaczymy, co będzie dalej, nie trzeba przesądzać sprawy pod wpływem pierwszego wrażenia. Tyle jadaczek już mnie obszczekało, tyle spojrzeń zazierało mi do duszy – więc może wreszcie natrafię pewnego dnia na życzliwe słowa i współczujące spojrzenie? Nadzieja nic nie kosztuje.

Ledwo przyjechałam, oszołomiona czterogodzinną jazdą pociągiem w trzeciej klasie – nawet nie przyszło im do głowy, żeby mi dać coś przegryźć – a pani już zdążyła przegonić mnie po całym domu, od piwnic aż po strych, żebym się od razu wciągnęła w „tryb pracy”. O, nie straciłyśmy, ani ona, ani ja chwili. Ależ ogromny jest ten dom! Ile w nim rzeczy, ile zakamarków!

Ładna historia... Żeby to wszystko utrzymać w należytym porządku, i czterech służących byłoby mało. Poza bardzo obszernym parterem – łączą się z nim w jedną całość dwie małe przybudówki, tworząc na górze taras – dom posiada jeszcze dwa piętra, po których trzeba będzie biegać tam i z powrotem, zważywszy, że pani, stale przesiadująca w saloniku obok jadalni, wpadła na genialny pomysł, żeby umieścić szwalnię, gdzie mam pracować, na samym poddaszu, obok pokoi dla służby. A te szafy w ścianach, te szuflady, a schowki, a sterty różnych różności! Czego tam nie ma... Wszystko, czego dusza zapagnie... Nigdy się w tym chyba nie połapię.

Pani co chwila wskazywała mi jakiś przedmiot i mówiła:

– Na to trzeba bardzo uważać, córeczko. To jest wyjątkowo piękne, córeczko. To wyjątkowa rzadkość, córeczko. To bardzo kosztowne, córeczko.

Czy nie może się zwracać do mnie po imieniu zamiast mówić ciągle: „Moja córeczko to, moja córeczko tamto”, obraźliwie wyniosłym tonem, paraliżującym od razu nawet najlepszą wolę i stwarzającym dystans, nienawiść i niechęć między służbą a państwem? Czyż ja ją nazywam „mamusią”? Inne słowo, które nie schodzi z ust mojej pani, to „bardzo kosztowne”. Ależ to drażni! Wszystko, co do niej należy, nawet drobne przedmiociki za trzy grosze, jest „bardzo kosztowne”. Człowiek nie ma pojęcia, w czym panie domu mogą ulokować swą próżność. Czyż to nie żałosne?... Wyjaśniała mi działanie lampy naftowej, takiej samej zresztą, jak wszystkie zwykłe lampy, i pouczała:

– Wiesz, córeczko, ta lampa kosztuje bardzo drogo i można ją zreperować tylko w Anglii. Chroń jej jak żrenicy oka.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Powiedz no mi, mateczko, czy twój nocnik też jest bardzo kosztowny? I wysyłasz go do Londynu, jak pęknie?”.

Och, nie, doprawdy, jaki one mają tupet, potrafią robić z byle czego ceregiele! A kiedy pomyślę, że robią to wyłącznie po to, żeby nas poniżyć, żeby nam zaimponować...

Dom nie jest wcale aż tak piękny. I doprawdy nie ma powodu, żeby być z niego aż tak dumnym. Z zewnątrz – no, mój Boże... Otoczony wspaniałymi kępami drzew, rozległym trawnikiem i ogrodem,

który po łagodnym zbczcu sięga rzeki, rzeczywiście wygląda nie byle jak. Ale wewnątrz jest ponury, stary, cały się chwieje i czuć go stęchlizną. Nie rozumiem, jak można tam mieszkać. Po prostu szcurza nora. Drewniane, karkołomne schody o powykrzywianych stopniach, które uginają się i trzeszczą pod stopami, niskie, ciemne korytarze, gdzie zamiast puszystych chodników ułożono źle dopasowane klepki, pomalowane na czerwono i wypastowane, wypastowane... śliskie, śliskie... Postawiono ściany z cienkich, zbyt wyschniętych desek, więc w pokojach dudni jak we wnętrzu skrzypiec. Po prostu prowincjonalna tandeta. Umieblowanie też nie takie jak w Paryżu. We wszystkich pokojach stare mahonie, stare obicia zjedzone przez robactwo, stare, zniszczone i wyblakłe dywaniska, a do tego jakie pokracczne fotele i kanapy! Bez sprężyn, spróchniałe i kulawe. Można sobie na nich plecy poobijać i poranić pośladki. Więc ja – co tak uwielbiam jasne tapety, ogromne, puszyste dywany, na których, podłożywszy stos poduszek, można się jakże rozkosznie wyciągać, piękne, nowoczesne meble, zbyt kowne, bogato zdobione i wesołe – tu czuję doprawdy, jak przenika mnie na wskroś ponury smutek otoczenia. Myślę z lękiem, że nigdy nie zdołam się przyzwycząić do takiego braku wygód i elegancji, do takiej ilości kurzu, nawarstwionego przez lata, do tej potwornej starzyzny.

Również i sama pani nie jest tak ubrana, jak się ubierają kobiety w Paryżu. Brak jej szyku, nie ma zielonego pojęcia, co to wytworny strój. Nie ma, jak to się mówi, smaku. Mimo że wykazuje pewną dbałość o stroje, nie nadąża za modą, jest spóźniona co najmniej o dziesięć lat. A przecież mogłaby być całkiem do rzeczy, gdyby się trochę postarała. Jej główny defekt to brak kobiecości, a to nikogo nie pociąga. Ale ma regularne rysy, ładne, niefarbowane, jasne włosy i piękną cerę... Zbyt świeżą... licha wie, może jej dolega jakaś niedobra, wewnętrzna choroba. Znam ten typ kobiet i nie zmyli mnie blask ich cery. Po wierzchu różowe, a wewnątrz zgniłe, tak, tak. Trzymają się na nogach, poruszają i żyją tylko przy pomocy gorsetów, bandażowania podbrzusza, pesarium i jeszcze wielu innych okropności oraz skomplikowanych mechanizmów. A wcale im to nie przeszkadza mizdrzyć się w towarzystwie. Ależ tak! Te damulki wdzięczą się, flirtują po kątach, wystawiają na pokaz umalowane cielska, wywracają oczami, kręcąc zadkiem, a nadają się tylko do zamarynowania w spirytusie. Zgroza. Nie mogą mężczyźnie ofiarować żadnej przyjemności, zapewniam was, a obsługiwanie ich nie zawsze jest apetyczne.

Może to sprawa jej temperamentu, może jakaś niedyspozycja organizmu, nie wiem, w każdym razie bardzo by mnie u mojej pani zdziwił pociąg do tych rzeczy. W wyrazie jej twarzy, w sztywnych ruchach i braku giętkości ciała nie widać śladów miłosnych nocy, od razu wiadomo, że nigdy nie zawładnęło nią pożądanie, co czyni kobietę uroczą, kapryśną, swobodną... Moja pani zachowała w całej swej postaci coś z dziewicy, ze starej panny, jakąś gorycz i skwaszenie, jakieś wyschnięcie, miała w sobie coś z mumii, a u blondynek to rzadkie. Och, z pewnością nie należała do tych kobiet, które pod wpływem pięknej muzyki, choćby arii z *Fausta* – ach, ten Faust! – słabną z miłości i omdlewają z rozkoszy w ramionach jakiegoś pięknego samca. Ona? O nie, nigdy! Tego jestem pewna na sto procent. Nie należy też do gatunku bardzo brzydkich kobiet, przeobrażonych jednak przez żar zmysłów przydających im niekiedy blasku, powabu i piękna. Chociaż... nawet taki wygląd, jak mojej pani, nie daje żadnej pewności. Znałam bardziej surowe i odpychające, ich widok nie przywodził na myśl ani miłości, ani pożądania, a przecież niezłe z nich były puszczalskie i przesypiały się Bóg wie ile razy z byle lokajem czy stangretem.

No tak, pani zmusza się, żeby być miła, ale z pewnością nie jest biegła w tych rzeczach, jak inne, które znałam. Mam ją za bardzo złośliwą, bardzo podejrzliwą, bardzo uszczypliwą; to wstrętny charakter i złe

serce. Bez przerwy siedzi ludziom na karku i dokucza na wszelkie sposoby: „Czy umiesz robić to? Czy umiesz robić tanto?”. Albo znowu: „Czy nie leci ci wszystko z rąk? Czy jesteś staranna? Czy o niczym nie zapominasz? Czy umiesz utrzymać porządek?”. I tak bez końca. I jeszcze: „Czy jesteś bardzo czysta? Bo jeśli chodzi o czystość, to ja mam duże wymagania... Darowuję wiele rzeczy, ale na punkcie czystości jestem nieugięta”. Za kogo ona mnie bierze? Za prostą dziewczuchę od krów, za zwykłą chłopkę, za kuchnię z prowincji? Czystość! Och, znam już na pamięć tę śpiewkę! Każda mówi to samo... a nierzadko, gdy im się przyjrzeć z bliska... zajrzeć pod spódnicę, pogrzebać w bieliźnie... Cóż to za brudasy! Czasem aż mdło się robi z obrzydzenia.

Także czystość mojej pani nie budzi we mnie zaufania. Kiedy pokazywała mi swój pokój kąpielowy, nie zauważyłam ani bidetu, ani wanny, w ogóle ani jednej z tych rzeczy, co są potrzebne prawdziwie schludnej kobiecie, dbałej o czystość nie tylko na pokaz. Bo najbardziej świadczą o kobiecie przede wszystkim drobiazgi, różne flakony, przybory, pachnące przedmioty, w których tak lubią się grzebać. Chciałabym jak najprędzej zobaczyć panią nago – nieźle się przy tym ubawię. To dopiero musi być piękny widok...

Wieczorem, kiedy nakrywałam do stołu, pan wszedł do jadalni. Wracał z polowania. Pan jest bardzo wysoki, szeroki w barach, ma czarny, gęsty wąs, matową skórę. Jego maniery są ciężkawe i trochę nieporadne, ale sprawia wrażenie dobrodusznego człowieka. Oczywiście nie jest geniuszem, jak pan Jules Lemaître, któremu tyle razy usługiwałam na ulicy Krzysztofa Kolumba, ani elegant, jak pan de Janze... ech, z niego to był mężczyzna! Lecz jest miły. A jego gęste, kręcone włosy, byczy kark, łydki zapaśnika, mięsiste wargi, czerwone i uśmiechnięte, świadczą o sile i dobrym samopoczuciu. Coś mi się zdaje, że on jest łasy na te rzeczy. Domyśliłam się tego od razu z jego rozedrganych, węszących, zmysłowych nozdrzy i błyszczących oczu, łagodnych, ale i filuternych. Chyba nigdy jeszcze nie widziałam u żadnego mężczyzny tak gęstych brwi i tak owłosionych rąk, to aż nieprzyzwoite. Niezły samiec musi siedzieć w tym ojczulku! Jak większość mężczyzn o słabej inteligencji i mocnych mięśniach, jest bardzo nieśmiały.

Wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy, miał minę zaskoczoną, ale zadowoloną i życzliwą. Lekko łobuzerską, lecz bez śladu brutalności! choć widać było, że rozbiera mnie wzrokiem. Pewnie nie jest przyzwyczajony do takich jak ja pokojówek, był wyraźnie zaskoczony, od pierwszej chwili zrobiłam na nim duże wrażenie. Odezwał się, trochę zakłopotany:

– A więc to ty jesteś tą nową panną służącą?

Wypiłam piersi, spuściłam wzrok, a potem, skromna i przekorna zarazem, odpowiedziałam słodziutkim głosem:

– Tak, proszę pana, to właśnie ja.

Wtedy wystękał:

– A zatem przyjechałaś? Bardzo dobrze, bardzo dobrze...

Chciał, by rozmowa jeszcze trwała, namyślał się, co by tu powiedzieć, ale nie będąc ani rozmownym, ani rozgarniętym, nie umiał znaleźć dalszych słów. Bardzo mnie bawiło to jego zmieszanie. Po krótkim milczeniu wybąkał:

– A więc, przyjechałaś z Paryża?

– Tak, proszę pana.

– To bardzo dobrze... to bardzo dobrze...

Nabrał odwagi:

– Jak ci na imię?

– Celestyna, proszę pana.

Zatarł ręce, jakby chciał zyskać na czasie, i podjął:

– Celestyna! O, ho, ho! Bardzo dobrze. Dalibóg, rzadkie imię... piękne imię... Oby tylko pani nie chciała ci go zmienić... Ma taką manię...

Odpowiedziałam godnie i potulnie:

– Będzie tak, jak pani zażąda.

– Oczywiście, oczywiście, ale to ładne imię...

Mało brakowało, a wybuchnęłabym śmiechem. Pan zaczął chodzić po jadalni, a potem nagle usiadł na krześle, wyciągnął nogi i rzucając mi przeprasające spojrzenie, spytał niemal błagalnym głosem:

– Celestyno... ja zawsze będę cię nazywał Celestyną... Pomożesz mi ściągnąć buty? Ale nie sprawi ci to kłopotu?

– Oczywiście, że nie. Żadnego, proszę pana.

– Bo widzisz, te przekłete buty... bardzo trudno je... Źle schodzą.

Uklękałam przed nim, dbając przy tym, aby wypadło to zręcznie, swobodnie, a nawet zalotnie. Gdy tak pomagałam mu ściągać przemoczone, zabłocone buty, poczułam, że wdycha nozdrzami zapach moich perfum, a jednocześnie dostrzegłam jego wzrok, który z rosnącym zaciekawieniem przesuwiał się po rąbku mojego stanika i rysującym się pod suknią ciele. Nagle szepnął:

– O, do licha!... Tęgo... pięknie pachniesz, Celestyno!

Nie podnosząc w górę oczu, zrobiłam naiwną minę.

– Ja, proszę pana?

– No pewnie, że ty, przecież nie moje nogi.

– Och, proszę pana!

W tym „Och, proszę pana” brałam jednocześnie w obronę jego nogi i udzielałam przyjacielskiej reprimendy, tak przyjacielskiej, że niemal zachęcała do poufałości. Czy zrozumiał? Myślę, że tak. Bo znowu, z jeszcze większym zapałem, a nawet pożądlwym drzeniem w głosie, powtórzył:

– Celestyno, pachniesz okrutnie pięknie, okrutnie pięknie.

No, więc jednak ojczulek nabiera śmiałości. Umilkłam, udając taką, co to się lekko gorszy, gdy na nią nastawać. Pan się zmieszał, bo jest nieśmiały i nie zna się na kobiecych sztuczkach. Pewnie zdjął go strach, że się posunął za daleko, i szybko zmienił temat:

– Już się tu zadomowiłaś, Celestyno?

Też mi pytanie! Czy się zadomowiłam? Przyjechałam akurat trzy godziny temu. Przygryzłam wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Trzymają się go żarty, pocziwiny... i naprawdę jest przygłupi.

Ale to mi nie przeszkadza. Spodobał mi się. Nawet w swojej wulgarności ujawnia jakąś siłę... bije od niego odór samca... przenikająca, ciepła dzikość... i to mnie bierze.

Gdy buty zostały już zdjęte, ja z kolei, chcąc utrzymać dobre wrażenie, jakie wywarłam, zadałam mu

pytanie:

– Widzę, że pan jest myśliwym... Czy dziś polowanie się udało?

– Jeszcze nigdy niczego nie upolowałem, Celestyno – odpowiedział, potrząsając głową. – Ja tylko chodzę... spaceruję... żeby nie siedzieć w domu, bo tak się tu nudzę...

– O, pan się tutaj nudzi?

Po krótkiej chwili milczenia sprostował szarmancko:

– To znaczy... nudziłem się... Bo teraz... nareszcie... no, widzisz...

A potem z głupawym, wzruszającym uśmiechem:

– Celestyno?

– Tak, proszę pana.

– Zechcesz mi podać ranne pantofle? Przepraszam cię...

– Ależ, proszę pana, to przecież należy do moich obowiązków...

– Niby tak... no, niech tam... Są pod schodami, w schowku na lewo.

Myślę, że ten da mi wszystko, czego tylko zechcę. Nie jest sprytny, sam z punktu oddaje się w ręce. Można nim kierować jak małym dzieckiem.

Kolacja, mało wystawna, złożona z wczorajszych resztek, minęła spokojnie, prawie w milczeniu. Pan jadł łapczywie, a pani ponuro grzebała w talerzach, z kwaśną i pogardliwą miną. Głównie przełykała jakieś pastylki, syropy, krople, pigułki – całą aptekę, którą przed każdym posiłkiem należy starannie ułożyć na stole, obok jej nakrycia. Rozmawiali ze sobą bardzo mało, i to wyłącznie o miejscowych ludziach i sprawach, co niewiele mnie obchodzi. Zrozumiałam jedno: państwo przyjmują u siebie rzadko. Zresztą było widać, że myślą nie o tym, o czym mówią. Obserwowali mnie z zaciekawieniem, każde na swój sposób, każde wedle własnych intencji. Pani patrzyła surowo i kostycznie, nieomal wzgardliwa, z wzrastającą niechęcią; pewnie już obmyślała wszystkie paskudne kawały, jakie miała zamiar mi spletać. Pan, nie podnosząc oczu, mrugał do mnie bardzo znacząco i dziwnie wpatrywał się w moje ręce, starając się to robić ukradkiem. Sama naprawdę nie wiem, co w moich rękach jest tak podniecającego dla mężczyzny?... Udawałam, że w ogóle nie dostrzegam jego manewrów. Krążyłam wokół stołu, godna, opanowana, zręczna... i na dystans. Och, gdybyż mogli zajrzeć do mej duszy i pojąć, co się dzieje w moim sercu, tak jak ja już zdążyłam pojąć, co z nich za typy!

Uwielbiam podawać do stołu. Wtedy najłatwiej przyłapać naszych państwa na plugastwie i niskich instynktach, które tkwią w ich naturze. Z początku są ostrożni, pilnują siebie nawzajem, ale powoli zaczynają się obnażać, pokazywać, jacy są naprawdę bez szminki i osłonek; zapominają, że tuż obok jest ktoś, kto krąży, kto słucha, kto notuje ich ułomności, duchowe garby, skrywane blizny, słowem: wszelką nikczemność i haniebne zamysły, co lęgną się w szacownych mózgach porządnych ludzi. Gromadzić dowody, sortować je, opatrywać etykietami, w oczekiwaniu na dzień porachunku, kiedy uczyni się z nich potężną broń – to wielka radość dla ludzi naszego zawodu i najbardziej wyrafinowany odwet za upokorzenia.

W czasie tego pierwszego zetknięcia nie mogłam wyrobić sobie jasnego i dokładnego obrazu moich nowych chlebobawców. Ale wyczułam, że w tym małżeństwie coś nie gra, że pan jest w domu niczym, a pani wszystkim, i że pan drży przed panią jak małe dziecko. Och, z pewnością nie jest mu do śmiechu,

biedakowi. Z pewnością wszystko to widzi, słyszy i przeżywa. Przypuszczam, że nieźle się tu jeszcze ubawię. Przy deserze pani, która przez całą kolację wciągała nosem zapach moich rąk, ramion i stanika, odezwała się stanowczym, ostrym głosem:

– Nie lubię, jak ktoś się perfumuje.

A ponieważ milczałam, udając, iż nie pojęłam, do kogo się to odnosi, dodała:

– Słyszałaś, Celestyno?

– Tak jest, proszę pani, będzie tak, jak pani sobie życzy.

I spojrzałam ukradkiem na pana, który tak lubi ładne zapachy, no, w każdym razie mój zapach. Trzymając łokcie na stole, siedział na pozór obojętny i śledził wzrokiem jakąś spóźnioną osę, która wirowała nad paterą z owocami, ale w istocie był upokorzony i zmartwiony. Potem znowu zapanowała ponura cisza. Zmrok począł ogarniać jadalnię i jakiś nieopisany smutek, trudny do wyrażenia ciężar zawisł nad głowami tych dwojga ludzi. Po co oni w ogóle żyją i co robią na tej ziemi?

– Lampa, Celestyno!

W tej ciszy i mroku głos mojej pani zabrzmiał jeszcze ostrzej. Aż podskoczyłam na jego dźwięk...

– Przecież widzisz, że jest już noc. Nie życzę sobie przypominać ci za każdym razem o lampie. Żeby mi się to nie powtórzyło, zrozumiałaś?

Zapalając lampę, tę samą, co to można ją naprawić tylko w Anglii, miałam ochotę krzyknąć do biednego pana: „Zaczekaj tylko trochę, ojczulku, i nic się nie bój... Będziesz miał do syta tych perfum, które tak lubisz i których ci brak... Będziesz je wchłaniał z moich włosów, ust, szyi, z całego ciała, obiecuję ci to. Jeszcze nie raz pokażemy tej cholercze. Zapewniam cię”.

Chciałam, by to nieme wyznanie stało się widoczne, więc stawiając lampę na stole, otarłam się lekko o pana ramię, a potem szybko cofnęłam.

W kuchni też niewesoło. Oprócz mnie jest tylko dwoje służby – kucharka, która stale gada, i ogrodnik-stangret w jednej osobie. Ten znowu nie odzywa się ani słowem. Kucharce na imię Marianna, ogrodnikowi-stangretowi – Józef. Para tępych wieśniaków. Na takich też i wyglądają. Ona jest gruba, nalana, sflaczała, zwalista. Jej szyja wylewa się potrójnym podbródkiem z tak usmolonej chustki, jakby wycierała nią garnki; obwisłe, potężne cycki wyłazą z bawełnianego kaftana, poplamionego tłuszczem, przykrótka zaś spódnica odsłania grube kostki i szerokie stopy w szarych, wełnianych skarpetkach. On ma na sobie koszulę, roboczy fartuch i saboty, jest wygolony, chudy, nerwowy, po wargach przebiega mu brzydki grymas, wykrzywiając twarz od ucha do ucha, chodzi skradającym się krokiem, ma zagadkowe ruchy kleryka. No, proszę, – oto jakich mam kolegów.

W tym domu nie ma osobnej jadalni dla służby. Jadamy w kuchni, na tym samym stole, na którym kucharka przez cały dzień pitrasi jakieś paskudztwa, kraje mięso, patroszy ryby, czyści jarzyny. Serio. To po prostu nie uchodzi. Rozpalona blacha nagrzewa się i w izbie jest bardzo duszno. W powietrzu unoszą się zapachy starego tłuszczu, zjełczałych sosów i pamiętajacej zamierzchłe czasy frytury. A gdy my już jemy, wtedy gotuje się żarcie dla psów, z żelaznego saganka dobywa się cuchnąca para, drapie w gardle i zmusza do kaszlu. Rzygać się chce. Lepiej traktuje się więźniów i psy w psiarni.

Dali nam boczek z kapustą i śmierdzący ser, a do picia – kwaśny jabłecznik. I to wszystko. Jemy na

glinianych talerzach o popękanej polewie, czuć je fryturą, aluminiowe widelce uzupełniają tę śliczną zastawę.

Ponieważ jestem w tym domu od niedawna, nie chciałam zaczynać od skarg. Ale też nie chciałam tego jeść. Och, za nic! Żeby sobie jeszcze bardziej popsuć żołądek? Dziękuję.

– Dlaczego nic nie jesz? – zwróciła się do mnie kucharka.

– Nie jestem głodna.

Powiedziałam to zdanie tonem pełnym godności. Wówczas Marianna mruknęła:

– A może panienka życzy sobie trufli?

Odparłam bez złości, ale uszczypliwie i wyniośle:

– A wiesz, ja już jadłam trufle. Nie każdy tutaj może to o sobie powiedzieć.

To jej zamknęło buzię.

Ogrodnik-stangret przez cały czas napychał sobie gębę wielkimi kawałami boczku i przyglądał mi się ukradkiem. Nie wiem, czemu jego wzrok krępował mnie, a milczenie napełniało niepokojem. Choć nie jest już młody, byłam zdumiona zwinnością i sprężystością jego ruchów... Ciało ma giętkie jak wąż. Potrafię go już teraz dokładnie opisać. Twarde jak szczecina, szpakowate włosy, niskie czoło, skośne oczy, wydatne kości policzkowe, szeroka i mocna szczęka, długa, mięsista, wygięta ku górze broda – wszystko to razem wzięte świadczy o gwałtownej naturze. Ale jakiej dokładnie – nie umiem określić. Niedołęga? Kanalia? Nie wiem. To jednak ciekawe, że ten mężczyzna aż tak zawładnął moimi myślami. Z czasem ta obsesja osłabnie i minie. Zdaję sobie sprawę, że to nic więcej jak jeden z tysięcznych wybryków mojej egzaltowanej, romantycznej wyobraźni, która wszystko wyolbrzymia, bądź upiększając, bądź oszpecając ludzi i rzeczy. I właśnie ta wyobraźnia sprawia, że widzę w Józefie jakąś istotę wyższą, a nie głupiego gbura, tępego, nieokrzesanego prostaka, jakim jest w rzeczywistości.

Pod koniec kolacji Józef, milcząc nadal, wyciągnął z kieszeni fartucha gazetę „Wolne Słowo” i z uwagą zabrał się do czytania, a Marianna, po wypiciu dwóch pełnych karafek jabłecznika, rozkleiła się trochę i zrobiła bardziej łaskawa. Rozparła się na krześle, podwinięte rękawy odsłaniały jej nagie ręce, czepek przekrzywił się na potarganych włosach. Zaczęła mnie wypytywać, skąd pochodzę, gdzie służyłam, czy trafiały mi się dobre miejsca, czy jestem przeciwko Żydom? Jakiś czas gawędziła przyjaźnie. Potem przyszła kolej na mnie, chciałam z niej wyciągnąć nieco wiadomości o tym domu: czy często przyjmują gości i co to są za goście, czy pan interesuje się pokojówkami, czy pani ma kochanka?

No i proszę. Trzeba było widzieć jej minę i twarz Józefa, który przerwał lekturę, gdy tylko padły pierwsze pytania. Jacy byli zgorszeni i jacy śmieszni! Nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia ludzie na prowincji są zacofani. Niczego nie widzą, niczego nie wiedzą, niczego nie rozumieją, najzwyklejsze słowa wprawiają ich w osłupienie. A przy tym nie mogłam odpędzić od siebie myśli, że właśnie on, taki niezguła i taki nadęty, i ona, taka rozmamłana i cnotliwa, sypiają ze sobą. Choć może nie. Trzeba już być w wielkiej potrzebie, żeby sobie zafundować takiego typu.

– Od razu widać, że przyjechałaś z Paryża – skarciła mnie kwaśno kucharka.

Józef, potakując ruchem głowy, dorzucił krótko:

– Z pewnością.

I zabrał się znowu do czytania „Wolnego Słowa”. Marianna podniosła się z trudem i zdjęła saganek

z ognia. Nie rozmawialiśmy więcej.

Wtedy pomyślałam o poprzednim miejscu i o panu Janie, tamtejszym lokaju. Och, jakiż to był wytworny mężczyzna – nosił długie, czarne bokobrody i miał jasną cerę, wypielęgnowaną jak u kobiety. Przy tym – piękny chłopak, wesoły, miły, delikatny, a jaki zabawny! Wieczorami czytywał nam pisma humorystyczne, opowiadał różne hultajskie, wzruszające przygody, wtajemniczał w listy pana domu. A dziś – Boże mój, co za zmiana! Jak do tego doszło, że osiadłam tu, wśród takich ludzi, z dala od wszystkiego, co kocham?

Chce mi się po prostu płakać.

Kreślę te linijki w moim pokoju, brudnej izdebce na poddaszu, do której wdziera się byle wiatr, zimowy chłód czy letni upał. Poza lichym żelaznym łóżkiem i lichą szafą z surowego drzewa, która się nie domyka i w której brak miejsca na moje rzeczy – nie ma żadnych innych mebli. Za całe oświetlenie – jedna świeczka, co kopci i skapuje na mosiężny lichtarz. Serce się ściska. Jeśli zechcę dalej pisać ten dziennik, przeczytać którąś z przywiezionych powieści czy powróżyc sobie z kart, będę zmuszona sama kupować świece, gdyż świece należące do pani – „figa z makiem”, jak mawiał pan Jan – wszystkie są pod kluczem.

Jutro postaram się tu trochę urządzić. Nad łóżkiem przybiję mały krucyfiks z pozłacanego mosiądzu, na kominku ustawię porcelanową figurkę Przenajświętszej Panienki, a obok różne pudełeczka, drobiazgi i fotografię pana Jana. Może w ten sposób uda mi się wprowadzić do tej izdebki jakiś promyk ciepła i radości.

Pokój Marianny sąsiaduje z moim. Dzieli nas cienka ścianka i słychać wszystko, co się tam dzieje. Myślałam, że Józef, który sypia obok stajni, przyjdzie do niej. Ale nie. Marianna długo łąziła po pokoju, kasłała, pluła, szurała krzesłami, obijała się o jakieś meble. Teraz chrapie. Pewnie robią to za dnia.

Gdzieś daleko, na wsi, szczeka pies. Jest już prawie druga w nocy, świeca dogasa. Ja także powinnam się już położyć. Ale czuję, że nie będę mogła zasnąć.

Och, ja się zestarzeję w tej budzie! Nie, co to, to nie.

II

15 września

Nie wymieniłam dotąd ani razu nazwiska moich chlebobawców. Brzmi ośmieszająco i komicznie: pan i pani Lanlaire^[1]. Domyślcie się już z pewnością, ile to nazwisko nastrecza okazji do wyborynych dowcipów, po prostu samo je prowokuje. Co zaś do imion, to kto wie, czy nie są jeszcze śmieszniejsze od samego nazwiska i, jeśli tak można powiedzieć, uzupełniają je. Pan ma na imię Izydor, a pani – Eufrozyna. Litości!

Kramarka – wstąpiłam do niej po jedwabne nici – użyczyła mi sporo wiadomości o domu, w którym teraz służę. Ładne rzeczy, no, no! Lecz gwoli sprawiedliwości muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam tak wstrętnej i tak gadatliwej baby. Ale jeśli osoba, u której moi państwo kupują, tak się o nich wyraża, to co dopiero wygadują inni, którzy nie są ich dostawcami? Ostre języki mają na prowincji, nie ma co!

Ojciec mojego pana był fabrykantem sukna i bankierem w Louviers. Ogłosił plajtę, która zrujnowała wszystkich drobnych posiadaczy w okolicy. Został skazany na dziesięć lat więzienia – wyrok bardzo łagodny, jeśli zważyć fałszerstwa, naciągania, kradzieże i inne przestępstwa, które popełnił. Umarł w trakcie odsiadki. A że był zapobiegliwy, więc uciął sobie i ulokował w bezpiecznym miejscu chyba ze czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków. Wyłudził je od swych wierzycieli, których potem zrujnował. Te pieniądze to obecnie cały majątek mojego pana. No, proszę. W taki sposób to żadna sztuka zostać bogaczem.

Ojciec pani był jeszcze gorszym człowiekiem, choć nigdy nie skazano go na więzienie i umarł otoczony szacunkiem uczciwych ludzi. Trudnił się handlem żywym towarem. Kramarka wyjaśniła mi, że za Napoleona III nie wszyscy musieli odsługiwać wojsko. Młodzi, bogaci ludzie, na których „padł los”, mieli prawo „wykupić się ze służby”. Zwracali się więc do jakiejś agencji lub prywatnej osoby, która za sumę od tysiąca do dwóch tysięcy franków, w zależności od ryzyka wojny w danym momencie, wynajdywała nieszczęśnika, co godził się iść za nich na siedem lat do pułku, a w razie wojny – zginąć za nich. Więc handlowano we Francji białymi, tak jak w Afryce handluje się Murzynami? Więc istniały targi, na których kupowano ludzi jak bydło i oddawano do okrutnej rzeźni? Niezbyt mnie to zdziwiło. A dziś? Czy dziś nie ma już takich targów? Jest ich jeszcze więcej. Bo czymże innym są biura pośrednictwa pracy i domy publiczne, jeśli nie handlem niewolnikami, jatką z ludzkim mięsem?

Wedle słów kramarki, był to handel bardzo intratny i ojciec pani, który działał w całym kraju, wykazał ogromną zręczność, zagarniając i odkładając do własnej kieszeni większą część okupów. Umarł akurat dziesięć lat temu. Do samej śmierci był burmistrzem Mesnil-Roy, zastępcą sędziego pokoju, radcą generalnym, prezesem fabryki, skarbnikiem towarzystwa dobroczynności, kawalerem orderów; oprócz tego domu, który zresztą kupił za bezcen, zostawił w spadku milion dwieście tysięcy franków, z czego

sześćset tysięcy przypadło pani, bo ma ona jeszcze brata, ale zszedł na złą drogę, nie wiadomo, co się z nim dzieje. No i co wy na to? Czy to są czyste pieniądze, jeśli w ogóle takie istnieją? I czy nie jest podobnie z ich posiadaczami? Ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości, bo stykałam się tylko z brudnymi pieniędzmi i złymi bogaczami.

Lanlaire'owie posiadają więc ponad milion franków – czy nie budzi to w was obrzydzenia? I bezustannie oszczędzają, wydając z trudem zaledwie jedną trzecią procentów od kapitału. Skąpią na wszystkim, na innych i na sobie, targują się z drapieżną chciwością przy każdym rachunku, wypierają się danego słowa, dotrzymują tylko umów na piśmie, i to z własnoręczną sygnaturą, trzeba ich mieć ciągle na oku, nie stwarzać najmniejszego powodu do reklamacji. Bo zaraz z tego skorzystają i nie zapłacą, zwłaszcza drobnym dostawcom, których nie stać na koszt procesu, i biedakom, za którymi nikt się nie ujmie. Oczywiście nie ma mowy o żadnych datkach, tylko na kościół ofiarowują coś od czasu do czasu, bo straszeni z nich dewoci. Natomiast biedni mogą zdychać z głodu, jęczeć i błagać pod drzwiami Opatówki. Drzwi nigdy się nie otworzą.

– Myślę, że są zdolni zwędzić coś nawet z torby żebraka – powiedziała kramarka. – Zrobiliby to bez żadnych wyrzutów sumienia, z wielką rozkoszą.

Potem dorzuciła jeszcze jeden przerażający fakt:

– My tu wszyscy ciężko zarabiamy na życie, ale kiedy mamy zanieść do kościoła chleb, który ksiądz, poświęciwszy uprzednio, rozdaje wiernym w czasie mszy, to zawsze kupujemy białe bułeczki. To należy do dobrych obyczajów i mamy na tym punkcie swoją ambicję. A co oni przynoszą, te wstrętne sknery? Zwykły chleb, nawet nie ten lepszy. Taki najzwyklejszy, jaki jadają robotnicy. Nie wstyd im, bogaczom? Żona bednarza, ta Paumier, usłyszała kiedyś, co pani Lanlaire odpowiedziała księdzu, gdy ten delikatnie zganił ją za ohydne skąpstwo. „Ależ proszę księdza proboszcza, przecież tym ludziom nie trzeba nic lepszego!”

Należy być jednak sprawiedliwym nawet dla własnych państwa. O pani z pewnością nie da się powiedzieć ani jednego dobrego słowa, ale z panem sprawa ma się inaczej. Pan nie budzi nienawiści i każdy zgodnie przyzna, że nikim nie pomiata, że gdyby tylko mógł, to robiłby dla ludzi dużo dobrego i postępował z nimi szlachetnie. Nieszczęście polega na tym, że on nic nie może. Pan jest po prostu nikim we własnym domu. Znaczący mniej niż służący, a przecież trzyma się ich krótko, znaczący mniej niż kot, bo kotu zezwala się na wszystko. Stopniowo, dla świętego spokoju, cały swój autorytet pana domu i całą godność męską złożył w ręce pani. To pani decyduje, kieruje, zarządza wszystkim. Pani zajmuje się stajnią, gospodarstwem, obejściem, ogrodem, piwnicą, drwalnią i wszędzie znajdzie coś do zganienia. Nigdy nie jest tak, jak by sobie życzyła, stale utrzymuje, że ją okradają. Ale ma oko! Nie do wiary! Nikt nawet nie usiłuje wystrychnąć jej na dudka, bo zna na wylot wszystkie fortele. Sama płaci rachunki, podejmuje procenty i czynsze dzierżawne, zawiera umowy. Ma spryt rachmistrza, brutalność komornika, umie kombinować jak lichwiarz. Doprawdy, to aż nie mieści się w głowie. Drapieżnie dzierży sakiewkę, a rozsypuje ją tylko po to, by włożyć jeszcze trochę pieniędzy. Panu nie daje ani grosza, ledwie mu, biedakowi, starcza na tytoń. Otoczony bogactwem, jest biedniejszy od nas wszystkich. Nigdy jednak nie wierzga. Jest posłuszny jak uczeń. Ileż to razy ma minę skarconego, posłusznego psa... ależ jest wtedy śmieszny! Zwłaszcza trzeba go widzieć, gdy pod nieobecność pani przyjdzie do domu jakiś dostawca, zapuka jakiś żebrak lub posłaniec upomni się o napiwek. Jaką ma wtedy komiczną minę!

Grzebie po kieszeniach, obmacuje się na wszystkie boki, przeprasza, mówi z ubolewaniem w oczach:

– Masz tobie! Nie mam drobnych. Same papierki tysiącfrankowe. Będziesz miał resztę z tysiąca franków? Nie? No to musisz przyjść jeszcze raz.

Tysiącfrankowe papierki! On, który nie ma przy duszy ani jednego papierka! Przecież nawet papier listowy pani też zamyka przed nim w szafie, do której tylko ona ma klucz. Wydziela mu po jednej kartce, gderząc:

– Winszuję! Ależ ty zużywasz tego papieru! Do kogo tak piszesz, że tyle go idzie?

Panu zarzucam jedynie niepojętą, oburzającą słabość charakteru oraz to, że pozwala tej jędzy tak się wodzić za nos. Bo przecież dla nikogo nie jest tajemnicą, a i sama pani rozgaduje to na wszystkie strony... Słowem, pana z panią nie łączy już nic z tych rzeczy. Pani choruje na brzuch i nie może mieć dzieci, więc nie chce nawet słyszeć o podobnych sprawach. Zdaje się, że „to” sprawia jej silny ból... Krąży na ten temat piękna opowieść po okolicy.

Pewnego dnia pani, spowiadając się w konfesjonale, wyznała proboszczowi swoje trudności i spytała, czy może z mężem stosować „pewne pieszczoty”.

– Co rozumiesz, moje dziecko, przez „pewne pieszczoty”? – mruknął proboszcz.

– Nie wiem dokładnie, ojczy – odpowiedziała moja pani zmieszana. – Umiejętne pieszczoty...

– „Umiejętne pieszczoty”... Ależ, moje dziecko... te „pieszczoty” to grzech śmiertelny...

– Właśnie dlatego usilnie proszę Kościół o przyzwolenie...

– No tak, no tak... Cóż... w końcu... a te „umiejętne pieszczoty”... to często?...

– Mój mąż jest silnym mężczyzną, bardzo zdrowym... Może ze dwa razy na tydzień?

– Dwa razy na tydzień? To za dużo... To za często... To rozpusta... Mężczyzna, choćby najsilniejszy, nie potrzebuje aż dwa razy w tygodniu tych „umiejętnych pieszczot”.

Parę sekund milczał skłopotany i zakończył:

– No, niech już będzie! Zezwalam na „umiejętne pieszczoty” dwa razy w tygodniu, ale pod pewnymi warunkami... *primo*: pani sama nie będzie przy tym odczuwała żadnych grzesznych przyjemności...

– Och, obiecuję, mój ojczy...

– *Secundo*... Każdego roku ofiaruje pani dwieście franków na ołtarz Najświętszej Panienki...

– Dwieście franków? – pani aż podskoczyła. – Za to? O, nie!

I odprawiła księdza z kwitkiem.

– W takim razie – zakończyła kramarka, bo to ona wypaplała mi tę całą historię – czemu pan jest tak dobry i uległy wobec kobiety, która mu odmawia nie tylko pieniędzy, ale i uciechy! Już ja bym ją nauczyła rozumu... i to szybko.

A obecnie tak to wygląda: pan jest mężczyzną w pełni sił, wyjątkowo łasym na te rzeczy – ale również bardzo uczciwym człowiekiem, więc żeby, do licha, móc sobie choć odrobinę pofolgować czy też dać mały datek jakiemuś żebrakowi, musi się uciekać do śmiesznych wybiegów, ordynarnego naciągania i niezbyt godnych sposobów, a z chwilą gdy pani je odkryje, dochodzi do okropnych scen i kłótni trwających całymi miesiącami. Wtedy pan zaczyna wędrować po polach, chodzi i chodzi jak wariat, gwałtownie gestykuje, wygraża pięściami, miazdży grudki ziemi, mówi sam do siebie, na wietrze,

w deszcz i w śnieżyce. Wieczorem wraca do domu jeszcze cichszy, bardziej przygarbiony, bardziej drżący i pokorniejszy niż zwykle.

A przecież – jakie to dziwne i smutne – zarówno w słowach kramarki, choć mówiła o samych okropnościach i rzucała najcięższe oskarżenia, jak i w wielu innych opowieściach, podawanych z ust do ust, ze sklepiku do sklepiku, z domu do domu, odsłaniających wstydlive brudy, czuło się wyraźnie, że w miasteczku bardziej Lanlaire’om zazdroszczą, niż nimi gardzą. Mimo ich karygodnego sobkostwa, mimo szkodliwości społecznej, na przekór wszystkiemu, co trują swym bogactwem, to jednak właśnie ów pieniądz otacza ich aureolą szacunku, a nawet sławy. Kłaniają się im niżej niż innym i goszczą u siebie skwapliwiej niż pozostałych sąsiadów. A tę chałupę, w której państwo żyją, pogrążeni w moralnym brudzie, nazywają – ze służalczą uniżonością – pałacem. Jestem pewna, że jeśli ktoś obcy spyta tę samą sklepikarkę, tak przecież jadowitą, czy jest coś godnego uwagi w okolicy, odpowie:

– Mamy piękny kościół i piękną fontannę, ale przede wszystkim mamy Lanlaire’ów, którzy posiadają milion franków i mieszkają w pałacu. To są okropni ludzie i jesteśmy z nich bardzo dumni.

Uwielbienie dla pieniądza! To niskie uczucie jest udziałem nie tylko mieszczan, ale i nas, maluczkich, bez grosza przy duszy. Nawet ja, z moim postanowieniem, że pewnego dnia rzucę to wszystko w diabły, nawet ja sama nie potrafię się od tego wyzwolić. Przecież żyję w jarzmie cudzego bogactwa, przecież stąd biorą się moje cierpienia, występki, nienawiść, gorzkie upokorzenia, nieziszczalne marzenia, słowem, wszystkie niekończące się katusze mojego życia, które trwać będą do śmierci – a proszę, niech no tylko znajdę się w pobliżu jakiegoś bogacza, to nie mogę się powstrzymać, żeby nie patrzeć na niego jak na jakąś istotę wybraną i wspaniałą, jak na jakieś cudowne bóstwo. Czuję od razu, że wbrew mojej woli, wbrew rozsądkowi zaczyna wzbierać w tajnych zakamarkach mojej duszy jakiś szczególny zachwyt i adoracja dla bogacza, który bardzo często jest zwykłym idiotą, zwyczajnym zbrodniarzem. Czy to nie głupie? I dlaczego? Dlaczego?

Opuszczając tę wstrętą handlarę i jej niesamowity sklepik, gdzie zresztą nie dobrałam sobie odpowiednich nici, myślałam zgnębiona o wszystkim, czego się dowiedziałam. Mżyło. Niebo było brudne jak dusza tej plotkary. Na ulicy ślizgałam się po mokrym bruku, wściekła na sklepikarkę, na moich państwa, na samą siebie, wściekła na niebo, na błoto, w którym tonęło moje serce i nogi, na nieuleczalny smutek małego miasteczka. Powtarzałam sobie bez przerwy:

– No proszę... Ładnie się urządziłam. Tylko tego mi brakowało. A to wpadłam!

No tak. Rzeczywiście wpadłam...

Pani ubiera się sama i sama się czesze. Zamyka się na dwa spusty w gotowalni, do której ja prawie nie mam dostępu. Bóg jeden wie, co tam robi całymi godzinami. Dziś wieczór, nie mogąc już dłużej tego znieść, śmiało zastukałam do drzwi. Oto rozmówka, jaka się między nami nawiązała:

Puk, puk...!

– Kto tam?

Och, ten głos, ostry, szczekający. Mam ochotę wepchnąć go jej pięścią z powrotem do gardła.

– To ja, proszę pani.

– Czego chcesz?

– Przyszłam posprzątać...

– Jest już posprzątane. Idź sobie stąd. I przychodź tylko wtedy, gdy zadzwonię.

To znaczy, że nie jestem tutaj nawet panną służącą. Więc już sama nie wiem, kim ja tu jestem.. do czego mam prawo... A trzeba powiedzieć, że ubieranie pani, rozbieranie i czesanie to jedyne, co lubię w moim zawodzie. Uwielbiam grzebać się w nocnych koszulach, rozmaitych fatałaszkach i wstążkach, dotykać bielizny, czepeczków, koronek, łabędzich puchów, uwielbiam wycierać panie po kąpieli, posypywać je talkiem, pocierać ich stopy pumeksem, skrapiać ich piersi perfumami, szczotkować włosy – znać je od czubków pantofelków po czubek koka, patrzeć na nie, gdy są całkiem nagie. Przystają być wtedy jedynie paniami domu, zamieniają się w nasze, no, powiedzmy... przyjaciółki czy współpracownice, a niekiedy w... niewolnice. Siłą rzeczy stajesz się ich powiernicą, poznajesz mnóstwo spraw, kłopotów, grzeszków, miłosnych zawodów, najskrytszych sekretów małżeńskich... Nie mówiąc już o tym, że jeśli jesteś sprytna, to masz je w garści dzięki wielu drobiazgom, które w ogóle uchodzą ich uwadze. Wiesz o nich więcej, niż się same domyślają. Możesz z tego ciągnąć korzyści i jednocześnie dobrze się bawić. Moim zdaniem na tym właśnie polega profesja panny służącej.

Trudno sobie nawet wyobrazić, ile kobiet w tych intymnych okolicznościach zdradza się z... – no, jakby się tu wyrazić – ze swoimi rozwiązłymi i dziwacznymi upodobaniami. A często są to kobiety, które uchodzą za najskromniejsze, najbardziej surowe, pełne wprost nieosiągalnych cnót. Ale wystarczy tylko być z nimi blisko. W gotowalniach maski opadają. Och, jakże łatwo osypują się i pękają nawet najbardziej wyniosłe fasady!

Służyłam kiedyś u takiej jednej, która śmiesznie oszukiwała samą siebie. Co dzień rano, nim nałożyła koszulę, i wieczorem, gdy już ją zdjęła, stawiała nago przed wielkim lustrem i przez dobre piętnaście minut uważnie się sobie przyglądała. Wysuwała biust do przodu, a ramiona wyginała do tyłu, potem nagle szybkim podrzutem unosiła obie ręce, przez co jej piersi, dwa nieszczęsne flaki, unosiły się trochę w górę. Mówiła:

– Celestyno, spójrz no. Prawda, że, jeszcze są jędrne?

Można było pęknąć ze śmiechu. Tym bardziej że i reszta ciała... O Boże, co za żalosna ruina! Kiedy opadała z niej koszula, odsłaniając ciało uwolnione od wszystkich podpórek i gorsetów, strach brał, że się rozleje lepka mazią po dywanie. Brzuch, piersi – sklęśłe torby, obwisłe flaki – nic już z nich nie zostało, zamieniły się w tłuste, trzęsące się fałdy. Pośladki były zwiotczałe, a skóra na nich porowata niczym zużyta gąbka. I mimo że jej ciało było już tylko ruiną ludzkich kształtów, moja pani zachowała jeszcze jakiś urok, no, cień uroku kobiety, która musiała być niegdyś piękna i której całym życiem była tylko miłość. Ślepotą, co jak łaska opatrności dosięga większości starzejących się istnień, sprawiła, że moja pani nie dostrzegała swego upadku i nie zdawała sobie sprawy, że już nic nie może temu zapobiec. Zdawiała więc kunsztowne zabiegi, uciekała się do najbardziej wyrefinowanej kokieterii, by raz jeszcze przywabić do siebie miłość. I miłość przybywała na to ostatnie wezwanie. Ale skąd? Och, jakież to było żalosne!

Niekiedy pani wracała tuż przed kolacją, zdyszana i jakby zawstydzona.

– Spóźniłam się. Pomóż mi się rozebrać, szybko.

Skąd wracała z przeraźliwie zmęczoną twarzą, podkrążonymi oczami i tak wyczerpana, że w gotowalni padała na sofę jak nieżywa? A w jakim nieładzie znajdowała się jej bielizna! Koszula pomięta

i zbrukana, halka wciągnięta byle jak, gorset krzywo założony i rozsznurowany, luźno opadające podwiązki, skręcone w obwarzanki pończochy. Fryzura rozburzona, na końcach loków powiewały jeszcze jakieś strzępki z pościeli, jakieś piórka z jaśka. Z warg i policzków pocałunki starły skorupę szminki, wszystkie skazy i zmarszczki wystąpiły z całą ostrością, okrutne jak blizny.

Usiłując zmylić moje podejrzenia, jęczała:

– Nie wiem, co mi się stało. Byłam u krawcowej i nagle zrobiło mi się tak słabo, że zemdlałam. Musieli mnie rozebrać. Ciągle jeszcze źle się czuję.

Powodowana litością udawałam często, że daję się nabrać na te głupie wyjaśnienia.

Pewnego ranka, gdy akurat byłam zajęta przy pani, ktoś zadzwonił do drzwi. Lokaj właśnie wyszedł, więc sama pobiegłam otworzyć. Wszedł młody człowiek. Wygląd miał podejrzany, ponury i wyzywający – ni to robotnik, ni to łazęga, słowem, jeden z tych mętnych facetów, których się spotyka na podmiejskich zabawach, i od razu wiadomo, że żyją ze zbrodni lub rozpusty. Miał bardzo bladą twarz, niewielki, czarny wąsik i czerwony krawat. Zgarbił ramiona pod zbyt obszerną marynarką i zaczął się kiwać, przestępując z nogi na nogę w typowy dla takich osobników sposób. Najprzód obejrzał dokładnie bogaty przedpokój; dywany, lustra, obrazy, tkaniny; wydawał się zaskoczony i zmieszany, potem podał mi list do pani i odezwał się władczo, gardłowym głosem, przeciągając sylaby:

– Będzie odpowiedź.

Czy przyszedł we własnej sprawie? A może był tylko pośrednikiem? Z punktu odrzuciłam to drugie przypuszczenie. Ludzie, którzy przychodzą w cudzej sprawie, nie mówią takim rozkazującym tonem.

– Pójdę zobaczyć, czy pani jest... – mruknęłam przezornie, obracając list w rękach.

– Jest. Wiem o tym. Nie próbuj żadnych kawałów. To pilne – odrzekł.

Gdy pani przeczytała list, gwałtownie zbladła i, zdjeta nagłą trwogą, zapomniała się tak dalece, że wyjąkała:

– Jest tutaj, u mnie? Zostawiłaś go samego w przedpokoju? Skąd dowiedział się mego adresu?

Ale szybko się opanowała i dorzuciła z obojętną miną:

– Zresztą głupstwo. Nie znam go. To jakiś biedak, biedak w wielkiej potrzebie. Jego matka jest umierająca.

Pospiesznie, drżącą ręką otworzyła sekretarzyk i wyciągnęła sto franków:

– Zanieś mu to... szybko, szybko... Biedny chłopak.

A to suka. Nie mogłam się pohamować i syknęłam przez zęby:

– Pani jest dziś bardzo hojna. Ci biedacy mają szczęście.

Słowo „biedacy” wymówiłam z groźnym akcentem.

– No, idźże już – rozkazała pani, nie mogąc ustać na miejscu.

Gdy wróciłam, pani, choć zwykle nie była bardzo porządna i jej rzeczy poniewierały się na różnych meblach, zdążyła już podrzeć ów list, którego ostatni, maleńki skrawek właśnie dopalał się na kominku.

Nigdy nie dowiedziałam się, kim był naprawdę ten chłopak. I nigdy go już więcej nie widziałam. Wiedziałam i widziałam natomiast na własne oczy, że tego ranka pani nie przeglądała się w lustrze przed włożeniem koszuli, nie wypinała swych żalonych piersi i nie pytała mnie: „Prawda, że są całkiem

jędrne?”. Przez cały dzień nie opuściła swego pokoju, niespokojna, nerwowa, bardzo wystraszona.

Odtąd, ilekroć pani spóźniała się wieczorem, drżałam, czy nie zamordowano jej w jakiejś spelunie. Ponieważ mówiliśmy często w kuchni o moich obawach, któregoś wieczoru główny kamerdyner, niski, bardzo brzydki staruszek, przy tym cynik i pijus, zaczął nagle złorzeczyć:

– No to co? Na pewno ktoś ją zaciuka nie dziś, to jutro. Bo dlaczego ta stara zdzira, zamiast uganiać się za sutenerami, nie zwróci się z tym do kogoś, kogo ma na miejscu, we własnym domu, do człowieka zaufanego i bardzo solidnego?

– Może do pana? – zadrwiłam.

Kamerdyner nadał się i wśród gromkiego śmiechu obecnych odpowiedział:

– Już ja bym potrafił jej dogodzić, i to za niewielką forszę.

Taki człowiek to skarb!...

Z inną moją panią, u której służyłam jeszcze dawniej, też była cała historia. I też nielicho zabawialiśmy się w kuchni jej kosztem wieczorami, po posiłkach. Dziś widzę, że nie mieliśmy racji, bo nie była to zła kobieta. Bardzo łagodna, bardzo hojna i bardzo nieszczęśliwa. Zasypywała mnie prezentami. Ileż to razy my, służba, jesteśmy zbyt okrutni, zwłaszcza w stosunku do osób, które okazują nam wspaniałomyślność. Należy to sobie szczerze powiedzieć.

Mąż tamtej pani, o której mowa, naukowiec, członek akademii, nie wiem dokładnie jakiej, strasznie ją zanedbywał. I nie dlatego że była brzydka, bo przeciwnie, była bardzo piękna, i nie dlatego że latał za innymi kobietami – był wzorem wstrzemięźliwości. Nie najmłodszy już, pewnie nie bardzo tymi sprawami zainteresowany. Więc teraz przez całe miesiące nie odwiedzał pani nocą. A pani rozpaczała. Każdego wieczoru przystrajałam ją pięknie na przyjęcie kochanka... przezroczyste koszule... odurzające perfumy – wszystko jak trzeba.

Mówiła:

– Może przyjdzie tej nocy, Celestyno? Nie wiesz, co teraz robi?

– Pan siedzi w bibliotece. Pracuje.

Pochyliła głowę, zniechęcona.

– Ciągle w tej bibliotece, mój Boże...

Westchnęła:

– Może jednak przyjdzie tej nocy.

Kiedy już skończyłam ją stroić, dumna, że wygląda tak nęcąco, bo było to po trosze i moim dziełem, przyjrzałam się pani z podziwem i głośno wyraziłam zachwyt:

– Oszaleje na sam pani widok. Jeśli dziś nie przyjdzie, doprawdy wiele straci.

– Ach, daj spokój, daj spokój – szeptała.

Naturalnie nazajutrz rano znowu była rozpacz, skargi i płacze.

– Och, Celestyno, nie było go. Całą noc czekałam, a on nie przyszedł. Już nigdy nie przyjdzie.

Pocieszałam ją, jak tylko umiałam najlepiej.

– To pewnie dlatego, że pan jest przemęczony pracą. Uczeni nie zawsze mają głowę do tych spraw.

Myślą nie wiedzieć o czym. A czy pani już wypróbowała na panu te specjalne ryciny? Podobno są tak kuszące, że nie oprze się im nawet najzimniejszy mężczyzna.

– Nie, nie, po co?

– A może by pani kazała podać na kolację bardzo pikantne potrawy... raki?

– Nie, nie...

Smutno potrząsnęła głową.

– Już mnie nie kocha: oto moje nieszczęście. Już mnie nie kocha.

I spokojnie, bez nienawiści, rzucając prawie błagalne spojrzenie, zapytała:

– Celestyno, bądź ze mną całkiem szczerą. Czy pan nigdy nie dopadł cię w jakimś kącie? Nigdy cię nie objął, nie pocałował? Nigdy cię nie...

Co też jej przyszło do głowy?

– Powiedz mi prawdę, Celestyno!

Krzyknęłam:

– Oczywiście, że nie, proszę pani! Pan gwizdże na te rzeczy. A poza tym, co pani sobie wyobraża, jak ja mogłabym zrobić pani taką przykrość?

– Ale trzeba, żebyś mi o tym powiedziała. Jesteś piękną dziewczyną, w twoich oczach kryje się tyle miłości... Musisz mieć także piękne ciało.

Zmusiła mnie, żebym macała jej łydki, piersi, ramiona, biodra. Tak bezwstydnie porównywała niektóre części swego ciała z moimi, że – czerwona i zmieszana – zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie jest z jej strony jakiś fortel i czy w tym strapieniu porzuconej kobiety nie kryje się po prostu zdrożne pożądanie mojej osoby? Nie przestawała wzdychać:

– Mój Boże, mój Boże. Spójrz, przecież nie jestem starą kobietą... ani brzydką. No co... przecież nie mam wcale dużego brzucha... Moje ciało jest jędrne i gładkie, prawda? A żebyś wiedziała, ile miłości kryje się w moim sercu!

Często wybuchała płaczem, rzucała się wtedy na kanapę, by ukryć łzy i jęczała:

– Och, nigdy, nigdy nie zakochaj się, Celestyno! Nigdy się nie zakochaj. Człowiek jest wówczas tak nieszczęśliwy.

Któregoś dnia, gdy szlochała jeszcze głośniejsze niż zwykle, oświadczyłam szorstko:

– Ja na pani miejscu wzięłabym sobie kochanka. Jest pani zbyt piękną kobietą, żeby się dłużej tak męczyć.

Wyglądała na przerażoną moimi słowami.

– Milcz, milcz! – wykrzyknęła.

– Przecież wszystkie pani przyjaciółki mają kochanków! – nalegałam.

– Milcz. I nigdy więcej o tym nie wspominaj.

– Ale skoro pani jest tak spragniona kochania?

I z bezczelnym spokojem wymieniłam nazwisko bardzo sztywnego, młodzieńczego chłopca, który często bywał w ich domu. Dodałam jeszcze:

– To mężczyzna piękny jak marzenie. Jakież musi być zręczny i delikatny w stosunkach z kobietami!

– Nie, nie. Przestań. Sama nie wiesz, co mówisz.

– Jak pani sobie życzy. Powiedziałam to dla pani dobra.

Lecz ona uparcie śniła o jednym i tym samym i choć pan nadal przesiadywał w bibliotece, gdzie w świetle lampy sumował jakieś cyfry lub kreślił cyrklem koła, stale powtarzała jedno i to samo:

– A może jednak przyjdzie tej nocy?

Każdego ranka w kuchni, przy pierwszym śniadaniu, rozmawialiśmy wyłącznie na ten temat. Pytano mnie:

– No jak tam? Dał się w końcu złowić?

– Ciągle nic z tego.

Domyślcie się, że był to wspaniały temat do grubych żartów, sprośnych aluzji i obelżywych prześmieszeków. Zakładano się nawet, którego dnia pan zdecyduje się tam „wśliznąć”.

Po jakiejś błahej sprzeczce, w której absolutnie nie miałam racji, opuściłam moją panią. Odeszłam jak świnia, krzycząc prosto w twarz, w jej żalną, zdumioną twarzyczkę, że mam dość jej oplakanych sekretów, skrywanych udręk, wszystkiego, co mi zawierzyła, ufnie otwierając swą duszę, biedną duszyczkę, płaczącą i głupiutką, ale przecież uroczą i opętaną pożądaniem. Tak, rzucałam jej to w twarz, słowo po słowie, jak grudki błota. Postąpiłam jeszcze podłej – oskarżyłam ją o rozwiązłość, brudne żądze i nieczne upodobania. To było coś ohydneho.

Czasami nachodzi mnie jakiś mus, jakaś furia, by znieważać, by rzucać obelgi... i z całą przewrotnością, celowo przebieram w tym miarę, by potem nie dało się już niczego naprawić. Nie umiem się powstrzymać nawet wtedy, gdy jestem w pełni świadoma, że działam wbrew własnym interesom i na siebie samą sprowadzam nieszczęście.

Tym razem posunęłam się w niesprawiedliwości i haniebnych obelgach jeszcze dalej.

W parę dni po tym brutalnym rozstaniu kupiłam pocztówkę, by każdy w domu mógł przeczytać moje słowa, i napisałam ten prześliczny liścik... tak, naprawdę miałam chęć napisać, co następuje:

Powiadam Pani, że przesyłką pocztową z opłaconym dołączeniem odsyłam wszystkie „prezenty”, które mi Pani raczyła podarować. Jestem biedną dziewczyną, ale godność i umiłowanie czystości nie pozwala mi zatrzymać tych brudnych łachów i ofiarowała mi je Pani, żeby się ich pozbyć, choć powinny zostać wrzucone do śmietnika, jak na to zasługują. Myli się Pani, sądząc, że ja, nie mając grosza w kieszeni, gotowa jestem nosić choć jedną z tych spódnic, zbutwiałych i pożółkłych, bo pani je zasikała.

Mam zaszczyt przestać ukłony...

Trudno zaprzeczyć – to był dla niej cios. Ale było to także z mojej strony draństwo. Straszne draństwo, bo, jak już mówiłam, pani okazywała mi zawsze hojność tak wielką, że za te jej rzeczy – których oczywiście nie odesłałam – handlarka starzyzną dała mi nazajutrz całe czterysta franków.

Więc czyżby ten list był tylko wybuchem pasji i złości po utracie tak dobrego miejsca, jakie nieczęsto się trafia pannie służącej? Po utracie domu, w którym było tyle marnotrawstwa... gdzie dawano nam wszystkiego pod dostatkiem... jak jakim książętom.

Nie, dość tego! Mamy zbyt mało czasu, by móc sprawiedliwie oceniać naszych chleboborców. I, dalibóg, tym lepiej. Bo dobro należy odpłacać złem.

No i po takim życiu – co ja tu będę robić? W tej prowincjonalnej dziurze, z tą zadzierającą nosa impertynentką, gdzie nie ma nawet co marzyć o dawnych korzyściach i nie ma żadnych widoków na jakąkolwiek rozrywkę. Będę więc albo sprzątać, co ogłupia, albo szyć, co męczy straszliwie – i to wszystko. Kiedy zaczynam wspominać domy, w których służyłam, moja obecna sytuacja zdaje mi się jeszcze smutniejsza – smutna nie do zniesienia. Bierze mnie chęć, by stąd odejść, znów uciec, raz na zawsze opuścić ten kraj dzikusów.

Dopiero co minęłam się z panem na schodkach. Wychodził na polowanie. Przypatrzył mi się z hultajską miną. Spytał:

– No jak tam, Celestyno, czy już się tu zadomowiłaś?

Znowu? Nie, doprawdy, to chyba jakaś mania. Odpowiedziałam:

– Jeszcze nie wiem, proszę pana.

A potem bezczelnie:

– A pan? Czy już się pan tu zadomowił?

Parsknął śmiechem. Pan zna się na żartach. Porządny z niego chłop.

– Trzeba się zadomowić, Celestyno. Trzeba, żebyś się tu zadomowiła... do licha!

Nie opuszczała mnie zuchwałość, więc znów odpowiedziałam:

– Będę się starać, proszę pana... Z pana pomocą.

Sądzę, że pan chciał mi coś powiedzieć wprost, bez ogródek. Jego oczy jarzyły się jak rozpalone węgle. Ale w górze, na schodach, pojawiła się moja pani. Więc pan ulotnił się szybko w jedną stronę, a ja w drugą. Szkoda.

Wieczorem usłyszałam przez drzwi, jak pani mówiła do pana w salonie tym swoim miłym tonem:

– Nie życzę sobie żadnych poufałości z moją służbą.

„Z moją służbą”. A czyż pani służba nie jest także służbą pana?

Ach, tak? No to się przekonamy.

III

18 września

Jest niedziela, rano poszłam na mszę.

Już wyjaśniłam, że nie będąc dewotką, jestem na swój sposób wierząca. Niech sobie mówią, co chcą – religia jest zawsze religią. Może bogaci mogą się bez niej obejść, ale ludziom takim jak ja jest stanowczo potrzebna. Wiem dobrze, że niektórzy wykorzystują ją po łajdacku, wiem dobrze, że większość duchowieństwa nie przynosi jej zaszczytu. Ale to nie ma znaczenia. Kiedy jest się nieszczęśliwym – a w naszym fachu zdarza się to o wiele częściej, niż zazwyczaj jest ludziom sądzone – tylko religia może ukoić troski, tylko religia i miłość. Ale miłość daje inny rodzaj pocieszenia. Toteż nawet wtedy, gdy służyłam w bezbożnych domach, ja sama nigdy nie opuszczałam mszy. Po pierwsze, jest to okazja do wyjścia, pewne urozmaicenie, wyrwanie się na jakiś czas z nudy tych wstrętnych domostw, gdzie nas wyzyskują, i nic więcej. Ale przede wszystkim w kościele spotyka się koleżanki, człowiek dowiaduje się różnych plotek i może zawrzeć nowe znajomości. Och, gdybym wtedy, opuszczając kaplicę Marii Panny, gdybym wtedy wysłuchała uważnie próśb tego bardzo wytwornego pana, który szeptał mi do ucha dziwne nowenny – może w ogóle by mnie tu teraz nie było.

Dziś pogoda się poprawiła. Świeci piękne słońce, zawoalowane lekką mgiełką, więc spacer był przyjemny, a i troski zelżały. Sama nie wiem czemu, ale ten błękitno-złoty ranek napełnił mi serce radością.

Nasz dom dzieli od kościoła tysiąc pięćset metrów, droga jest ładna – zwykła ścieżka między opłotkami. Na wiosnę musi tu być pełno kwiatów dzikich czereśni i białych głógów, co tak pięknie pachną. Lubię białe głogi. Budzą we mnie tyle wspomnień, zwłaszcza z dzieciństwa, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. A poza tym wieś jak to wieś, pola tworzą szeroką dolinę, zamkniętą w głębi pagórkami. W dolinie płynie rzeczka, pagórki porasta las... Wszystko razem osnute złocistą mgiełką, która, jak na mój gust, zanadto przysłania pejzaż.

Dziwne, ale dotąd jestem wierna przyrodzie Bretanii. Mam ją we krwi. Żadna inna nie jest dla mnie piękniejsza, żadna nie przemawia mi tak do serca. Nawet pośród tych bogatych i żyznych pól Normandii tęsknię do wydm, do tragicznego i wspaniałego morza – tam się urodziłam. Niespodzianie ogarnęły mnie wspomnienia, rzucając cień melancholii na radość pięknego poranka.

Na drodze spotkałam, jedną po drugiej, małe grupki kobiet. Podążały pobożnie z książkami do nabożeństwa pod pachą, podobnie jak ja, na mszę: kucharki, pokojówki, dziewczyny folwarczne, grube i niezdarne, sunęły powolnym, kołyszącym się krokiem, niczym stado bydła. A jak się śmiesznie postroiły w te swoje świąteczne, źle skrojone suknie – istne toboły! Już z daleka zalatywało od nich prowincją, od razu widać, że nigdy nie służyły w Paryżu. Spoglądały na mnie z nieufną ciekawością, ale życzliwie. Uważnie i z zazdrością wpatrywały się w każdy szczegół ubrania – w mój kapelusz, obcisłą sukienkę,

beżowy żakiecik, w parasolkę wsuniętą w futerał z zielonego jedwabiu. Zdumiewał je mój strój prawdziwej damy, ale myślę, że przede wszystkim imponował swobodny i zalotny sposób, w jaki go nosiłam. Wytrzeszczały oczy, szeroko rozdziawiały usta, szturchały się łokciami, pokazując jedna drugiej moje wytworne ubranie, mój szyk. A ja szłam dalej, kołysząc biodrami, stąpając lekko i zwinnie w wąskich, spiczastych bucikach, unosząc wyzywającym gestem sukienkę, która szeleszcząc, ocierała się o jedwabną halkę. No, cóż chcecie? Sprawia mi przyjemność, jak mnie podziwiają.

Kiedy mnie mijały, słyszałam szepty:

– To ta nowa z Opatówki.

Jedna z nich podeszła do mnie i zagadała. Była niska, tłusta, czerwona na twarzy jak burak, miała zadyszkę i z trudem dźwigała swój potężny brzuch na iksowatych nogach, które szeroko rozstawiała, by tym sposobem móc je lepiej wpierać w ziemię; uśmiechała się tępo j oblesnie jak stare birbantki:

– A więc to panna jest tą nową pokojową w Opatówce? I ma na imię Celestyna? I przyjechała z Paryża cztery dni temu?

Już wszystko wiedziała, już była we wszystko wprowadzona tak samo dobrze jak i ja. Najbardziej rozśmieszył mnie jej szeroki kapelusz muskietera, z czarnego filcu, przybrany powiewającymi na wietrze piórami, nasadzony na to pękate cielsko przewalające się na boki jak toból.

– Mnie jest na imię Róża... panna Róża. Pracuję u pana Maugera; to sąsiad twoich państwa, były kapitan. Może go już widziałaś?

– Nie, panno Rózo.

– Będzie Celestyna mogła mu się przyjrzeć przez parkan dzielący obie posesje. Stale jest w ogrodzie, stale coś tam sieje i uprawia. Wie panna, to jeszcze piękny mężczyzna!

Zwolniłyśmy kroku, ponieważ panna Róża dostała zadyszki. Rzęziła jak ochwacony koń. Przy każdym oddechu jej pierś wzdymała się i opadała, wzdymała i opadała. Przemówiła wreszcie urywanym głosem:

– Mam atak astmy. Och, jak się ludzie dzisiaj męczą... Wprost trudno w to uwierzyć.

Potem, świszcząc i czkając, zaczęła mnie zapraszać:

– Musisz, panna, do mnie zachodzić, moje złotko. Jak tylko będziesz czegoś potrzebowała... Dobrej rady... zresztą w każdej sprawie... nie krępuj się... panno Celestyno. Lubię młodych. Porozmawiamy, napijemy się po kieliszeczku pestkówki... Wiele panienek z okolicy zagłąda do mnie.

Przystanąła na chwilę, nabrała oddechu i ciszej, poufnym tonem dodała:

– Słuchaj, panno Celestyno, a może byś chciała, żeby listy do ciebie przychodziły na mój adres? To byłoby przezorniej. Dobrze radzę. Pani Lanlaire czyta listy, wszystkie listy. Kiedyś o mało nie została za to skazana przez sąd. Powtarzam raz jeszcze... Nie krępuj się, panno Celestyno.

Podziękowałam i ruszyłyśmy dalej. Choć jej cielsko nadal zataczało się i kołysało jak okręt na morzu, teraz panna Róża oddychała nieco lżej. Posuwałyśmy się naprzód, plotkując:

– Och, nie będzie tu Celestyna miała łatwego życia, to pewne. Przede wszystkim, złotko, w Opatówce nie uchowała się dotąd żadna pokojówka... To już jest reguła. I nie w tym rzecz, że pani je odprawia, lecz że pan przyprawia im brzuchy. To potwór, nie mężczyzna, ten Lanlaire. Ładna, brzydka, młoda, stara... i za każdym razem: dziecko. O, już się wszyscy poznali na tym domu. Każdy pannie powie to samo co ja. Źle karmią, nie zostawiają jednej chwili wolnej... przemęczają pracą. I do tego ciągle pretensje, wrzaski.

Po prostu piekło! Wystarczy rzucić na pannę okiem, a od razu widać, że jesteś miła, dobrze ułożona i że nie nadajesz się do pracy u takich podłych sknerusów.

To wszystko, co już przedtem opowiedziała mi kramarka, teraz powtarzała panna Róża, dodając jeszcze okropniejsze szczegóły. Potrzeba mówienia była u tej kobiety tak przemożna, że w końcu zapomniiała o swym cierpieniu. Zawziętość wzięła górę nad astmą. Więc oczernianie domu Lanlaire'ów toczyło się dalej, przeplatane innymi miejscowymi plotkami. Choć już to wszystko znałam, opowieść Róży była aż tak ponura, że znów pograżyłam się w smutku. Pytałam siebie, czy nie lepiej od razu wyjechać. Po co próbować nowych doświadczeń, skoro z góry wiadomo, że przegram?

Kilka kobiet przyłączyło się do nas; zaciekawione kuksały się łokciami i przytakiwały każdej kolejnej rewelacji Róży: „No, pewnie, no, pewnie”. A ona, coraz mniej zasapana, szczebiotała dalej:

– Pan Mauger to prawdziwie szlachetny mężczyzna... i zupełnie sam, moje złotko. Można powiedzieć, że jestem u niego... no, nazwijmy to, gospodynią. Cóż począć? Były kapitan... to przecież całkiem naturalne, prawda? Taki to nie potrafi niczym zarządzić, nie zna się na gospodarstwie, a lubi, by o niego dbano, by go rozpieszczano; bielizna w wielkim porządku, poszanowanie dla dziwactw... dobre danko... Gdyby nie było przy nim osoby godnej zaufania, każdy by go oszukał, nie ten, to tamten. Mój Boże, przecież złodziei w tej okolicy nie brak.

Porozumiewawcze spojrzenia i ton, jakim mówiła te urywane zdania, miały mi jasno uświadomić, jaką naprawdę pełni rolę w domu pana Maugera.

– Co począć... prawda? Samotny mężczyzna, któremu jeszcze to i owo przychodzi do głowy... A poza tym w domu jest dużo roboty... Najmiemy wkrótce chłopca do pomocy.

Ma szczęście ta Róża! Mnie także marzyła się nieraz służba u jakiegoś starca. Jest to co prawda odrażające. Ale ma się spokój i zapewnioną przyszłość. Chociaż być z takim kapitanem, co ma jeszcze niejedno w głowie... Ale muszą być śmieszni oboje pod wspólną pierzyną...

Usłyszy już kawał drogi. I – dalibóg – nie jest tu ładnie. To nie to co bulwar Malesherbes. Brudne, wąskie, kręte uliczki i place, gdzie stoją koślawe domy, szerniałe, ze zbutwiałego drzewa, zapadające się w ziemię; ich wysokie szczyty chwieją się, a piętra wybrzuszają jedno nad drugim. Przechodnie też są paskudni, och, jacyż paskudni, nie spostrzegłam ani jednego ładnego chłopca. Główny przemysł tej okolicy to bambosze. Widać większość kamaszników nie zdążyła oddać do fabryki swej tygodniowej porcji, bo pracowali i dzisiaj. Widziałam przez szyby ich udręczone twarze, zgarbione plecy, pociemniałymi rękami wyklepywali skórzane podeszwy.

Powiększało to jeszcze posępny smutek tej miejsciny. Przywodziło na myśl więzienie.

Ale otóż i kramarka, która uśmiecha się do nas i pozdrawia, stojąc na progu:

– Idziecie na mszę o ósmej? Ja byłam o siódmej. Macie jeszcze czas. Może wstąpicie na chwilę?

Róża grzecznie odmawia. I zaraz ostrzega mnie przed sklepikarką: niegodziwa z niej kobieta i wszystkich obgaduje... Doprawdy, prawdziwa zaraza. Potem znów zaczyna zachwalać swego kapitana i dobre strony pracy u niego. Pytam ją:

– Więc kapitan nie ma żadnej rodziny?

– Nie ma rodziny? – wykrzyknęła zgorszona. – Nie zgadłaś, panno Celestyno. Ależ tak, ma rodzinę, i to bliską. Kupę siostrzenic i kuzynów... wydrwigrosze, wałkonie, golcy... a jak go wyzyskiwali... jak go

okradali... trzeba było to widzieć... ohyda! Toteż, jak się Celestyna domyśla, zrobiłam z nimi porządek, oczyściłam dom z tego robactwa. Ależ moja droga, gdyby nie ja, kapitan byłby dziś zrujnowany! Biedaczyna! No cóż, teraz jest z tego zadowolony.

Nalegałam ze złośliwą ironią, której zresztą nie pojęła:

– No to, panno Rózo, on z pewnością pani coś zapisze w testamencie?

Odpowiedziała powściągliwie:

– Pan postąpi, jak zechce... ma wolną wolę. Ja z pewnością na niego nie naciskam. Niczego od niego nie wymagam, nawet nie wymagam, żeby mi płacił pensję. Jestem z nim, bo się przywiązałam. Ale on zna się na życiu i wie, kto go kocha, rozpieszcza, opiekuje się nim bezinteresownie. I wcale nie jest taki głupi, za jakiego go wszyscy mają, z panią Lanlaire na czele, która wygaduje o nas niestworzone rzeczy. Panno Celestyno, to spryciarz i ma charakter, zawsze umie postawić na swoim. Ręczę za to.

W trakcie tej gadaniny i bezustannych zachwytów nad kapitanem dochodzimy do kościoła.

Zasapana tłusta Róża nie odstępowała mnie ani na krok. Zmusza, bym usiadła obok niej, a potem zaczyna mamrotać modlitwy, klękać, żegnać się krzyżem świętym. Och, cóż to za kościół! Wzdłuż całej nawy biegną nieociosane słupy, które podtrzymują chwiejący się strop – po prostu jak w zwykłej stodole. I ci ludzie zgromadzeni wewnątrz... kaszlą, plują, kręcą się w ławkach, szurają krzesłami, zachowując się tak, jakby byli w wiejskiej knajpie. Dostrzegam wokół siebie twarze tępe, ciemne, usta zacięte i wzrok pełen gorzkości. Ci nędznicy przyszli tu jedynie po to, by błagać Boga o karę dla innych. Mowy nie ma, żebym się tu mogła skupić. Czuję w sobie i wokół siebie lodowaty chłód. Może dlatego, że w tym kościele nie ma nawet organów. Dziwne, co? Nie umiem się modlić bez muzyki organowej. Ich śpiew wypełnia stopniowo całą duszę... Muzyce organów ulegam bez reszty... jak w miłości. Jestem głęboko przekonana, że gdybym stale słuchała głosu organów, wcale bym nie grzeszyła. Ale tu, na chórze, w miejsce organów, jakaś staruszka w ciemnych okularach i w nędznym, czarnym szalu zarzuconym na ramiona brzdąka z wysiłkiem na pianinie rozstrojonym i dychawicznym. A ludzie bez przerwy kaszlą, plują, smarkają, głośząc zawodzone przez księdza modlitwy i odpowiedzi ministrantów. A przy tym jak śmierdzą! Odór gnoju miesza się z odorem stajni, ziemi, przegniłej słomy, przemięklej skóry i zwiędzłego kadzidła. Jakże ci ludzie na prowincji są źle wychowani!

Msza wlokła się w nieskończoność i zaczynałam się nudzić. Wściekało mnie przede wszystkim, że znalazłam się wśród tak ordynarnych i pospolitych ludzi, którzy w ogóle mnie nie dostrzegali. Ani jednej ładnej sukni, która zwróciłaby moją uwagę i uradowała oczy. Zrozumiałam wtedy tak jasno jak nigdy, że zostałam stworzona do rozkoszowania się elegancją i szykiem. A tu nie tylko nie ma się czym rozkoszować, jak to bywało na mszach w Paryżu, lecz przeciwnie, całość tak uraża moje zmysły, że aż się wszystko we mnie buntuje. By się choć trochę rozerwać, zaczęłam śledzić z uwagą gesty księdza odprawiającego mszę. Och nie, tego to już naprawdę za wiele! Wyglądał na dziarskiego chłopca, miał gminną twarz i ceglastą cerę. Jego zmierzwiona czupryna, drapieżne szczęki, żarłoczne wargi i małe, plugawe, podkrążone ślepka pozwoliły mi się od razu domyślić, co to za jeden. Z pewnością daje się zapraszać na obiady i nietrudno go przekupić jadłem. A cóż dopiero w konfesjonale... jakie tam muszą odchodzić sprośności... sięgania pod spódnicę... Róża spostrzegłszy, że mu się przyglądam, pochyliła się do mnie i powiedziała cichutko:

– To nowy wikary. Polecam ci go. Nikt tak jak on nie spowiada kobiet. Proboszcz jest bez wątpienia

świętym człowiekiem... ale uważają, że jest zbyt surowy. Za to ten nowy wikary...

Młasnęła językiem i znowu wróciła do modlitwy, pochyliwszy głowę nad klęcznikiem.

A mnie się ten nowy wikary nie podoba. Wygląda na brutala i świntucha. Już bardziej pasowałby na furmana niż na księdza. A mnie potrzeba subtelności... poezji... uduchowienia... wypielegnowanych rąk... Uwielbiam, kiedy mężczyźni są tak delikatni i szykowni jak pan Jan.

Po mszy Róża zaciągnęła mnie do sklepikarki. Szepnęła kilka niejasnych słów, z których zrozumiałam tylko, że z tą kobietą należy być w dobrych stosunkach i że wszystkie służące nadskakują jej na wypródki.

Jeszcze jedna przysadzista grubaska – nie, doprawdy, to okolica tłustych kobiet! Twarz usiana piegami, blond włosy bez połysku, tak rzadkie, że tu i ówdzie prześwituje naga skóra, ściągnięte, w mały koczek, który sterczy na czubku głowy jak komiczna miotełka. Jej biust przy najmniejszym poruszeniu przelewa się pod brązowymi sukiennym kaftanem jak płyn we flaszce. Zmrużyła zaczerwienione powieki i wykrzywiła wstrętą gębę w uśmiechu. Róża przedstawiła mnie:

– Pani Gouin, przyprowadzam pani tę nową pannę służącą z Opatówki.

Sklepiarka przypatruje mi się pilnie, dostrzegam, że przez dłuższą chwilę jej uważny, bezwstydnny i natarczywy wzrok zatrzymuje się na moim brzuchu i biodrach.

Odzywa się bezbarwnym głosem:

– Broszę się czuć jak u siebie w domu, panno Celestyno. Piękna z panny dziewczyna. Jesteś z pewnością paryżanką?

– Zgadza się. Przyjechałam z Paryża.

– To widać... to od razu widać. Wystarczy raz rzucić okiem. Bardzo lubię paryżanki... wiedzą, jak należy korzystać z życia. Ja również, gdy byłam młoda, służyłam w Paryżu u pewnej akuszerki, niejkiej pani Tripier, na ulicy Guenegaud. Może panienka ją zna?

– Nie.

– Nie ma znaczenia. No cóż, to już tak dawno. Ale niechże panienka wejdzie do środka, panno Celestyno.

Przepuściła nas ceremonialnie przodem. Znalazłyśmy się w małym pokoiku za sklepem, gdzie wokół okrągłego stołu już siedziały cztery służące.

– Och, przydarzy się tam panience niejedno, będą kłopoty... biedactwo... – gruchała sklepiarka, podsuwając mi krzesło. – Mówię tak nie dlatego, że ci z pałacu nie kupują u mnie, o nie... po prostu ten dom to piekło... Zwyczajne piekło. Prawda, panienki?

– No, pewnie – odpowiedziały jak na komendę cztery służące, do których się zwróciła, robiąc przy tym te same ruchy, te same miny.

Pani Gouin ciągnie dalej:

– O nie, dziękuję bardzo... Nie chciałabym niczego dostarczać ludziom, którzy bez przerwy się targują i kwiczą jak świnie, że się ich okrada. Mogą sobie kupować, gdzie im się żywnie podoba.

Chór służących powtarza:

– No pewnie, mogą sobie kupować, gdzie im się żywnie podoba.

Na co pani Gouin zwraca się bezpośrednio do Róży i dodaje stanowczym tonem:

– Nikt się za nimi nie ugania, czy nie tak, panno Rózo? Bogu dzięki umiemy się bez nich obejść, prawda?

Róża tylko wzrusza ramionami, ale ileż jest w tym geście zawiści, zapiekłej złości, urazy i pogardy! Aż trzepocą pióra na jej ogromnym muszkieterskim kapeluszu, co jeszcze bardziej podkreśla pasję i gwałtowność uczuć.

Zapanowała cisza, potem sklepikarka znów podejmuje:

– No, dość. Przestańmy już mówić o tych ludziach. Jak tylko o nich mówię, od razu zaczyna mnie boleć brzuch.

Jakaś mała czarnulka, chuda, o szcurzym pyszczku, z czołem całym w krostach i z zaropiałymi, oczkami, pisnęła, zanosząc się śmiechem:

– No pewnie, mamy ich gdzieś.

Po czym zaczęły na nowo plotkować, opowiadać przeróżne historyjki. Nieprzerwana struga wszelakiego plugastwa wylewała się z tych żalonych istot niczym z przepełnionych ścieków. Pomyślałam, że w tej izdebce lęgnie się jakaś zaraza. A wywarło to na mnie tym większe wrażenie, że w pokoiku panował półmrok, deformując te potworne twarze. Izdebkę oświetlało tylko jedno okienko, wychodzące na plugawe i wilgotne podwórko, właściwie rodzaj studni otoczonej murami, które pleśń zżera jak trąd. W powietrzu wisiał odór stęchlizny, gnijących jarzyn, wędzonych śledzi, przesiąkały nim nasze ubrania. Trudno wytrzymać. A te kreatury, porozwalane na krzesłach jak toboły brudnej bielizny, uwzięły się, by opowiadać jedna przez drugą coraz to nowe paskudztwa, skandale, zbrodnie. Dla świętego spokoju staram się śmiać wraz z nimi, potakiwać, gdy one potakują, czując jednocześnie, że ogarnia mnie wstręt, wstręt nie do przewyciężenia. Nudności kotłują mi się w żołądku, podchodzą nagle do gardła, wypełniają usta czymś cikliwym, czuję ucisk w skroniach. Chcę stąd uciekać. Ale nie mogę się na to zdobyć i zostaję jak idiotka, rozwalona na krześle podobnie jak one, gestykulując jak one; i słucham tępo ich skrzekliwych głosów, chwilami wydaje mi się, że to pomyje tak gulgocą w zlewie, skapując kropla po kropli do ścieku.

Wiem sama doskonale, że z naszymi chlebobdawcami trzeba umieć walczyć, zapewniam was, że w tej walce nie pozostaję w tyle. Lecz to, co się tu odbywa – no nie, to przechodzi wszelkie wyobrażenie! Te kobiety są odrażające, nienawidzę ich i mówię sobie szeptem, że nie mam z nimi nic wspólnego.

Nauki, obycie w eleganckim świecie, nawyk obcowania z pięknymi przedmiotami, czytanie powieści Paula Bourgeta uchroniły mnie od tej ohydy moralnej. Ach, jakże mi teraz brak tych ślicznych, dowcipnych dziewcząt z paryskich kuchni!

Róża ma największe powodzenie. Opowiada, mrugając oczami i z lubością oblizując wargi:

– Ale to jeszcze nic w porównaniu z panią Rodeau, żoną notariusza. Tam się dopiero dzieją rzeczy...

– Tak sobie też myślałam – odzywa się jedna z nich.

A druga oświadcza, wpadając jej w słowo:

– Na próżno łązi po tych swoich plebaniach. Zawsze ją miałam za tęgą świnię.

Wzrok im się ożywił, wyciągają szyje w kierunku Róży, która tak oto rozpoczyna swoją opowieść:

– Przedwczoraj pan Rodeau wyjechał jakoby na wieś... na cały dzień.

Aby mnie oświecić, kim jest ten pan Rodeau, wtrąca wyłącznie na mój użytek:

– To podejrzany człowiek... notariusz, niezbyt sumienny. W kancelarii tego pana Rodeau dzieją się jakieś machinacje... udało mi się nakłonić pana kapitana, by wycofał kapitały, które kiedyś tam u niego zdeponował. Co było robić? Ale teraz nie chodzi mi o pana Rodeau.

Powraca więc do zasadniczego tematu; omawiając go nieco szerzej:

– Więc pan Rodeau był na wsi. Co on tam ma do roboty tak często? Dobre sobie... nikt tego nie wie. Wyjechał więc na wieś. A pani Rodeau, nie zwlekając ani chwili, zaciągnęła do siebie na górę młodzieńczego aplikanta... tego chłopaczka Justyna... wciągnęła go do sypialni... że niby miał tę sypialnię pozamiatać. Dziwne zamiatanie, moje dzieci... Była prawie całkiem naga... z dzikim wzrokiem... niczym suka na polowaniu. Kazała mu się zbliżyć do siebie... obejmowała go, pieściła... i mówiąc, że chce wyłapać mu pchły... otóż to... po prostu zdjęła z niego ubranie. I wtedy wiecie, co zrobiła? Nagle rzuciła się na niego... ta wampirzyca!... i zgwałciła go... zgwałciła, siłą, tak, moje panienki. A żebyście jeszcze do tego wiedziały, jakim sposobem to zrobiła...

– No, jakim sposobem? – pyta szybko ta mała czarnulka, a jej szurzy pyszczek wydłuża się i drga.

Wszystkie są podniecone. Ale Róża, nagle surowa i skromna, oświadcza:

– Takich rzeczy nie opowiada się panienkom.

Rozlegają się wokół okrzyki rozczarowania. Ale Róża ciągnie już dalej, to wzruszona, to oburzona na przemian.

– Taki dzieciak, piętnaście lat. Widział to kto? A piękny... piękny jak amerek... i czysty... biedne, umęczone dziecko. Nie uszanować dziecka? Trzeba być do cna zepsutym. Podobno kiedy wrócił do domu, cały się trząsał, trząsał się i płakał, płakał, mały cherubinek... każdemu stopniałoby serce. No i co wy na to powiecie?

Następuje wybuch oburzenia, znowu leją się pomyje. Róża czeka, aż wróci spokój. Ciągnie dalej:

– Jego matka przyszła mi to opowiedzieć. Poradziłam jej, jak się domyślacie, by zaskarżyła do sądu notariusza i jego żonę.

– No pewnie, ach, no pewnie...

– No i co? Matka tego Justyna waha się... a bo to, a bo tamto... Koniec końców nie chce. Myślę, że proboszcz, który co tygodnia jada obiady u tych Rodeau, wdał się w tę sprawę. Ona się po prostu boi i już. Och, gdyby to na mnie trafiło! Pewnie, ja też jestem pobożna... ale nie ma takiego proboszcza, z którym nie dałabym sobie rady. Ja bym wydarła im z gardła te pieniądze... setki... tysiące... dziesiątki tysięcy franków...

– No pewnie, och, no pewnie...

– Stracić taką okazję! Zgroza.

W tym momencie jej muszkieterski kapelusz całkiem oklapł, jak namiot w czasie burzy.

Sklepiarkarka nie odzywa się słowem. Na jej twarzy maluje się zakłopotanie. Widać notariusz kupuje u niej. Zręcznie przerywa złorzeczenia Róży:

– Mam nadzieję, że panna Celestyna nie odmówi i napije się z nami kieliszeczek nalewki z czarnej porzeczki. A pani, panno Różo?

Ta propozycja uspokaja ogólne wzburzenie i kiedy sklepiarkarka wyciągała z szafki karafkę i kieliszki,

które Róża rozstawiła na stole, aż im się oczy zaśmiały; i zaczęły łapczywie oblizywać wargi koniuszkiem języka.

Kiedy wychodziłyśmy, sklepikarka, cała w uśmiechach, zwróciła się do mnie przymilnie:

– Nie zważaj na to, panno Celestyno, że twoi państwo u mnie nie kupują. Trzeba, kochanie, żebyś tu zachodziła.

Wracałam z Różą, która w dalszym ciągu obznajmiała mnie z kroniką miejscowych wydarzeń. Sądziłam, że jej zasób obelg i potwarzy już się wyczerpał. Nic podobnego. Wyszukuje, wymyśla coraz to nowe i coraz okropniejsze. W oczernianiu ludzi jej pomysłowość nie zna granic. Każdego, bez różnicy, i mężczyznę czy kobietę, musi wziąć na język. A miele nim bez przerwy. Aż dziw, ile osób można na prowincji zniesławić w ciągu paru minut. I tak oto odprowadziła mnie do samej furtki. Ale nawet i tu nie może się ze mną rozstać, ciągle coś mówi... mówi bez przerwy, starając się omotać mnie, omamić swą życzliwością, oddaniem. A mnie aż pęka głowa od tego, co usłyszałem, a sam widok Opatówki budzi w sercu lęk. Och, te wielkie trawniki bez jednego kwiatka! I ten olbrzymi budynek, co wygląda jak koszary czy więzienie, i gdzie z każdego okna śledzą mnie jakieś spojrzenia... W każdym razie tak mi się w tej chwili zdaje.

Słońce silniej przygrzewa, mgła się rozwiła i lepiej widać krajobraz w oddali. Po drugiej stronie równiny na wzgórzach dostrzegłam jakieś zabudowania, wesoło połyskujące w tym świetle czerwonymi dachami, i rzeczkę, co biegnie w poprzek doliny, tu żółta, ówdzie zielona, lśniąć srebrzyście na zakrętach. Kilka obłoków przyozdabia niebo, formując urocze, zwiewne kontury. Lecz ten widok nie sprawia mi żadnej przyjemności. Mam tylko jedno pragnienie, jedną chęć, jedną upartą myśl: uciec stąd, uciec od tego słońca, równiny i pagórków, od tego domu i tej tłustej kobiety, której ohydny głos zadrecza mnie i przyprawia o szaleństwo.

No, wreszcie zdecydowała się ze mną rozstać! Ścisła serdecznie moją rękę swoimi grubymi paluchami, które wystają z mitenek. Mówi:

– A poza tym, złotko, pani Gouin jest kobietą bardzo usłużną i bardzo zręczną. Należy ją często odwiedzać.

Zawiesza na chwilę głos i znowu odzywa się jeszcze bardziej tajemniczo:

– Dzięki niej wiele młodych dziewcząt pozbyło się... no, już sama wiesz czego. Jak tylko coś jest nie tak, od razu trzeba się do niej udać. Można na niej polegać. Kamień w wodę. Ja ci to mówię. To kobieta bardzo, ale to bardzo biegła w tych rzeczach.

Oczy jej zabłyśły jeszcze silniej, wpija we mnie wzrok z dziwnym uporem i powtarza:

– Bardzo biegła... i umiejętna... i dyskretna. To prawdziwa opatrność całej okolicy. Muszę już iść, złotko, nie zapomnij do nas zajrzeć, jak tylko będziesz mogła. I chodź często do pani Gouin. Nie pożałujesz tego. Do zobaczenia... do zobaczenia.

Poszła sobie. Widzę, jak się oddala kołyszącym krokiem, powolna, ogromna – najpierw wzdłuż muru, potem wzdłuż płotu – i nagle skręca w jakąś ścieżkę, ginie mi z oczu.

Mijam Józefa, ogrodnika i stangreta w jednej osobie, który gracjuje alejki. Sądziłam, że do mnie zagada; nie zagadał. Przyjrzał mi się tylko z krzywą miną, a tak jakoś dziwnie, że się wystraszyłam.

– Piękną mamy tego ranka pogodę, panie Józefie.

Józef mruknął coś przez zęby. Jest wściekły, że ośmieliłam się wejść na alejkę, którą właśnie gracował.

Cóż to za dziwoląg, i jak źle wychowany! Dlaczego nigdy nie odezwie się do mnie słowem? I dlaczego nie odpowiada na moje pytania?

W domu – pani jest w złym humorze. Wita mnie wściekła, sztorcuje:

– Na przyszłość proszę nie spędzać tyle czasu poza domem.

Mam ochotę powiedzieć jej coś do słuchu, bo jestem rozdrażniona, zirytowana, cała w nerwach – ale biorę się w garść. Burczę tylko pod nosem.

– Powiedziałaś co?

– Nic nie mówiłam.

– Całe szczęście. A poza tym zabraniam ci spacerów z tą służącą od pana Maugera. To bardzo niestosowna znajomość dla ciebie. No, spójrz sama, wszystko dziś rano jest z twego powodu spóźnione.

A we mnie aż wszystko krzyczy: „Niedoczekanie twoje... niedoczekanie twoje... niedoczekanie twoje! Nie zwracaj mi głowy. Będę rozmawiać, z kim zechcę, będę spacerować, z kim zechcę. Nie będziesz mi niczego dyktować, ty kłepo”.

Wystarczyło, że spotkałam jej zły wzrok, posłyszałam piskliwy głos i despotyczne rozkazy, a od razu całkowicie zniknęło złe wrażenie i niesmak, jaki wyniosłam z kościoła, z odwiedzin u sklepikarki, z rozmów z. Różą. Róża i sklepikarka mają rację, kramarka także ma rację... i te służące również mają rację. Przysięgam sobie, że będę się często widywała z Różą, że będę często zachodzić do kramarki, a z tej obrzydliwej sklepikary zrobię swoją najbliższą przyjaciółkę... skoro pani mi tego zabrania. I powtarzam sobie w duszy z dziką zaciętością: „Kłepa, kłepa, kłepa...”.

Ale na pewno bardziej by mi ulżyło, gdybym się odważyła rzucić jej te obelgi prosto w twarz.

Tego dnia, po obiedzie, pan z panią wyjechali bryczką. Gotownia, sypialnia, gabinet pana, wszystkie szafy, schowki w ścianach, wszystkie kredensy zostały zamknięte na klucz. A więc to tak? No, pięknie! Nie można nawet przeczytać żadnego listu ani niczego zwędzić.

Zostałam więc w moim pokoju. Napisałam do mojej matki, do pana Jana i czytałam powieść *W rodzinie*. Jaka to śliczna książka! I tak pięknie napisana! Dziwne – bo choć bardzo lubię słuchać, jak opowiadają różne świństwa, nie lubię o nich czytać. Lubię wyłącznie takie książki, które wyciskają łzy z oczu, wzruszają.

Na kolację podałam mięso w rosole. Wygląda na to, że stosunki między państwem bardzo ochłodły. Pan z wyzywającą ostentacją czytał „Mały Dziennik”. Szeleścił gazetą, wodząc po niej tym swoim pocziwym wzrokiem. Pan, nawet gdy jest zły, ma oczy smutne i łagodne. W końcu, żeby jakoś nawiązać rozmowę, mój pan wykrzyknął z nosem w gazetce:

– Masz ci los. Znowu poćwiartowali jakąś kobietę.

Pani nic nie odpowiedziała. Siedziała sztywna, wyprostowana, bardzo surowa, w sukni z czarnego jedwabiu, ze zmarszczonym czołem i ostrym spojrzeniem. Nie przestawała o czymś rozmyślać. Ale

o czym?

A może pani dąsa się na pana z mojej przyczyny?

IV

26 września

Od tygodnia nie mogę napisać nawet paru zdań w dzienniku. Kiedy nadchodzi wieczór, jestem zmordowana, połamana, całkiem do chrzanu. Myślę tylko o jednym: położyć się i spać. Spać! Gdybym tylko mogła, spałabym bez przerwy, dzień i noc.

Ach, cóż to za podła buda, wielki Boże! To przechodzi ludzkie pojęcie.

Jestem na każde skinienie pani, dla byle głupstwa biegam tam i z powrotem po tych przeklętych piętrach. Jeszcze nie zdążyłam usiąść i trochę się wysapać – znowu driń, driń, driń, trzeba się zerwać i lecieć. To, że źle się czujesz, w ogóle się nie liczy... driń... driń... Ja w te dni mam straszne bóle w krzyżach, skręca mnie w pół, szarpie wnętrzności, ledwie się powstrzymuję od krzyku... Driń... driń... driń... Nic się nie liczy. Nie ma się chwili na chorobę, nie ma się prawa cierpieć. Cierpienie to przywilej możnych. A my, my musimy biegać, i to prędko, bez przerwy... nawet gdyby przyszło paść. Driń... driń... driń... A jeśli na dźwięk dzwonka nie stawisz się natychmiast – ile jest wtedy krzyku, ile wymówek i scen!

– No, co ty tam wyprawiasz? Nie słyszałaś? Ogłuchłaś? Dzwonię od trzech godzin. To się robi irytujące.

Zwykle odbywa się to mniej więcej tak:

Driń... driń... driń...

Trzeba biec. Podrywasz się z krzesła, jak za naciśnięciem sprężyny.

– Przynieś mi igłę.

Lecę po igłę.

– Dobrze, przynieś mi nici.

Lecę po nici.

– Dobrze... przynieś mi guzik...

Lecę po guzik.

– Co to za guzik? Nie o taki mi chodziło. Nigdy niczego nie umiesz należycie zrozumieć. Biały guzik, rozmiar numer cztery. I pospiesz się.

Więc znowu leczę, by przynieść biały guzik numer cztery. Czy możecie sobie wyobrazić, jak w głębi duszy klnę i złorzeczę, jakimi słowami lżę moją panią? A podczas gdy ja latam tam i z powrotem, wdrapuję się na piętra i zbiegam na dół, pani już zdążyła zmienić zamiar, trzeba jej jakiejś innej rzeczy lub już się jej w ogóle odechciało tej roboty.

– Nie, odnieś z powrotem tę igłę i guzik. Nie mam teraz czasu.

Łupie mnie bezlitośnie w krzyżach, mam prawiesztywne kolana, nie mogę już wytrzymać. To pani wystarcza... jest zadowolona. I pomyśleć, że istnieje Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami!

Wieczorem, kończąc codzienny obchód całego domu, wybucha w szwalni:

– Jak to? Nic nie zrobiłaś? Zmarnowałaś cały dzień? Nie po to ci płacę, żebyś się wałęsała od rana do nocy.

Oburza mnie ta niesprawiedliwość i odpowiadam dość ostro:

– Przecież to pani sama przez cały czas przeszkadzała mi w pracy.

– Ja ci przeszkadzałam, ja? Przede wszystkim zabraniam ci odpowiadać w ten sposób. Nie życzę sobie żadnych uwag, rozumiałaś? Wiem dobrze, co mówię.

A te wszystkie trzaskania drzwiami, to nigdy niekończące się gderanie! W korytarzach, w kuchni, w ogrodzie, całymi godzinami słychać jej szczekliwy głos. Och, jakże jest natrętna!

Prawdę mówiąc, nie ma na nią sposobu. Co za diabeł w niej siedzi, że stale jest taka wściekła? Natychmiast bym ją rzuciła, gdybym tylko miała pewność, że od razu znajdę inne miejsce.

Czasami moje comiesięczne dolegliwości dokuczają mi szczególnie. Czuję bóle tak ostre, jakby jakieś zwierzę zębami i pazurami rozszarpywało mi wnętrzności. Już od samego rana, jak tylko się obudziłam, byłam wskutek upływu krwi na wpół omdlała. Jak zdobyłam się na odwagę, żeby wstać, żeby zwlec się na dół i zabrać do pracy? Doprawdy nie wiem. Na schodach, żeby nie upaść, musiałam parę razy przystanąć, ucześcić się poręczą i nabrać powietrza. Byłam zielona na twarzy, włosy mi się lepiły od potu. Chciało mi się wyć. Ale w biedzie jestem twarda i jest moją ambicją, żeby się nigdy państwu nie skarżyć. Pani zaskoczyła mnie w chwili, gdy myślałam, że zemdleję. Wszystko wirowało wokół mnie – poręcz, stopnie, ściany.

– Co ci jest? – spytała szorstko.

– Nic mi nie jest.

Usiłowałam się wyprostować.

– Jeżeli nic ci nie jest – odezwała się znowu – to skąd to dziwne zachowanie? Nie lubię, kiedy się przy mnie robi grobowe miny. Masz bardzo niemiły sposób usługiwania.

Mimo bólu miałam ochotę ją spoliczkować.

Wystawiona na takie próby, ciągle powracam myślami do poprzednich miejsc pracy. Dziś najbardziej żal mi domu na ulicy Lincolna. Nie byłam tam panną służącą, ale młodszą, i prawdę mówiąc, nie miałam nic do roboty. Całymi dniami siedziałyśmy w szwalni. Ale co to była za wspaniała szwalnia! Podłoga wyściełana czerwonym pluszem, ściany zastawione aż po sam sufit potężnymi, mahoniowymi szafami o pozłacanych zamkach. Tam właśnie śmiałyśmy się, plotły głupstwa, czytały, małpowały przyjęcia u pani – a wszystko pod nadzorem angielskiej guwernantki. Parzyła nam herbatę, pyszną herbatę, którą pani kupowała w Anglii tylko dla siebie i piła na pierwsze śniadanie. Czasami kamerdyner, który miał w tym wprawę, przynosił nam z kuchni ciastka, kanapki z kawiozem, plasterki szynki, masę smacznych rzeczy.

Przypominam sobie, jak któregoś popołudnia zmusiły mnie, bym się przebrała w elegancki garnitur naszego pana, którego nazywałyśmy Gagatkiem. Naturalnie, takie zabawy były ryzykowne i czasem posuwałyśmy się w żartach za daleko. No, choćby wtedy – przebrana za mężczyznę wyglądałam tak

komicznie i tak się z tego powodu zaśmiewałam, że nie zdołałam nad sobą zapanować i zostawiłam mokre ślady na spodniach pana Gagatka...

To rozumiem – to była służba jak należy.

Zdążyłam już trochę lepiej poznać naszego pana. Słusznie mówią, że jest dobrym i wielkodusznym człowiekiem, bo gdyby nie miał tych zalet, można by go wziąć za przebiegłego oszusta i najgorszą kanalię na świecie. Namiętna, szalona niemal potrzeba czynienia dobrych uczynków i okazywania miłosierdzia popycha go nieraz do niezupełnie uczciwych postępków. I mimo że jego intencje są chwalebne, wynikają z nich często zgubne skutki dla innych. Trzeba to powiedzieć otwarcie: jego dobroć bywa przyczyną małych podłości, w rodzaju tej, którą zaraz opiszę.

W zeszły wtorek pewien stary pocziwina, ojciec Pantois, przyniósł krzaki dzikich róż, które pan u niego przedtem zamówił, oczywiście w tajemnicy przed panią. Zapadł już zmrok. Zeszłam, by nabrać trochę ciepłej wody do przepierki. Pani nie było w domu – wyszła na miasto i jeszcze nie wróciła. Gadałyśmy sobie w kuchni z Marianną, gdy pan, dziarski, wesoły, ożywiony i wylewny, przyprowadził staruszka Pantois. Od razu kazał podać mu chleb, ser i jabłecznik, a sam wdał się z nim w rozmowę.

Ten pocziwiec wzbudził w moim sercu litość, taki był słaby, chudy, obszarpany; spodnie – jeden łachman, a czapka – postrzępiony wiecheć. Rozpięta koszula odsłaniała kawałek nagiej piersi, widać było skórę spaloną, spękaną jak stary rzemień. Jadł łapczywie.

– No, jakże tam, staruszkule – wykrzyknął pan, zacierając dłonie – już ci teraz lepiej, co?

Starzec z ustami pełnymi jedzenia zaczął dziękować:

– Z pana, panie Lanlaire, to, co się zowie, szlachetny człowiek. Bo ja, widzi pan, od samego rana, a wyszedłem z domu o czwartej... nic jeszcze nie miałem w ustach... nic a nic.

– No więc, zajadaj, staruszkule... nie krępuj się, do licha.

– Z pana jest, co się zowie, szlachetny człowiek, panie Lanlaire. Proszę darować...

Starzec odkroił sobie potężną pajdę chleba i żuł bardzo powoli, gdyż nie miał zębów. Kiedy się już trochę nasycił, pan spytał:

– A te krzaki dzikiej róży ładne są, co?

– Jedne są ładne, drugie są brzydkie, można powiedzieć: różne. Co robić? Nie da się wybierać... i ciężko je wyrwać. A do tego pan Parcellet nie pozwala, żeby je wynosić z jego lasu. Trzeba teraz chodzić po nie, co się zowie, daleko, bardzo daleko. A jeśli panu powiem, że dzisiaj przyszedłem aż z lasu w Raillon, będzie więcej niż z pięć mil stąd? Dalibóg, że tak było, panie Lanlaire.

Podczas gdy ten pocziwina mówił, pan Lanlaire siedł obok niego przy stole. Wesoły, prawie figlarny, klepnął go w plecy i zawołał:

– Pięć mil! Ależ z ciebie dziarski staruszek, Pantois! Coś podobnego. Zawsze silny... zawsze młody...

– To już nie to, co dawniej, panie Lanlaire. To już nie to...

– Ale – upierał się nasz pan – jesteś silny jak tur. I zawsze wesół, do licha! Dziś już się tacy nie rodzą. Ty jesteś człowiek z dawnego, szlachetnego kruszcu...

Starzec potrząsał chudą, poczerniałą jak drzewo ze starości czaszką i powtarzał:

– To już nie to, co było. Nogi słabną, panie Lanlaire, ramiona wiotczeją. No i krzyż. Ach, ten przeklęty

krzyż! Już prawie nie mam sił... A do tego żona choruje... nie wstaje z łóżka... słono kosztują jej lekarstwa... Nie wiecie się nam dobrze, o nie! Gdyby choć człowiek mógł się nie starzeć. Boć przecież to jest najgorsze w tym całym interesie.

Pan westchnął, wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką, a potem uciął sprawę filozoficznym wnioskiem:

– No tak... Ale czegoż ty chcesz, mój Pantois? Takie jest życie. Nie można być młodym i starym równocześnie. Tak to już jest...

– No pewno... Trzeba się z tym pogodzić...

– Otóż to!

– A w końcu przychodzi koniec, no nie? Tak to wygląda, panie Lanlaire, no, niech pan sam powie?

– Co robić!

I po chwili milczenia dorzucił posmutniałym nagle głosem:

– Każdy ma swoje zmartwienia, tak to już jest, ojcze Pantois.

– No pewno.

Zapadło milczenie. Marianna siekała szczypiorek. W ogrodzie zdążyła już zapaść noc. Dwa wielkie słoneczniki widoczne w otwartych drzwiach kuchni utraciły swą barwę, wsiąkły w mrok. Stary Pantois wciąż jadł. Jego szklanka znowu była pusta. Pan napełnił ją i nagle, porzuciwszy wzniosłe rozważania, zapytał:

– A w jakiej cenie są w tym roku krzaki dzikiej róży?

– Krzaki dzikiej róży, panie Lanlaire? No cóż, w tym roku krzaki dzikiej róży liczy się, tak jak leca, dwadzieścia dwa franki za setkę. To trochę drogo, ja wiem... Ale nie mogę nic taniej. Klnę się na Boga. Zatem... niech pan zrozumie...

Pan zachował się jak człowiek hojny, co gardzi pieniądzem, i przerwał starcowi, który gotów był dalej z zapalem usprawiedliwiać się i wyjaśniać.

– Dobra jest, mój Pantois. Rozumiem. Czy ja się kiedyś z tobą targowałem? I nawet zapłacę ci za te twoje róże nie po dwadzieścia dwa, ale po dwadzieścia pięć franków. No widzisz?

– Och, panie Lanlaire, pan jest zbyt dobry.

– Nie, nie, jestem tylko sprawiedliwy i po stronie ludu... po stronie pracy. Tam do licha!

I uderzając w stół, jeszcze podbił ocenę:

– E, co tam, w ogóle zapłacę ci nie po dwadzieścia pięć, ale po trzydzieści franków. Po trzydzieści, słyszysz mnie, mój Pantois?

Wtedy ten poczciwiec uniósł oczy i patrząc na pana ze zdumieniem i wdzięcznością, wybełkotał:

– Słyszę, dobrze słyszę. Pracować dla pana to prawdziwa radość, panie Lanlaire. Pan rozumie, co to jest praca, pan to rozumie...

Mój pan powstrzymał tę wylewność:

– Zapłacę... zaraz, pomyślmy... dzisiaj mamy wtorek... zapłacę w niedzielę. Czy ci to odpowiada? A przy okazji, słowo daję, zabiorę ze sobą strzelbę. Zgoda?

Błysk wdzięczności przygasł w oczach starego Pantois. Zmieszał się, zawahał, przerwał jedzenie...

– Chodzi o to... – zagadał cicho – no, jednym słowem... żeby się pan mógł uiścić, nim zrobi się noc.

Będę bardzo wdzięczny, panie Lanlaire. Tylko dwadzieścia dwa franki. Proszę mi darować...

– Chyba żartujesz, mój Pantois – odpowiedział pan pyszałkowato, z wielką pewnością siebie. – Oczywiście, zapłacę ci od razu. Dalibóg, zaproponowałem to tylko dlatego, bo chciałem zrobić mały spacer po twojej okolicy.

Grzebał w kieszeniach spodni, uderzał się po marynarce, po kamizelce i udając zdumienie, wykrzyknął:

– A to dopiero! Znów nie mam drobnych. Mam tylko, cholera, banknot tysiącfrankowy.

Z wymuszonym i doprawdy ponurym uśmiechem spytał:

– Założę się, że nie będziesz miał reszty z tysiąca franków, mój stary Pantois?

Widząc, jak pan się śmieje, stary Pantois uważał, że i jemu wypada się śmiać, więc odpowiedział wesoło:

– Ha, ha! Ja nawet nie widziałem na oczy takiego banknotu, cholera!

Pan dobił interesu:

– A więc do niedzieli!

Nalał sobie do szklanki jabłecznika i właśnie przypijał do starego Pantois, kiedy pani, wróciwszy niepostrzeżenie, nagle wtargnęła do kuchni jak huragan. Ach, ten jej wzrok, kiedy zobaczyła, że pan siedzi sobie za stołem obok jakiegoś biedaka i przypija do niego!

– Co to jest? – warknęła zbielełymi wargami.

Pan jąkał się i dukał:

– To są krzaki dzikiej róży, wiesz przecież, duszko... Krzaki dzikiej róży... Stary Pantois przyniósł mi krzaki dzikiej róży... Tej zimy wymarzę u nas wszystkie róże...

– Nie zamawiałam żadnych krzaków. Nie potrzebne mi są róże...

Zostało to powiedziane tonem nieznoszącym sprzeciwu. Potem zawróciła i wyszła, trzaskając drzwiami i wykrzykując jakieś obelgi. W tej złości nawet mnie nie zauważyła.

Pan i ten biedny dostawca róż wstali od stołu. Zmieszani wpatrywali się w drzwi, za którymi pani dopiero co znikła. A potem popatrzyli na siebie i żaden z nich nie śmiał odezwać się słowem. Pan pierwszy przerwał ciężkie milczenie:

– No to do niedzieli, mój Pantois.

– Do niedzieli, panie Lanlaire.

– I trzymaj się zdrowo, ojcie Pantois.

– Ja również panu tego życzę, panie Lanlaire.

– Trzydzieści franków, nie cofam słowa.

– Pan jest, co się zowie, szlachetny człowiek.

I starzec, przygarbiwszy plecy, odszedł na trzęsących się nogach, niknąc w mroku ogrodu.

Biedny pan – ależ musiała mu sprawić burę! Co zaś do staruszka Pantois, jeżeli kiedyś zobaczy te swoje trzydzieści franków, to będzie oznaczać, że szczęściarz z niego.

Nie chcę przyznawać pani racji, ale uważam, że pan postępuje niesłusznie, rozmawiając tak poufale

z ludźmi stojącymi o tyle niżej od siebie. To uwłacza jego godności.

Pan nie ma wesołego życia, o nie... i trzyma się jak może... A to nie zawsze jest łatwe. Kiedy wraca późno z polowania, cały zabłocony i zmoknięty, podśpiewując dla dodania sobie odwagi, pani wita go wściekła.

– Czy to ładnie zostawiać mnie samą na cały dzień?

– Och, duszko, wiesz dobrze, że...

– Milcz, już.

Potem surowo marszczy czoło, zacina usta i dąsa się na niego godzinami. A on łązi za nią krok w krok, roztrzęsiony, i przeprasza, bełkocąc:

– Och, duszko, przecież wiesz dobrze...

– Zostaw mnie w spokoju. Denerwujesz mnie.

Nazajutrz pan oczywiście zostaje w domu, a pani znowu krzyczy:

– Dlaczego tłuczesz się po mieszkaniu jak dusza pokutująca?

– Ależ, duszko...

– Lepiej już się gdzieś wynieś, idź na polowanie albo co... diabli wiedzą dokąd. Drażnisz mnie... Denerwujesz. Idź sobie.

Tak więc pan nigdy nie wie, jak ma postąpić: czy wyjść, czy zostać, czy być w domu, czy poza domem. Trudna sprawa. Ale skoro w każdym wypadku pani i tak krzyczy, pan stara się wychodzić najczęściej jak może. Wtedy przynajmniej nie słyszy jej wrzasków. Och, doprawdy, budzi litość!

Niedawno, gdy wyszłam rankiem rozwiesić na płocie przepraną bieliznę, spostrzegłam go w ogrodzie: Coś tam majstrował. W nocy wiatr przewrócił na ziemię kilka dali i pan je teraz ponownie przymocował do tyczek.

Kiedy nie wychodzi nigdzie przed obiadem, mój pan bardzo często zajmuje się pracą w ogrodzie, a przynajmniej udaje, że coś tam robi przy grządkach. W ten sposób uwalnia się choć na jakiś czas od domowych kłopotów. Tam przynajmniej nikt nie urządza mu awantur. Z dala od pani zmienia się zupełnie. Twarz mu się rozjaśnia, oko błyszczący. Jego usposobienie – wesołe z natury – bierze wówczas górę. Sympatyczny jest, słowo daję. W domu prawie się do mnie nie odzywa, pogrążony w myślach, zdaje się w ogóle mnie nie dostrzegać. Ale poza domem zawsze odezwie się jakimś miłym słówkiem, oczywiście za każdym razem upewniwszy się przedtem, czy pani go nie śledzi... Kiedy boi się do mnie odezwać, rzuca mi tylko spojrzenia, ale te spojrzenia są bardziej wymowne niż słowa. Zresztą mnie samą bawi podniecanie go na wszelkie sposoby, choć nie mam zamiaru na dobre zawrócić mu w głowie.

Mijając go z bliska, gdy z pasmami rafii w zębach podwiązywał dalię, powiedziałam, nie zwalniając kroku:

– O, pan dziś pracuje od samego rana.

– No tak, przez te przekłete dalię, sama widzisz...

Poprosił, żebym na chwilę przystanąła.

– No jak tam, Celestyno? Mam nadzieję, żeś się już tu zadowiodła?

Znowu to samo. Stale ma te same trudności w nawiązywaniu rozmowy. Żeby mu sprawić przyjemność, odpowiedziałam z uśmiechem:

– Ależ tak, proszę pana... oczywiście... już się zadomowiłam.

– To dobrze... w końcu tu nie jest tak strasznie... tu nie jest tak strasznie.

Podniósł się z ziemi, całkiem wyprostował i obejmując mnie bardzo czułym spojrzeniem, powtórzył, zyskując w ten sposób na czasie: „Tu nie jest tak strasznie” – liczył, że zdoła później wymyślić jakieś dowcipne powiedzonko. Wyjął z ust rafię, owinał ją wokół tyczki, stanął w rozkroku, ujął się pod boki, zmrużył powieki i rzucił mi, wyzywając, lubieżne spojrzenie.

– Idę o zakład, Celestyno, że nieźle sobie folgowałeś w Paryżu? No, powiedz, figlowałeś tam, oj, figlowałeś!

Nie spodziewałam się po nim takich słów. Okropnie chciało mi się śmiać. Ale spuściłam skromnie oczy i robiąc zagniewaną minę, usiłowałam się zarumienić, co byłoby bardzo stosowne w tej sytuacji.

– Och, proszę pana... – bąknęłam tonem pełnym wyrzutu.

– No więc jak? – nastawał. – Taka piękna dziewczyna... z takimi oczami. Ależ tak... musiałaś tam sobie folgować... I bardzo dobrze! Do licha, ja też jestem za tym, żeby ludzie mieli swoje przyjemności, żeby się kochali... Do kroćset!

Pan przy tym jakoś dziwnie się ożywił. Silnie zbudowany, mocno umięśniony, wyraźnie zdradzał oznaki podniecenia. Gorzał. Źrenice płonęły mu pożądaniem. Uznałam, że pora ostudzić w nim ten ogień i sprawić mu lodowaty prysznic.

Powiedziałam sucho, tonem pełnym godności:

– Pan się myli. Może pan mnie bierze za którąś ze swych poprzednich pokojówek. Powinien pan przecież wiedzieć, że ja jestem porządną dziewczyną, proszę pana.

Chcąc podkreślić jeszcze wyraźniej, jak dalece poczułam się obrażona tą zniewagą, dorzuciłam sztywno:

– Pan sobie zasłużył na to, żebym się zaraz poskarżyła pani.

Udałam, że odchodzę. Pan gwałtownie chwycił mnie za ramię.

– Nie, nie! – wybełkotał.

Jak zdołałam powiedzieć to wszystko, nie parsknąwszy śmiechem? Jak zdołałam zdusić ten śmiech w gardle, mimo że już rozdzwonił się we mnie na dobre? Sama nie wiem.

Pan wyglądał przekomicznie. Twarz mu zszarzała, szeroko rozdziawił usta, był strasznie zakłopotany, zalękniony i w milczeniu drapał się po głowie.

Tuż przy nas stara grusza nisko rozpościerała piramidę gałęzi, zbutwiałych od narośli i mchów; zwisało z nich jeszcze parę gruszek, niziutko, że tylko ręką sięgnąć. Sroka paplała szyderczo, przysiadłszy na czubku rosnącego tuż obok gruszy kasztana, kot, uczepiony żywopłotu z bukszpanów, opędał się łapką od trzmiela. Przedłużające się milczenie było dla pana coraz bardziej nieznośne. Wreszcie, po rozpaczliwych wysiłkach, które kończyły się tylko jakimś groteskowym grymasem warg, pan przemówił:

– Lubisz gruszki, Celestyno?

– Tak, proszę pana.

Nie dałam się rozbroić, odpowiadałam z chłodną wyniosłością. W obawie, że pani może go zniecka przyłapać, pan wahał się przez chwilę. A potem, szybko niby dziecko, niby złodziejasek, zerwał z drzewa jedną gruszkę i dał mi ją... Ach, jaki był żałosny... Kolana się pod nim ugięły... ręce trzęsły.

– Weź, Celestyno, i schowaj do fartuszka. W kuchni nigdy ich nie dostajecie, prawda?

– Nie, proszę pana.

– No tak, więc będziesz je dostawać ode mnie... czasami... bo... chcę, żebyś była zadowolona.

Szczerść i żar jego pożądania, jego niezręczność, niezdarne ruchy, wystraszone słowa, no i także siła samca rozbroiły mnie wreszcie. Złagodziłam nieco wyraz twarzy, ukryłam za lekkim uśmiechem twarde spojrzenie i odezwałam się na wpół ironicznie, na wpół pieszczotliwie:

– Och, proszę pana, gdyby tak pani teraz pana zobaczyła!

Znów się zmieszał, ale ponieważ od domu dzielił nas gęsty szpaler kasztanów, szybko się uspokoił. Pewny siebie, spodziewając się, że nie będę już teraz taka surowa, oburzył się, swobodnie gestykulując:

– No to co? Pani? No to co? Ja kpię sobie z pani. Mam jej dosyć... Mam jej powyżej uszu.

Odpowiedziałam z powagą, kładąc nacisk na każde słowo:

– Pan nie ma racji. I nie jest pan sprawiedliwy. Pani jest bardzo miła.

Aż podskoczył:

– Bardzo miła? Ona? Wielki Boże! Więc doprawdy nie wiesz, co ona zrobiła? Złamała mi życie! Nie jestem już mężczyzną, jestem niczym... Kpią sobie ze mnie w całej okolicy... A wszystko przez moją żonę... Moja żona?... To... to... krowa... tak, Celestyno... krowa... krowa... krowa.

Zaczęłam mu prawić morały. Przemawiałam do niego łagodnie, wychwalając nieszczerze energię pani, zamiłowanie do ładu, wszelkie domowe zalety. Lecz każdym słowem rozwścieczałam go jeszcze bardziej:

– Nie, nie, krowa, krowa, krowa...

Jednak udało mi się go trochę uspokoić. Biedny pan. Kołowałam nim, jak chciałam, bez żadnego trudu. Starczyło, bym na niego spojrzęła, a już złość przemieniała się w czułość. Wyjąkał:

– Och, jaka ty jesteś urocza... jaka ty jesteś miła! I musisz być taka dobra. Podczas gdy ta krowa...

– Niech pan da już spokój! Niech pan da już spokój, proszę pana.

Podjął na nowo:

– Jaka ty jesteś urocza... No i proszę... jesteś tylko panną służącą.

W tej samej chwili zbliżył się do mnie i szepnął:

– Gdybyś tylko zechciała, Celestyno?

– Gdybym zechciała, ale co?

– Gdybyś tylko zechciała... sama wiesz dobrze... przecież sama wiesz dobrze?

– Pan może chciałby, żebym ja zdradziła z panem moją panią? Żebym wyprawiała z panem różne świństwa?

Dał się na to nabrać. Oczy wyszły mu z orbit, żyły na szyi nabrzmiały, miał mokre, oślinione wargi. Odpowiedział zduszonym głosem:

– Otóż to... No właśnie, otóż to.

– Pan serio o tym myśli?

– Myślę wyłącznie o tym, tylko o tym, Celestyno.

Spasował, krew uderzyła mu do głowy.

– Znowu pan zaczyna?

Próbował złapać mnie za rękę, przyciągnąć do siebie.

– O to, to! O to, to!... – bełkotał – chcę znowu zaczynać... bo mam... bo mam... bzika na twoim punkcie, Celestyno... bo myślę tylko o tym, bo nie sypiam, bo czuję się... całkiem chory... Nic ci z mojej strony nie grozi... Nie bój się mnie... nie jestem brutalem... ja... ja... nie zrobię ci dziecka. Nie, do diaska, nigdy. To ci przysięgam... Ja, ja... my... my...

– Jeszcze jedno słowo, a tym razem wszystko pani opowiem. A jeśli ktoś pana zobaczy w takim stanie, tu, w ogrodzie?

Z miejsca się uspokoił. Zrozpaczony, zawstydzony, ogłupiały, nie wiedział, co począć ze swoimi rękami, z oczami, z całym sobą. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ziemię, w starą gruszę, w ogród. W końcu dał za wygraną, zdjął włókna rafii z czubka tyczki i znów pochylił się nad daliami. Ogromnie smutny, wyjąkał błagalnie:

– Przed chwilą powiedziałem ci... powiedziałem ci coś, Celestyno, ale mógłbym ci być powiedzieć coś całkiem innego... mógłbym ci być powiedzieć... byle co... Stary bydlak ze mnie. Nie trzeba, nie trzeba mi mieć tego za złe, a przede wszystkim nie należy mówić o tym pani. A jeśli jednak ktoś nas widział w ogrodzie?

Wtedy uciekłam stamtąd, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Tak, chciało mi się śmiać. A równocześnie w moim sercu wzbierało wzruszenie, coś... jak by to nazwać... macierzyńskiego. Z pewnością pan nie mógł mi się podobać jako mężczyzna, z którym chciałabym się przespać. Ale jeden więcej, jeden mniej, w gruncie rzeczy co to ma za znaczenie? Potrafiłabym dać chwilę szczęścia temu biednemu poczciwinie, a tak mu tego brakuje; mnie samej też sprawiłoby to radość, bo w miłości może lepiej jest dawać szczęście niż brać je od innych. Nawet jeśli ciało pozostaje nieczułe na pieszczoty, cóż to za rozkoszne i niewinne uczucie patrzeć na takiego nieboraka, jak wywracając oczyma, omdlewa w naszych ramionach! A tu w dodatku byłoby to szczególnie zabawne ze względu na panią. No, zobaczymy, co będzie dalej.

Pan nie wyszedł z domu przez resztę dnia. Popodnosił te swoje dalie, a po południu nie opuszczał drwalni, gdzie przez przeszło cztery godziny zawzięcie rąbał drzewo. Siedząc w szwalni, słuchałam z niejaką dumą, jak zapamiętałe wali siekierą.

Wczoraj państwo spędzili całe popołudnie w Louviers. Pan miał umówione spotkanie ze swoim adwokatem, a pani ze swoją krawcową... Jej krawcowa – już sobie wyobrażam!

Skorzystałam więc z chwili wytchnienia, by odwiedzić Różę, której nie widziałam od owej pamiętnej niedzieli. Nie miałam także nic przeciwko poznaniu kapitana Maugera, wręcz przeciwnie...

To facet naprawdę zbikowany, zapewniam was, że dziś nieczęsto się już takich widuje. Wyobraźcie sobie głowę karpia z wąsami i długą, siwą brodą. Bardzo kościsty, bardzo nerwowy, bardzo ruchliwy, ani chwili nie ustoi w miejscu, ciągle czymś zajęty – a to w ogrodzie, a to w komórce, gdzie ma

warsztatik stolarski – i śpiewa przy tym bez przerwy wojskowe piosenki lub naśladuje dźwięk żołnierskiej trąbki.

Ogród jest prześliczny, prawdziwy stary ogród podzielony na grządki kwiatów rzadko już dziś spotykanych, które można jeszcze zobaczyć tylko na bardzo starych wsiach i u bardzo starych proboszczów.

Kiedy przyszedłam, Róża siedziała w cieniu akacji, wygodnie rozparta przy zwykłym, wiejskim stole, na którym położyła koszyk z przyborami do robótek – cerowała właśnie pończochy – kapitan zaś, z krótko, po żołniersku ostrzyżonymi włosami, przykucnięty na grządce, zatykał dziury w gumowym wężu do polewania.

Nadskakiwali mi od samego powitania... Róża kazała młodemu parobczakowi, co pieliał grządkę z astrami, przynieść butelkę pestkówki i kieliszki.

Kiedy już stało się zadość wstępnym uprzejmościom, kapitan spytał:

– No co, więc jeszcze całkiem nie skapcaniał ten panienki Lanlaire? Naprawdę może się panna poszczycić, że służy u największego łajdaka. Droga panno Celestyno, bardzo ci współczuję.

Wyjaśnił, że dawniej mój pan i on żyli w dobrych sąsiedzkich stosunkach, w nierozłącznej przyjaźni. Jakaś sprzeczka z powodu Róży poróżniła ich na śmierć. Mój pan zarzucił kapitanowi, że ubliża swojej godności, jadając z tą służącą przy jednym stole.

– Jadam z nią przy jednym stole? A jeśli zechcę sypiać z nią w jednym łóżku? To się jeszcze okaże! A co, nie mam do tego prawa? I czy to jego rzecz?

Przerywając tok opowieści, kapitan zmusił mnie tym samym do potakiwania.

– No, pewnie, panie kapitanie!

Róża westchnęła skromnie:

– Samotny mężczyzna... To przecież całkiem naturalne.

Od czasu tej pamiętnej sprzeczki, zakończonej bijatyką, dawni przyjaciele bez przerwy włóczą się po sądach i płatają sobie różne figle. Straszliwie się nienawidzą.

– Ja – oświadczył dumnie kapitan – każdy znaleziony w ogródku kamień ciskam przez płot do Lanlaire'ów. Tym gorzej, jeśli trafi w ich oranżerię lub inspekty... a raczej, tym lepiej. Och, cóż to za świnię! Zresztą niedługo sama się przekonasz.

Dostrzegł właśnie jakiś kamień na ścieżce, pospiesznie go podniósł, ostrożnie podszedł do parkanu, skradając się jak myśliwy na łowach, i z całych sił cisnął go do naszego ogrodu. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Wrócił do nas zadyszany, ale triumfujący, coś sobie podśpiewywał i skręcał się ze śmiechu.

Róża nie spuszczała z Maugera macierzyńskiego spojrzenia. Powiedziała z uwielbieniem w głosie:

– Co za urwis, co za dzieciak z niego! I jaki młody na swój wiek!

Kiedy wysączyliśmy już kieliszeczek orzechówki, kapitan Mauger postanowił uhonorować mnie oprowadzeniem po ogrodzie. Róża, przepraszając, że z powodu astmy nie może nam towarzyszyć, poleciała, byśmy nie zabawili tam zbyt długo.

– Zresztą – żartowała – będę was miała przez cały czas na oku.

Kapitan prowadził mnie alejkami wśród rabat obrzeżonych bukszpanem i grządek pełnych kwiatów. Najpiękniejsze wymieniał z nazwy, dodając za każdym razem, że ta świnia Lanlaire takich nie ma. Nagle zerwał jakiś pomarańczowy kwiatek, mało znany, bardzo piękny, i obracając delikatnie w palcach jego łodygę, spytał:

– A ten już panienka jadła?

To dziwaczne pytanie tak dalece mnie zaskoczyło, że aż oniemiałam. Kapitan zapewnił:

– A ja już jadłem. Ma świetny smak... Jadłem już wszystkie kwiaty, jakie się tu znajdują. Jedne są lepsze... drugie gorsze... jeszcze inne takie sobie... Chodzi o to, że ja jem wszystko.

Mrugnął do mnie okiem, mlasnął językiem, poklepał się po brzuchu i powtórzył głośniej, jakby rzucał jakieś wyzwanie:

– Ja jem wszystko. Tak jest!

Z tonu, jakim kapitan obwieścił mi ten dziwaczny zwyczaj, tę zasadę, domyśliłam się od razu, że jądanie wszystkiego stanowi wielką dumę jego życia. Pomyślałam sobie, że będzie zabawne trochę poschlebiać tej manii:

– Słusznie pan robi, panie kapitanie.

– Z całą pewnością – odpowiedział z dumą. – Jadam nie tylko rośliny, ale i zwierzęta, i to zwierzęta niejadalne, których nikt nigdy nie próbował... Bo ja jem wszystko.

W dalszym ciągu spacerowaliśmy wokół ukwieconych grządek, po wąskich alejkach, kołysały się nad nimi piękne korony, niebieskie, żółte, czerwone... Wydawało mi się, że kapitan, patrząc na te kwiaty, czuje, jak radośnie w nim podryguje żołądek. Z lekkim mlaskaniem przesuwał językiem po splekanych wargach, trochę się śliniąc. Po chwili odezwał się znów:

– Wyznam ci coś... Nie ma takiego owada, takiego ptaszka czy takiej glisty, której bym już nie jadł. Jadłem tchórze i żmije, szczury i świerszcze, jadłem gąsienice. Jadłem już wszystko. Wiedzą o tym w całej okolicy, o tak! Każdy, kto znajdzie jakieś stworzenie, obojętne, martwe czy żywe, o którym nic nie wie, od razu powiada sobie: „Trzeba to zanieść kapitanowi Maugerowi”. Przynosi... i ja je zjadam. Zwłaszcza zimą, kiedy przy wielkich chłodach przelatują tędy nieznane ptaki... lecą z Ameryki, a może z jeszcze dalszych stron. Przynoszą je do mnie i ja je zjadam. Założę się, że nie ma na świecie człowieka, który zjadł tyle różnych rzeczy co ja. Jem wszystko.

Po przechadzce wróciliśmy przed dom i zasiedli z powrotem pod akacją.

Już się zbierałam do wyjścia, gdy kapitan wykrzyknął:

– Ach, muszę pani Celestynie pokazać coś ciekawego! Na pewno nigdy w życiu nie widziała panna czegoś takiego.

I zawołał donośnym głosem:

– Kleber! Kleber!

Wyjaśnił mi:

– Kleber to moja łasica. Istny fenomen.

I znów zawołał:

– Kleber! Kleber!

W tym momencie na gałęzi tuż nad nami wyrżał z zielonych i złocistych liści różowy pyszczek i para czarnych oczu, bardzo żywych i nad wyraz bystrych.

– Wiedziałem, że jest gdzieś w pobliżu. Chodź no tu, Kleber. Psst...

Zwierzątko, rozpląszczone na gałęzi, śmiało przeskoczyło na pień i zaczęło po nim ostrożnie schodzić, zagłębiając pazurki w korze. Białe futerko, płowo cętkowane, poruszało się zwinnie, wdzięcznie, wyginając się jak wąż. Dotknąwszy ziemi, w dwóch susach znalazło się na kolanach kapitana, który uszczęśliwiony zaczął je głaskać.

– Och, dobry Kleber. Och, śliczny, kochany Kleberek...

Odwrócił się w moją stronę:

– Czy panna Celestyna widziała kiedy tak oswojoną łasicę? Chodzi ze mną po ogrodzie jak pies. Ledwie ją zawołam, a już jest, unosi do góry łebek i merda ogonem. Jada razem z nami, sypia razem z nami. Kocham to stworzonko, daję słowo... jak człowieka. Niech pani uważa, panno Celestyno, dawano mi za nią trzysta franków i nie przyjąłem. Nie oddałbym jej i za tysiąc franków... i za dwa tysiące. Kleber, tutaj!

Zwierzątko uniosło główkę, spojrzało na pana i zaczęło się wspinać po jego ciele. Kiedy już dosięgało ramion, owinęło się po niezliczonych czułościach i pieszczotach wokół szyi kapitana jak szal. Róża nie odzywała się słowem. Wydawało mi się, że drażni ją cała ta scena.

I w tym momencie w mojej głowie powstał szatański pomysł.

– Założę się – powiedziałam nagle – założę się, panie kapitanie, że pan by nie zjadł swojej łasicy?

Kapitan patrzył na mnie z głębokim zdziwieniem, a później z ogromnym smutkiem. Oczy zrobiły mu się zupełnie okrągłe, wargi drżały...

– Klebera... – mamrotał – zjeść Klebera?

Widać było, że nigdy nie pomyślał o takiej możliwości, on, który jadł wszystko. A teraz jakby objawił się przed nim całkiem nieznaną świat, przedziwnie smakowity.

– Założę się – powtórzyłam z całym okrucieństwem – że pan nie zje swojej łasicy.

Przerażony, zaniepokojony, poruszony jakąś zagadkową i niepohamowaną podniętą, stary kapitan podniósł się z ławki. Czułam, że jest niebywale podniecony.

– Niech no panienska to jeszcze raz powtórzy – wyjąkał.

Kładąc nacisk na każde słowo, powiedziałam z mocą po raz trzeci:

– Założę się, że pan nie zje swojej łasicy!

– Ja nie zjem mojej łasicy? Panienska mówi, że ja nie zjem mojej łasicy? Tak panna Celestyna powiedziała? No to zaraz zobaczymy. Ja jem wszystko!

Uduślił łasicę. Jednym, szybkim ruchem złamał zwierzątka kręgosłup, tak jak łamie się chleb, i rzucił je, całkiem już bezwładne, na piasek alejki, krzycząc do Róży:

– Dziś wieczór zrobisz mi z niej potrawkę!

I wymachując rękami jak wariat, poleciał zamknąć się w domu.

Poznałam wtedy, co to jest prawdziwa, niedająca się wyrazić zgroza. Całkiem jeszcze oszołomiona tym potwornym uczynkiem, w którym miałam przecież swój udział, wstałam, żeby już odejść. Byłam

bardzo blada. Róża, odprowadzając mnie, uśmiechała się.

– Wcale nie żałuję tego, co się stało – wyznała. – Za bardzo kochał tę łąsicę. A ja nie chcę, żeby on w ogóle kochał cokolwiek. Już i tak uważam, że zanadto kocha te swoje kwiaty...

Po chwili milczenia dodała:

– On nigdy ci tego nie daruje. To człowiek, któremu nie wolno się sprzeciwić. Cóż robić? To były wojskowy...

A po paru krokach, znowu:

– Uważaj, moja mała. Już w okolicy zaczynają cię brać na języki. Chyba ktoś widział cię przed paru dniami w ogrodzie z panem Lanlaire'em. Postępujesz nieostrożnie, wierzę mi. Uwiedzie cię pięknymi słówkami, jeśli już tego nie zrobił... Krótko mówiąc, uważaj. Z takim mężczyzną jak on... no, przypomnij sobie. Wystarczy raz jeden... i już jest dziecko.

Zamykając za mną furtkę, dodała:

– A więc do zobaczenia. Muszę się teraz zabrać do gotowania tej potrawy.

Przez całą resztę dnia miałam przed oczyma ciało zamordowanej łąsicy, porzucone na piasku alejki.

Wieczorem, przy kolacji, kiedy podawałam owoce, pani zwróciła się do mnie bardzo surowo:

– Jeśli lubisz śliwki, to powinnaś mnie o nie poprosić... zastanowię się, czy można ci je dać... ale nie wolno ci brać samej.

Odpowiedziałam:

– Nie jestem złodziejką, proszę pani, i nie lubię śliwek.

Pani nie ustępowała:

– Powiedziałam ci już, że wzięłaś śliwki.

Odparłam:

– Jeśli ma mnie pani za złodziejkę, niech mi to pani udowodni.

Pani wyrwała mi z rąk talerz ze śliwkami:

– Pan dziś rano zjadł pięć... a było trzydzieści dwie... teraz jest dwadzieścia pięć. Musiałaś więc dwie ściągnąć. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

Miała rację. Zjadłam dwie śliwki. Przeliczyła je przedtem. No nie! Jak żyję, nie zetknęłam się z czymś takim!

V

28 września

Moja matka umarła. Dostałam dziś rano list z rodzinnych stron i z tego listu dowiedziałam się o tym. Choć nigdy nie otrzymałam od niej nic poza kuksańcami, ta wiadomość sprawiła mi ból i płakałam, płakałam, płakałam. Widząc mnie całą we łzach, pani zapytała:

– A cóż to znowu za zachowanie?

Odparłam:

– Moja matka, moja biedna matka nie żyje.

Na co pani normalnym tonem:

– No tak, to jest zmartwienie... nic na to nie mogę poradzić. W każdym razie praca w domu nie może z tego powodu ucierpieć.

I to wszystko. No proszę. Nie grzeszy dobrocią. Jestem tak nieszczęśliwa głównie przez to, że czuję jakąś zbieżność między śmiercią mojej matki a zamordowaniem łasiczki. Dopatrywałam się w tym kary Niebios i myślałam, że moja matka nie byłaby może umarła, gdybym nie zmusiła kapitana do zabicia biednego Klebera. Mogłam sobie powtarzać do woli, że moja matka umarła wcześniej niż łasica, nic mi to nie pomogło i ta myśl dręczyła mnie przez cały dzień jak wyrzut sumienia. Bardzo bym chciała tam pojechać. Ale do Audierne jest tak daleko... leży na końcu świata... W tym sęk... A przy tym nie mam pieniędzy. Jak dostanę pensję za pierwszy miesiąc, to będę musiała zapłacić za biuro pośrednictwa pracy i nie starczy mi nawet na spłacenie drobnych długów, które zaciągnęłam, kiedy się znalazłam na bruku.

A zresztą – po co bym tam miała jechać? Mój brat zaciągnął się do marynarki i chyba jest w Chinach, bo od bardzo dawna nie było od niego wiadomości. A moja siostra Luiza? Gdzie się teraz podziewa? Nie wiem. Od kiedy nas rzuciła i poszła sobie z Janem le Duffem do Concarneau, słuch o niej zaginął. Obija się pewnie to tu, to tam, diabli wiedzą gdzie. A może jest w domu publicznym, a może ona także umarła? Niewykluczone, że i mój brat nie żyje. No tak, więc po co miałabym jechać? Co by mi z tego przyszło? Nie mam tam już nikogo, a matka na pewno nic mi nie zostawiła. Te łachy i parę mebli, które miała, nie starczyły z pewnością na spłacenie jej długów za wódkę.

Jakie to jednak dziwne... Póki żyła, prawie nigdy o niej nie myślałam i nie chciałam jej widzieć. Pisałam do niej tylko wtedy, gdy zmieniałam miejsce pracy, i tylko po to, by podać adres. Ciągle mnie biła... ciągle chodziła pijana... byłam przez nią taka nieszczęśliwa... A kiedy tak nagle się dowiedziałam, że nie żyje, to proszę... Moją duszę okryła żałoba i czuję się tak samotna jak nigdy.

Wyjątkowo wyraźnie przypominam, sobie moje dzieciństwo. Widzę znów ludzi i rzeczy, wśród których rozpoczynałam twardą szkołę życia. Jednym jest przeznaczone zbyt wiele nieszczęścia, a innym – zbyt wiele szczęścia. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Pewnej nocy – pamiętam to dokładnie, choć byłam wtedy całkiem malutka – obudził nas ryk syreny. Och, jakże było ponure to wołanie o ratunek pośród burzy, pośród nocy. Od poprzedniego dnia dął wiatr z siłą huraganu; falochron portowy, pokryty białą pianą, dygotał jak szalony i tylko parę łodzi zdołało doń przybić. Inne z pewnością zostały na pełnym morzu, w niebezpieczeństwie.

Matka, wiedząc, że ojciec łowi w okolicy wyspy Sein, nie niepokoiła się zbytnio. Lecz gdy usłyszała syrenę alarmową, zerwała się, drżąc i bardzo blada. Otuliła mnie grubym, wełnianym szalem i szybko poszła na molo. Moja siostra Luiza, która była już wtedy sporą dziewczynką, i trochę młodszy od niej braciszek podążali za matką, krzycząc:

– O Święta Panienko... O Panie Jezu...

A ona także krzyczała:

– O Święta Panienko... O Panie Jezu...

Wąziutkie uliczki zapchane były ludźmi: kobiety, starcy, wyrostki. Na samym brzegu, dokąd dochodziło już stękanie kutrów, miotła się wystraszona gromada ludzkich cieni. Lecz na molo nie dało się ustać; po pierwsze wiatr był zbyt silny, a ponadto bałwany, spadając z hukiem kanonady na kamienną balustradę, omiatały ją na całej długości. Moja matka zeszła na ścieżkę... – „O Święta Panienko... o Panie Jezu”... – na ścieżkę, która prowadziła wzdłuż zatoki do latarni morskiej. Ziemia i morze tonęły w jednakiej ciemności, tylko od czasu do czasu w rozbłyskującym świetle latarni widać było potężną kipieli, białe grzbiety spienionych fal. Mimo wstrząsów – „O Święta Panienko, o Panie Jezu” – a nawet w pewnej mierze ukołysana przez nie, mimo wiatru, a nawet w pewien sposób odurzona nim, usnęłam w ramionach matki. Obudziłam się w jakimś niskim pomieszczeniu i zobaczyłam między gromadą ponurych ludzkich sylwetek, posępnych twarzy, gestykulujących rąk – zobaczyłam na noszach, oświetlonych dwoma świecami olbrzymiego trupa. O Święta Panienko... O Panie Jezu... Straszego trupa! Był bardzo długi i całkiem sztywny, twarz miał zmiażdżoną, kończymy całe w ranach, całe posiniaczone. To był mój ojciec.

Jeszcze dotąd go widzę. Włosy przykleiły mu się do czaszki i w tych włosach pełno było wodorostów, co sprawiało, że wyglądał jak w koronie. Ludzie pochylali się nad nim, rozcierali mu ciało flanelą, wdmuchiwali do ust powietrze. Był wśród nich i mer miasta... był proboszcz... był naczelnik urzędu celnego... byli żandarmi. Bałam się, wyswobodziłam się z szala i czołgając się po mokrych kamiennych płytach, prześlizgując się między nogami stojących wokół ludzi, zaczęłam krzyczeć, wzywać ojca... matkę... Jakaś sąsiadka zabrała mnie stamtąd.

Od tego czasu moja matka zaczęła pić jak szalona. Początkowo próbowała pracować, ale ponieważ była stale pijana, żaden chlebodawca nie chciał jej długo trzymać. Więc znowu siedziała w domu i piła, kłótniwa, ponura, a kiedy już miała dobrze w czubie, zaczynała nas bić. Jak to się stało, że mnie kiedyś nie zabiła?

Uciekałam z domu, gdy tylko mogłam. Całymi dniami włóczyłam się po nadbrzeżu. Kradłam z ogrodów, co się dało, brodziłam po kałużach na plaży w czasie odpływu. Albo na drodze do Plogoff, która prowadziła przez wzgórze porośnięte trawą, osłonięta od morskich wiatrów gęstymi zaroślami, łobuzowałam z chłopakami wśród krzaków białych głógów. Kiedy wieczorem wracałam do domu, jakże często znajdowałam matkę leżącą na podłodze tuż koło drzwi. Miała usta pełne rzygowin, a w ręku

rozbitą flaszkę. Często przełaziłam przez nią okrakiem. A gdy się już ocknęła – to dopiero było potworne! Ogarniał ją szal niszczenia. Głucha na moje błagania i krzyki, wyciągała mnie z łóżka, goniła, tratowała nogami i tłukła mną o meble, wrzeszcząc:

– Zabiję cię, zabiję cię... Obedrę cię ze skóry!

Ileż razy sądziłam, że to już mój koniec...

Później, żeby zarobić na wódkę, zaczęła się puszczać. Noc w noc słychać było walenie do drzwi naszego domu. Pojawiał się jakiś marynarz, napełniając cały pokój słonym odorem morza i ryb. Właził do jej łóżka i po godzinie odchodził. Potem przychodził następny, także się z nią przesypiał i znowu po godzinie odchodził.

Zdarzały się również i bijatyki, przerażające wrzaski w ciemnościach tych plugawych nocy, parokrotnie wtrącali się w to żandarmi.

Tak trwało latami. Nikt się mną nie zajmował, ani mną, ani moją siostrą, ani moim bratem. Ludzie odwracali się od nas na ulicy. Porządni mieszkańcy odpędzali nas kamieniami od swych domów, gdy zbliżaliśmy się, by coś ściągnąć czy wyżebrać. Pewnego dnia moja siostra Luiza, która również spędzała noce na rozpuście z marynarzami, uciekła. Wkrótce potem mój brat zaciągnął się na chłopca okrętowego. Zostałam sama z matką.

Mając dziesięć lat, nie byłam już całkiem niewinna. Smutny przykład matki obznajmił mnie z miłosną praktyką, a nieskromne figle z chłopcami dopełniały zepsucia, więc rozwinęłam się bardzo szybko.

Mimo niedostatku i razów, za to niczym niekrępowana, stale na świeżym morskim powietrzu, byłam silna i rosłam tak szybko, że gdy miałam zaledwie jedenaście lat, targnęły mną pierwsze bóle, niezbitcie świadcząc, że stałam się dojrzałą kobietą, choć nadal wyglądałam jak smarkata.

Gdy miałam dwanaście lat, byłam kobietą w pełnym znaczeniu tego słowa... Zgwałcona? No, niezupełnie. Z własnej woli? No, nieomal... Tak czy owak dopuściłam się tego grzechu z całą prostodusznością, a moje zepsucie było naiwne. W jakąś niedzielę, po sumie, pewien majster z wytwórni sardynek, kudłaty, cuchnący jak kozioł, z twarzą ledwie widoczną, bo niemal w całości porośniętą krzaczastą, brudną brodą, zaciągnął mnie na piaszczyste wydmy. I tam, w rozpadlinie przybrzeżnej skały, w ciemnej kamiennej dziurze, gdzie mewy sposobiły swe gniazda, a marynarze ukrywali wyłowione z morza łupy... tam właśnie – na łożu z przegniłych wodorostów – posiadł mnie, a ja mu się nie wzbraniałam ani się z nim nie szamotałam. Posiadł mnie za jedną pomarańczę.

I stała się rzecz niepojęta, której wyjaśnienia nie znalazłam w żadnej powieści. Pan Biscouille był brzydki, brutalny, odrażający. A ponadto, w tej ciemnej dziupli, dokąd mnie zawlókł cztery czy pięć razy, nigdy nie zaznałam odrobiny rozkoszy, wręcz przeciwnie. Więc czemu, ilekroć powracam do niego myślą, a powracam często, nigdy go nie przeklinam, nie czuję do niego żadnej nienawiści. Odwrotnie, te wspomnienia sprawiają mi przyjemność i kryje się w nich jakaś ogromna wdzięczność... ogromna tkliwość... a także nieklamany żal, że już go nie zobaczę i nie oddam się temu odrażającemu potworowi na łożu z wodorostów.

Więc, w związku z tą historią, niech i mnie wolno będzie wnieść teraz równie skromny jak moja osoba przyczynek do życiorysów wielkich ludzi.

Paul Bourget był zaufanym przyjacielem i duchowym powiernikiem księżnej Fardin, u której pracowałam w ubiegłym roku jako panna służąca. I ciągle się tam mówiło, że on jeden zna tak dogłębnie najbardziej skomplikowane kobiece dusze. Otóż wiele razy przychodziło mi do głowy, czyby do niego nie napisać i nie przedstawić mej własnej, tak dziwnie objawiającej się namiętności, którą wam dopiero co przedstawiłam. Ale brakło mi odwagi. Nie dziwcie się zbytnio powadze, z jaką traktowałam tę sprawę i zaprzętałam nią sobie umysł. Co prawda, u służby nie jest to w zwyczaju. Ale w salonach księżnej mówiono zawsze i tylko o psychologii. A przecież wiadomo: nasze umysły kształtują się na wzór umysłów państwa i w kuchni mówi się o tym samym, o czym się mówi w salonach. Bieda z tym tylko, że w kuchni nie mieliśmy żadnego pana Bourgeta, aby nam odpowiednio naświetlał i wyjaśniał przejawy kobiecej psychologii, o których tak gorliwie rozprawialiśmy. Bo nawet opinie samego pana Jana mnie nie wystarczały.

Ale pewnego dnia pani wysłała mnie z „pilnym” listem do sławnego mistrza. I on sam, we własnej osobie, wręczył mi odpowiedź. Wtedy zdobyłam się na odwagę i zadałam mu to pytanie, które od tak dawna zaprzętało mi myśli, lecz tę drażliwą i niepojętą historię złożyłam na karb mojej przyjaciółki.

– A kim jest ta twoja przyjaciółka? Czy to kobieta z ludu? Pewnie jakaś nędzarka?

– Panna służąca, tak jak i ja, szanowny mistrzu.

Pan Bourget zrobił wyniosłą minę i skrzywił się lekceważąco. O, do licha! Nie lubi biedaków.

– Mnie życie wewnętrzne tego typu kobiet nie zajmuje. Ich duszyczki są zbyt ubogie, zresztą trudno powiedzieć, czy w ogóle mają duszę. W każdym razie to nie moja specjalność, nie wchodzi to w zakres moich psychologicznych dociekań.

Pojęłam, że w tym środowisku duszę posiada się, począwszy od stu tysięcy franków.

Gdzie mu tam do pana Jules’a Lemaître’a, także przyjaciela moich państwa i stałego bywalca ich domu. Kiedy jemu zadałam to samo pytanie, odpowiedział, uszczypnąwszy mnie w pośladek:

– No cóż, uroczą Celestynko, twoja przyjaciółka jest po prostu dobrą dziewczyną, to wszystko. I jeśli jest podobna do ciebie, chętnie bym jej szepnął do ucha parę słów... już się domyślasz jakich, he... he...

Miał twarz śmiejącego się fauna i przynajmniej nie robił z siebie Bóg wie kogo. Poczciwy był z niego chłopak. Jaka szkoda, że ubrał się w to probostwo.

Sama nie wiem, co by ze mnie wyrosło w tym piekle, w Audierne, gdyby nie siostrzyczki z Pont-Croix, które przygarnęły mnie z litości, uznawszy, że jestem rozgarnięta i miła. Przy tym nie wykorzystywały ani mego wieku, ani braku doświadczenia, ani trudnej i wstydlivej sytuacji rodzinnej, by się mną wysługiwać, i nie trzymały mnie przy sobie tylko dla własnych korzyści, jak to często bywa w tego rodzaju zakładach, gdzie wyzysk ludzi graniczy nieraz ze zbrodnią. Siostrzyczki z Pontcroix to były biedne istotki, naiwne, ciche i miłosierne, i w dodatku wstydziły, się wyciągać rękę po jałmużnę czy pukać po prośbie do cudzych domów. Nawet w okresach prawdziwej nędzy, które się nieraz zdarzały, potrafiły jakoś same dać sobie radę. I mimo tylu kłopotów i trosk były zawsze wesołe, śpiewały całymi dniami jak szczygiełki. Ich nieznamość życia była wzruszająca i do dziś wyciska mi łzy z oczu, zwłaszcza teraz, gdy potrafię lepiej pojąć ich nieskończoną, czystą dobroć.

Nauczyły mnie czytać, pisać, szyć, sprzątać, a gdy się już nieźle obznajmiłam z tymi pożytecznymi czynnościami, umieściły jako dziewczynę do pomocy u jednego pułkownika w stanie spoczynku, który

rokrocznie przyjeżdżał wraz z żoną i dwiema córkami do na wpół zrujnowanego, strasznie zaniedbanego zameczku w pobliżu Comfort. Porządni z nich byli ludzie, nie można powiedzieć, ale tacy smutni, tacy smutni! No i dziwacy. Nigdy nie widziałam na ich twarzach uśmiechu, a w nieodmiennie czarnym ubiorze śladu żywszej barwy. Pułkownik wstawił sobie na strych tokarkę i całymi dniami toczył na niej kieliszki do jajek lub owalne kule, zwane „jajami”. Takimi kulami gospodynie domowe posługują się przy cerowaniu pończoch. Pani zaś wciąż pisała podania, jedno za drugim, w sprawie udzielenia jej licencji na sklepik z tytoniem. Obie córki wiecznie milczały i nie zajmowały się niczym – jedna miała nos jak kaczy dziób, druga mordkę królika; były jakieś pożółkłe i chude, kościste i zwiędłe i usychały jak rośliny, którym brak wszystkiego – ziemi, wody, słońca. Potwornie się z nimi nudziłam. A po upływie ośmiu miesięcy coś mi strzeliło do głowy i z miejsca puściłam ich kantem, zresztą żałując tego później.

Ale co było robić... W Paryżu od razu poczułam, jak życie tętni wokół mnie. Oddech tego miasta napełniał mi serce nieznanymi dotąd pragnieniami. Choć wychodziłam rzadko, z jakim zachwytem, w jakim olśnieniu podziwiałam ulice, wystawy, tłumy, pałace, błyszczące powozy, strojne kobiety... A gdy wieczorem wracałam na to moje szóste pięterko, by samotnie położyć się spać, jakżeż zazdrościłam reszcie służby w tym domu... jakże zazdrościłam, że swawolą ze sobą... jakie mi się to wydawało czarowne... W jaki podziw i zachwyt wprawiały mnie ich miłosne przygody! Służyłam w tym domu niedługo – ale właśnie tam, na szóstym piętrze, w pokojach dla służby mogłam się do woli napatrzeć wszelkiej rozpuszcie i brać w niej udział, czyniąc to z zapałem, bo chciałam, jak każda nowicjuszka, wszystkich prześcignąć. Och, ileż żywiłam wówczas nieokreślonych nadziei, ile wiązałam nieokreślonych ambicji z tym oszukańczym ideałem życia w rozkoszy i występku.

No tak. Człowiek jest młody... nic nie wie o życiu... a wyobraża sobie Bóg wie co i marzy mu się niejedno. Och, te marzenia! Bzdury! Już mi się przejadły, jak mawiał pan Ksawery, ten zepsuty do szpiku kości ladaco, o którym niebawem opowiem.

No i stoczyłam się. Ach, jak się stoczyłam! Gdy sobie to przypomnę, robi mi się straszno.

Nie jestem przecież stara, a ilu rzeczom napatrzyłam się już z bliska... ilu mężczyzn widziałam kompletnie nagich! Wdychałam woń ich bielizny, skóry, i wiem, jak pachną ich ciała i co kryją ich dusze. Pomimo perfum cuchnęli paskudnie. Napatrzyłam się wszelkiego plugastwa, wstydliwych ułomności, pospolitych zbrodni skrywanych pod pozorem cnoty; poznałam wszystko, co kryją w sobie szacowne wnętrza przyzwoitych rodzinnych domów. Mogą być sobie nie wiem jak bogaci, nosić jedwabne i aksamitne szmatki, posiadać złoczone meble, mogą myć się w srebrnych miednicach – mnie nie zwiodą. Z punktu się na nich poznam. Wiem, że zawsze kryją się za tym jakieś brudy. I że ich serca są brudniejsze od wyrka mojej matki.

Och, ileż biedna sługa ma powodów do skarg i jak jest samotna! Nawet jeśli mieszka w domu pełnym wesołych, hałaśliwych ludzi – zawsze pozostaje samotna. Samotność bowiem nie polega na tym, że się żyje bez ludzi – samotność to życie wśród ludzi, którzy się tobą nie zajmują, dla których liczysz się mniej niż pies, tuczony pasztetem, czy jakiś kwiat, pielęgnowany niczym dziecko bogaczy, wśród ludzi, co darują ci tylko zbędne łachy i zepsute resztki.

– Możesz zjeść tę gruszkę. Jest już przejrzała. Skończcie w kuchni tę kurę, brzydsko pachnie...

W każdym ich słowie kryje się pogarda. Każdy ich gest spycha nas poniżej poziomu zwierzęcia. I nic nie wolno odpowiedzieć, i trzeba się uśmiechać i dziękować, gdyż inaczej wezmą cię za niewdzięcznicę,

co ma złe serce. Więc ileż to razy, gdy cesałam swe panie, brała mnie szalona ochota powyrywać im koki z głowy i rozharatać pazurami biusty.

Na szczęście nie zawsze nachodzą mnie takie zbrodnicze pomysły. Jakoś je człowiek w sobie tłamsi, jakoś się stara urządzić i pośmiać w kuchni z tego wszystkiego.

Wieczorem, po kolacji, Marianna, widząc mnie tak pogrążoną w smutku, rozczuliła się i starała pocieszyć. Wyciągnęła dla mnie flaszkę wódki z głębi kredensu, spod stosu starych papierów i brudnych szmat.

– Nie trzeba się tak trapić – orzekła. – Musisz się, moje biedactwo, trochę rozruszać, musisz się z tego otrząsnąć.

Wsparta łokciami o stół, co i raz dolewając mi wódki, opowiadała przez godzinę rozwlekłym, płaczącym głosem jakąś ponurą historię o chorobach, połogach, śmierci swej matki i siostry. Z każdą minutą jej oczy stawały się bardziej maślane, głos bardziej senny. Powtarzała w kółko, wylizując kieliszek:

– Nie trzeba się tak trapić... Śmierć matki... tak, to wielkie nieszczęście... Ale cóż poradzisz? Wszyscy jesteśmy śmiertelni. Och, mój Boże, och, biedna mała!

Potem nagle sama zaczęła szlochać a szlochać, nie przestając utyskiwać:

– Nie trzeba się trapić... Nie trzeba się trapić...

Z początku brzmiało to jak skarga... ale szybko przemieniło się w przeraźliwy, coraz to głośniejszy ryk. Jej tłusty brzuch, ogromne piersi i potrójny podbródek aż podskakiwały do góry, wstrząsane łkaniem.

– Ucisz się, Marianno – powiedziałam. – Jeszcze pani usłyszysz i zejdzie.

Ale Marianna nie słuchała mnie i płakała coraz głośniej.

– Och, jakie nieszczęście, jakie nieszczęście!

Cóż było robić? Więc ja też, choć w żołądku mdliło mnie już od wódki, rozszlochałam się na dobre, wzruszona łzami Marianny.

Mimo wszystko wcale niezła z niej dziewczyna.

Ale tak mi tu nudno, tak nudno, tak nudno. Chciałabym służyć u jakiejś kokoty albo też w Ameryce.

VI

1 października

Biedny pan. Myślę, że jednak zachowałam się zbyt surowo wtedy, przed paru dniami w ogrodzie. Może przebrałam miarkę? Skoro taki fajtłapa z niego, pewnie teraz wyobraża sobie, że mnie ciężko znieważył, i ma mnie za cnotkę nie do zdobycia. Och, te pokorne, błagalne spojrzenia, którymi nie przestaje mnie prosić o przebaczenie! I choć teraz znowu zachowuję się bardziej zalotnie i przymilnie, pan nie napomyka ani słowem o tych rzeczach i nie ośmiela się zaczepiać mnie wprost, nie zastosował nawet klasycznego chwytu z przyszyciem guzika do spodni. Niewybredny chwyt – ale często osiąga zamierzony cel. Boże, ileż ja się już naprzyszywałam takich guzików!

A przecież widać wyraźnie, że ma na mnie chętkę. Że pali się do tego... Każde, najbliższe nawet słowo kryje wyznanie... A jednocześnie jest coraz bardziej nieśmiały. Widać boi się, że go raz na zawsze odtrącę, i przestał ufać moim zalotnym spojrzeniom.

Kiedyś zaczepił mnie, miał przy tym dziwny wyraz twarzy i błędne oczy.

– Celestyno, znakomicie, doprawdy znakomicie czyścisz moje buty... bardzo... bardzo dobrze. Jeszcze nigdy nie były tak świetnie oczyszczone... te moje buciory...

Wyglądało, że zaraz wystąpi z tym guzikiem. Ale nie. Pan sapał tylko i ślinił się, jakby przed chwilą zjadł zbyt dużą i zbyt soczystą gruszkę...

Potem zagwizdał na psy i poszedł sobie.

A przecież mimo wszystko tamto było w nim silniejsze.

Wczoraj pani poszła na targ, bo zawsze sama robi zakupy. Pan wyszedł o świcie z fuzją i psem. Wrócił wcześniej, upolowawszy trzy drozdy, i od razu poszedł na górę, do łazienki, by wziąć kąpiel i przebrać się, jak to miał w zwyczaju, bo co do tego, to z mego pana wielki czyścioch, wody się nie boi. Pomyślałam sobie, że nadeszła stosowna pora, że muszę spróbować czegoś takiego, co by go wreszcie w stosunku do mnie ośmieliło. Rzuciłam robotę i także pobiegłam do pokoju kąpielowego. Przez chwilę podsłuchiwałam, z uchem przylepionym do drzwi. Pan krążył po łazience. Pogwizdywał i podśpiewywał sobie:

Panno Zuzanno,

Nie kryj się za wanną!

Miał taki zwyczaj, że śpiewając, łączył ze sobą refreny różnych piosenek.

Słyszałam przesuwanie krzesel, otwieranie i zamykanie szaf, a potem szum wody lejącej się z kranu i różne „och”, „ach”, „fu” i „br”, które wykrzykiwał, zlewając się zimną wodą. Wtedy raptownie

otworzyłam drzwi.

Pan stał twarzą do mnie, cały mokry, dygocąc z zimna, w rękach ścisnął gąbkę, z której woda tryskała jak z fontanny. Och... ta jego twarz, te jego oczy... Nigdy jeszcze nie widziałam równie osłupiałego mężczyzny. Ponieważ nie miał pod ręką płaszcza kąpielowego, by okryć nim swoją nagość, wykonał odruchowo wstydlivy i komiczny gest, posługując się gąbką jak listkiem figowym. Na ten widok tak mnie zatrzęsło ze śmiechu, że zdołałam się opanować tylko wielkim wysiłkiem woli. Ale zdążyłam dostrzec, że na rękach i na ramionach włosy rosną mu kępkami, a na piersi są gęste jak u niedźwiedzia. Jednak to piękny mężczyzna. No, kto by pomyślał!

Naturalnie, wydałam z siebie okrzyk przerażenia i wstydu, tak jak przystało, i gwałtownie zamknęłam drzwi. Ale tuż za drzwiami od razu sobie pomyślałam: „Za chwilę mnie zawoła. I co się wtedy stanie? Ano, co Bóg da!”. Czekałam parę minut. Ale nic, cisza – jeśli nie liczyć wody, która dźwięcząc jak kryształ, skapywała co i raz do wanny. „Namyśla się – przypuszczałam – nie może się zdecydować, nie śmie, ale przecież w końcu mnie zawoła”. Nic z tego. Wkrótce woda znowu połała się strumieniem do wanny, a później posłyszałam, jak pan się wyciera, pryca, parska, szura kapciami po podłodze, otwiera i zamyka szafy. W końcu znów zaczął nucić.

– No nie, coś podobnego! On jednak jest głupi jak but – szepnęłam cichutko do siebie, zagniewana i wściekła.

I wróciłam do szwalni z mocnym postanowieniem, że już nie obdarzę go żadnymi łaskami, choć myślałam mu je ofiarować na dobrą sprawę wbrew własnej chęci, kierowana jedynie litością.

Po południu pan, bardzo zafrasowany, kręcił się przy mnie bez przerwy. Wreszcie zdybał mnie koło gnojówki, gdy wyносиłam na śmietnik kocie odchody. Więc wtedy, chcąc sobie zadrwić z jego zakłopotania, zaczęłam przeproszać za to, co się rano przydarzyło.

– Ależ to nic... Nic się nie stało... – dyszał – nic nie szkodzi... przeciwnie.

Usiłował mnie zatrzymać i coś bełkotał, płacząc się straszliwie. Lecz osadziłam go na miejscu, w pół zdania, i oświadczyłam szorstkim głosem:

– Proszę mi darować... Nie mam czasu na rozmowy z panem... Pani na mnie czeka.

– Do licha, Celestyno, wysłuchaj mnie choć przez chwilę.

– Nie, proszę pana.

Kiedy byłam już na zakręcie alejki prowadzącej do domu, odwróciłam się i spojrzałam na niego raz jeszcze. Nie ruszył się z miejsca, stał ze zwieszoną głową, na uginających się nogach, i wpatrzony w gnojówkę drapał się po głowie.

Po kolacji między panem a panią wybuchła w salonie gwałtowna sprzeczka. Moja pani mówiła:

– A ja ci powiadam, że zwracasz uwagę na tę dziewczynę.

Pan odrzekł:

– Ja? No coś podobnego! Co ci przyszło do głowy? Zastanów się, duszko! Na tego flejtucha, na tę ladacznicę, co może jest zarazona jaką paskudną chorobą? Nie, tego już za wiele.

Pani znów zaciekle:

– Gdybym nie znała twego prowadzenia się i twoich gustów...

– Pozwólże, pozwól... choć słowo.

– A te wycieruchy ze wsi... te zafajdane tłumoki. Czy nie zadzierasz im spódnic?

Słyszałam, jak pod stopami pana skrzypi posadzka. Gorączkowo chodził po salonie.

– Ja? Coś podobnego! No proszę, co za pomysły! Skąd ci to przyszło do głowy, duszko?

Pani obstawała przy swoim:

– A ta mała Jésureau? Piętnaście lat, nieszczęsna. Musiałam później zapłacić pięćset franków. Gdyby nie to, już byś pewnie siedział w więzieniu, jak twój ojciec, ten złodziej.

Pan przestał chodzić. Runął na fotel. Umilkł. Kłótnia skończyła się. Do pani należało ostatnie słowo.

– A zresztą, wszystko mi jedno. Nie jestem zazdrosna. Możesz sobie sypiać z tą Celestyną, ile ci się tylko podoba. Ale nie chcę, żeby mnie to miało kosztować choć jednego franka.

Ach, więc to tak! Już ja im to popamiętam.

Nie wiem, czy pan rzeczywiście zadziera spódnice małym dziewczynkom ze wsi, jak to pani utrzymuje. Lecz choćby nawet tak było, pan postępuje słusznie, bo skoro sprawia mu to przyjemność... Silny mężczyzna, dużo je. Musi mieć te potrzeby. A pani nie chce ich zadowalać. W każdym razie, odkąd tu jestem, pan obchodzi się smakiem, figę ma z tych rzeczy, jestem tego pewna, mimo że sypiają w jednym łóżku, co jest jeszcze bardziej dziwne. Ale panna służąca, która zna się na rzeczy i ma oko, świetnie wie, jak się mają te sprawy u jej państwa. I nawet nie musi podsłuchiwać pod drzwiami. Gotownia, sypialnia, pościel i tyle innych rzeczy mówią wystarczająco. Trudno po prostu pojąć, żeby ci sami ludzie, którzy udzielają nam, służbie, tylu nauk moralnych i żądają od nas wstrzeźliwości, nawet nie starają się lepiej ukryć śladów po swoich miłosnych szaleństwach. A nawet odwrotnie, zdarzają się i tacy, którzy z niejasnych powodów, może z przekory, a może z nieświadomości czy zwyczajnie z rozpusty, lubią, by te ślady były dla każdego widoczne. Nie udaję skromnisi i lubię się pośmiać, jak wszyscy... Z pewnością. Lecz naoglądałam się tylu małżeństw, i to z tych najszacowniejszych... które naprawdę przebierały miarę.

Kiedyś, dawno, na samym początku, gdy przypatrywałam się moim państwu zaraz potem... nazajutrz... ogarniało mnie dziwne uczucie. Byłam ogromnie zakłopotana. Podając im pierwsze śniadanie, wpatrywałam się w nich bez przerwy, wpatrywałam się w ich oczy, usta, ręce, i to tak natarczywie, że zwykle jedno z nich, pan lub pani, mówiło:

– Co się stało? Czy to wypada tak się państwu przypatrywać? Lepiej uważaj, jak podajesz.

Tak, to wpatrywanie się w nich budziło we mnie jakieś myśli... obrazy – jakby tu powiedzieć – pożądania, które prześladowały mnie później przez cały dzień, a z tej racji, że nie mogłam ich zaspokoić tak, jakbym chciała, wydawały mnie na pastwę mych własnych, ponurych i ogłupiających pieszczot.

Dziś przyzwyczajenie już uładziło te sprawy i nauczyło mnie innego zachowania, bardziej, jak myślę, zgodnego z ich postępkami. Gdy teraz stoję przed państwem rano i widzę, że ani krem, ani woda toaletowa, ani puder nie zdołały ukryć śladów miłosnych zapasów na ich twarzach, wzruszam już tylko ramionami. I wiem, że nazajutrz te same osoby – przybrawszy godne miny i cnotliwe maniery, pełne pogardy dla dziewczyn, które zbłądziły – będą mnie zadręczały, będą pouczały, jak mam się prowadzić, by nie uchybić moralności.

– Celestyno, za bardzo się oglądasz za mężczyznami. Celestyno, to niestosowne rozmawiać w kuchni z lokajem. Celestyno, mój dom nie jest domem schadzek. Celestyno, nie zniosę tego... jak długo u mnie służysz i mieszkasz pod moim dachem...

I tralala, i tralali.

Co nie przeszkadza panu, na przekór oficjalnej moralności, przewracać cię na sofę, popychać na łóżko, a często jedyną zapłatą za ten akt brutalnej łaskawości jest dziecko. I potem radź sobie jak umiesz. A jeśli nie umiesz, to zdychaj na bruku razem z tym dzieckiem. To już nie jego rzecz.

Takie to są te ich domy. Coś podobnego!

Tak więc na ulicy Lincolna odbywało się to regularnie co piątek. I nie było od tego żadnych odstępstw.

Piątek był dniem pani. Przychodziło dużo osób, jedna po drugiej, same kobiety, rozgadane, zalotne, beczelnie wymalowane. Boże wielki! Jednym słowem – bardzo wytworne towarzystwo. Pewnie zabawiały się wygadywaniem różnych świństw, co moją panią podniecało. A wieczorem była opera. Po operze zawsze jeszcze gdzieś szli. Ale bez względu na to, co robili – czy to, czy tamto, czy jeszcze co innego – jedno było pewne: w piątek zawsze skończy się na... no, już sami wiecie na czym.

Jeżeli ten dzień był dniem pani, to noc, można powiedzieć, należała do pana, była „nocą Koteczka”. I to jeszcze jak! Trzeba było tylko widzieć, jak wyglądał nazajutrz ich pokój kąpielowy i sypialnia! Meble w nieładzie, pościel wszędzie porozrzucana, woda z miski wylana na dywan. A do tego ta ostra woń, którą wszystko było przeniknięte, woń ludzkiej skóry zmieszana z perfumami – dobrymi perfumami. W pani garderobie wielkie lustro zajmowało całą powierzchnię ściany aż po sam sufit. Często znajdowałam przed tym lustrem stos skopanych, wygniecionych, zmiętoszonych poduszek, a po bokach wysokie stojące kandelabry, z których spłynęły już wypalone świece, a wosk zwisał wzdłuż srebrnych ramion niczym długie, zakrzepłe łyzy. Och! Ileż im trzeba było do tego zabiegów i zachodu! Ciekawam, co by też wymyślili, gdyby nie byli małżeństwem.

To mi przypomniało naszą sławetną podróż do Belgii, dokąd pojechaliśmy któregoś roku, by spędzić parę tygodni w Ostendzie. Na stacji w Feignies – kontrola celna. Była noc i pan, pogrążony w głębokim śnie, został w przedziale. Więc tylko pani, razem ze mną, udała się do pomieszczenia, w którym rewidowano bagaże.

– Czy jest coś do oclenia? – spytał gruby celnik i już na sam widok pięknej i eleganckiej kobiety zaczął się szykować do grzebania w ponętnych fatałaszkiach. Bo istnieje taki typ celnika, któremu sprawia fizyczną przyjemność, niemal spazmatyczną rozkosz wtykanie grubych paluchów w majtki i koszule pięknych dam.

– Nie – odpowiedziała pani – nie mam nic do oclenia.

– No to proszę otworzyć tę walizkę.

Z sześciu walizek, jakie zabraliśmy ze sobą, wybrał największą, najcięższą, ze świńskiej skóry, w pokrowcu z szarego płótna.

– Przecież mówię, że nic w niej nie ma – powtórzyła pani z irytacją.

– A jednak proszę otworzyć – zarządził ten gbur. Upór mojej pani wyraźnie go podniecał i zachęcał do jeszcze bardziej szczegółowej, bezwzględnej rewizji.

Moja pani – och, jeszcze dziś mam ją w oczach! – wyjęła ze swojej torebki pęczek kluczy i otworzyła walizkę.

Celnik z mściwą radością wciągnął w nozdrza wykwintną woń, która się dobyła z walizki, i od razu zaczął grzebać czarnymi, niezręcznymi łapami w wytwornej bieliźnie i sukniach. Pani była wściekła i w miarę jak to bydlę miętosilo i wywracało wszystko, cośmy tak starannie zapakowały, wyrzekała coraz głośniej. Rewizja bez żadnych przeszkód dobiegała już końca, kiedy celnik, sięgnąwszy aż po samo dno walizki, nagle wyciągnął z niej długi futerał z czerwonego aksamitu i spytał:

– A to? Co to jest?

– Klejnoty – odpowiedziała pani bez chwili wahania.

– Proszę to otworzyć.

– Nie, nie otworzę. To jest nadużywanie władzy. Już raz przecież powiedziałam, że nie otworzę. Zresztą nie mam kluczyka.

Panią ogarnęło dziwne wzburzenie. Chciała wyrwać futerał z rąk celnika, ale ten, cofając się, zagroził:

– Jeśli pani nie zechce otworzyć futerału, będę musiał pójść do inspektora.

– Co za nikczemność, to po prostu hańba...

– Skoro nie ma pani przy sobie kluczyka do futerału... no cóż, wyłamiemy zamek.

Moja pani krzyknęła:

– Nie macie prawa, złożę skargę w ambasadzie, w ministerstwie... Poskarżę się królowi, który jest naszym przyjacielem. Sprawię, by pana odwołali, słyszy pan? Zaskarżę pana, posadzą pana do więzienia!

Ale te pełne wściekłości słowa nie wywarły najmniejszego wrażenia na nieustępliwym celniku. Powtórzył jeszcze bardziej rozkazującym tonem:

– Proszę otworzyć futerał.

Pani zbladła, załamywała ręce.

– Nie – mówiła – nie otworzę. Nie chcę. Nie mogę otworzyć.

Ale uparty celnik już chyba po raz dziesiąty powtórzył:

– Proszę otworzyć futerał.

Ta kłótnia spowodowała zwłokę w kontroli pozostałych pasażerów, którzy, zbici w zaciekawioną grupkę, zgromadzili się wokół nas. Mnie samą też ogromnie interesował przebieg tego widowiska, a przede wszystkim – sam futerał, którego nigdy przedtem nie widziałam u mojej pani i który z całą pewnością został wsunięty do walizki pod moją nieobecność.

Nagle pani zmieniła taktykę: jej głos złagodniał, zaczęła mówić do nieustępliwego celnika niemal pieszczotliwie. Podeszła do niego tak blisko, jakby chciała go oszołomić swym zapachem perfum, prosząc cichutko:

– Niech pan każe odejść tym ludziom, bardzo pana o to proszę. A wtedy otworzę ten futerał...

Celnik sądził zapewne, że pani zastawia na niego jakąś pułapkę. Tępo i nieufnie potrząsnął przecząco głową:

– Dość już tych fum i komedii. Otworzyć futerał.

Wtedy, zmieszana, zapłoniona, ale już całkiem zrezygnowana, pani wyciągnęła z portmonetki małeńki,

prześliczny złoty kluczyk i otworzyła nim futerał z czerwonego aksamitu; starała się przy tym bardzo, żeby nikt z otaczających nas ludzi nie zobaczył jego zawartości. W tym samym momencie przerażony celnik aż odskoczył do tyłu, jakby w obawie, że go ukąsi jadowity wąż.

– A niech to piorun strzeli! – zaklął.

I potem, gdy minęło już pierwsze zdumienie, wykrzyknął, komicznie kręcąc nosem:

– Trzeba było od razu powiedzieć, że pani jest wdową.

Później zamknął futerał, lecz widać nie dość szybko, bo śmiechy, szept, obraźliwe słowa, a nawet obelgi, pozwoliły pani zrozumieć, że „jej klejnoty” zostały dokładnie obejrzone przez podróżnych.

Pani zmieszała się. Jednakże muszę przyznać, że zachowała się dzielnie w tych raczej trudnych okolicznościach. O tak... nie zabrakło jej bezczelności. Pomogła mi uporządkować całkiem skotłowaną walizkę, po czym opuściliśmy salę wśród gwizdów i obraźliwych śmiechów zgromadzonych ludzi.

Odprowadziłam ją do samego przedziału, niosąc torbę, gdzie włożyła ten nieszczęsny futerał. Na peronie zatrzymała się na chwilę i powiedziała z bezczelnym spokojem:

– O, Boże, jaka jestem głupia. Od razu powinnam była zadeklarować ten futerał jako twój.

Odpowiedziałam równie bezczelnie:

– Jestem pani bardzo zobowiązana. Pani jest dla mnie niezwykle łaskawa. Ale ja wolę takie „klejnoty” w naturze.

– Zamilcz – powiedziała pani, lecz bez złości. – Głuptas z ciebie. – I weszła do wagonu, gdzie jej Koteczek spał słodko, niczego nie podejrzewając.

Zresztą pani nigdy się nie wiodło w tych sprawach. Czy dlatego że była bezwstydną, czy że nieporządną – dość, że często jej się zdarzały takie lub podobne historie. Mogłabym niektóre z nich opowiedzieć, zwłaszcza te najbardziej budujące. Ale nagle przychodzi taki moment, że wstręt bierze we mnie górę i zaczyna mnie męczyć to ciągle babranie się w cudzych brudach. Poza tym myślę, że już dość o tym domu napisałam, a był on dla mnie najcelniejszym przykładem tego, co nazywam rozpasaniem moralnym. Poprzestanę więc już tylko na paru przykładach.

Pani trzymała w jednej z szuflad szafy z tuzin książeczek oprawnych w żółtą skórę i zapinanych na złote klamerki... Cacane książeczki, podobne do modlitewników niewinnych młodych dziewczątek. W sobotę rano przez zapomnienie często je zostawiała na nocnym stoliku obok łóżka albo w garderobie, na stosie zmiętych poduszek. Pełno w nich było niezwykłych obrazków. Nie udaję świętoszki, ale mówię wam, że trzeba być nie lada dziwką, by trzymać u siebie podobne paskudztwa i zabawiać się nimi. Wystarczy, że o tym pomyślę, a od razu robi mi się gorąco. Kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, narządy płciowe złączone z sobą, wczepione w siebie, w jakimś obłądnym zwarciu, szaleńczej rui. Różne nagości, sterczące, wygięte w łuk, napięte, tarzające się, w kupie, na pęczki, nagusy jeden za drugim, od tyłu, zrosnięci z sobą, zwarci w skomplikowanych uściskach i nieprawdopodobnych pieszczotach. Usta przyssane jak macki ośmiornicy, wchłaniające piersi, wsysające podbrzusza, cała galeria pośladków i ud splecionych, poskręcanych jak gałęzie w dżungli. Nie, dość o tym.

Matylda, panna służąca, która miała nas, pozostałe pokojówki, w swej pieczy, buchnęła jedną z tych książeczek. Przypuszczała, że pani nie starczy tupetu, by się o nią upomnieć. A jednak moja pani

upomniała się i zażądała zwrotu. Przetrzęsławszy szuflady, przeszkawszy wszystkie miejsca, gdzie mogłaby ją znaleźć, spytała Matyldy:

- Czy nie widziałas w mojej sypialni małej książeczki?
- Jakiej książeczki, proszę pani?
- Książeczki w żółtej oprawie.
- Pewnie książeczki do nabożeństwa?

Patrzyła mojej pani prosto w twarz, ale ponieważ pani ani trochę się nie zmieszała, Matylda jeszcze dorzuciła:

- Rzeczywiście, zdaje mi się, że widziałam tę żółtą książeczkę z połączoną klamerką w pani sypialni na stoliku koło łóżka.
- No więc?
- Nie wiem, co pani z nią zrobiła.
- Zabrałaś ją?
- Ja, proszę pani? – odparła Matylda i dodała z godną podziwu beczelnością: – O, co to, to nie. I chyba pani nie życzyłaby sobie, żebym ja czytała podobne książki.

Kapitałna jest ta Matylda, nie ma co! A pani przestała nalegać.

Odtąd codziennie Matylda oznajmiała, gdy zasiadałyśmy w szwalni:

- Uwaga. Odprawiamy mszę.

I wyciągnawszy z kieszeni żółtą książeczkę, zaczynała czytać mimo sprzeciwów angielskiej guwernantki, która najpierw bełkotała: „Uspokójcie się. Niegodziwe z was dziewczyny”, a potem całymi minutami, z okiem wyolbrzymionym przez okulary, wpatrywała się w te obrazki, rozplaszczając o nie nos, jakby je chciała obwąchać. Strasznie nas to śmieszyło.

Och, ta angielska guwernantka! Nigdy w życiu nie widziałam drugiej tak komicznej pijaczki. Gdy była wstawiona, robiła się czuła, sentymentalna, namiętna... zwłaszcza w stosunku do kobiet. Jej zboczenie, skrywane na trzeźwo pod maską surowości, ujawniało się wtedy w całej komicznej krasie. Ale jej żądze nie wykraczały poza sferę marzeń i nigdy nie słyszałam, by je zdołała zrealizować. Wedle wyrażenia mojej pani, Miss kontentowała się załatwianiem tych spraw „we własnym zakresie”. Doprawdy, jeszcze tylko jej brakowało w galerii zbzikowanych i rozpustnych ludzi zamieszkujących ten wzorowy, nowoczesny dom.

Którejś nocy miałam służbę i czekałam na panią, by jej usłużyć, jak wróci. Wszyscy już w domu spali, tylko ja jedna podrzemywałam w szwalni. O drugiej w nocy pani wróciła. Na dźwięk dzwonka podniosłam się i weszłam do jej sypialni. Pani stała wpatrzona w dywan na podłodze i zdejmując rękawiczki, aż się skręcała ze śmiechu.

- No proszę, Miss znowu jest kompletnie pijana – zwróciła się do mnie. I wskazała na guwernantkę, która tarzała się po dywanie z rozpostartymi ramionami, z zadartą do góry nogą, sapiąc, stękając i bełkocąc jakieś niewybredne bzdury.

- Weź się za nią – rozkazała pani. – Podnieś i zaprowadź do łóżka.

Miss była bardzo ciężka i dosłownie lała się przez ręce, więc pani raczyła mi pomóc i z wielkim

trudem udało nam się wreszcie postawić ją na nogi.

Ale Miss uczepliła się oburącz pani płaszcz i wołała do niej:

– Ja nie chcę ciebie opuścić... Ja wcale nie chcę cię opuścić... Bardzo cię kocham... moja dziecinko... jaka jesteś piękna!

– A ty, Miss – odpowiedziała pani – jesteś starą pijaczką. Idź, połóż się spać.

– Nie, nie, chcę spać razem z tobą. Chcę się do ciebie przytulać.

Przytrzymując się jedną ręką pani płaszcz, a drugą szukając jej piersi, przybliżała usta, starcze usta, usiłując ją cmoknąć oślizgłymi i mlaskającymi wargami.

– Świnka, świnka, mała świnka z ciebie. Chcę cię uścisnąć... Och, och, och!

W końcu udało mi się wyrwać panią z objęć Miss, którą jakoś wytaszczyłam z sypialni. Ale wtedy Miss przerzuciła na mnie swe gorące czułości. Mimo że ledwo trzymała się na nogach, to przecież próbowała mnie objąć, jej ręka błędziła po mnie bardziej zuchwale, i to w okolicach całkiem niedwuznacznych. Nie było wątpliwości, o co jej chodzi.

– Daj spokój, stara świntucho!

– Nie, nie... ty także jesteś piękna. Bardzo cię kocham. No, chodźże tu...

Nie wiem, jak bym się od niej uwolniła, gdyby nie torsje, które zaczęły nią miotać, jak tylko się znalazła we własnej sypialni. W ich wstrętym, cuchnącym zalewie utonęły wreszcie jej natarczywe zaloty.

Takie sceny bardzo bawiły moją panią. Bo prawdziwą uciechę mogła jej sprawiać tylko ludzka rozwiąłość, choćby najbardziej odrażająca.

Innego znów dnia przyłapałam panią, jak opowiadała którejś z przyjaciółek swoje wrażenia z wizyty w pewnym „specjalnym domu”. Byli tam poprzedniego dnia z mężem i oglądali parę obłapiających się garbusów.

– Doprawdy, warto było to zobaczyć. Ogromnie podniecające.

Och, nawet ci, co dostrzegają w istotach ludzkich jedynie pozory i cenią sobie wyłącznie zewnętrzne olśniewające formy, nie mogą mieć wątpliwości, że „górne warstwy”, ten wielki świat, to plugawa zgnilizna. Można o nich powiedzieć bez oszczerstwa, że żyją wyłącznie dla wulgarnych rozrywek i niskich uciech. Poznałam od podszewki wiele środowisk mieszczańskich i szlacheckich i bardzo rzadko dane mi było widzieć, żeby miłości towarzyszyły podniosłe uczucia, głęboka czułość, wzniosłe cierpienia, ofiary, które czynią z niej rzecz wielką i świętą.

Jeszcze słówko o pani. Wyjąwszy dni wizyt i uroczystych obiadów, pani i jej Koteczek utrzymywali bardzo poufałe stosunki z pewną ogromnie elegancką parą. Latali z nimi po teatrach, po kabaretach, zaglądali do gabinetów restauracyjnych, a nawet, jak mówiono, do jeszcze bardziej podejrzanych lokali. On był bardzo ładnym, trochę zniewieściałym mężczyzną, z twarzą niemal pozbawioną zarostu. Ona – piękną, rudowłosą kobietą o niezwykle płomiennych oczach i tak zmysłowych ustach, jakich nigdy nie zdarzyło mi się w życiu oglądać. Nikt nie wiedział dokładnie, kim jest ta para. Gdy jadal kolację we czwórkę, ich rozmowy były tak ohydnie wulgarne, że lokaj, który podawał do stołu – też przecie nie świętoszek – miał czasami ochotę cisnąć im półmiskiem w twarz. Nikt nie miał co do tego wątpliwości,

że łączą ich jakieś przewrotne, sprzeczne z naturą związku i że urządzają sobie wspólne zabawy wzorowane na ilustracjach z żółtych książeczek. Takie sprawy, nawet jeśli nie zdarzają się często, to przecież są dobrze znane. Przy czym niektórzy wcale nie urządzają orgii dla własnej przyjemności, lecz oddają się im wyłącznie ze snobizmu. Bo tego rodzaju uciechy są bardzo modne w eleganckich domach.

I któż by mógł podejrzewać moją panią o podobne skandale, ją, która przyjmowała arcybiskupów i nuncjuszy papieskich, ją której elegancję, cnotliwość, miłosierdzie oraz szykowne obiady, *smart* i wierność najczystszyom katolickim tradycjom Francji opiewano co tydzień w jednym z pism.

Niemniej, choć do syta folgowano w tym domu wszelkim sprośnościom, ja byłam tam wolna i szczęśliwa, a pani nigdy nie wtrącała się do osobistego życia służby.

Tego wieczoru zasiedzieliśmy się w kuchni dłużej niż zwykle. Pomagałam Mariannie w rachunkach. Nie mogła z nimi dojść do ładu. Przekonałam się, że i ona, jak każda ciesząca się zaufaniem służąca, to tu coś skręciła, to tam coś capnęła, gdzie się tylko dało. Miała nawet swe własne, sprytnie sposoby, ale nie zawsze potrafiła rzecz przeprowadzić do końca. Czasami gubiła się w cyfrach i to ją hamowało – bo pani natychmiast świetnie umiała się w tym połapać. Józef zmienił się w stosunku do mnie. Stał się bardziej ludzki. Teraz już raczej się odezwać od czasu do czasu. A dziś nawet nie poszedł jak zwykle do swego przyjaciela zakrystiana. I gdy ja z Marianną biedziliśmy się nad rachunkami, czytał sobie „Wolne Słowo”. To była jego gazeta. Nie dopuszczał nawet myśli, że można czytać inną. Zauważyłam, że – pogrążony w lekturze – zerknął na mnie parę razy z jakimś nowym wyrazem w oczach.

Nagle, gdy skończył czytać, zachciało mu się ni z tego, ni z owego zaznajomić mnie ze swoimi poglądami politycznymi. Ma dość Republiki, która go rujnuje i obraża jego honor. Trzeba mu szabli.

– Dopóki nie będziemy mieli szabli, i to unurzanej we krwi, nic się nie da zrobić.

Jest za religią... ponieważ... no, w końcu... przecież... jest za religią.

– Dopóki nie zostanie przywrócona religijność, dopóki nie stanie się w narodzie tym, czym była dawniej, dopóki nie zmusi się ludzi do chodzenia na mszę i do spowiedzi... nic się nie da we Francji zrobić. Tak jest, do diaska!

W komórcie, w której trzymał uprząż, zawiesił portrety papieża i Drumonta, tam zaś, gdzie sypiał, portret Déroulède'a, a w składziku na owies – Guérina i generała Merciera... morowych chłopów... patriotów... prawdziwych Francuzów! Szkoda gadać! Skwapliwie zbierał wszelkie piosenki antysemitki, kolorowe reprodukcje generałów i wszystkie karykatury tych „obrzezańców”. Gdyż Józef jest zaciekle antysemitą: Należy do wszystkich zrzeszeń religijnych, militarnych i patriotycznych w swoim departamencie. Jest członkiem Młodzieży Antyżydowskiej w Rouen, członkiem Zasłużonych Antysemitów w Louviers, a ponadto członkiem rozlicznych grup i grupki jak Narodowe Pałki, Normandzki Dzwon Alarmowy itd., itd. Kiedy mówi o Żydach, w oczach zapalają mu się złowieszcze błyski, a gesty i ruchy nabierają krwiożerczego okrucieństwa. Nigdy nie chodzi do miasta bez pałki.

– Dopóki we Francji zostanie choć jeden Żyd... nic się nie da zrobić – mówi.

I dodaje:

– Ach, gdybym ja był w Paryżu, dobry Boże! Ale bym ich mordował... palił... wypruwał flaki z tych przeklętych żydziaków. Nie ma obawy, ci zdrajcy nigdy nie zadomowią się w Mesnil-Roy. Oni dobrze wiedzą, co im wolno, te sprzedawczyki!

W swojej nienawiści wsadzał do jednego worka protestantów, wolnomularzy, wolnomyślicieli, słowem tych wszystkich łobuzów, których noga nigdy nie powstała w kościele i którzy są zresztą nikiem innym, jak tylko zamaskowanymi Żydami. Ale on sam nie jest klerykałem, jest tylko za religią, to wszystko. Jeśli zaś chodzi o tego nikczemnika Dreyfusa, niech no tylko spróbuje wrócić z tej Wyspy Diabelskiej do Francji... O, co to, to nie. Podobnie ma się rzecz z tym parszywym Zolą. Józef nie radzi mu przyjechać do Louviers z odczytem, jak o tym chodzą słuchy. Już Józefa w tym głowa. Ależ to nędzny zdrajca, ten Zola, za sześćset tysięcy franków sprzedał Niemcom i Anglikom całą armię francuską, a także całą armię rosyjską! To nie żaden dowcip... żadna plotka... Słowa rzucane na wiatr? O, nie! Józef jest tego pewien. Wie to od zakrystiana, który wie to od proboszcza, który wie to od biskupa, który wie to od papieża, który wie to od Drumonta. Ale niech no tylko ci Żydzi spróbują przyjść do Opatówki! Powitają ich wszędzie, na składziku, na spichrze, na stajni, na wozowni, na uprzęży, na kijach od mioteł, wszędzie, gdzie się tylko da, napisy wykonane ręką Józefa: „Niech żyje armia! Śmierć Żydom!”.

Marianna w milczeniu potakiwała co i raz skinieniem głowy lub jakimś gestem, gdy on nie przestawał tak zapalczywie do nas perorować. Ją pewnie także Republika rujnuje i obraża jej honor. Ona także jest za szablą, za Kościołem i przeciw Żydom... o których zresztą nic nie wie poza tym, że brak im gdzieś czegoś... jakiegoś koniuszka.

Ja, rozumie się, także jestem za armią, za ojczyzną, za religią i przeciw Żydom. Bo któż z nas, służby domowej, od maluczkich do najwyższej postawionych, nie jest wyznawcą tej pożytecznej idei? Można o służbie wszystko powiedzieć – niewątpliwie ma wiele wad – ale nie można jej zarzucić jednego: braku patriotyzmu. Podobnie jest i ze mną – polityka to nie moja specjalność, nudzi mnie. Ale proszę: na osiem dni przed moim tu przyjazdem odrzuciłam z miejsca propozycję pracy u tych Labori, którzy chcieli mnie na pannę służącą. I nie tylko ja – wszystkie koleżanki, które tego dnia znalazły się w biurze pośrednictwa pracy, także odmówiły.

– U tych żydziaków? O nie! Przenigdy!

A przecież gdy poważnie pytam samą siebie, czemu właściwie jestem przeciwko Żydom – doprawdy nie wiem, co odpowiedzieć, ponieważ dawniej, gdy jeszcze wypadało to robić bez utraty własnej godności, służyłam u nich. I w gruncie rzeczy uważam Żydówki i katoliczki za jedno i to samo. Jedne i drugie są tak samo rozpustne, mają tak samo wstrętne charaktery i tak samo szkaradne dusze. Należą do jednego świata i różnice religijne nie mają tu żadnego znaczenia. Być może Żydówki więcej się szastają, udają wielkie panie... może więcej cenią pieniądze, bardziej się z nim liczą. Lecz mimo tego, co się mówi o ich wyzysku i skąpstwie, twierdzę, że pracować u nich wcale nie jest gorzej, bo w żydowskich domach spotyka się jeszcze większe marnotrawstwo niż w katolickich.

Ale Józef nie chciał o niczym słyszeć. Zarzucił mi, że jestem lichą patriotką, złą Francuzką i przepowiadając krwawą masakrę, poszedł spać, wykrzykując coś o pogruchotanych czaszkach i wybebeszonych flakach.

Marianna natychmiast wyciągnęła z kredensu butelkę wódki. Chciałyśmy się uspokoić i zaczęłyśmy mówić o czymś innym. Marianna, z każdym dniem bardziej ufna, opowiadała mi o swoim dzieciństwie i trudnej młodości. Zbałamucił ją pewien wychowanek szkoły medycznej, gdy służyła w Caen u jakiegoś handlarza tytoniem. Chłopaczek wątlutki, szczuplutki, blondynek o niebieskich oczach, z jasną, krótko przystrzyżoną i jedwabistą bródką... och, jaką jedwabistą... Zaszła z nim w ciążę, a żona tego handlarza,

choć sama sypiała z całym garnizonem, natychmiast wyrzuciła ją ze swego domu. Znalazła się na bruku, taka młodziutka, sama w wielkim mieście i z dzieciakiem w brzuchu! Och, poznała wtedy, co to nędza. Jej przyjaciel nie miał pieniędzy. I z pewnością umarłaby z głodu, gdyby w końcu ten student nie wystarał się dla niej o bardzo specjalną pracę w szkole medycznej.

– Mój Boże, no cóż – powiedziała – w tym ich laboratorium zabijałam króliki... i wykańczałam małe prosiaczki indyjskie. Rozkoszne zajęcia...

Te wspomnienia wywołały na grubych wargach Marianny dziwnie melancholijny uśmiech, tak mi się przynajmniej wydało.

Spytałam po chwili milczenia:

– A to dziecko? Co z nim się stało?

Marianna wykonała nieokreślony, powolny gest, jakby chcąc nim rozgarnąć jakieś zasłony nad otchłanią, w której na wieki spało jej dziecko. Potem odpowiedziała schrypniętym od alkoholu głosem:

– No, a jak myślisz? Mój Boże... cóż ja mogłam z nim zrobić?

– To samo, co z tymi świnkami?

– No właśnie.

I znów dołała sobie do kieliszka.

Wróciłyśmy na górę, każda do swego pokoju, trochę podchmielone.

VII

6 października

No i już zdecydowanie jest jesień. Od przymrozków, których nie spodziewano się tak wcześnie, ostatnie dale w ogrodzie zrobiły się całkiem bure. Dale, te poczciwe dale, świadkowie nieśmiałych zalotów mego pana, są już całkiem zwarzone. Zwarzyły się również i słoneczniki, które z wysoka pełniły wartę przy kuchni. Na opustoszałych rabatach nie zostało nic prócz paru wątłych łodyg geranium, które wiją się jeszcze tu i ówdzie, oraz pięciu czy sześciu kępek astrów, lecz i one, nim całkiem zwiędną, już teraz chylą ku ziemi swe korony zbutwiałe i żałośnie wyblakłe. Kwietniki kapitana, którym dopiero co się przyjrzałam przez sztachety, spotkała prawdziwa klęska. Wszystkie rośliny przybrały kolor tabaki.

Drzewa na polach zaczynają także żółknąć i tracić liście, a niebo jest posępne. Przez cztery dni żyliśmy w gęstej, brunatnej mgle cuchnącej sadzą, która nie rozpraszała się nawet po południu. Teraz pada lodowaty, zacinający deszcz, który wzmaga się w silnych podmuchach paskudnego, północno-zachodniego wiatru.

Och, nie jest mi do śmiechu. W pokoju, gdzie sypiam, zimno jak w psiarni. Hula po nim wiatr, woda wdziera się przez szczeliny w dachu, głównie przez futryny dwóch umieszczonych tam okienek, przez które skąpo sączy się światło na to ponure poddasze. No i ten klekot obluźowanych dachówek, trzask stropowych wiązań, skrzypienie zawiasów – wszystko razem wzięte sprawia ogłuszający hałas. I choć naprawa tych wszystkich rzeczy jest natychmiast konieczna, z jakimże trudem i wysiłkiem udało mi się wymóc na pani obietnicę, że zawezwie jutro rano ślusarza. Ale dotychczas nie ośmieliłam się poprosić ją o jakikolwiek piecyk, choć wiem, że ja, taki straszny zmarzluch, nie wytrzymam zimą w tej kostnicy. Już dziś wieczorem musiałam uszczelnić futryny starymi halkami, bo deszcz i wiatr wdzierał się do pokoju. A ta chorągiewka na dachu! Akurat nad moją głową obraca się bez przerwy wokół zardzewiałej osi! W nocy wydaje tak przerażający pisk, że można by go śmiało wziąć za głos mojej pani, kiedy awanturuje się i krzyczy na korytarzu.

Ale początkowe bunty już we mnie ucichły, życie toczy się monotennie, gnuśnie i w końcu się powoli do niego przyzwyczajam, nie przysparza mi to nawet zbyt wielu cierpień duchowych. Nikt tu nigdy nie zachodzi; myślałby kto, że to jakiś wyklęty dom. Poza zwykłymi, codziennymi gospodarskimi sprawami, o których już opowiadałam, nic się tu nie dzieje. Nuda jak w rodzinnym grobie. Lecz ja tak dalece otepiałam, tak się do tego przyzwyczaiałam, że traktuję taki stan rzeczy całkiem naturalnie. Nie przeszkadza mi nawet i to, że jestem pozbawiona mężczyzny i znoszę bez bolesnego buntu niewinną, czystą egzystencję, na jaką zostałam skazana, a raczej na jaką sama się skazałam, odrzucając zaloty mego pana. Pan mnie złości, a poza tym nie mogę mu darować, że ze strachu przed panią tak mnie grubiańsko oczernił. Co wcale nie znaczy, że pan także zrezygnował i zostawił mnie w spokoju. Odwrotnie – wciąż kręci się koło mnie z szaleńczym uporem i coraz bardziej wybałusza oczy, a z ust na sam mój widok

cieknie mu ślina. Żeby się posłużyć porównaniem, które wyczytałam w jakiejś książce – już nie pamiętam w jakiej – chce w moim korycie napoić swoje żądze.

Teraz, gdy dni są coraz krótsze, pan przed kolacją przesiaduje w gabinecie, zajmując się diabli wiedzą czym. Grzebie się na przykład bez potrzeby w starych papierzykach, coś zakreśla w katalogach nasion i prospektach leków czy kartkuje z roztargnioną miną stare książki o polowaniach. Ale trzeba go widzieć, kiedy ja wchodzę wieczorem do pokoju, by, jak już robi się ciemno, pozamykać okiennice i dorzucić do ognia na kominku. Podnosi się, kaszle, kicha, parska, przewraca różne przedmioty, potrąca meble, usiłując w głupi sposób zwrócić na siebie uwagę. Można pęknać ze śmiechu. A ja udając, że niczego nie widzę, niczego nie słyszę i nic nie rozumiem z jego dziecinnych małpizjonerii, wychodzę milcząca, wyniosła, jakbym w ogóle nie dostrzegała jego obecności.

Wszelako wczoraj wieczorem wymieniliśmy ze sobą te oto słowa:

– Celestyno!

– Pan sobie czegoś życzy?

– Celestyno, jesteś niedobra dla mnie. Dlaczego jesteś dla mnie taka niedobra?

– Przecież pan dobrze wie, jaka ze mnie wywłoka...

– No, nie... No, co ty...

– ...że choruję na brzydką chorobę...

– Ależ, Celestyno, no wiesz, Celestyno! Wysłuchaj mnie, proszę!

– A gównu!

Przysięgam, że tak było! Tak mi się wypsnęło to słowo i rzuciłam je panu w twarz bez żadnych ogródek. Mam tego dość. Już mnie nie bawi kokietowanie, zawracanie mu w głowie. Wcale nie zamierzam go w sobie rozkochać!

Nic mnie tu nie bawi. Ale najgorsze, że jednocześnie nic mnie tu nie wścieka. Czyżby to się brało z tej śmierdzącej prowincji, z wiejskiej ciszy, ze zbyt tłustego i ciężkiego jedzenia? Naszło na mnie jakieś otępienie, które ma wszakże swoje uroki. A w każdym razie stępnia wrażliwość, paraliżuje marzenia i pomaga znosić bezczelność mojej pani i jej wrzaski. Temu otępieniu zawdzięczam również, że wieczorne pogaduszki z Marianną i Józefem dają mi pewne zadowolenie. Józef przestał w ogóle wychodzić po kolacji i twardo siedzi z nami, wygląda na to, że sprawia mu to przyjemność. A ja, kiedy pomyślę, że Józef, kto wie, może się nawet i we mnie zakochał... schlebia mi owo przypuszczenie. Taką już mam naturę, mój Boże, jak ja nisko upadłam! A poza tym czytam i czytam. Przeczytałam raz jeszcze powieści Paula Bourgeta. Lecz jego książki teraz mnie tak nie pasjonują jak niegdyś, a nawet nudzą, uważam, że są kłamliwe i brzmią fałszywie. Poczęte zostały w tym stanie ducha, który znam dobrze, ponieważ kiedyś sama doznałam olśnienia i fascynacji w zetknięciu z bogactwem i zbytkiem. Ale przeszło mi... już nie budzi to we mnie podziwu. Za to ciągle wprawia w podziw Paula Bourgeta. Och teraz nie byłabym już taka naiwna, by prosić go o wyjaśnienie jakichkolwiek psychologicznych zawiłości, bo wiem lepiej od niego, co kryje się za kotarą salonu i pod suknią z koronek.

Natomiast zupełnie nie umiem się pogodzić z faktem, że nie otrzymuję żadnych listów z Paryża. Każdego ranka, gdy przychodzi listonosz, czuję lekkie ukłucie w sercu, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem

przez wszystkich opuszczona, i tym mierzę rozmiary mej samotności. Na próżno pisałam do moich dawnych koleżanek, a przede wszystkim do pana Jana, ponagłające, pełne goryczy listy, na próżno błagałam, żeby się mną zajęli i wyrwali z tego piekła, by mi znaleźli w Paryżu byle jakie, najskromniejsze nawet miejsce. Żadne nie odpowiedziało mi ani słowem. Nigdy nie byłabym uwierzyła w taką obojętność, w taką niewdzięczność...

Więc siłą rzeczy uczepliłam się jeszcze mocniej jednego, co mi pozostało: wspomnień i przeszłości, Wspomnień, w których mimo wszystko radość góruje nad cierpieniem – przeszłości, która przywraca mi nadzieję, że nie wszystko jeszcze dla mnie skończone i że uda mi się przewyciężyć przelotne niepowodzenia. I dlatego teraz, gdy siedzę sama w pokoju, widząc jasno całą ohydę mojej obecnej egzystencji, a obok chrapie Marianna, staram się stłumić te poniżające odgłosy szelestem dawnych, szczęśliwych dni i namiętnie roztrząsam wciąż na nowo przeszłość, by móc z jej rozproszonych fragmentów odbudować raz jeszcze złudzenie przyszłości.

Akurat dzień dzisiejszy, 6 października, to data pełna wspomnień. Minęło już pięć lat od owego dramatu, o którym chcę opowiedzieć, każdy szczegół staje mi przed oczami jak żywy.

Ten dramat łączy się z osobą już nieżyjącą, z biednym, młodziutkim chłopcem, łagodnym i pięknym, którego ja zabiłam, obdarzając go nadmiarem pieśczości i radości, nadmiarem życia. Od pięciu lat, to znaczy od dnia, gdy umarł – przeze mnie – po raz pierwszy 6 października nie pójdę na jego grób z kwiatami, tak jak dotąd co roku. Ale z tych kwiatów, których dziś nie poniosę na jego grób, uwiję o wiele bardziej trwałe bukiet, który ozdobi i otoczy wonią jego drogą pamięć lepiej niż cmentarna wiązanka. Bo te kwiaty uzbieram w ogrodzie mego serca... w ogrodzie mego serca, gdzie wschodzą nie tylko śmiertelne kwiaty rozpusty, ale gdzie również rozchylają pąki piękne, białe lilie miłości.

To była sobota, dokładnie pamiętam. W biurze pośrednictwa – dokąd od ośmiu miesięcy przychodziłam regularnie każdego ranka w poszukiwaniu pracy – tego właśnie dnia przedstawiono mnie jakiejś starej damie w ciężkiej żałobie. Nigdy dotąd nie spotkałam tak miłej twarzy, tak łagodnego uśmiechu, tak swobodnego sposobu bycia, tak prostych manier – nigdy nie słyszałam słów bardziej ujmujących. Powitała mnie z taką uprzejmością, że od razu zrobiło mi się ciepło na sercu.

– Moje dziecko – powiedziała – pani Paulhat-Durand (to ta pośredniczka) chwali cię ogromnie. Wierzę, że na to zasługujesz, bo masz buzię inteligentną, szczerą i wesołą. Bardzo mi się spodobałaś. Szukam osoby godnej zaufania i zdolnej do poświęceń. Poświęcenie! Och, wiem, że mówiąc to, domagam się rzeczy bardzo trudnej, bo w końcu nie znasz mnie i nie ma żadnego powodu, żebyś się miała dla mnie poświęcać. Chcę ci jednak wyjaśnić, w jakim się znalazłam położeniu. Lecz nie stój tak, moje dziecko, podejdź i usiądź tu koło mnie.

Wystarczy, by ktokolwiek odezwał się do mnie łagodnie, żeby potraktował mnie nie jak istotę spoza ludzkiej społeczności, nie jak coś pośredniego między psem a papugą, a od razu czuję, że odżywa we mnie na nowo dusza dziecka. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapominam o wszystkich urazach, wszystkich nienawiściach i buntach i czuję w stosunku do osób, które zwracają się do mnie po ludzku, samo oddanie i miłość. Wiem również z doświadczenia, że tylko ludzie nieszczęśliwi traktują cierpienie biedaków na równi z własnym. W dobroci ludzi szczęśliwych jest zawsze jakaś pycha i rezerwa.

Jak tylko siadłam obok tej czcigodnej damy w żałobie, już wiedziałam, że ją Kocham... Kocham naprawdę.

Westchnęła:

– Niewesołą pracę mam ci do zaproponowania, moje dziecko.

Zaprzeciłam żywo i ze szczerym zapałem, co nie uszło jej uwagi:

– To nie ma znaczenia, proszę pani. Uczynię wszystko, czego pani ode mnie zażąda.

I to była prawda. Byłam gotowa na wszystko.

Podziękowała mi dobrym, czułym spojrzeniem i podjęła na nowo.

– Otóż widzisz, życie ciężko mnie doświadczyło. Straciłam wszystkich moich bliskich, pozostał mi jedynie wnuczek, a i on również jest zagrożony okrutną chorobą, na którą tamci zmarli.

Bała się wymówić nazwy tej okropnej choroby, określiła ją tylko gestem, składając na piersi starczą dłoń w czarnej rękawiczce... i skarżyła się jeszcze bardziej bolesnym tonem:

– Biedny mały. To urocze dziecko, istota godna uwielbienia, w której umieściłam swe ostatnie nadzieje. Bo poza nim nie mam już nikogo. Cóż ja sama pocznę na tym świecie, mój Boże!

Jej źrenice zasnuły się mgłą łez. Osuszyła je ukradkiem, przytykając do oczu chusteczkę, i ciągnęła dalej:

– Lekarze zapewniają, że można go ocalić... że nie jest jeszcze poważnie zagrożony. Przepisali mu kurację, po której spodziewają się wiele dobrego. Jerzy powinien codziennie po południu brać morską kąpiel, a właściwie zanurzać się na chwilę w morzu. Potem należy mu nacierać całe ciało włosianą rękawiczką, by pobudzić krążenie krwi... potem trzeba go zmusić do wypicia kieliszka wina... a potem powinien leżeć co najmniej godzinę w dobrze wygrzanym łóżku. Pragnę, moje dziecko, żebyś to ty spełniała te wszystkie czynności. Ale zrozum mnie dobrze: nade wszystko trzeba mu młodości, uroku, wesołości, życia. Tego brak mu w moim domu najbardziej. Mam dwóch służących, bardzo oddanych, ale obaj są starzy, smutni i zdziwaczali. Jerzy nie może ich ścierpieć. A przecież i ja sama, z moją starą posiwiąłą głową, stale w żałobnym stroju, na pewno... czuję to... przygnębiam Jerzego. Co gorsze, czasami nie umiem ukryć przed nim swych obaw. Ach, wiem, że to może nie jest stosowna rola dla młodej, takiej jak ty, dziewczyny, przy równie młodym chłopcu, jakim jest Jerzy, bo on, mój Boże, ma zaledwie dziewiętnaście lat. Ludzie pewnie będą mi to mieli za złe. Ale cóż mnie obchodzą ludzie? Obchodzi mnie tylko mój biedny chory chłopiec... a poza tym mam do ciebie zaufania. Wydaje mi się, że jesteś uczciwą kobietą.

– Ależ tak, proszę pani! – wykrzyknęłam, już z góry pewna, że jestem czymś w rodzaju świętej, którą odnalazła zrozpaczona babcia, chcąc uratować swego wnuka.

– A on... biedny chłopiec... Wielki Boże!... W. jego stanie... W jego stanie... Widzisz... być może bardziej od kąpiele morskich potrzebne mu jest, by nigdy nie pozostawał sam, żeby mógł sobie popatrzeć na ładną buzię, młody, wesoły uśmiech... Potrzeba mu kogoś, kto potrafi oddalić od niego myśl o śmierci i przywróci mu wiarę w życie. Zgadzasz się?

– Zgadzam się, proszę pani – powiedziałam wzruszona i do głębi wstrząśnięta. – Może być pani spokojna... będę dobrze pielęgnowała pana Jerzego.

Uzgodniłyśmy, że podejmem pracę tego samego dnia wieczorem, a nazajutrz wyjedziemy razem do

Houlgate, gdzie owa dama w żałobie wynajęła już piękną willę, tuż przy plaży.

Babcia nie kłamała. Pan Jerzy był uroczym dzieckiem, godnym współczucia. Jego twarz, pozbawiona zarostu, była wdzięczna jak u pięknej kobiety. Kobięce były także leniwe gesty, wąskie dłonie, bardzo białe i delikatne, z prześwitującą przez skórę siatką niebieskich żyłek. Ale za to – cóż za płomienne oczy! Cóż za źrenice, trawione posępnym ogniem, ciemne, można by o nich rzec, że osmalił je płomień spojrzenia. Zdawały się siedliskiem siły, myśli, namiętności, wrażliwości, inteligencji i wewnętrznego życia. Chociaż śmierć zdążyła już położyć swe krwawe piętno na jego policzkach, mogłoby się zdawać, że to nie z choroby, nie ze śmierci umiera, ale z nadmiaru życia, z gorączki życia, która płonęła w nim, trawiąc wnętrze, wysysając ciało. Och, jaki był piękny, jaki cierpiący, gdy mu się tak przyglądałam! Kiedy po raz pierwszy weszłam wprowadzona przez babcię do jego pokoju, leżał wyciągnięty na kozetce i trzymał w dłoniach biały, bezwonny kwiat. Przyjął mnie nie jak służącą, lecz prawie jak przyjaciółkę, której właśnie oczekiwał. A ja, ja od pierwszej chwili przylgnęłam do niego całą duszą...

Urządziliśmy się w Houlgate bez żadnych trudności, a i podróż przeszła nam gładko. Pozostało tylko objąć w posiadanie willę przestronną, elegancką, wesołą i pełną światła. Od plaży dzielił ją jedynie taras, na którym rozstawiono wiklinowe fotele i różnobarwne parasole. Do morza schodziło się po schodach ułożonych z kamieni, takich samych, z jakich zbudowano groble. W godzinach przyływu fale podchodziły ze śpiewem aż do pierwszego schodka. Na parterze, w pokoju pana Jerzego, ogromne okno otwierało wspaniały widok na morze. Mój pokój – przedtem sypialnia właścicielki, obita jasnym kretonem – znajdował się na wprost pokoju pana Jerzego, po drugiej stronie korytarza, i wychodził na ogród, gdzie rosło kilka mizernych trzmielin i jeszcze mizerniejszych róż. Jak wyrazić słowami moją radość, moją dumę, wzruszenie i nieznaną mi dotąd niewinną pychę, gdy zaczęto mnie tu traktować jak jakąś damę, pozwalając korzystać z wszelkich wygód, a nawet i luksusów, przede wszystkim zaś pozwolono uczestniczyć, o czym zawsze na próżno marzyłam, w życiu rodzinnym. Jak tu wyjaśnić, że stało się to wszystko tak nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jak za sprawą dobrej bogini, że łaska ludzkiej dobroci spłynęła na mnie całkiem nieoczekiwanie, a ja natychmiast zapomniałam o dawnych upokorzeniach i podjęłam nowe obowiązki w pełnym poczuciu ludzkiej godności, do której wreszcie dano mi prawo – nie, nie potrafię tego wyrazić... ująć słowami. Mogę jedynie powiedzieć, że doznałam prawdziwie magicznego przeobrażenia. Nie tylko lustro przyświadczało, że z dnia na dzień stawałam się ładniejsza, ale również i moje serce mówiło mi, że doprawdy jestem teraz lepsza. Odkrywałam w sobie coraz to nowe źródła, coraz nowe, coraz nowe... źródła niewyczerpane... źródła tryskające bez przerwy... poświęceniem, bohaterstwem... myślałam już tylko o jednym: jak uratować pana Jerzego, siłą, wolą, staranną opieką, niesłabnącym ani na chwilę oddaniem, jak go uratować, jak ocalić od śmierci.

Wierząc niezachwianie we własne siły, we własną moc, która go uzdrowi – mówiłam, krzyczałam do jego nieszczęsnej babci, bezustannie pogrążonej w rozpacz, płaczącej całymi dniami obok w salonie:

– Niech pani przestanie płakać... uratujemy go... Przysięgam pani, że go uratujemy!

I faktycznie już po piętnastu dniach pan Jerzy czuł się o wiele lepiej. Nastąpiła znaczna poprawa w jego stanie zdrowia. Ataki kaszlu chwytaly go rzadziej i były słabsze, apetyt i sen poprawiły się. W nocy przestały go zalewać te straszliwe, zimne poty, po których rankiem był zupełnie rozbity i bez tchu. Poprawiło mu się na tyle, że mógł już bez nadmiernego zmęczenia odbywać ze mną długie przejażdżki powozem i niewielkie piesze spacerki. To było niemal zmartwychwstanie. Panowała bardzo piękna

pogoda, wciąż jeszcze upalne powietrze łagodził morski wiaterek, toteż większa część dnia – jeśli się nigdzie nie wybieraliśmy – upływała nam na tarasie, gdzie w cieniu markizy czekaliśmy na godzinę kąpieli, na „moczenie w wodzie”, jak to wesoło określał pan Jerzy. Bo był wesoły, zawsze wesoły, nigdy nie mówił o swojej chorobie. Jestem całkiem pewna, że przez te wszystkie dni nie wymówił ani razu strasznego słowa: śmierć. Za to bawiła go ogromnie moja gadanina i nawet często zachęcał mnie do niej, a ja – ufając jego spojrzeniu, czując oparcie w jego sercu, porwana jego wielkodusznością – mówiłam wszystko, co mi tylko przychodziło do głowy, paplałam jakieś żarciki, głupstewka, nuciłam piosenki. Zwierzałam mu wszystko, nie tając zbytnio prawdy: moje wczesne dzieciństwo, pierwsze pragnienia, pierwsze nieszczęścia, moje marzenia i bunty; opisywałam różne domy, w których służyłam, śmiesznych lub podłych chlebodawców, a on – mimo że taki młodziutki, taki oddalony od świata, żyjący ciągle w izolacji – wiedziony cudownym darem odgadywania, a chorzy go mają, rozumiał wszystko i znał życie. Nawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń, która dała mu oparcie w samotności. Do narodzin tej przyjaźni przyczyniły się przede wszystkim w sposób niejako samorzutny owe wymagające wielkiej poufałości zabiegi, które codziennie stosowałam, starając się ożywić jego martwiejące ciało. Byłam o wiele szczęśliwsza, niż potrafię to wyrazić, a przy tym mój umysł rozwijał się i kształcił w ciągłym kontakcie z jego umysłem.

Pan Jerzy uwielbiał wiersze. Na tarasie przy akompaniamencie poszumu wiatru lub wieczorem w sypialni prosił, bym mu czytała długimi godzinami poematy. Victora Hugo, Baudelaire’a, Verlaine’a, Maeterlincka. Często przymykał oczy i leżał całkiem nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Milkłam wówczas, sądząc, że usnął. Ale on uśmiechał się i mówił:

– Czytaj dalej, maleńka. Ja nie śpię, lecz kiedy mam zamknięte oczy, lepiej słyszę te wiersze... Lepiej słyszę twój głos... A twój głos jest uroczy...

Ale czasem sam mi przerywał. W skupieniu, powoli, wydłużając każdą zgłoskę, recytował wiersze, które mu się najbardziej podobały, które najwięcej lubił, a przy tym starał się – och, jakże go za to kochałam! – starał się recytować je tak, by stały się dla mnie zrozumiałe, bym mogła odczuć ich piękno.

Któregoś dnia powiedział mi (przechowuję te słowa w pamięci niczym jaką relikwię):

– Wiesz, co w wierszach jest najwznioślejsze? To właśnie, że wcale nie trzeba być uczonym, by je rozumieć i by je kochać. Wręcz przeciwnie: uczeni nie rozumieją wierszy i najczęściej pogardzają nimi, gdyż w tych uczonych jest zbyt wiele pychy. Żeby kochać wiersze, wystarczy mieć duszę, ufną duszyczkę, rozchyloną jak kielich kwiatu. Poeci przemawiają do duszy prostaczków, do nieszczęśliwych i chorych. I dlatego są nieśmiertelni. Widzisz, wystarczy mieć w sobie nieco wrażliwości, aby samemu stać się po części poetą. Ty też, Celestyno, nieraz mówiłaś mi takie rzeczy, które są piękne jak wiersze.

– Ach, panie Jerzy... Pan chyba sobie ze mnie żartuje?

– Ależ ja wcale nie żartuję. Sama nie wiesz, jak piękne rzeczy mi opowiadałaś... I to właśnie jest cudowne...

To były niezrównane godziny i cokolwiek los mi szykuje, będę je błogosławić i opiewać w mym sercu aż do samej śmierci.

Doznawałam niewymownej słodyczy, czując, że staję się jakby inną istotą, że jestem świadkiem – jeżeli tak można rzec – rodzenia się we mnie, objawiania jakichś spraw przedtem nieznanych, które jednak musiały tkwić w mojej naturze. I jeśli dzisiaj – mimo wszelkich niepowodzeń, mimo że zło znów

wzięło we mnie górę, odżyło na nowo – zachowałam jednak, na przekór wszystkiemu, namiętne upodobanie i pęd do rzeczy, które przewyższają zarówno moje środowisko, jak i mnie samą; jeśli chcąc znów zawierzyć spontanicznym odruchom własnej natury, ja, prostaczka w każdej dziedzinie, ośmielałam się pisać ten dziennik – wszystko to zawdzięczam tylko i jedynie panu Jerzemu.

O tak – byłam szczęśliwa! Szczęśliwa przede wszystkim dlatego, że widziałam, jak mój uroczy pacjent powolutku się odradza... jak ciało jego się zaokrągliło, a twarz rozkwita na nowo pod naporem ożywczych soków. Byłam szczęśliwa i radosna, bo nadzieja, pewność szybkiego wyzdrowienia pana Jerzego udzieliła się także całemu domowi, a przecież nikt inny tylko ja byłam teraz tego domu królową i dobrą wróżką. Ten niepojęty cud wszyscy łączyli z moją osobą, przypisywali moim umiejętnym zabiegom, czujnemu oddaniu, a nade wszystko temu, że byłam wesoła, młoda, pełna uroku, co tak zadziwiająco podziało na pana Jerzego. Poczciwa babcia dziękowała mi bez przerwy, zasypywała wyrazami wdzięczności, błogosławieństwami i podarunkami... niczym jaką mamkę, której powierzono do wykarmienia ma pół żywe dziecko – a ona swym mlekiem czystym i zdrowym uzdrowiła cały jego organizm... wróciła uśmiech i życie.

Czasem, zapominając o swojej pozycji, ujmowała moje dłonie, głaszcząc je i pieszcząc, i ze łzami szczęścia w oczach mówiła:

– Byłam tego pewna, o tak, jak tylko cię tam zobaczyłam, byłam tego całkiem pewna.

I od razu projektowała wyjazdy do słonecznych krajów... do tonących w różach wiejskich dworców.

– Nie opuścisz nas już nigdy, moje dziecko?

Jej przesadne uwielbienie zawstydzalo mnie niekiedy, lecz w końcu uwierzyłam, że na nie zasługuję. Gdybym chciała, jak pewnie wielu na moim miejscu, mogłabym nadużywać jej wielkoduszności. Co by się wtedy działo!

Ale to, co musiało się stać, stało się.

Tego właśnie dnia panował wielki upał, powietrze było duszne, burzliwe. Nad ołowianym morzem, gładkim jak stół, kłębiły się nisko zwisające chmury, ciężkie i rude – ale burza jakoś nie mogła się zebrać. Pan Jerzy nie wyszedł nawet na taras, siedzieliśmy oboje w jego sypialni. Był bardziej nerwowy niż zwykle, pewnie ta jego nerwowość brała się z naładowanej elektrycznością atmosfery, nie chciał nawet, żebym mu czytała wiersze.

– To by mnie zmęczyło – powiedział. – A poza tym czuję, że czytałabyś dzisiaj bardzo źle.

Przeszedł do salonu i próbował trochę pograć na fortepianie. Ale fortepian natychmiast go rozdrażnił, więc wrócił z powrotem do sypialni i tam, w nadziei, że może to zdoła go rozerwać, kreślił przez chwilę, spoglądając co i raz na mnie, jakieś kobiece sylwetki. Lecz szybko porzucił papier i ołówek, narzekając ze zniecierpliwieniem:

– Nie mogę... nie idzie mi dzisiaj. Ręka mi drży... Sam nie wiem, co mi jest... Ale i z tobą też coś się dzieje... Nie rozumiem... Nie możesz usiedzieć w miejscu.

Wreszcie wyciągnął się na kozetce tuż obok wielkiego okna, przez które widać było rozległy przestwór morza. Kutry rybackie uciekając przed burzą, która nadal groziła, zawracały do portu w Trouville. Roztargnionym wzrokiem spoglądał na ich manewry! na szare żagle.

Pan Jerzy mówił prawdę, nie mogłam usiedzieć w miejscu. Wierciłam się, kręciłam, chcąc wynaleźć

coś, co potrafiłoby go rozerwać. Naturalnie niczego nie wymyśliłam, a moja bezcelowa krzątania nie wpływała uspokajająco na chorego.

– Dlaczego tak się kręcisz? Dlaczego jesteś taka nerwowa? Usiądź przy mnie.

Spytałam go:

– Czy miałby pan ochotę znaleźć się na którymś z tych kutrów? Bo ja tak.

– Po co mówisz, żeby tylko mówić? Dlaczego zadajesz mi niepotrzebne pytania? Lepiej posiedź przy mnie.

Ledwie jednak usiadłam koło niego, a już widok morza stał się dlań nie do zniesienia i pan Jerzy zażądał, żebym opuściła zasłonę.

– To mętne światło mnie drażni... i to morze jest okropne. Nie chcę na nie patrzeć... Chcę patrzeć tylko na ciebie.

Skarciłam go łagodnie:

– Och, panie Jerzy, ależ pan jest dzisiaj niespokojny. To niedobrze. Jakby babcia zobaczyła pana w takim stanie, znów by płakała.

Uniósł się trochę na poduszkach:

– A właściwie czemu ty mi mówisz „panie Jerzy”? Wiesz, że mi to sprawia przykrość.

– Nie mogę przecież mówić do pana „panie Gastonie”!

– Mów do mnie po prostu „Jerzy”... Och, niedobra!

– Nie, nigdy bym się na to nie zdobyła.

Westchnął tylko.

– A to ciekawe. Więc w dalszym ciągu czujesz się biedną, małą niewolnicą?

Potem umilkł. Przez resztę dnia na przemian denerwowaliśmy się lub milczeli, ale w tym milczeniu także kryło się zdenerwowanie, co było jeszcze cięższe do zniesienia.

Wieczorem, już po kolacji, burza wreszcie wybuchła. Zerwał się gwałtowny wiatr, morze zaczęło walić w groblę z potężnym, głuchym łomotem. Pan Jerzy nie chciał się położyć. Czuł, że nie będzie mógł zasnąć, a w łóżku bezsenna noc jeszcze bardziej się dłuży. Więc wyciągnął się na kozetce, ja zaś siedziałam przy stoliku, na którym paliła się osłonięta abazurem lampa, roztaczając wokół nas różowe, łagodne światło. Nie odzywaliśmy się do siebie słowem. Mimo że oczy błyszczały mu bardziej niż zwykle, pan Jerzy wydawał się teraz jakby spokojniejszy, a różowy blask lampy ożywiaił jego cerę, uwypuklając w świetle delikatne, zachwycające rysy jego twarzy. Byłam zajęta jakąś ręczną robótką.

Nagle odezwał się:

– Odłóż na chwilę tę robótkę, Celestyno, i podejdź do mnie.

Zawsze spełniałam każde jego życzenie i każdy kaprys. Już mu się nieraz zdarzały wybuchy przesadnego zachwytu, przesadnego uwielbienia, ale kładłam je na karb wdzięczności. Więc i teraz, posłuszna jak zwykle, podeszłam do niego.

– Przysuń się bliżej... jeszcze bliżej – szepnął.

A potem:

– A teraz daj mi rękę,

Z całą ufnością pozwoliłam mu ująć moją dłoń i pozwoliłam ją pieścić.

– Jaką masz piękną rękę... I jakie masz piękne oczy. Jesteś taka piękna... Wszystko w tobie jest piękne, wszystko.

Często mówił mi, jaka jestem dobra – ale nigdy nie powiedział, że jestem ładna... W każdym razie nigdy nie mówił tego z takim wyrazem twarzy. Zaskoczona, lecz w głębi duszy zachwycona jego słowami, które wyrzekł nieco zadyszany i poważnym głosem, cofnęłam się odruchowo.

– Nie, nie... nie uciekaj. Usiądź tu obok. Zostań przy mnie. Sama nie wiesz, jak mi jest dobrze, kiedy jesteś przy mnie blisko... jak mnie twoja bliskość ogrzewa. Spójrz: już zupełnie nie jestem zdenerwowany, nie jestem niespokojny... już wcale nie jestem chory... czuję się zadowolony... czuję się szczęśliwy... bardzo... bardzo szczęśliwy.

I objąwszy mnie nieśmiało wpół, zmusił, bym usiadła obok niego na kozetce. I spytał:

– No co, czy tak nie jest ci dobrze?

Ale ja w dalszym ciągu nie czułam się pewnie. Oczy płonęły mu jeszcze większą namiętnością. Głos drżał coraz bardziej, o, dobrze znam to drżenie. Tylko gwałtowne pożądanie wprawia głos mężczyzny w takie drżenie. Byłam bardzo przejęta, całkiem bezwolna... kręciło mi się trochę w głowie. Ale powzięłam mocne postanowienie, że się przed nim obronię, a przede wszystkim, że obronię go przed nim samym, i odpowiedziałam z łobuzerską miną:

– Ależ tak, panie Jerzy, jest mi tak bardzo niewygodnie. Niech pan mnie puści, chcę wstać.

Jego ramię nadal obejmowało mnie wpół.

– Nie, nie... proszę cię. Bądź dla mnie miła.

I tonem pieszczotliwej słodyczy, której nie potrafię oddać, dorzucił:

– Cała drżysz ze strachu. I czegoż to się tak boisz?

I jednocześnie zbliżył do mnie twarz, poczułam jego gorący oddech... powiało wonią kadzidła... zionęło śmiercią.

Niewypowiedziana trwoga ścisnęła mi serce, krzyknęłam:

– Panie Jerzy, ach, panie Jerzy! Niech mnie pan puści! Czy pan się chce znów rozchorować? Błagam pana, miech mnie pan puści, proszę!

Nie odważyłam się z nim szamotać – był przecież tak słaby i kruchy. Próbowalam tylko – a i to bardzo ostrożnie – odsunąć jego rękę... tę niezręczną, nieśmiałą, drżącą rękę, którą starał się rozpiąć mój stanik, dosięgnąć piersi. Ciągle powtarzałam:

– Niech mnie pan puści... To straszne, co pan robi, panie Jerzy... Niech mnie pan puści...

Zmęczył go wysiłek, jakiego musiał dokonać, by mnie do siebie przytulić. Uścisk ramion zaczął szybko słabnąć. Przez chwilę oddychał z wyraźnym trudem, potem zaczął nim wstrząsać suchy kaszel.

– No sam pan widzi, panie Jerzy – powiedziałam łagodnie, tonem matczynego wyrzutu. – Chce się pan znów rozchorować dla przelotnej uciechy? Nie słucha się mnie pan i trzeba będzie znów zaczynać wszystko od początku. Bardzo by się panu potem pogorszyło. Niechże pan będzie rozsądny, błagam pana. A jeśli chce pan teraz być naprawdę miły, to wie pan co? Niech pan się od razu położy do łóżka.

Cofnął rękę, którą mnie obejmował, i wyciągnął się na kozetce, a kiedy wsuwałam mu pod głowę

poduszkę, która upadła na ziemię, wyszeptał ze smutkiem:

– Właściwie, masz słuszość. Proszę, wybacz mi.

– Nie musi mnie pan prosić o wybaczenie, panie Jerzy. Powinien pan tylko leżeć spokojnie.

– Tak, tak – mruknął, wpatrując się w sufit, gdzie lampa rzucała ruchomy krąg światła. – Musiałem być szalony, myśląc choć przez chwilę, że mogłabyś być moją... ja przecież nigdy nie zaznałem miłości... ja nigdy nie zaznałem niczego... poza cierpieniem... Więc dlaczego miałabyś mnie pokochać? Mnie miłość do ciebie uzdrawia... Od kiedy jesteś przy mnie, od kiedy cię pożadam... od kiedy tu jesteś... taka młoda... taka świeża... twoje oczy... twoje ręce... twoje jedwabiste rączki, których dotknięcie jest dla mnie słodką pieszczotą... od kiedy śnię tylko o tobie... czuję w duszy i ciele przypływ nowych sił... czuję, jak zaczyna we mnie kipieć nowe życie. To znaczy, chciałem powiedzieć, że wszystko to czułem... bo teraz... Zresztą, cóż chcesz? Byłem szalony... A ty... ty... masz słuszość.

Byłam bardzo zakłopotana, nie wiedziałam, ani co mam powiedzieć, ani jak mam postąpić. Gwałtowne i sprzeczne uczucia targały mną z całej siły. Jakiś poryw popychał mnie ku niemu... święty zaś obowiązek kazał się oddalać. A ponieważ sama ze sobą nie byłam szczerą, ponieważ nie mogłam być całkiem szczerą w tej walce, którą toczyły we mnie z równą siłą uczucie i obowiązek, więc tylko wykrztusiłam z siebie:

– Panie Jerzy, proszę być rozsądnym... Niech pan przestanie myśleć o tych szaleństwach. To panu tylko zaszkodzi. Doprawdy, niech pan będzie miły, niech pan będzie rozsądny...

Lecz on powtarzał:

– Dlaczego miałabyś mnie pokochać? Doprawdy, masz słuszość, że nie chcesz mnie kochać. Wiesz, że jestem chory. Boisz się, że zakażę twoje usta moim jadem... że zarażę cię chorobą... śmiertelną chorobą, prawda? Boisz się, że mój jeden, jedyny pocałunek może cię zarazić... I masz słuszość...

Okrutna niesprawiedliwość tych słów ugodziła mnie prosto w serce.

– Proszę tak nie mówić, panie Jerzy – krzyknęłam do głębi oburzona. – To okropne i podłe, co pan przed chwilą powiedział. Zbyt mocno mnie pan zranił... Zbyt mocno...

Pochwyciłam jego dłonie... były wilgotne i rozpalone. Pochyliłam się nad nim – z jego chrapliwego oddechu buchało żarem niczym z kuźni.

– To straszne... straszne.

Ciągnął dalej:

– Jeden twój pocałunek mógłby mnie odrodzić, przywrócić do życia. Och, więc naprawdę wierzyłaś w te kąpiele... w tę włosianą rękawicę? Biedactwo! Przecież kąpałem się w twojej miłości... przecież spijałem wino twojej miłości i tylko ten lek sprawił, że w żyłach zaczęła mi krążyć krew. Bo tak pragnąłem, tak łaknąłem, tak czekałem twego pocałunku... i to, tylko to wróciło mi życie, siły. Teraz jestem naprawdę silny. Ale nie winie cię za to, że mi swego pocałunku odmawiasz... Masz rację, że mi go odmawiasz. Rozumiem cię... rozumiem. Jesteś przecież zalęknioną duszyczką, której braknie odwagi, ptaszkiem, co śpiewa to na tej, to znów na innej gałęzi, a potem płoszy go najlżejszy szelest i odlatuje... fru... fru... fru...

– To straszne, co pan mówi, panie Jerzy.

Ale on ciągnął dalej, mimo że błagalnie załamywałam ręce:

– A czemuż to ma być straszne? Wcale nie jest straszne: to tylko słuszne. Myślisz, że jestem chory. Uważasz, że miłość pogłębia chorobę. I nie wiesz, że miłość to właśnie samo życie. Życie wieczyste. Tak, tak, ja wszystko rozumiem... Wyobrażasz sobie, że ten pocałunek, który dla mnie stanowi życie, tobie może przynieść śmierć... Nie mówmy o tym więcej.

Nie mogłam już tego dłużej słuchać. Czy to była litość? A może jednak lęk, o którym mówiły jego raniące zarzuty, gorzkie wymówki, okrutne i bluźniercze słowa? A może najzwyczajniej zawładnęła mną nagle gwałtowna i dzika żądza? Kto wie, czy nie wszystko na raz, wszystko jednocześnie. Wiem tylko, że osunęłam się bezwładna na kozetkę i tuląc w dłoniach jego uwielbianą, cudowną buzię dziecka, krzyknęłam w szaleńczym zapamiętaniu:

– Masz, niegodziwy! Widzisz, jak się boję... spójrz no tylko, jak ja się boję!

I przywarłam wargami do jego warg, i z taką zajadłą wściekłością rozwarłam moimi zębami jego zęby, iż wydało mi się, że mój język przeniknął aż do samej głębi jego płuc i sięgnął ich ran – by je wylizać, by wysssać z nich zatrutą krew i ropę. Rozpostarł ramiona, a potem objął mnie.

I stało się to, co miało się stać.

Bo im dłużej się zastanawiam, tym bardziej jestem pewna, że tym, co kazało mi rzucić się w ramiona pana Jerzego, wpić wargami w jego wargi, był przede wszystkim i jedynie odruch protestu... Chciałam zadać kłam niskim pobudkom, o które mnie pan Jerzy pomawiał, dopatrując się w nich, być może z celową przebiegłością, przyczyny mego oporu. Tymczasem z mojej strony był to akt żarliwej litości, bezinteresownej i bardzo czystej. Chciałam mu o tym powiedzieć: „Nie, nie uważam, żebyś był chory... nie, ty nie jesteś chory. A na dowód tego nie waham się ani przez chwilę połączyć naszych warg, połączyć naszych oddechów... piję twój oddech, napełniam nim płuca, sączę w całe ciało. A gdybyś był naprawdę chory? Nawet gdyby twoja choroba była zaraźliwa i groziła śmiercią każdemu, kto się do ciebie zbliży, to i tak nie chcę, byś miał o mnie tak straszne pojęcie, byś przypuszczał, że boję się ulec tej chorobie, że boję się cierpieć i umrzeć”.

Oczywiście nie mogłam przewidzieć i nie wzięłam pod uwagę wszystkiego, co ten pocałunek musiał nieuchronnie za sobą pociągnąć. Nie liczyłam się z tym również, że gdy znajdę się w objęciach kochanka, gdy przyłgnę wargami do jego warg, zabraknie mi sił, by wyrwać się z jego ramion, zabronić pieśzczot. W tym rzecz. Niech no tylko jakiś mężczyzna mnie obejmie, a od razu moje ciało zaczyna płonąć, czuję zawrót głowy... I zachowuję się jak otumaniona, jak szalona, jak dzika. Tracę wolę i kieruję się tylko miłosnym pożądaniem. Widzę tylko tego mężczyznę, myślę tylko o nim, pozwolę się zaprowadzić, dokąd zechce, posunę się dla niego aż do zbrodni.

Och, to nasze pierwsze zbliżenie! Jego pieśzczoty niewprawne i cudowne! Pożądliwa naiwność ruchów, a potem wielki zachwyt w oczach, gdy wreszcie odsłoniła się przed nim tajemnica aktu miłosnego i tajemnica kobiety.

Ofiarowałam z siebie wszystko; w uniesieniu, nie szczędząc niczego, obznajmiłam pana Jerzego z wyrafinowaną rozpustą, tak bezlitosną i wyczerpującą, że była w stanie poskromić i zmiażdżyć nawet najsilniejszych samców, każąc im błagać o zmiłowanie. Lecz kiedy minął szal i spojrzałam na to biedne, wątłe dziecko, zziajane, wpół omdlałe w moich ramionach – poczułam potworne wyrzuty sumienia... A właściwie czułam się tak... tak się bałam... no, jakbym przed chwilą popełniła jakąś zbrodnię.

– Panie Jerzy... panie Jerzy... Skrzywdziłam pana. Och, mój biedaku.

Ale on, tak czuły i ufny, ślepo mi wdzięczny, zwinął się w kłębek z jakimś niespotykanym, kocim wdziękiem i przytulił do mnie – jakby szukając opieki. I powiedział z ekstazą w oczach:

– Taki jestem szczęśliwy... Teraz mógłbym już umrzeć.

Ale ponieważ nie przestawałam rozpaczać i dalej przeklinałam własną słabość, powtórzył:

– Taki jestem szczęśliwy... Och, zostań przy mnie... nie opuszczaj... zostań przy mnie przez całą noc. Widzisz, wydaje mi się, że sam, bez ciebie, nie zdołam wytrzymać naporu szczęścia, choć jest tak cudowne.

Kiedy mu pomagałam położyć się do łóżka, chwycił go atak kaszlu. Na szczęście trwał krótko. Ale i tak zdążył rozedrzeć mi serce. Więc po to się panem Jerzym opiekowałam, po to chroniałam, po to go ocalałam – żeby go teraz zabić? Z trudem powstrzymałam łzy, gardziłam sobą.

– To nic, to nic – szeptał, uśmiechając się. – Nie powinnaś rozpaczać, skoro jestem szczęśliwy. A poza tym ja wcale nie czuję się chory... nie czuję się chory. Zobaczysz, jak smacznie będę przy tobie spał. Chcę zasnąć z głową przytuloną do twoich piersi, jakbym był twoim dzieckiem... Z głową przytuloną do twoich piersi...

– A jeśli pana babcia zadzwoni na mnie tej nocy?

– Ależ nie, skądże! Babcia na pewno nie zadzwoni. Chcę spać przy tobie.

Bywają chorzy, którzy okazują w miłości tak wielką moc, jakiej nie mają inni mężczyźni, nawet ci najsilniejsi. Pewnie dzieje się tak dlatego, że świadomość bliskiej śmierci, obecność tej śmierci w łóżu rozpusty stanowi straszną, tajemniczą podniecię, wzmaga rozkosz. W czasie kolejnych piętnastu dni, które nastąpiły po tej pamiętnej nocy – nocy cudownej i tragicznej – opętała i zawładnęła nami całkowicie istna furia, łącząc nasze usta, nasze ciała, nasze dusze w niekończącym się uścisku. Spieszyliśmy się, chcieliśmy sobie powetować straconą przeszłość, chcieliśmy oddawać się miłości bez chwili wypoczynku, czując, że ta miłość nie potrwa długo, że śmierć położy jej kres.

– Jeszcze... jeszcze... jeszcze...

Zaszła we mnie nagła, niespodziewana zmiana. Nie tylko nie miałam już żadnych wyrzutów sumienia, ale – odwrotnie – teraz, kiedy czułam, że pan Jerzy słabnie, umiałam coraz to nowymi, coraz śmielszymi pieszczotami ożywić jego zwiotczałe członki, na moment przywrócić jego ciału pozorną moc...

– Zawsze... zawsze... zawsze...

Zbliżenia ze mną miały okrutną siłę, przepalały na wylot, podniecając jak narkotyki. Wiedząc, że zabijam pana Jerzego, zawzięłam się, żeby zabić także i siebie, siebie samą, pragnęłam, żeby nas oboje zabiło to samo szczęście i ta sama choroba. Bez wahania poświęcałam życie pana Jerzego i moje własne. W zachłannym, dzikim zapamiętaniu, co potęgowało, ustokrotniało siłę rozkoszy naszych miłosnych spazmów, spijałam z jego ust śmierć. Pewnego razu, gdy był jeszcze w moich objęciach, chwycił go kaszel; tym razem atak był silniejszy niż zwykle i dojrzałam na jego ustach pieniający się ogromny kłęb mętnej płwociny pomieszanej z krwią.

– Daj, daj, daj!

I połknęłam tę zabójczą płwocinę tak łapczywie, jakby to był krzepiący nektar życia.

Pan Jerzy nikał powoli w oczach. Ataki kaszlu były coraz częstsze, coraz groźniejsze, coraz dotkliwsze. Płuł krwią, popadał w długie omdlenia, w czasie których można by go wziąć za

nieboszczyka. Ciało mu wychudło, zapadło się i wyschło do tego stopnia, że naprawdę wyglądał teraz jak szkielet, pokazywany na lekcjach anatomii. I radość, która przedtem panowała w całym domu, bardzo szybko zamieniła się w ponurą rozpacz. Babcia znowu zapłakiwała się całymi dniami w salonie. Modliła się i z uchem przyklejonym do drzwi, które dzieliły ją od ukochanego wnuka, wsłuchiwała się w najmniejszy szmer dochodzący z jego pokoju. Żyła w ciągłym, okropnym niepokoju, że dojdzie ją krzyk... rżenie... ostatnie westchnienie jedynej jeszcze żyjącej i drogiej jej na tej ziemi istoty. Kiedy wychodziłam z jego sypialni, sunęła za mną krok w krok po całym domu i jęczała:

– Dlaczego, mój Boże... dlaczego? I jak to się mogło stać?

Mówiła także:

– Zabijasz się, moje biedactwo. Nie możesz przecież czuwać noc w noc przy Jerzym. Muszę wezwać jakąś siostrę miłosierdzia, żeby cię mogła wyręczyć.

Lecz odmówiłam. A ona kochała mnie jeszcze tkliwiej za tę odmowę, a także i z tego powodu, że skoro już raz potrafiłam dokonać cudu, mogło mi się to znowu udać. Czyż to nie potworne? Byłam jej ostatnią nadzieją.

Co zaś do lekarzy, których wezwano z Paryża, to byli zdumieni postępami choroby i dziwili się, że w tak krótkim czasie zdołała dokonać aż tak wielkich spustoszeń. Lecz ani oni, ani ktokolwiek inny nie podejrzewali okropnej prawdy. Ich zalecenia ograniczyły się do naparów z ziół, które miały działać uspokajająco.

Tylko pan Jerzy był nadal wesół i szczęśliwy, przy czym jego wesołość nie ustawała ani na chwilę i nic nie zdawało się mącić jego szczęścia. Mało, że się nigdy nie skarżył, ale w dodatku jego duszę przepęniała wdzięczność, której wylewnie dawał upust. Ileż to razy odzywał się jedynie po to, by mnie zapewnić o swojej radości. Ileż to razy wieczorami, w sypialni, ledwie mu minął któryś z kolejnych straszliwych ataków, mówił:

– Taki jestem szczęśliwy. Czemu się martwisz i płaczesz? Twoje łzy mącą gorącą radość... jaka mnie całego przepęnia. Och, zapewniam cię, że śmierć nie może być zbyt wysoką zapłatą za nadludzkie szczęście, które mi dałaś. Byłem zgubiony! śmierć była we mnie... i nic nie mogło temu zapobiec. Lecz ty potrafiłaś uczynić ją promienną i błogosławioną. Więc nie płacz, kochanie, nie płacz, maleńka... Uwielbiam cię i dziękuję...

Ale wtedy moja niszczycielska, gorączkowa furia już bardzo osłabła. Żyłam w strasznym obrzydzeniu do samej siebie, ogarniała mnie niema zgroza w obliczu popełnionej zbrodni, wobec dokonywanego co dzień morderstwa. Pozostawała mi jedyna nadzieja i jedyne pocieszenie czy usprawiedliwienie: że zdołam się sama zarazić chorobą od mojego kochanka i że umrę razem z nim. W chwilach gdy pan Jerzy, już na wpół martwy, konający, przyciągał mnie do siebie sztywniejącymi rękami i tulił swe usta do moich, zgroza sięgała szczytu i czułam, że zapadam się w jakiś szaleńczy omam, w obłąd – lecz on dopominał się znowu rozkoszy, której nie miałam ani odwagi, ani nawet prawa mu odmawiać, bo byłoby to nową zbrodnią i nowym, jeszcze okrutniejszym morderstwem.

– Daj mi raz jeszcze swe usta... Daj mi swe oczy... Daj mi rozkosz...

Brakło mu już sił, nie wytrzymał już tych pieścot. Często mdlał w moich ramionach. I to, co musiało się stać, stało się.

Mieliśmy już październik, mówiąc dokładnie: 6 października. Jesień tego roku była łagodna i ciepła,

lekarze zalecili, by przedłużyć pobyt chorego nad morzem tak długo, aż można będzie go przewieźć na południe. Przez cały dzień, właśnie 6 października, pan Jerzy był jakby cichszy i bardziej spokojny. Otworzyłam na oścież wielkie okno w sypialni, a on leżał tuż obok na kozetce, okryty ciepłą kołdrą, i przez co najmniej cztery godziny wdychał z rozkoszą wyziewy jodu unoszące się z pełnego morza. Ożywcze słońce, zapach morza, opustoszała plaża, którą z powrotem objęli w swe posiadanie poławiacze małży, rozpogodziły go. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby był tak wesół. Lecz wesołość malująca się na jego wychudłej twarzy – której skóra, z tygodnia na tydzień coraz to cieńsza, obciągała kości jak przezroczysta błona – sprawiała niesamowite i posępne wrażenie. Jakże trudno i ciężko było mi na to patrzeć. Musiałam parę razy wyjść z sypialni, by móc się swobodnie wypłakać. Nie chciał, żebym mu czytała wiersze.

– Nie – powiedział – ty sama jesteś moim poematem. Ty jesteś dla mnie każdym z tych wierszy i wszystkimi poematami świata naraz.

Lekarze zabronili mu mówić. Nawet najkrótsza rozmowa męczyła go i często powodowała atak kaszlu. Zresztą nie miał już prawie sił na rozmowę. Wszystko, co tliło się w nim jeszcze z resztek życia, z myśli, z pragnień, uczuć, skupiło się teraz w oczach – jego oczy płonęły niczym ognisko, w którym dusza bez przerwy podsycala płomień o zadziwiającej, niespotykanej sile.

Tego wieczoru, właśnie 6 października, wyglądało na to, że przestał cierpieć. Och, widzę go jeszcze, jak leży wyciągnięty na łóżku, z głową wysoko uniesioną na poduszkach, i przebiera smukłymi, chudymi palcami niebieskie frędzelki kotary, uśmiechając się do mnie i wodząc za mną wzrokiem. Patrzył na mnie z łóżka pogrążony w półmroku i jego oczy błyszczały jak światło lampy.

Już dawniej do jego sypialni wstawiono dla mnie łóżeczko, wąskie jak kozetka, łóżeczko pielęgniarki i, o ironio, prawdopodobnie po to, by uszanować jego i moją wstydlivość, wniesiono również parawan, za którym miałam się rozbierać. Ale ja rzadko sypiałam na tym łóżeczku. Pan Jerzy zawsze chciał mnie mieć przy sobie. Czuł się naprawdę dobrze i był prawdziwie szczęśliwy tylko wtedy, gdy nasze nagie ciała przylegały do siebie. Niestety, jego ciało to była już tylko sama skóra i kości.

Pospawszy ze dwie godziny snem raczej spokojnym, obudził się o północy. Miał lekką gorączkę. Sterczące kości policzkowe pokrywał mu rumieniec jeszcze bardziej krwawy niż zwykle. Kiedy spostrzegł, że siedzę u jego wezgowia z twarzą mokrą od łez, odezwał się do mnie tonem łagodnej wymówki:

– No proszę, znowu płaczesz. Więc chcesz koniecznie zasmucić mnie i sprawić mi przykrość? Dlaczego się jeszcze nie położyłaś? Chodź, połóż się przy mnie.

Uśluhałam go potulnie, bo przecież najmniejszy sprzeciw mógł się okazać zgubny. Wystarczyło, żeby się tylko lekko zdenerwował, a już groziło mu uderzenie krwi do głowy, którego skutki mogły być straszne. Znając moje obawy, wykorzystywał je. No i ledwo znalazłam się w jego łóżku, zaczął szukać rękami mego ciała, ustami moich ust. Nieśmiało, nie opierając się, zaczęłam go błagać:

– Nie dzisiaj, proszę... Niech pan tej nocy leży spokojnie.

Ale wcale mnie nie słuchał. Dygocącym od pożądania głosem, w którym już czuło się agonię, odpowiedział:

– Nie tej nocy... Zawsze powtarzasz jedno i to samo. Nie tej nocy? A czyż ja mam czas, czy mogę czekać?

Krzyknęłam, wstrząsana szlochem:

– Och, panie Jerzy, pan chce koniecznie, żebym to ja pana zabiła? Chce pan, żebym miała przez całe życie wyrzuty sumienia?

Tak więc już zdążyłam zapomnieć, że kiedyś pragnęłam umrzeć z nim razem, umrzeć przez niego, umrzeć jak on.

Ale jego usta już spoczęły na moich... Śmierć była na mych wargach.

– Milcz – wyszeptał, dysząc. – Jeszcze nigdy cię tak nie kochałem jak tej nocy.

I nasze ciała połączyły się. I obudził we mnie żądzę. Przeżywałam okropne męczarnie w tej najdzikszej rozkoszy, słysząc nie tylko, jak Jerzy wydaje krótkie okrzyki i westchnienia, słyszałam również, jak klekocą nade mną jego kości, niczym piszczele szkieletu.

Wtem jego ramiona rozluźniły uścisk, opadły bezwładnie, a usta zwały się i osunęły z moich warg... a potem wraz z jękiem rozpaczony chlusnął z nich strumień gorącej krwi i obryzgał mi twarz. Jednym susem wyskoczyłam z łóżka. Wpadłam na lustro i zobaczyłam moje odbicie całe zalane krwią. Straciłam zupełnie głowę i jak nieprzytomna krążyłam po sypialni. Chciałam wołać pomocy. Lecz instynkt samoobrony, lęk przed odpowiedzialnością, lęk przed ujawnieniem zbrodni... sama już nie wiem, jaka jeszcze podłość i wyrachowanie zamknęły mi usta... zatrzymały nad brzegiem przepaści, w którą zaczął obsuwać się mój rozsądek. Szybko i jasno zdałam sobie sprawę, że ponieważ oboje jesteśmy nadzy i w całej sypialni panuje charakterystyczny rozgardiasz świadczący niezbicie o tym, co się tu działo – nikt nie może teraz wejść do pokoju. O, nędzna naturo ludzka! Więc nawet w takiej chwili odezwało się we mnie coś, co było bardziej naturalne i odruchowe niż sama rozpacz, co było potężniejsze od przerażenia – a okazało się zwykłą podłą przezornością i niecnym wyrachowaniem. Mimo zgrozy i przerażenia znalazłam przecie dość przytomności umysłu, by otworzyć najpierw drzwi do salonu, a potem do przedpokoju, i zacząć nasłuchiwać. Nic, cisza, żadnego odgłosu. Cały dom spał. Dopiero wówczas wróciłam do łóżka. Dźwignęłam ciało Jerzego, lekkie w moich ramionach jak piórko. Uniosłam mu głowę jeszcze wyżej, podtrzymując ją rękami w pochylonej pozycji. Krew nadal ciekła z ust lepka strużką. Słyszałam, jak z jego płuc, niczym z butelki, cieknie, bulgocąc krwawa ciecz. Gałki oczne miał wywrócone do góry, w szparkach obrzękłych powiek widać było już tylko przekrwione białka.

– Jerzy... Jerzy... Jerzy...

Ale Jerzy już nie odpowiadał na moje wołania, na mój krzyk. Nie słyszał... nie słyszał już żadnego z ziemskich odgłosów.

– Jerzy... Jerzy... Jerzy...

Puściłam go – ciało zagłębiło się w pościel. Puściłam jego głowę – opadła ciężko na poduszkę. Przyłożyłam mu rękę do serca – serce już nie biło.

– Jerzy... Jerzy... Jerzy...

Zgroza tej ciszy... niemych warg, sztywnych, zbryzganych krwią zwłok była dla mnie zbyt koszmarna, zbyt przerażająca. Złamana rozpaczą, złamana straszliwą, paralizującą rozpaczą, runęłam na dywan w omdleniu.

Ile minut trwało to omdlenie lub może – ile stuleci? Nie wiem. Ale gdy się ocknęłam, górowała we mnie nad innymi uczuciami jedna, jedyna nikczemna myśl: zatrzeć wszystkie ślady, które mogłyby

świadczyć przeciw mnie.

Umyłam twarz, ubrałam się na nowo, uporządkowałam – tak, zdobyłam się na tę przerażającą odwagę – łóżko i całą sypialnię. I wreszcie, kiedy już z tym skończyłam, obudziłam innych domowników, wykrzykując na cały dom straszną nowinę.

Och, ta noc! W czasie tej jednej nocy poznałam takie tortury, jakie istnieją pewnie tylko w piekle.

Dzisiejsza noc przypomina mi tamtą. Huragan huczy podobnie, jak huczał wtedy, owej nocy, kiedy rozpoczęłam dzieło zniszczenia, kiedy skazałam na zagładę to biedne ciało. A gdy wiatr zawyje wśród drzew w ogrodzie, wydaje mi się, że to wyje morze szturmujące molo tej na wieki wieków przeklętej willi w Houlgate.

Po powrocie do Paryża i uroczystym pogrzebie pana Jerzego nie chciałam zostać na służbie u jego biednej babci, mimo że wielokrotnie prosiła mnie o to. Spieszno mi było stamtąd odejść, żeby się uwolnić od widoku jej twarzy tonącej we łzach, żeby nie słyszeć jej szlochów, co rozdzierały mi serce. A przede wszystkim spieszno mi było uwolnić się od jej wdzięczności; w swym strapieniu stała się okropnie gadatliwa, bez przerwy dziękowała, mi za poświęcenie, za bohaterstwo, nazywała swoją córką, i obejmowała z wylewną, nadmierną czułością. W ciągu tych piętnastu dni, które, przystając na jej prośby, spędziłam przy niej, ileż razy brała mnie chęć, żeby się przed nią wypowiadać, oskarżyć, zrzucić z siebie ten dławiący ciężar, co gniótł mi duszę. Lecz po co? Czyż mogłoby to sprawić jej jakąkolwiek ulgę? Nie, dorzuciłabym jedynie jeszcze nowe ogromne zmartwienie do tych, które już ją gnębiły, wzbudziłabym daremne wyrzuty sumienia i poddała straszną myśl, że gdyby nie ja, to jej drogi wnuk, kto wie, czy by w ogóle umarł. A poza tym, muszę i to wyznać, brakło mi odwagi. Odeszłam więc, zabierając tajemnicę ze sobą, czczona nadal przez starszą panią niczym jaka święta i obsypana na pożegnanie czułościami i kosztownymi podarkami.

I otóż w tym samym dniu, w którym ją opuściłam, udając się do pani Paulhat-Durand, właścicielki biura pośrednictwa pracy, spotkałam przypadkiem na Polach Elizejskich dawnego kolebę, lokaja, z którym kiedyś przez sześć miesięcy służyłam razem w jednym domu. Nie widziałam go dobre dwa lata. Już z pierwszych słów, jakie zamieniliśmy ze sobą, dowiedziałam się, że podobnie jak ja szuka pracy. Tylko że on nie musiał się spieszyć, bo zdołał uciukać sobie całkiem ładną sumkę.

– Ach, Celestyno, co za diabeł w tobie siedzi! – rzucił uszczęśliwiony, że znów mnie widzi. – Jesteś wspaniała jak zawsze.

Dobry był z niego chłopak. Wesół, figlarz, lubił hulanki. Od razu mi zaproponował:

– A może byśmy tak razem zjedli kolację, co?

Trzeba mi było rozrywki, chciałam jak najdalej odpędzić od siebie natłok smutnych obrazów i dręczących myśli. Zgodziłam się.

– No to byczo – powiedział.

Ujął mnie pod ramię i zaprowadził do handelku win na ulicy Camban. Skwapliwie, z ożywieniem przyjmowałam jego ciężkawy humor, grube żarty, wulgarne i sprośne. Wcale mnie nie raziły. Przeciwnie, sprawiały jakąś szelmowską radość, przywracały pewność siebie, którą daje powrót do starych, złych nawyków.

Mówiąc bez ogródek, w przymrużeniu jego powiek, w pozbawionej zarostu twarzy, obleśnych

wargach, które wykrzywiał ten sam służalczy grymas, rozpoznawałam na powrót samą siebie, rozpoznawałam własne życie i własną duszę, ten sam nawyk kłamania, to samo zamięłowanie do brudów – właściwe aktorom, sędziom, a także lokajom.

Po kolacji wałęsaliśmy się przez jakiś czas po bulwarach. Potem zafundował mi kino. Byłam trochę klapnięta, wypłam za dużo wina u Saumura. W ciemnej sali, gdy na świetlistej płaszczyźnie ekranu defilowała armia francuska przed tłumem wiwatujących gapiów, chwycił mnie w pół i pocałował w kark, burząc cokolwiek fryzurę.

– Jesteś wspaniała – szeptał. – O, psiakrew, jak ty pięknie pachniesz...

Odprowadził mnie pod sam hotel. Staliśmy dłuższą chwilę na trotuarze, milcząc głupawo. On koniuszkiem laski uderzał po noskach trzewików. Ja, ze spuszczoną głową, stuliwszy łokcie i wsunąwszy ręce w mufkę, rozgniatąłem podszewą jakąś skórę pomarańczy.

– No to do widzenia – powiedziałam.

– O nie – odrzekł. – Pozwól mi wejść na górę... Pozwolisz, Celestyno?

Broniłam się tylko trochę, dla przyzwoitości. A on nastawał:

– Patrzcie ją! Co ci się stało? Kłopoty sercowe? Ale to właśnie odpowiedni moment.

Poszedł za mną. W tym hotelu nie interesowano się zbyt, kto i z kim wraca wieczorem. Schody były wąskie, ciemne, poręcz lepka, powietrze wstrętne, cuchnące, pełne odoru – zresztą cały ten hotel przypominał raczej dom schadzek lub jakąś mordownię. Mój towarzysz zakaszłał, by dodać sobie odwagi, a ja myślałam z duszą przepelnioną obrzydzeniem: „No proszę. Jakie to niepodobne do willi w Houlgate czy ukwieconych apartamentów na ulicy Lincolna!”.

Ledwo weszliśmy do pokoju i ledwo zdążyłam zamknąć drzwi na zasuwkę, a już rzucił się na mnie i zadarłszy mi spódnice, powalił na łóżko.

Co za bydlę wyłazi czasem z człowieka! O, nędzo ludzka!

Tak więc życie zagarnęło mnie z powrotem, życie pełne wzlotów i upadków, wciąż zmieniających się twarzy, miłostek kończących się równie szybko, jak szybko zostały nawiązane... i oczywiście nieodmiennych brutalnych przeskoków z ogromnie zamożnych domów – prosto na bruk ulicy.

I rzecz szczególna: ja, która w okresie miłosnego zapamiętania, gdy zawładnęło mną żarliwe pragnienie poświęcenia, rzeczywiście i szczerze pragnęłam umrzeć – później całymi miesiącami drżałam ze strachu, że zaraziły mnie pocałunki pana Jerzego. Najmniejsze niedomaganie, błahy, przelotny ból napełniał mnie prawdziwym przerażeniem. Często budziłam się w nocy zdjeta szaleńczą obawą, złana zimnym potem. Obmacywałam sobie klatkę piersiową, w której, jak mi się zdawało, czułam jakieś bóle i kolki, badałam swoją płwocinę i widziałam w niej czerwone włókienka; wskutek częstego liczenia uderzeń pulsu dostawałam gorączki. Gdy spoglądałam w lustro, wydawało mi się, że mam zapadnięte oczy i że moje policzki płoną tą samą śmiertelną czerwienią, która zabarwiała policzki pana Jerzego. Pewnej nocy, wychodząc z jakiejś publicznej zabawy, nabawiłam się kataru i kaszlałam przez tydzień. Więc okleiłam sobie całe plecy plastrami, połknęłam masę przeróżnych leków, a nawet ofiarowałam wotum świętemu Antoniemu Padewskiemu. Później minęło mi to, bo na przekór lękom moje zdrowie okazało się mocne i przekonałam się, że mam tę samą co dawniej wytrzymałość zarówno w wyczerpującej pracy, jak i w przyjemnościach.

Zeszłego roku, 6 października, podobnie jak w poprzednich latach, poszłam złożyć w tym smutnym dniu kwiaty na grobie pana Jerzego. Grób był na cmentarzu Montmartre. W głównej alei dostrzegłam – dosłownie o parę kroków przed sobą – jego biedną babcię. Och, jakaż była stara i jak starzy byli ci dwaj służący, co jej towarzyszyli. Szła skurczona i trzęsąca się, szła z trudem, podtrzymywana przez dwóch staruszków, tak samo zgarbionych, tak samo skurczonych, tak samo trzęsących się jak ich pani. Za nimi kroczył posłaniec, niosąc wielką wiązanę białych i czerwonych róż. Zwolniłam kroku, za nic nie chciałam ich wyprzedzić, gdyż wtedy mogliby mnie poznać. Ukryta za pomnikiem czekałam, póki pani nie położyła kwiatów, nie odmówiła modlitwy i nie wylała łez na mogile wnuka. Wracali tym samym ciężkim krokiem i prawie otarli się o mur krypty, za którą stałam. Skryłam się jeszcze głębiej, żeby ich w ogóle nie widzieć, bo wydawało mi się, że suną przede mną moje wyrzuty sumienia, widma moich wyrzutów sumienia. Czy mnie poznała? O, nie sądzę. Szli, na nic nie patrząc, nie widząc już nic wokół siebie na tej ziemi. Mieli oczy nieruchome jak u ślepców, a ich wargi poruszały się bez przerwy, choć nie dobywało się z nich ani jedno słowo. Można by rzec, że te trzy wiekowe istoty, zagubione w cmentarnym labiryncie, szukają własnych grobów. I raz jeszcze stanęła mi przed oczami owa tragiczna noc i moja twarz cała we krwi, i krew ciekącą z ust pana Jerzego. Poczułam chłód wokół serca. Wreszcie zniknęli.

A gdzie się dzisiaj podziewają te trzy żalosne cienie? Pewnie już prawie nie należą do świata żyjących, a może umarli na dobre? Może znalazły wreszcie ów dół pełen ciszy i spoczynku, którego szukały, błędząc dniem i nocą.

Zresztą – jakie to ma znaczenie? Cóż za dziwny pomysł miała ta nieszczęsna babcia pana Jerzego, żeby do pielęgnowania ślicznego, młodzieńczego chłopca wybrać akurat taką osobę jak ja. Ale najbardziej mnie zdumiewa, gdy znów nad tym wszystkim rozmyślam, że ona nigdy niczego nawet nie podejrzewała, że nigdy niczego nie spostrzegła... że nigdy się w tym nie połapała. Och, można to już sobie teraz szczerze powiedzieć: ta cała trójka nie była bardzo sprytna. Mieli w sobie nieprzebrane pokłady ufności.

Znowu zobaczyłam przez płot kapitana Maugera. Skulony nad świeżo skopaną grządką, przesadzał pędy bratków i dzikiej rzodkwi. Jak tylko mnie zobaczył, natychmiast rzucił swoje zajęcie i podszedł aż do samych sztachet, żeby porozmawiać. Nie miał do mnie żalu o tę łasicę, choć zamordował ją z mojej przyczyny. Wyglądał nawet na bardzo rozradowanego. Zwierzył mi się, parskając śmiechem, że dzisiaj rano złapał w sidła białego kota Lanlaire'ów. Ten kot to pewnie odwet za łasicę.

– To już dziesiąty, którego im ukradkiem ubiłem! – wrzasnął z dziką radością i klepnął się po udach, a potem zatarł czarne od ziemi ręce. – Już nie będzie więcej do mnie przełaził, nie będzie mi rozgrzebywał ziemi w inspektach, ten łajdak, nie będzie mi już niszczył świeżo posadzonych flanców, ten knur! Och, gdybym mógł w ten sam sposób skrócić kark twemu Lanlaire'owi i tej jego samicy! Co za świnię! Ale, ale... To jest myśl!

I ta nieznaną mi myśl sprawiła, że kapitan przez dobrą chwilę cały aż się skręcał ze śmiechu. Raptem spojrzał na mnie rozjarzonym wzrokiem, w którym tajiła się bez wątpienia jakaś chytrość, i spytał:

– A dlaczego nie wsadzisz im rzepów do łóżka? Tym flejtuchom! Och, na Boga! Dam ci ich całą kupę. Tak, to jest pomysł!

Potem dodał:

– Skoro już tak sobie rozmawiamy, czy wiesz, że mój Kleber?... moja łasica?

– Tak, wiem. No i co?

– No i nic. Zjadłem ją. He... he...

– Ale nie była zbyt smaczna, niech pan sam przyzna?

– Hm... Smakowała jak twardy królik.

I tymi słowami zakończył wspomnienie o biednym stworzonku. Starczyły mu za całą mowę pogrzebową.

Kapitan opowiedział mi także, że w zeszłym tygodniu pod jakąś wiązką chrustu schwytał jeża. Teraz go oswaja. Nazwał go Burbaki. Dobry pomysł, co? Zwierzątko jest inteligentne, komiczne, rzadko spotykane i... je wszystko.

– Daję słowo, że tak! – wybuchnął. – Jednego dnia ten przeklęty jeż zjadł befsztyk, potrawkę baranią, soloną słoninę, żółty ser i konfitury. Jest wspaniały, nie można go niczym nasycić. Jest taki sam jak ja... je wszystko.

W tym momencie w głębi alejki pojawił się chłopiec na posługi, wioząc na taczkach kamienie, stare pudełka po sardynkach, słowem stos różnych odpadków, które zamierzał wyrzucić do dołu ze śmieciami.

– Chodź no tu! – zawołał go głośno kapitan.

A ponieważ już przedtem, w czasie rozmowy, odpowiadając na jego pytanie, powiedziałem, że pan jest na polowaniu, pani w mieście, a Józef gdzieś pojechał – zaczął kolejno wybierać z wózka kamienie, przeróżne śmiecie i ciskać je z rozmachem do naszego ogrodu, wrzeszcząc na całe gardło:

– A masz, ty świnió! A masz, ty nędzniku!

Kamienie śmigwały w powietrzu, śmiecie spadały na świeżo uprawioną grządkę, na której właśnie Józef posiał wczoraj groch.

– A no, masz... masz jeszcze i to! I jeszcze to!

Grządka szybko pokryła się odpadkami i została całkiem spustoszona. Kapitan dał upust swej radości, dobywając z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki i bezładnie gestykulując. A potem, podkrecając wąsy, odezwał się do mnie ze zwycięskim i obleśnym wyrazem twarzy:

– Panno Celestyno, z panny jest naprawdę piękna dziewczyna. Ależ tak, do kaduka! Musi mnie panna kiedyś odwiedzić, jak Róży nie będzie w domu... co panna na to? To jest dopiero pomysł!

No cóż! Nie brakuje mu pewności siebie!

VIII

28 października

Nareszcie dostałam list od pana Jana. Ale jaki oschły! Czytając go, można by pomyśleć, że nigdy nic nas nie łączyło, że nie było między nami żadnych bliskich stosunków. Ani jednego życzliwego słowa, śladu czułości i żadnych wspomnień. Píše wyłącznie o sobie. Chyba Jan stał się jakąś ważną osobistością, o ile można mu wierzyć. To od razu widać z pierwszych słów listu i nie trudno wyczuć z cokolwiek protekcyjnego i pogardliwego tonu, który przybrał wobec mnie. Krótko mówiąc – odezwał się tylko po to, żeby mi zaimponować. Zawsze, odkąd go znałam, był próżny – no cóż, taki piękny chłopak – ale nigdy do tego stopnia. Och, ci mężczyźni! Oni dopiero nie potrafią przyjąć z godnością ani sukcesów, ani sławy...

Jan jest nadal pierwszym lokajem u hrabiny Fardin, a pani hrabina jest chyba pierwszą damą Francji i w Paryżu mówi się teraz przede wszystkim o niej. Do swoich lokajskich usług Jan dołączył jeszcze działalność polityczną – stał się konspiratorem i uczestniczy w manifestacjach na rzecz króla. Bierze udział w tych manifestacjach razem z Coppéem, Lemaître'em, Quesnayem de Beaurepaire; konspiruje wspólnie z generałem Mercierem, a robi to wszystko po to, żeby obalić Republikę. Pewnego razu towarzyszył Coppéemu na jakimś zebraniu organizacji Francja, Nasza Ojczyzna. Przez cały wieczór puszył się na estradzie, stojąc tuż za krzesłem wielkiego patrioty, z jego płaszczem przewieszanym przez ramię. Zresztą, Jan może śmiało o sobie powiedzieć, że podawał płaszcze wszystkim wielkim patriotom naszych czasów. I to mu się kiedyś w życiu policzy. Innego wieczoru, gdy już opuszczał zebranie zwolenników Dreyfusa, na które wysłała go hrabina właśnie po to, by „skuł gęby kosmopolitom”, policja zabrała go na komisariat, ponieważ publicznie opluł tych wypędków bez ojczyzny i wykrzykiwał: „Śmierć Żydom! Niech żyje król! Niech żyje armia!”. Pani hrabina zagroziła rządowi, że wniesie interpelację, i Jan został natychmiast zwolniony. A jego pani od razu podniosła mu pensję o dwieście franków miesięcznie za ten bojowy wyczyn. A pan Artur Meyer zamieścił nawet jego nazwisko w piśmie „Galijczyk”. Ale nazwisko Jana figurowało również na liście subskrybentów w „Wolnym Słowie” obok sumy stu franków, które wpłacił na rzecz pułkownika Henry'ego. Tenże sam Coppée wpisał go z urzędu na listę. To również Coppée mianował go honorowym członkiem organizacji Francja, Nasza Ojczyzna. Bardzo budującej organizacji. Należy do niej cała służba z wielkich domów. Ale nie brak tam także hrabiów, markizów, książąt... A pan generał Mercier, gdy przyszedł wczoraj do hrabiny na obiad, odezwał się do Jana w te oto słowa: „No, co tam u ciebie, mój dzielny Janie?”. Mój dzielny Janie! Jules Guerin zaś zamieścił o nim w „Antysemitie” cały artykuł pod tytułem: *Jeszcze jedna ofiara gudłajów*, gdzie napisał, co następuje: „Nasz waleczny druh, antysemita, pan Jan...” i tak dalej. No i na koniec sam pan Florian, który nie opuszcza już domu, życzył sobie, by Jan pozował mu do rysunku mającego symbolizować duszę ojczyzny. Pan Florian uważa, że Jan ma gębę, „która do tego pasuje”. Aż dziw, ilu

sławnych ludzi klepie go teraz serdecznie po ramieniu, jakie dostaje wysokie napiwki i jak go wyróżniają, jak honorują – co mu ogromnie pochlebia. I jeśli do tego – a wiele za tym przemawia – generał Mercier zadecyduje, żeby Jan składał fałszywe zeznania w przyszłym procesie Zoli, sztab ma to załatwić w tych dniach, to już niczego nie będzie mu brakowało do sławy. W tym roku fałszywe zeznania – to coś najbardziej szykownego, najlepiej widzianego w wyższych sferach. Zostać wybranym na fałszywego świadka równa się, nie licząc zapewnionej szybkiej sławy, wygraniu głównego losu na loterii. Jan wyraźnie dostrzega, że jego osoba wywołuje coraz większą sensację w dzielnicy Pól Elizejskich. Kiedy wieczorem idzie na ulicę Franciszka I pograć w kawiarni lub wyprowadza psy pani hrabiny, żeby się mogły wysiusiać – od razu staje się obiektem ogólnej uwagi i szacunku... Zresztą, psy także. Więc oto dlaczego, mając na oku własną sławę, która niebawem rozejdzie się z tej dzielnicy Paryża na całą Francję, zapisał się do Agencji, dostarczającej wycinki z prasy, pani hrabina też jest tam abonentką. Będzie mi więc przysyłał co celniejsze wzmianki o sobie. I to wszystko. Nic więcej nie może dla mnie zrobić, bo przecież sama powinnam zrozumieć, że braknie mu czasu na zajmowanie się moimi kłopotami. Później, „jak już będziemy przy władzy”, zobaczy, czy czegoś nie da się zrobić. Bo wedle niego, wszystko, co mnie spotkało, to tylko i wyłącznie moja własna wina... Dosłownie tak mi lekceważąco napisał. Nigdy nie potrafiłam się urządzać, nigdy nie realizowałam konsekwentnie swoich zamiarów... marnowałam najlepsze miejsca, nie umiałam wyciągnąć żadnych korzyści. Gdybym nie miała tak źle w głowie, to kto wie, może i ja również nawiązałabym dobre stosunki z takimi ludźmi, jak generał Mercier, Coppée, Déroulède... i mimo że jestem tylko prostą kobietą, moje nazwisko też mogłoby błyszczeć na kolumnach „Galijczyka”, pisma tak łaskawego dla służby domowej wszelkiego rodzaju. Itd., itd.

Czytając ten list omal się nie rozplakałam, bo czułam, że pan Jan całkiem się ode mnie odsunął i że już nie mogę na niego liczyć... na niego i w ogóle na nikogo. Nie napomknął ani jednym słowem o tej, która nastąpiła do pracy na moje miejsce. Och, widzę ich mimo oddalenia, widzę ich oboje w jego sypialni, którą znam tak dobrze, jak się obejmują i pieszczą... jak ganiają razem po zabawach i teatrach, jak robią to samo, co niegdyś myśmy we dwójkę robili. Widzę go w jasnobeżowym płaszczu, gdy wraca z wyścigów, przegrawszy pieniądze, i mówi do innej, tak jak przedtem tylekroć mówił do mnie: „Daj no mi te twoje świecidełka i zegarek... muszę je zastawić w lombardzie”. A może jego nowa pozycja polityczna, udział w manifestacjach i spiskowanie na rzecz króla wzbudziły w nim nowe ambicje i porzucił kuchenne amory dla salonowych miłości. Wróci do nich, nie ma obawy.

Czy doprawdy tylko z mojej własnej winy przydarzyło mi się to wszystko? Być może. Niewykluczone. Wszelako wydaje mi się, że jakieś fatum, nad którym nie mam władzy, ciąży nad moim losem i sprawia, że nigdy w jednym miejscu nie pracuję dłużej niż sześć miesięcy. Jeśli nawet mnie pani nie odprawiła, to sama odchodziłam, zbrzydzone do reszty. Jakie to śmieszne i smutne, ale zawsze spieszo mi było znaleźć się „gdzie indziej”, zawsze wierzyłam szaleńczo w to „urojone gdzie indziej”, które zaczerpnęłam z ulotnej poezji, ze złudnych miraży o czymś, co znajduje się gdzieś daleko... a szczególnie od czasu mego pobytu w Houlgate, przy biednym panu Jerzym. Z tego okresu pozostał we mnie jakiś niepokój i trudno określić, na czym on polega... jakaś chęć czy potrzeba wzniesienia się ku ideałom i formom życia dla mnie niedostępnym. Wiem z całą pewnością, że to zbyt nagłe i zbyt krótkie spotkanie ze światem, z którym lepiej, żebym się była w ogóle nie zetknęła, skoro niesądzone mi było poznać go bliżej, stało się dla mnie zgubne.

Ach, jakież są zwodnicze te drogi w nieznanie! Człowiek idzie, idzie i wszędzie jest tak samo. Widzicie ten zamglony horyzont w oddali? Prawda, jaki jest błękitny, różowy, pełen świeżości, świetlisty i lekki jak sen? Tam dopiero można wieść wspaniałe życie! Zbliżacie się, już jesteście. I co? I nic. Piach, kamienie, smutne zbocza podobne do stromych murów. To wszystko. A nad tym piachem, nad tymi kamieniami, nad tymi zboczami – niebo szare, mętne, nisko nawisłe, gdzie dzień rozpacza nad sobą, a światło płacze czarnymi jak sadza łzami. Nie ma nic, nie znajdziesz, czego szukałeś i po co tu przyszedłeś. A zresztą ja już sama nie wiem, czego naprawdę szukam i kim jestem.

Służący to w ogóle nie jest normalna istota w rozumieniu społecznym. Służący to ktoś niejednolity, sfabrykowany z kawałków, których nie da się do siebie przypasować, zestawić w jedną całość. I dlatego jest najgorszym ze stworzeń, potworną ludzką hybrydą. Już nie należy do ludu, z którego pochodzi, lecz tym bardziej nie należy do mieszczaństwa, wśród którego żyje i do którego stara się dostać. Od ludu się odszczepił, utracił jego szlachetną krew i pierwotne siły. Od burżuazji zapożyczył wstydlive żądze bez możliwości ich zaspokojenia, niskie uczucia, nikczemne lęki, zbrodnicze zachcianki, jawne, niczym nieosłonięte, nieusprawiedliwione bogactwem. Więc z duszą do cna zbrukaną kroczy przez ten czcigodny świat, bo z mieszczańskiego życia wolno mu tylko wdychać buchające niczym z gnijącej kloaki zabójcze smrody, od czego traci na zawsze równowagę umysłu, a nawet charakter, własne wnętrze, osobowość. Z dna wspomnień, które pozostały mu po tłumie ludzkich twarzy, wśród których się błąkał, on, widmo samego siebie – potrafi wyciągać tylko same świństwa, a więc przyczynę własnych cierpień. Często się śmieje, lecz jakże ten śmiech jest wymuszony, nie bierze się bowiem z radości i ziszczonych nadziei.

W tym śmiechu zawsze można dostrzec gorzki grymas buntu, głębokie i surowe zmarszczki sarkazmu. Nie ma nic bardziej żalosego i brzydkiego jak taki śmiech, który wypala, wyjaławia człowieka. Więc może lepiej, żebym płakała? A zresztą nie wiem. A zresztą – ani myślę. Co się ma zdarzyć – i tak się zdarzy.

Ale nigdy nic się nie zdarza. Absolutnie nic. I do tego właśnie nie mogę się przyzwyczaić. Ta monotonia, ta martwa nieruchomość życia jest dla mnie nie do zniesienia. Chciałabym stąd uciec. Uciec? Ale dokąd i jak? Nie mam pojęcia, więc zostaję.

Pani jest stale taka sama: nieufna, dokładna, twarda, chciwa, bez żadnych wzlotów czy fantazji, nieoczekiwanych pragnień, bez promyka radości na marmurowej twarzy. Pan wrócił do swych dawnych przyzwyczajzeń i sądząc z jego miny, ma do mnie urazę z racji mej surowości. Zaraz po śniadaniu wychodzi na polowanie ze strzelbą i w sztylpach; kiedy wraca o zmierzchu, już mnie nawet nie prosi, bym mu pomogła zdjąć buty, a o dziewiątej wieczór idzie spać. Jest ślamazarny, komiczny, niezdecydowany. Tyje. W imię czego ludzie bogaci godzą się na tak ponurą egzystencję?

Czasem bierze mnie chętką: a może by się tak z panem puścić? Ale co by mi z tego przyszło? Pan nie ma pieniędzy i nie działa na mnie jako mężczyzna. A w dodatku pani wcale nie jest zazdrosna!

Przeraźliwa cisza panuje stale w tym domu. Nie umiem się z nią pogodzić. A jednak, na przekór własnym zwyczajom, ja też się tu nauczyłam poruszać skradającym się krokiem, „płynąć w powietrzu”, jak mówi Józef. Często – kiedy sunę wzdłuż zimnych ścian, długim, ciemnym korytarzem – sama sobie wydaję się jakimś widmem, zjawą. Duszę się w tym domu. I zostaję.

Jedyna rozrywka, to kiedy w niedzielę po mszy wstąpię do tej sklepikarki Gouin. Bo choć obrzydzenie

odrzuca mnie od niej, to jednak nuda okazuje się silniejsza i kieruje tam moje kroki. No, jakby nie było, wszystkie się u niej spotykamy. Plotkujemy, żartujemy, klniemy na życie i pociągamy przy tym z kieliszka. I czas jakoś mija. Ubiegłej niedzieli, nie widząc tej małej o wybałuszonych oczach i szczurzym pyszczku, spytałam o nią.

– Och, nic wielkiego, nic wielkiego – odpowiedziała sklepikarka tonem, któremu umyślnie nadała tajemnicze brzmienie.

– Więc jednak jest chora?

– Tak, ale to nic wielkiego. Za dwa dni minie bez śladu.

Panna Róża rzuciła mi spojrzenie, które jednocześnie przyświadczało słowom sklepikarki i zdawało się mówić: „No, sama widzisz. Jaka to naprawdę zręczna kobieta”.

Właśnie dzisiaj dowiedziałam się u tejże sklepikarki, że w lesie Raillon, pośród krzaków tarniny i opadłych liści, jacyś myśliwi znaleźli poprzedniego dnia zwłoki małej, okrutnie zgwałconej dziewczynki. Zdaje się, że to córka dróżnika. W okolicy mówiono o niej Klarcia. Była trochę głupkowata, ale łagodna i miła... no i nie miała nawet dwunastu lat. Czy możecie wyobrazić sobie, co to za gratka dla takiej dziury jak nasza, gdzie co niedziela mówi się w kółko o jednym i tym samym? Toteż języki od razu poszły w ruch.

Wedle Róży, a ona zawsze wie wszystko lepiej od innych, Klarcia miała brzuch rozplątany jednym pociągnięciem noża, przez ranę jelita wypływały na wierzch. Na karku i szyi zachowały się jeszcze ślady palców, które ją udusiły. A wiadome miejsce – jej nieszczęsny i malutki srom – było już tylko jedną, straszliwie nabrzmiałą miazgą, jakby ją zgwałcono, wedle słów Róży, grubym trzonkiem siekiery. Na wrzosowisku da się jeszcze rozpoznać ślady po dokonanej zbrodni, mimo że zostały zdeptane. Zbrodnię popełniono co najmniej osiem dni temu, bo zwłoki już całkiem się rozłożyły. Choć cała sprawa budziła w tych kreaturach szczerą zgrozę, to przecież sam fakt gwałtu wzniecił w nich sprośne wyobrażenia i mimo wszystko był dla wielu kobiet, to się czuło wyraźnie, nie powiem, że usprawiedliwieniem, lecz w każdym razie – złagodzeniem mordy, bo przecie gwałt to także miłość. Opowiadały masę rzeczy, przypominały sobie, że Klarcia spędzała całe dni w lesie. Na wiosnę zbierała tam żonkile, konwalie i anemony, układając z nich śliczne bukiety dla pań z miasta. Szukała także smardzy, by je w niedzielę sprzedać na targu. Latem nie brakło w lesie różnych gatunków grzybów i nowych odmian kwiatów. Ale o tej porze roku cóż mogła tam robić? Przecie nic nie miała już do zbierania. Jedna z nich odezwała się podejrzliwie: – A dlaczego jej ojca nie zaniepokoiło zniknięcie małej? Kto wie, czy nie on sam był tego sprawcą? Na co inna, równie podejrzliwie:

– Przecie gdyby chciał to zrobić, nie musiałby swej córki prowadzić do lasu. W tym sęk.

Ale tu wtrąciła się panna Róża:

– No cóż, wszystko razem jest bardzo podejrzane... Ja...

Zrobiła minę osoby wtajemniczonej, której znane są straszne sekrety, i zniżywszy głos prawie do szeptu, jakby chcąc przejść do niebezpiecznych zwierzeń, ciągnęła dalej:

– Ja... ja nic nie wiem... nie chcę niczego twierdzić na pewno... Ale...

To „ale” jeszcze bardziej podnieciło naszą ciekawość.

– Więc co, więc co? – darły się dziewczyny, wyciągając szyje i rozdziawiając gęby.

– Ale nie zdziwiłabym się... gdyby to zrobił... Aż dyszałyśmy z ciekawości.

– Pan Lanlaire we własnej osobie... jeżeli już tak koniecznie chcecie wiedzieć, co myślę.

I zamilkła z okrutnym i drapieżnym wyrazem twarzy.

Jedne protestowały, inne zachowały milczenie. Zaręczwszy, że pan Lanlaire jest niezdolny do podobnej zbrodni, krzyknęłam:

– O, Chryste Panie! On, ten biedaczek... przecież bałby się strasznie.

Ale Róża upierała się z jeszcze większą nienawiścią:

– Niezdolny? Akurat! A ta mała Jésureau? A ta mała Valentin? A ta mała Douger? Tylko sobie dobrze przypomnijcie! Niezdolny?

– To nie jest to samo. To nie jest to samo. W swojej nienawiści do mego pana nie posuwały się tak daleko jak Róża i nie chciały go otwarcie oskarżać o morderstwo. Że gwałcił małe dziewczynki, które przystawały na to, by je gwałcono? Mój Boże... To jeszcze ujdzie. Ale żeby je zabijał? W to już trudno uwierzyć. Rozwścieczona Róża gwałtownie obstawała przy swoim. Pieniła się. Waliła w stół wielkimi tłustymi łapami... Miotła się, wrzeszcząc:

– Ale skoro ja wam to mówię, ja! Skoro ja jestem tego pewna...

Pani Gouin, która przez cały czas słuchała milcząca i zamyślona, teraz ucięła spór, odezawszy się obojętnym głosem:

– No, cóż robić, panienki? W tych sprawach nigdy nie ma się pewności. Ale jeśli chodzi o tę małą Jésureau, to doprawdy miała bajeczne szczęście, że jej nie zabił, zapewniam was.

Mimo autorytetu sklepikarki, mimo uporu Róży, która w ogóle nie dopuszczała innych możliwości – panienki jednak postawiły na swoim i dokonały, przekrzykując się jedna przez drugą, przeglądu wszystkich mężczyzn w okolicy, którzy mogliby dopuścić się tej zbrodni. Okazało się, że jest ich cała kupa... wszyscy, których nienawidziły, którym zazdrościły, do których czuły złość lub urazę. Wreszcie jakaś kobiecina, blada, ze szczerzym pyszczkiem, wysunęła całkiem nową kandydaturę:

– Wiecie przecież same, że w zeszłym tygodniu pojawili się tu dwaj kapucyni, którzy jakoś nie budzili zaufania. Mieli brudne brody i żebrali, gdzie się tylko da. A czy to aby nie oni?

Oburzyły się:

– Dzielni, pobożni jałmużnicy. Święte duszyczki oddane Bogu. Cóż za ohyda!

I gdy w końcu udało nam się rzucić podejrzenie na wszystkich i na każdego, zaczęłyśmy się zbierać do wyjścia, ale zawzięta Róża raz jeszcze powtórzyła:

– Przecie wam mówię... Przecie to nikt inny tylko on.

Zanim wróciłam do domu, zatrzymałam się na chwilę w komórce przy stajni, gdzie Józef właśnie czyścił uprząż. Nad szafką, w której ustawił wedle wielkości butelki z lakierem i pudełka z woskiem, zobaczyłam lśniący portret Drumonta w sosnowej ramie. Pewnie chcąc dodać mu jeszcze więcej powagi, Józef dopiero co przybrał go wieńcem z bobkowych liści. Na przeciwległej ścianie dostrzegłam wizerunek papieża, ale był ledwo widoczny, bo prawie w całości przysłaniała go fotografia konia wycięta z gazety i zawieszona na gwoździu. Na jakiejś desce piętrzył się stos broszur antysemitycznych i pieśni patriotycznych, a w kącie, pośród rozmaitych szczotek, sterczał drąg.

Nagle odezwałam się do Józefa, bez żadnego powodu, z samej tylko ciekawości:

– Wie Józef, że w lesie znaleziono tę Klarcię, zgwałconą i zamordowaną?

W pierwszej chwili Józef nie mógł pohamować jakiegoś dziwnego gestu – może zaskoczenia? Ale czy to rzeczywiście było zaskoczenie? Pomimo że ten gest był bardzo szybki i jakby ukradkowy, to przecież wydało mi się, że na dźwięk imienia Klarci drgnął i po jego ciele przebiegł dreszcz. Opanował się bardzo szybko.

– Tak – odezwał się sucho. – Wiem. Mówiono o tym dziś rano w okolicy.

Był teraz całkiem spokojny i obojętny. Dużą, czarną szmatą starannie glansował uprząż. Patrzyłam z podziwem na potężną muskulaturę jego obnażonych ramion, na zwinną, harmonijną sprężystość bicepsów, na białą skórę. Nie mogłam napotkać jego wzroku, bo spuściwszy powieki, nie odrywał ani na chwilę oczu od swojej roboty. Ale widziałam jego usta... szerokie wargi, mocna szczęka, jak u zmysłowego i okrutnego zwierzęcia. I poczułam lekkie ukłucie w sercu... Spytałam go jeszcze:

– A wiecie, kto ją zgwałcił?

Józef wzruszył ramionami. Opowiedział pół kpiąco, pół serio:

– Pewno jakiś włóczęga, jakieś parszywe żydzisko.

I po chwili milczenia:

– Fiuut... Zobaczycie, że go nie złapią. Wszyscy sędziowie są przekupni.

Odłożył oczyszczoną uprząż na właściwe siodło i wskazując portret Drumonta w aureoli bobkowych liści, dorzucił jeszcze:

– Gdyby to on nami rządził, co? Och, co za pech!

No i proszę, sama nie wiem dlaczego, a jednak opuściłam go z duszą pełną niepokoju.

Ale w końcu przez tę zbrodnię będzie nareszcie o czym mówić, a nawet trochę się rozerwać.

Nieraz, gdy pani nie było w domu, a ja nudziłam się nie do wytrzymania, podchodziłam do sztachet od strony drogi i Róża natychmiast się przy mnie zjawiała. Miała nas ciągle na oku i nic nie mogło ująć jej uwagi, zawsze wiedziała, kto wchodzi, kto wychodzi. Jest jeszcze bardziej czerwona, tłusta i nalana, ma jeszcze bardziej obwisłe wargi, a stanik nie może już pomieścić falujących piersi. Coraz częściej nawiedzają ją sprośne myśli. We wszystkim widzi tylko to, myśli tylko o tym i tylko tym żyje. Za każdym razem, jak się spotykamy, natychmiast zaczyna gapić się na mój brzuch, a jej pierwsze słowa, wypowiedane zresztą obleśnym tonem, brzmią zawsze tak samo:

– Panna Celestyna pamięta, kogo jej poleciłam? Jak tylko panienka zauważy, że coś jest nie tak, trzeba od razu biec do pani Gouin... od razu...

To stało się jej prawdziwą obsesją. Prawdziwą manią. Lekko rozzłoszczona, odpowiadam:

– Ale dlaczego miałabym zauważyć? Z nikim się tu nie zadaję.

– Och – mruknęła – nieszczęście przychodzi szybko, nawet się człowiek nie spostrzeże. Chwila zapomnienia, całkiem naturalna... i już po wszystkim. Ileż to razy człowiek sam nie wie, jak to się stało. Ile ja się natrzymałam takich, mój Boże, co to jak panna Celestyna były pewne, że nic im się nie może przydarzyć... a potem jednak się przydarzało. Ale mając panią Gouin, można być zupełnie spokojnym. Kobieta tak zręczna w tych sprawach to prawdziwe błogosławieństwo dla całej okolicy.

Ożywiła się w jakiś ohydny sposób, a jej grube cielsko aż się zatrzęsło z plugawej rozkoszy.

– Dawniej, kochasiu, spotykałaś tu same dzieci, nic, tylko dzieci. Zatrwały życie całemu miasteczku. Aż wstręt brał. Łaziło toto po ulicach jak kury po podwórku, hałasowało pod drzwiami, robiło tyle wrzawy. A teraz, nie wiem, czyś to zauważyła, wcale ich nie widać. Prawie ich nie ma.

I uśmiechając się coraz obleśniej, ciągnęła dalej:

– Co nie oznacza, że dziewczęta mniej się zabawiają. Och, nie, dobry Boże, wcale nie. Odwrotnie. Panienska nigdy nie wychodzi wieczorami, ale gdyby tak kiedyś o dziewiątej poszła sobie na spacer pod kasztany, toby dopiero zobaczyła. Wokół na ławkach same pary, całują się i ściskają. Jakie to miłe! Bo wiesz, dla mnie miłość to rzecz najpiękniejsza. Wiem dobrze, że nie można żyć bez miłości. Ale rozumiem też, że przykro jest mieć od razu na karku te zafajdane bachory. No i w porządku, nie mają ich... Już teraz nie mają z tym kłopotu. A zawdzięczają to pani Gouin. Trzeba tylko wytrzymać tych kilka przykrych chwil... no, ale w końcu to nie takie straszne. Na miejscu panny nie zawahałabym się. Taka śliczna dziewczyna, taka wytworna i z pewnością ładnie zbudowana... nie, dziecko to byłaby zbrodnia.

– Niech panna Róża będzie spokojna. Nie mam ochoty na dziecko.

– Tak, tak. Nikt nie ma ochoty na dziecko. Tylko że... Niech no panienska powie... a pan? Nigdy jej nie proponował tych rzeczy?

– Ależ nie.

– To dziwne... Przecież jest z tego znany. A tego ranka, kiedy to tak ostro nacierał w ogrodzie na pannę Celestynę?

– Zapewniam, że nie.

Panna Róża pokręciła głową.

– Panna nie chce mi niczego powiedzieć. Panna mi nie ufa... jej sprawa. Ale ja wiem swoje.

Zdenerwowała mnie w końcu i krzyknęłam na nią:

– A to mi dopiero! Co panna Róża sobie wyobraża, że ja sypiam ze wszystkimi... nawet z obrzydliwymi starcami?

Odpowiedziała lodowatym tonem:

– Nie dąsaj się, moja mała. Zdarzają się starzy, którzy dorównują młodym. Sprawy panienski nic mnie doprawdy nie obchodzą. Powiedziałam tylko, co o tym myślę. Mogę mieć przecież swoje zdanie, no nie?

Zakończyła rozmowę przykrym głosem, w którym miód zamieniał się w ocet.

– A zresztą, może to i prawda. Widać pan Lanlaire woli niedojrzałe owoce. No cóż, każdy ma swoje gusty, moja mała.

Co jakiś czas mijali nas chłopci podążający drogą i kłaniali się pannie Róży z szacunkiem:

– Dzień dobry, panno Różo. A jak kapitan, dobrze się miewa?

– Czuje się dobrze, dziękuję. Winko sobie pociąga.

Również mieszkańcy miasteczka kłaniali się Róży z szacunkiem:

– Dzień dobry, panno Różo. Co tam u kapitana?

– Dzielny jak zwykle. Dziękuję. To miło z waszej strony, że się o niego pytacie.

Ksiądz szedł drogą, szedł wolnym krokiem, kołysząc głową. Na widok panny Róży kłania się,

uśmiecha, zamyka brewiarz i przystaje.

– Ach, to ty, moje drogie dziecko? A co u kapitana?

– Dziękuję, księże proboszczu. Jakoś tam idzie... pomalutku. Kapitan dba o piwniczkę.

– Tym lepiej... tym lepiej... mam nadzieję, że posiał już śliczne kwiaty i że w przyszłym roku na Boże Ciało będziemy znowu mieli pięknie przystrojony ołtarz.

– Z całą pewnością, księże proboszczu.

– Pozdrów serdecznie kapitana, moje dziecko.

– Dziękuję, księże proboszczu. My też pozdrawiamy.

Ruszył dalej, znów otworzywszy brewiarz:

– Do widzenia, do widzenia. Oby każdy proboszcz miał takich parafian jak wy.

Wróciłam do siebie smutna i strapiona, niemal z nienawiścią w sercu, a ta wstrętna Róża syciła się swoim triumfem, tłusta, szczęśliwa, ohydnie szczęśliwa. Wszyscy jej się kłaniali, wszyscy ją szanowali. Niezadługo – jestem tego całkiem pewna – ksiądz umieści ją w jednej z wnęk swego kościoła między woskowymi świecami i ukoronuje niby jaką świętą.

IX

25 października

Jeden Józef w tym domu zaciekawia mnie naprawdę. Zachowuje się tajemniczo i nie wiem, co się dzieje w jego skrytej i potępieńczej duszy. Ale z całą pewnością dzieje się w niej coś niezwykłego. Ciężko jest wytrzymać jego spojrzenie i często umykam wzrokiem, gdy wpatruje się we mnie nieruchomo i groźnie. Jego chód, powolny i posuwisty, również wprawia mnie w przerażenie. Józef porusza się, jakby ciągnął za sobą przykutą do kostek kulę lub raczej wspomnienie po tej kuli. Coś to przypomina – katorgę, a może klasztor? Może jedno i drugie. W dodatku jego bary także napawają mnie lękiem, podobnie jak szyja, szeroka i mocna, spalona słońcem na kolor starego, spękanego rzemienia, o ścięgnach napiętych jak liny okrętowe. Zauważyłam, że na karku sterczy mu supeł twardych mięśni, bardzo wydatny, takie supły mają tylko wilki lub inne dzikie zwierzęta, które przywykły nosić w pysku ciężką zdobycz.

Ale jeśli nie liczyć obłądnego antysemityzmu, który przecież świadczy o okrucieństwie i krwiożerczości, to Józef we wszystkich sprawach życiowych zachowuje się oględnie i nie sposób przeniknąć, co myśli. Nie chełpi się, ale też nie ma w sobie zawodowej uniżoności, po której łatwo rozpoznać prawdziwego sługę. Nigdy się nie skarży i nie oczernia swych chlebodawców. Odnosi się do nich z szacunkiem, lecz nie popada w służalczość, sprawia wrażenie oddanego, ale nie popisuje się tym. Nie wymiguje się nawet od najcięższej roboty. W pracy jest zręczny i sprytny, potrafi wszystko wykonać. Robi przeróżne, bardzo trudne rzeczy, co wcale nie należy do jego obowiązków. Opatówkę traktuje jak własny dom – dba o niego, strzeże, zazdrośnie broni. Groźny, węszy jak zły pies, przepędza precz biedaków, włóczęgów, natrętów. Jest typem wiernego sługi z dawnych czasów, jeszcze sprzed Rewolucji. O Józefie mówią w okolicy: „Teraz już nie ma takich jak on. To perła”. Wiem, że nieraz usiłowano go odbić Lanlaire’om. Od Louviers poprzez Elbeuf aż po Rouen wiele domów proponuje mu korzystniejsze warunki. Odrzuca te propozycje i wcale się tym nie przechwala. Nie, dalibóg, nie. Pracuje u Lanlaire’ów od piętnastu lat i uważa ich dom za własny. Zostanie w nim tak długo, jak długo oni będą go chcieli. Nawet pani, taka podejrzliwa, wietrząca we wszystkim podstęp, jemu okazuje ślepe zaufanie. Ona, co nie wierzy nikomu, Józefowi wierzy, wierzy w uczciwość Józefa, w oddanie Józefa.

– To prawdziwa perła. Skoczyłby dla nas w ogień.

I mimo swego skąpstwa, dla niego jednego jest hojna i nie szczędzi mu drobnych podarków.

A ja jednak temu człowiekowi nie ufam. Budzi we mnie lęk i jednocześnie ogromne zaciekawienie. Niekiedy w martwej głębinie jego oczu dostrzegam przerażające błyski. Od kiedy zaczęłam się Józefem bardziej interesować, zmieniłam o nim zdanie i już go nie uważam, jak na początku, gdy dopiero nastąpiłam do tego domu, za nieokrzesanego, głupkowatego i ślamazarnego wieśniaka. Powinnam była od razu przyjrzeć mu się uważniej. Obecnie sądzę, że jest chytry i szchwany, a nawet gorzej niż chytry, więcej niż szchwany. Sama nie wiem, jak go określić. I jeszcze jedno: może wskutek tego, że codziennie na niego

patrzę, już nie wydaje mi się ani tak brzydki, ani tak stary. Przyzwyczajenie działa łągodząco i przesłania niczym mgłą rzeczywisty wygląd przedmiotów i ludzi. Prowadzi powoli do zatarcia rysów twarzy, tuszuje zniekształcenia i w końcu dochodzi się do tego, że garbus, z którym obcujemy na co dzień, po pewnym czasie przestaje być garbusem. Lecz ja mam na myśli co innego – to mianowicie, że wciąż odkrywam w Józefie jakieś nowe, nieznanne mi rzeczy, które mnie poruszają. Bo dla kobiet nie harmonia rysów i nieskazitelność sylwetki stanowią o urodzie mężczyzny. Uroda polega przecie nie tylko na cechach zdecydowanie zewnętrznych, ale na czymś trudniejszym do pochwycenia, do określenia... polega na jakimś powinowactwie, na – no niech tam, ośmielę się to powiedzieć – na emanacji zmysłów, odpychającej lub urzekającej, która może wtrącić wiele kobiet, nawet wbrew ich woli, w piekło opętania. Otóż Józef roztacza wokół siebie tę zmysłową atmosferę.

Parę dni temu widząc, jak Józef podnosi beczułkę wina, popadłam w istny zachwyty. Bawił się tą beczułką niczym dziecko gumową piłką. Jego wyjątkowa siła i zwinność, kręgosłup mocny jak dźwignia, atletyczny uchwyt ramion, wszystko razem wzięte rozmarzyło mnie nie na żarty. A tę dziwną i chorobliwą ciekawość, zrodzoną tyleż ze strachu, co ze zmysłowego upodobania, podnieca we mnie, potęguje w dwójnasób jego podejrzaną zachowanie, sposób poruszania się, zacięte wargi, siła wzroku; imponująca muskulatura i barki jak u byka. Nie umiem tego dokładnie wyjaśnić, lecz wyczuwam między mną a Józefem jakieś sekretne powinowactwo... związek fizyczny i duchowy, który zacieśnia się z każdym dniem. Czasem, gdy Józef pracuje w ogrodzie, a ja akurat szyję w garderobie, śledzę go wzrokiem przez okno. Jest tam, widzę, jak pochyła się nad grządką z twarzą ukrytą w rosnących nisko przy ziemi kwiatach, lub widzę, że klęczy pod murem, wytyczając szpaler. I nagle znika, rozwiewa się. Wystarczyło na moment pochylić głowę – i już nikogo nie ma. Zapadł się pod ziemię? Przeniknął przez mur? Bywa, że pani posyła mnie do ogrodu z jakimś poleceniem dla niego. Nie mogąc nigdzie go dostrzec, zaczynam wołać:

– Józefie! Józefie! Gdzie się Józef podziewa?

Żadnej odpowiedzi. Więc wołam znowu:

– Józefie! Józefie! Gdzie się Józef podziewa?

A on nagle wyłania się całkiem bezszelestnie zza jakiegoś drzewa lub podnosi się znad grządki jarzyn tuż przede mną. Stoi koło mnie, w pełnym słońcu, z twarzą jak maska, surową i zamkniętą, włosy przylegają mu płasko do czaszki, koszula rozchyła się na owłosionej piersi. Skąd przyszedł? Skąd się wydobył? Gdzie się przedtem zapadł?

– Och, Józefie. Ale mnie Józef nastraszył! – Wtedy na wargach i w oczach Józefa pojawia się przerażający uśmiech, który – wierzcie mi – przypomina nagły, szybki błysk noża. Myślę, że ten człowiek jest diabłem.

Gwałt dokonany na małej Klarci nie przestaje być tematem rozmów i dalej podnieca ciekawość całego miasteczka. Wszyscy wrywają sobie z rąk miejscowe i paryskie gazety, które piszą o tym zdarzeniu. „Wolne Słowo” jawnie wskazuje Żydów jako sprawców i zapewnia, że jest to „mord rytualny”. Wyżsi funkcjonariusze sądowi zjechali na miejsce zbrodni... i rozpoczęto śledztwo; przesłuchano wiele osób. Nikt nic nie wie. Oskarżenie rzucone przez Różę krąży wprawdzie między ludźmi, ale wszędzie trafia na niedowierzanie; każdy tylko wzrusza ramionami. Wczoraj żandarmi aresztowali jakiegoś biednego

domokrażęc, lecz ten bez trudu udowodnił, że nie było go w tej okolicy w czasie dokonania zbrodni. Ojciec Klarci, bo i na niego wskazywały krążące wśród ludzi pogłoski, również dowiódł swej niewinności. Zresztą wszędzie wydawano o nim jak najlepsze opinie. A więc żadnego śladu, żadnej wskazówki, która mogłaby naprowadzić sprawiedliwość na trop winowajcy. Wygląda na to, że zbrodnia wprawiała w podziw organa śledcze i że została popełniona ze zdumiewającą zręcznością... pewnie przez jakiegoś zawodowca... przez kogoś z Paryża. Wygląda też na to, że prokurator Republiki prowadzi sprawę ospale i tylko dla porządku. Zabójstwo jakiejś biednej dziewczynki – to niezbyt zajmujące. Są więc wszelkie podstawy, by przypuszczać, że nigdy nikogo nie znajdą i całą sprawę zaliczą, jak tyle innych, do rejestru spraw niewyjaśnionych.

Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby moja pani uważała, że to jej mąż jest sprawcą. Jakie to komiczne, przecież powinna go lepiej znać. Od czasu tej nowiny pani chodzi jak kołowata. I jakoś dziwnie na pana spogląda, inaczej niż dotąd. Zauważyłam, podając posiłki, że za każdym dzwonkiem do drzwi moja paniusia aż podskakuje.

Dziś po obiedzie, gdy pan oświadczył, że chciałby wyjść, pani mu zabroniła.

– Doprawdy, lepiej zostań w domu. Czy rzeczywiście musisz być stale poza domem?

I nawet przespacerowała się z panem dobrą godzinkę po ogrodzie. Oczywiście pan niczego nie zauważa; jest tak zajęty swoim kawałkiem mięsa na talerzu i fajką, że nie myśli o niczym innym. Tęgi z niego bałwan.

Bardzo chciałam wiedzieć, co też oni mają sobie do powiedzenia, kiedy zostają sami, tylko we dwójkę. Więc wczoraj wieczór przeszło dwadzieścia minut podsłuchiwałam pod drzwiami salonu. Słyszałam, jak pan szeleści gazetą; pani spisywała wydatki, siedząc przy swoim biurczku:

– Ile ja ci wczoraj dałam? – spytała.

– Dwa franki – odpowiedział pan.

– Jesteś tego pewien?

– Ależ tak, duszko.

– To dlaczego brak mi trzydziestu ośmiu su...

– Nie ja je wzięłam.

– Oczywiście nie ty... może kot.

I to było wszystko, co mieli sobie do powiedzenia.

W kuchni Józef nie lubi rozmów o Klarci. Kiedy Marianna lub ja sama zaczynamy o tym mówić, szybko zmienia temat albo wycofuje się z rozmowy. Złości go ta sprawa. Sama nie wiem, skąd i dlaczego wpadłam na pomysł, który coraz głębiej mnie draży, że to właśnie Józef zamordował Klarcię. Nie mam żadnych dowodów, żadnych poszlak, na których mogłabym oprzeć podejrzenia, żadnych poszlak oprócz wzroku Józefa, żadnych dowodów, poza tym ledwie uchwytnym gestem zaskoczenia, który mu się wymknął raz jeden, gdy wracając od sklepikarki, zaszłam do komórki z uprzążą i raptem rzuciłam mu prosto w twarz imię Klarci, dopiero co zamordowanej i zgwałconej. Jednakże to czysto intuicyjne podejrzenie rozrosło się we mnie i zamieniło najpierw w możliwość, a później w pewność. Ale chyba

się myślę. Usiłuję przekonać samą siebie, że Józef to „perła”. Powtarzam sobie, że moja nieposkromiona wyobraźnia doprowadziła mnie do granic szaleństwa, że ulegam wpływom powieściowych przewrotności, co widzą złe w dobrym i odwrotnie, i że ja sama to wymyśliłam. Ale nic z tego. Mogę sobie mówić, co mi się żywnie podoba – to przeświadczenie tkwi we mnie nadal, nie opuszcza ani na chwilę i przeradza się w jakąś dokuczliwą, przewrotną manię. Mam nieprzewartą ochotę zapytać Józefa:

– Słuchaj no, Józefie, czy to ty zgwałciłeś Klarcię i zamordowałeś ją w lesie? Prawda, że to ty, stara świnió?

Zbrodnię popełniono w którąś sobotę. Przypomniałam sobie, że Józef właśnie w tym czasie pojechał do lasu Raillon po ziemię z wrzosowisk potrzebną do użyźniania grządek. Nie było go przez cały dzień i wrócił ze swym ładunkiem dopiero późnym wieczorem. Tego jednego jestem pewna. Ale – dziwnym trafem – zapamiętałam sobie, że właśnie tego wieczoru po powrocie Józef miał ruchy wyraźnie niespokojne i rzucał co i raz ukradkowe spojrzenia. Wówczas nie przywiązywałam do jego zachowania żadnej wagi. Bo i po co? Za to dziś każdy szczegół wraca do mnie z wielką mocą. Tylko czy to aby ta sobota, ta sama sobota, gdy Józef pojechał do lasu Raillon, na którą przypada zbrodnia? Na próżno staram się ustalić datę jego wyprawy. A poza tym czy na pewno miał po powrocie tak posępny wzrok i tak niespokojne ruchy, jakie mu dziś przypisuję, opierając na nich swoje podejrzenie? A może to ja wymyśliłam i wmawiałam sobie wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że to właśnie on – ta perła – jest mordercą Klarci? Niepewność mnie drażni, a jednocześnie utwierdza w obawach, że już nigdy nie zdołam odtworzyć dramatu, który rozegrał się w lesie. Gdyby choć śledztwo ustaliło, że jakiś wóz pozostawił w pobliżu miejsca świeże ślady na liściach i wrzosowisku. Ale nie. Śledztwo nie donosi o niczym takim – stwierdza jedynie, że zgwałcono i zamordowano małą dziewczynkę – i na tym koniec. No dobrze, ale przecież to właśnie tak mnie piekielnie podnieca. Ta niebywała zręczność mordercy, który nie pozostawił po sobie najmniejszych śladów, ta diabelska zdolność zapadania się pod ziemię. Wyczuwam w tym wszystkim, dostrzegam obecność Józefa. Podenerwowana, zdobyłam się raptem na odwagę i kiedyś w zupełnej ciszy spytałam go:

– Józefie, jakiego dnia Józef jeździł do lasu Raillon po ziemię z wrzosowisk? Czy Józef sobie przypomina?

Józef ani drgnął i bez pośpiechu odłożył gazetę, którą właśnie czytał. Chyba w tym momencie jego dusza zahartowała się i zrobiła odporna na wszelkie zaskoczenia.

– O co ci właściwie chodzi? – mruknął.

– Chcę wiedzieć.

Józef skierował na mnie ciężkie, przenikliwe spojrzenie. Potem, bez żadnego udawania, zrobił minę człowieka, który szpera w pamięci, chcąc odnaleźć jakieś wspomnienie, dawno już zagubione. I odpowiedział:

– Dalibóg, niewiele pamiętam... ale myślę, że to była sobota.

– Ta sama sobota, w którą znaleziono w lesie trupa Klarci? – ciągnęłam dalej zaczepnym tonem, kładąc na to pytanie zdecydowany nacisk.

Józef nie przestawał mi patrzeć prosto w oczy, ale jego spojrzenie nabrało takiej siły i stało się tak przerażające, że to ja, chociaż nie brak mi bezczelności, musiałam odwrócić głowę.

– To możliwe – mruknął. – Tak, dalibóg... jestem pewny, że to była ta sobota... – I dorzucił: – Och, te

przekłętę baby. Lepiej byś zrobiła, Celestyno, rozmyślając o innych sprawach. Gdyby panna czytała gazety, to by wiedziała, że znów pozabijano trochę Żydów w Algierii. To ma przynajmniej jakiś sens.

Jeśli nie liczyć tego jednego, jedyne spojrzenia, przez cały czas zachowywał się spokojnie i swobodnie, niemal dobrodusznie. Gesty miał naturalne, głos nie zadrżał ani razu. Umilkłam... A Józef wziął znowu gazetę, którą przed chwilą odłożył na stół, i najspokojniej w świecie zabrał się do czytania.

A ja znów pograżałam się w rozmyśleniach. Chciałam sobie przypomnieć, czy zauważyłam w postępowaniu Józefa, odkąd tu jestem, jakieś objawy okrucieństwa. Jego nienawiść do Żydów, jego bezustanne pogrożki, że weźmie tych Żydów na męki, że ich pozabija, że ich spali – to mogły być tylko przechwałki... mogły brać się przede wszystkim z zamiłowania do polityki. Szukałam czegoś bardziej określonego, czegoś, co nie mogło budzić żadnych wątpliwości i dałoby mi pewność, że się nie mylę, co świadczyłoby o zbrodniczych skłonnościach Józefa. Ale ciągle odgrzebywałam w pamięci same niejasne wrażenia, moralne wątpliwości, same przypuszczenia, które wskutek mych pragnień i obaw, a wbrew rzeczywistości, nabierały znaczenia i wagi, mimo że tak prawdę mówiąc, wcale ich nie miały. Pragnęłam, by to on popełnił zbrodnię, czy obawiałam się tego? Nie wiem, które z tych uczuć kieruje mną i bierze górę.

No, a jednak. No i proszę, mam wreszcie jakiś fakt... fakt realny... fakt potworny... fakt, który rzuca światło na naturę Józefa. W tym wypadku niczego nie zmyśliłam, niczego nie przesadziłam, nic mi się nie przyśniło. Ten fakt mówi sam za siebie. Józefa obarcza się w domu zabijaniem kur, królików i kaczek. Kaczki Józef zabija starodawnym, normandzkim sposobem, zagłębiając im szpilkę w czubek łebka. Mógłby je zabijać za jednym zamachem, nie zadając cierpień. Ale on lubi przedłużać męczarnię, świadomie stosuje wyrafinowane tortury. Sprawia mu przyjemność, gdy czuje, jak ciałem kaczki zaczynają wstrząsać drgawki, lubi wymacać dłońmi walenie jej serca, lubi zgłębiać, odmierzać, zagarniać rękami jej mękę, jej agonialne skurcze, jej śmierć. Widziałam raz, jak Józef tym właśnie sposobem zabijał którąś z kaczek. Wziął ją między kolana, jedną ręką dławił szyję, a drugą zagłębiał szpilkę w czaszce... Gdy już utkwiła głęboko, zaczął nią obracać i obracać ruchem bardzo powolnym i miarowym. Myślałby kto, że po prostu miele kawę. I tak, kręcąc tą szpilką, Józef mówi z dziką radością:

– Trzeba, żeby się męczyła, im bardziej się męczy, tym jej krew jest smaczniejsza.

W pewnej chwili stworzenie zdołało wyswobodzić się spomiędzy kolan Józefa i trzepotało skrzydłami... trzepotało... Szyja, dławiona ręką, skręcała się w przeraźliwe spirale, a przez warstwę piór widać było, że ciało kaczki gwałtownie dygoce. Wtedy Józef cisnął ptaka na kamienne płyty podłogi, przykucnął, łokcie wparł w kolana, oparł brodę o splecione dłonie i w takiej pozycji ją śledził ohydny, rozradowanym wzrokiem nieszczęsne kacze podrygi, konwulsje, żółte nóżki drapiące podłogę...

– Niech Józef z nią skończy! – krzyknęłam. – Niech ją Józef natychmiast dobije... to straszne, jak można zadawać tyle cierpień żywemu stworzeniu!

Józef odpowiedział:

– A mnie to bawi... lubię na to patrzeć.

Przywołuję to wspomnienie, odtwarzam każdy ponury szczegół, słyszę każde słowo wtedy wypowiedziane. I mam coraz większą ochotę krzyknąć do Józefa: „To ty, ty zgwałciłeś w lesie małą Klarcie. Tak, tak, teraz jestem tego pewna, to ty, ty, ty, stara świnió!”.

Nie ma co dłużej wątpić: Józef musi być straszną kanalią. Lecz mimo że wiem już, co mam sądzić

o jego duszy i moralności, to ta pewność, zamiast mnie od niego oddalić, zamiast posiać między nami lęk, sprawia jedynie, że go kocham – no, to może za wiele... w każdym razie okropnie mnie ciekawi. Dziwne, ale ja zawsze miałam słabość do kanalii. Bo w kanaliach jest coś nieobliczalnego, burzą moją krew... wydzielają szczególną woń... która upaja... tai się w nich jakaś siła, a to działa na kobiety. Zresztą te kanalie, nawet najpodlejsze, nie dorównują podłością tak zwanym porządnym ludziom. W Józefie drażni mnie tylko jedno: że ma opinię porządnego człowieka, nawet wygląda na porządnego człowieka, zwłaszcza dla tych, którzy nie przyjrzeni się dobrze jego oczom. Ja wolałabym bardziej jawną, bardziej bezczelną kanalię. Co prawda wtedy musiałby utracić nimb tajemniczości, urok istoty nieprzeniknionej, a przecież to właśnie tak mnie w nim porusza, podnieca i budzi żądze – tak, właśnie budzi żądze: do tej starej bestii.

Teraz poczułam się spokojniejsza, ponieważ zdobyłam pewność, której nic nie jest już w mocy we mnie podważyć, że to niechybnie Józef zgwałcił biedną Klarcię.

Od pewnego czasu połapałam się, że zajmuję w sercu Józefa ważne miejsce, że robię na nim duże wrażenie. Początkowa niechęć, z jaką mnie przyjął, dawno już minęła. Teraz jeśli nawet nie odzywa się do mnie słowem, jego milczenie nie kryje żadnej wrogości czy lekceważenia dla mojej osoby. W jego wzroku nie ma już nienawiści – zresztą czy kiedykolwiek była? A jeśli niekiedy jego wzrok jest przerażający, to tylko dlatego, że Józef usiłuje zgłębić moją naturę, przejrzeć na wylot, wypróbować. Jak każdy wieśniak, jest wyjątkowo podejrzliwy, przed nikim się nie wywnętrza, nikomu nie ufa, ponieważ spodziewa się, że każdy „chce go nabrać”. Musi mieć mnóstwo sekretów, ale ukrywa je pod surową, ponurą i brutalną maską szczelnie niczym skarby w żelaznej skrzyni zaopatrzonej w solidne zamki, tajemnicze spusty. Tymczasem w stosunku do mnie ta jego nieufność zaczyna się kruszyć... Stara się być uroczy, oczywiście na swój sposób. Robi wszystko, żeby mi się przypodobać, okazać przyjazne uczucia. Z własnej woli obarcza się jarzmem zbyt ciężkim na moje siły, wyręcza mnie w każdej dużej robocie, którą mi zleca, a przy tym robi to naturalnie, bez żadnych skrytych, uwodzicielskich zamiarów i wcale nie zabiega o moją wdzięczność, nie usiłuje wyciągnąć jakichkolwiek korzyści.

Ja ze swej strony dbam o jego ubranie, ceruję mu skarpetki, łatam spodnie, naprawiam koszule, utrzymuję porządek w szafie i wkładam w to więcej zalotności i staranności niż w robotę dla mojej pani.

– O to mi chodziło, tak powinno być, Celestyno. Dobra z panny kobieta, lubisz porządek. A porządek, niech sobie Celestyna zapamięta dokładnie, to prawdziwy skarb. I jeśli na dodatek taka kobieta jest miła... jest piękna... to czego chcieć więcej?

Do tej pory nigdy nie rozmawialiśmy z sobą tylko sami we dwójkę. Chyba że przelotnie. W kuchni, wieczorem, przy Mariannie rozmowa może być tylko ogólna, co uniemożliwia wszelką, nawet najmniejszą poufałość. Czasem spotykam go samego, ale wtedy... Boże, jakże trudno zmusić go do mówienia! Unika dłuższych pogawędek, bojąc się pewnie skompromitować. Bąknie dwa słówka o tym... dwa słówka o tamtym, czasem miłe, czasem szorstkie, i koniec. Ale jego oczy mówią na przekór jego ustom. Krąży koło mnie, chce mnie omotać, chce przejrzeć na wskroś moją duszę, zobaczyć, co się w niej naprawdę kryje.

Pierwszy raz porozmawialiśmy sobie dłużej dopiero wczoraj wieczorem, państwo położyli się już spać, a Marianna wcześniej niż zwykle poszła do siebie na górę. Nie miałam chęci ani czytać, ani pisać, nie miałam też ochoty nudzić się w samotności. A ponieważ ciągle prześladował mnie obraz Klarci, więc

poszłam odszukać Józefa w jego komórce przy stajni. Siedział przy prostym stole z surowego drzewa i w świetle stajennej latarni przebierał owies. Był tam też jego przyjaciel, zakrystian. Stał tuż przy nim, dzierżąc pod pachami pakiety niewielkich broszurek, czerwonych, zielonych, niebieskich i trójkolorowych. Przypominał ropuchę: miał całkiem okrągłe oczy, tak wybałuszone, że aż wystawały mu poza łuki brwiowe, spłaszczoną czaszkę, cerę zmiętą, poźółkłą i gruzłowatą, ociążałe ciało, całe w podrygach, także go do żaby upodabniało. Dwa psy, zwinięte w kłębek, spały pod stołem, ukrywszy łby w sierści.

– Ach to ty, Celestyno? – zagadał Józef.

Zakrystian usiłował zasłonić broszury. Józef uspokoił go:

– Przy tej panie można swobodnie rozmawiać. Ta kobieta lubi porządek.

I w dalszym ciągu wydawał zakrystianowi polecenia:

– No więc, mój stary, zrozumiałeś już, o co chodzi? Do Bazoches... do Courtain... do Fleur-sur-Tille...

I żeby zostały rozdane jutro, w ciągu dnia. Staraj się zdobyć nowe prenumeraty. Powtarzam raz jeszcze: zachodź wszędzie, zachodź do każdego domu, nawet do republikanów. Zechcą wyrzucić cię za drzwi? Nic nie szkodzi, zaprzyj się nogami. Jeśli ci się uda pozyskać choć jedną z tych brudnych świń, to już jest coś. I pamiętaj: masz sto su za każdego republikanina.

Zakrystian kiwał potakująco głową. Potem wyszedł, ściskając broszury pod pachami. Józef odprowadził go do samej furtki.

Kiedy wrócił, napotkał mój pytający wzrok i zauważył ciekawość malującą się na twarzy.

– E, co tam... – mruknął niedbale – parę piosenek, parę karykatur... no i broszury antysemityczne. Rozprowadzamy je, chcemy robić propagandę. Uzgodniłem to z wielebnymi księżmi, pracuję dla nich, bo czemuż nie miałbym pracować? To jest całkowicie zgodne z moimi przekonaniami... a poza tym, trzeba przyznać, dobrze płacą.

Usadowił się z powrotem przy stole i dalej sortował ziarno. Oba psy, obudzone wyjściem zakrystiana, pokręciwszy się trochę po izbie, legły nieco dalej i znów zasnęły.

– Tak... tak... – powtórzył – nieźle za to płacą. O, ci wielebni księża, oni to dopiero mają pieniądze.

I nagle, jakby przestraszony, że się za bardzo wygadał, szybko dorzucił:

– Powiedziałem to, Celestyno, bo wiem, że dobra z was kobieta, porządnicka. Mam do Celestyny zaufanie. Ale to zostanie między nami, prawda?

Zamilkł na chwilę i znowu:

– Ależ Celestyna miała świetny pomysł, żeby do mnie przyjść... wieczorem... To naprawdę miło... to mi pochwlebia.

Nigdy go jeszcze nie widziałam tak uprzejmym i tak rozmownym. Pochyliłam się nad stołem tuż przy Józefie i przesuwając na talerzyku wyłuskane ziarna, odpowiedziałam zalotnie:

– Józef wyszedł od razu po kolacji. Nie było czasu, żeby uciąć sobie pogawędkę. Może Józef chce, żebym mu pomogła?

– Dziękuję, Celestyno. Już skończyłem.

Podrapał się w głowę.

– Do licha – odezwał się – muszę zajrzeć do inspektów. Inaczej polne myszy zjedzą mi całą sałatę, nie zostawią ani listka. Co za parszywa zgraja! A zresztą, diabła tam, nie pójdę. Muszę z tobą porozmawiać, Celestyno.

Józef wstał, zamknął drzwi, bo zostawił je przedtem półotwarte, i pociągnął mnie w głąb izdebki. Na moment zdjął mnie lęk. Od razu stanęła mi przed oczami Klarcia – mimo że zdążyłam już o niej zapomnieć – okropnie blada i zakrwawiona, tam, na leśnym wrzosowisku. Ale wzrok Józefa nie budził grozy, był raczej nieśmiały. Ledwieśmy się dostrzegali w tej ciemnej izdebce, oświetlonej tylko chybotającym światłem ślepej latarni. Z początku jego głos lekko drżał. Ale szybko nabrał pewności siebie i stał się uroczysty.

– Już od paru dni zbieram się, żeby coś wyznać Celestynie... Otóż to... Mam do was słabość... Dobra z was kobieta... Porządnicza... Widzicie, ja już was teraz dobrze poznałem.

Uznałam za stosowne zareagować przymilnym i chytrym uśmiechem. Odpowiedziałam:

– Trzeba wam było sporo czasu, żeby mi o tym powiedzieć, sami przyznacie. A czemuż to Józef był dla mnie taki niemily? Nigdy się do mnie nie uśmiechnął i zawsze mnie sztorcował? Czy Józef pamięta, jaką mi urządził scenę, gdy raz ośmieliłam się przejść ścieżką, którą dopiero co wygracował? Och, ty niegodziwy zrzędo!

Józef zaśmiał się i wzruszył ramionami:

– To prawda, tak było. Ale nie da się od razu poznać człowieka, cóż robić! A zwłaszcza kobiety... diablo trudno poznać się na kobietach, do tego Celestyna przyjechała z Paryża. Ale teraz, teraz to już dobrze was poznałem.

– Jeśli Józef mnie tak dobrze zna, to niech no mi Józef powie: jaka ja jestem?

Ściągnął wargi, spojrzał na mnie bardzo poważnie i wymówił te oto słowa:

– Jaka ty jesteś, Celestyno? Jesteś taka sama jak ja.

– Ja jestem taka sama jak wy, ja?

– Och, nie z wyglądu oczywiście. Ale ty i ja, na samym dnie duszy... to jedno i to samo. Tak, tak, dobrze wiem, co mówię.

I znów na chwilę zapadła cisza. Podjął łagodniejszym tonem:

– Mam do Celestyny słabość. A poza tym...

– A poza tym?

– Mam pieniądze... Trochę pieniędzy...

– Oho?

– Tak, trochę pieniędzy. Do licha, nie po to służyłem przez czterdzieści lat po dobrych domach, żeby sobie nie uciuć co nieco. Prawdę mówię?

– Oczywiście – odpowiedziałam coraz bardziej zdumiona zarówno słowami, jak i wyglądem Józefa. – A dużo macie tych pieniędzy?

– E tam, nie tak wiele...

– Ile? Pokażcie?

Józef zaśmiał się niemal szyderczo:

– Dobrze wiesz, że ich tu nie ma. Leżą tam, gdzie rodzą nowe pieniądze.

– Rozumiem, ale ile ich tam jest?

Wtedy zniżył głos i szepnął:

– Może piętnaście tysięcy franków... a może jeszcze więcej...

– O, do licha, to Józef ma ciężki grosz!

– Och, może trochę mniej... Nie wiem dokładnie.

Wtem oba psy równocześnie podniosły głowy, przyskoczyły do drzwi i zaczęły szczekać.

– Nic się nie dzieje – uspokoił mnie Józef. Kopnął w bok najpierw jednego psa, potem drugiego. – Jacyś ludzie przechodzą drogą. O... słyszysz... Róża wraca do siebie... Poznają jej chód.

Rzeczywiście, po paru sekundach doszło mnie szuranie stóp, czyjeś kroki wlokły się po drodze, a potem usłyszałam daleki odgłos zamykanej furtki. Psy ucichły.

Przycupnęłam na jakimś stołku w kącie komórki. Józef, wsunawszy ręce do kieszeni, chodził tam i z powrotem po wąskiej izdebce, zawadzał przy tym łokciami o ścianki z sosnowych desek i skórzane rzemienie. Nie odzywaliśmy się słowem do siebie, czułam się potwornie skrepowana i żałowałam, że tu w ogóle przyszłam. Józef – jak widać – frasował się bardzo tym, co chciał mi jeszcze powiedzieć. Upłynęło dobrych parę minut, nim wreszcie zdecydował się:

– Trzeba, żebym wam coś wyznał, Celestyno. Pochodzę z Cherbourga, Cherbourg to srogie miasto, pełne marynarzy, żołnierzy... pełne cholernych zuchów, co nie przebierają w rozrywkach; handel idzie tam dobrze. Otóż wiem, że akurat teraz nadarza się w Cherbourgu świetna okazja. Chodzi o małą kawiarenkę położoną... no już lepiej nie można!... tuż przy porcie. W dzisiejszych czasach armia pije dużo, patrioci włóczą się po ulicach... krzyczą... pyskują... zalewają pałę. To jest odpowiedni moment, moment w sam raz, żeby poprowadzić taki interes. Można zarabiać tysiące i setki, rękę za to. Tylko w tym rzecz, że do takiego interesu potrzebna jest kobieta... Żeby siedziała w środku. Kobieta z zamiłowaniem do porządku... Urocza... dobrze ubrana... Kobieta, co nie lęka się sprośnych żartów... Marynarze i wojskowi lubią się pośmiać... to figlarze... pocziwe dzieciaki... upijają się z byle powodu... a na rozpustę wydają pieniądze garściami. No, jak się Celestyna na to zapatruje?

– Ja? – pisałam ogłupiała.

– Tak, ale to przecież tylko propozycja... Czy Celestyna miałaby na to chęć?

– Ja?

Nie wiedziałam, do czego zmierza... Zaskakiwał mnie co i raz nową niespodzianką... Przestraszona, nie umiałam mu udzielić żadnej odpowiedzi. Nalegał:

– No pewnie, że Celestyna! A co ty sobie, kobieto, wyobrażasz, któż inny jak nie ty mógłby zasiąść w tej kawiarence? Dobra z was kobieta... porządnicka... Nie należysz do tych damulek, przy których nie można sobie pozwolić na żadne żarciki. Jakby nie było, jesteś patriotką. A poza tym panna Celestyna jest urocza, bardzo, ale to bardzo ładniutka... Już same tylko oczy Celestyny mogą przyprawić o szaleństwo cały garnizon z Cherbourga. A o to by właśnie chodziło, tak jest... Odkąd was dobrze poznałem, odkąd wiem, co z was za kobieta i do czego jesteś zdolna, ta myśl łązi mi bez przerwy po głowie.

– Chwileczkę... a wy?

– Ja także... dobre sobie. Pobierzemy się, oczywiście, z wzajemnej życzliwości.

Nagle jakby mnie olśniło. Krzyknęłam oburzona:

– A więc chcecie po prostu, żebym została dziwką i zarabiała dla was pieniądze?

Józef wzruszył ramionami i nie tracąc spokoju, powiedział:

– Z dobrych pobudek i w słusznej sprawie. To się rozumie samo przez się.

A potem podszedł do mnie, ujął moje dłonie i ściskając je tak mocno, że aż krzyknęłam z bólu, wyjąkał:

– Marzę o was, Celestyno, marzę, że znajdziesz się w mojej własnej kawiarence. Bo ty, Celestyno, wzburzyłaś we mnie krew.

Ponieważ siedziałam osłupiała i przerażona tym wyznaniem, niezdolna wykonać żadnego gestu ni wyrzec słowa, ciągnął dalej:

– No i poza tym.. tego jest może więcej niż piętnaście tysięcy franków... może nawet więcej niż osiemnaście tysięcy franków... Nie wiadomo, na ile się rozmnożyły... te pieniądze... A do tego mam jeszcze różne inne rzeczy... różne rzeczy... klejnoty. Będiesz diabło szczęśliwa w tej kawiarence, zobaczysz.

Objął mnie w pół i trzymał w potężnych ramionach jak w kleszczach. Czułam przy sobie jego ciało, czułam, że dygoce z żądy. Gdyby tylko zechciał, mógł mnie pojąć, mógłby mnie udusić... nie stawiałabym najlżejszego oporu. Ale on dalej prawił mi o swych marzeniach:

– Mała kawiarenka... ładniutka... czyściutka... cała lśniąca. A za kontuarem... tyłem do wielkiego lustra... Śliczna kobieta ubrana w alzacki strój, w pięknym, jedwabnym gorsecie... No i co wy na to, Celestyno? Niech no sobie to tylko Celestyna wyobrazi. Zresztą jeszcze porozmawiamy o tym któregoś dnia... jeszcze sobie porozmawiamy.

Odjęło mi mowę, nie umiałam mu powiedzieć nic, nic, zupełnie nic! Wprawił mnie w całkowite osłupienie tą propozycją, której się nigdy nie spodziewałam.. a jednocześnie cynizm tego człowieka nie budził we mnie cienia nienawiści, cienia zgrozy. A przecież Józef mówił do mnie tymi samymi ustami, które całowały ociekające krwią rany biednej Klarci, i obejmował mnie tymi samymi rękami, które ją ścisnęły, dławiliły i dusiły w lesie. Powtarzał w kółko:

– Jeszcze o tym porozmawiamy... możliwe, że jestem stary... możliwe, że jestem brzydki, ale żeby urządzić jakąś kobietę... niech sobie to Celestyna dobrze zapamięta... nie ma takiego drugiego jak ja... Jeszcze sobie porozmawiamy.

Żeby urządzić jakąś kobietę! W tych słowach kryło się doprawdy coś złowrogiego. Czy brzmiała w nich pogroźka? Czy była to tylko obietnica?

Dziś Józef jest znów milczący. Można by sądzić, że wczoraj wieczorem nic między nami nie zaszło. Wchodzi, wychodzi, wraca, pracuje, je, czyta gazetę – jak co dnia.

Przyglądam mu się i chciałabym móc go nienawidzić... Chciałabym, żeby jego brzydota wydała mi się potworna, żeby wzbudzała we mnie wielki wstręt, który odrzuciłby mnie od niego na zawsze. Ale nie, nic z tego. Ach, jakie to dziwne! Ten mężczyzna budzi we mnie dreszcz pożądania... i nie czuję do niego żadnej odrazy. Ale najbardziej przerażające jest to, iż nie czuję wstrętu właśnie dlatego, bo to on zamordował, bo to on zgwałcił małą Klarcię w lesie.

X

3 listopada

Nic nie sprawia mi takiej przyjemności jak napotkanie w gazecie nazwiska osoby, u której kiedyś służyłam. I właśnie dziś rano mi się to przydarzyło, bo dowiedziałam się z „Małego Dziennika”, że Victor Charrigaud wydał niedawno nową książkę, która cieszy się dużym powodzeniem i wszyscy mówią o niej z zachwytem. Książka nosi tytuł *Między piątą a siódmą* i wywołała duży skandal, ale w korzystnym znaczeniu tego słowa. Artykuł mówi, że jest to cykl studiów z wielkiego świata, błyskotliwych i ciętych, które kryją pod lekką formą głęboką filozofię. Tak, dosłownie, ni mniej, ni więcej. Podobnie, jak za talent, autor artykułu chwali ogromnie Victora Charrigaud również za elegancję, a także za wytworne znajomości i za salon. Ach tak! No więc pomówmy o tym salonie. Przez osiem miesięcy byłam pokojówką u Charrigaudów i wiem z całą pewnością, że w życiu nie spotkałam podobnych chamów. Bóg ani świadkiem.

Nazwisko Victora Charrigaud jest wszystkim znane. Wydał przecież szereg książek, które uzyskały rozgłos: *Ich podwójeczki*, *Jak one śpią*, *Sentymentalne loczki*, *Kolibry i papużki* należą do najślawniejszych. Ten człowiek to wspaniały rozmówca i wielce utalentowany pisarz, jego nieszczęście zaś bierze się stąd, że zbyt szybko zdobył sławę i pieniądze. Już pierwsze książki rokowały jak najlepsze nadzieje. Uderzały darem obserwacji wysokiej klasy, potężnym zmysłem satyry, nieubłaganą i celną ironią, za których pomocą ich autor dobierał się odważnie do ludzkich śmieszności. Umysł światły i wyzwolony, dla którego światowe konwenanse to tylko kłamstwo i niewola, dusza wspaniałomyślna i przenikliwa, co zamiast naginać się do poniżających przesądów, dzielnie kieruje swe porywy ku podniosłym i czystym ideałom społecznym. Tak przynajmniej mówił mi o panu Charrigaud jeden z jego przyjaciół, malarz, który oszalał na moim punkcie. Odwiedziłam go parę razy i od niego mam te opinie, które tu teraz spisałam, opowiedział mi jeszcze wiele innych szczegółów dotyczących literatury i życia tego sławnego człowieka, ale przytoczę je później.

Charrigaud chłostał każdą z ludzkich śmieszności, lecz najbardziej wziął się na snobizm. W rozmowach pełnych werwy i operujących faktami Charrigaud, bardziej nawet niż w książkach, brał pod rozwagę spodlenie charakterów, skostnienie umysłów, jakie niesie ze sobą snobizm. A jaki był przy tym celny i wnikliwy, jakie miał szerokie, zdecydowane poglądy filozoficzne, które wyrażał w ostrych, przerażająco trafnych formułkach! Formułki te – posłyszane przez jednych, puszczane w obieg przez innych – wszyscy powtarzali. Stawały się, że się tak wyrażę, „klasycznymi powiedzonkami”, z których można by ułożyć zdumiewającą psychologię snobizmu, pełną głębokich spostrzeżeń, celnych charakterystyk, wyrazistych profilów, sylwetek dziwacznie narysowanych, lecz zawsze żywych. Jego niestrudzona pomysłowość szafowała nimi bez przerwy, tworząc co i raz to nowe. Więc wolno było przypuszczać, że jeśli ktokolwiek zdoła się uchronić przed tą duchową influencją, co z przemożną siłą

grasuje po salonach, to będzie nim właśnie nie kto inny, tylko Victor Charrigaud. Bolepiej niż innych chronił go przed zarazą snobizmu godny podziwu środek aseptyczny – ironia. Lecz natura ludzka to same niespodzianki, sprzeczności, nielogiczności i szaleństwa.

Ledwie zdążyły pana Charrigaud musnąć pierwsze powiewy sukcesu, a już snob, który w nim zawsze siedział – bo jakże inaczej pisarz mógłby go odmalować z taką siłą? – objawił się i zaczął działać niczym jaka maszyna, którą podłączono do prądu elektrycznego. Najpierw wyparł się przyjaciół, bo w zmienionej sytuacji zaczęli mu zawadzać i stali się kłopotliwi; zachował jedynie tych, którzy – bądź przez ogólnie uznane dzieła, bądź przez stosunki z dziennikarzami – mogli mu być użyteczni i bezustannie podsycać swą obecnością i reklamą jego świeżo upieczoną sławę. Jednocześnie jego głównym, morderczo wyczerpującym zajęciem stało się zamawianie nowych strojów i podążanie za modą. Teraz widywało się go w surdutach skrojonych na modłę Ludwika Filipa, w przesadnie wysokich kołnierzykach, krawatach z 1830 roku, aksamitnych kamizelkach o zabójczym kroju. Lubował się w kosztownościach na pokaz, często z ciężkiej papierošnicy, wykonanej z cennego kruszcu i przyozdobionej drogimi kamieniami, wyjmował papierosa nabitego w luksusową złotą gilzę. Ale jego grubokościste kończyny oraz niezręczne ruchy, w połączeniu z nieokrzesanym sposobem bycia i prostacką wymową sprawiały, że mimo wszystkie starania wyglądał nadal jak jeden z jego ziomków, ociężałych chłopów z Owernii, bo był nim w rzeczywistości. Toteż czuł się nieswojo w zbyt nienagannej, świeżo przywdzianej elegancji i choć długo studiował najświetniejsze wzory paryskiego szyku, nigdy nie udało mu się osiągnąć swobody, smukłej sylwetki, delikatności, prostoty, której tak namiętnie i nienawistnie zazdrościł młodym elegantom widywanym w klubach, na wyścigach, w teatrach i restauracjach. Nie mógł pojąć, na czym to polega, i dziwił się: miał przecież znakomitych dostawców, najświetniejszych krawców, godnych polecenia bieliźniarzy i co za szewców... co za szewców! A kiedy przeglądał się w lustrze, lżył samego siebie, zrozpaczony:

– Na próżno ubieram się w te aksamity, mory i jedwabie, i tak mam zawsze chamski wygląd. Tak to wszystko do mnie nie pasuje.

Co zaś do pani Charrigaud, która dotychczas była osobą pełną prostoty i ubierała się z dyskretnym smakiem, to i ona również zaczęła teraz przywdziewać lśniące, zabójcze toalety, malować włosy na jaskrawo rudy kolor, nosić za ciężką biżuterię, za bogate jedwabie, a przy tym robiła to z wyniosłą miną cesarzowej praczek, z dostojeństwem królowej karnawału. Często się z niej śmiano, niekiedy okrutnie. Koledzy Charrigaud, pogiębieni jego bogactwem, a równocześnie rozbawieni aż takim brakiem smaku, mścili się, mówiąc złośliwie o tym biedaku:

– Rzeczywiście, nie ma danych na ironistę.

Dzięki rozmaitym przemyślnym zabiegom, bezustannej dyplomacji, bezustannym płaszczeniom się zaczęto ich przyjmować w różnych domach, u ludzi, których oni sami nazywali „prawdziwym towarzystwem” – to znaczy u żydowskich bankierów, jakichś książąt z Wenezueli i arcyksiążąt, co zesłi na psy, oraz u bardzo starych dam oszalałych na punkcie literatury, stręczycielstwa i akademii. Teraz myśleli wyłącznie o podtrzymywaniu i zacieśnianiu tych stosunków oraz zabiegali o dalsze, jeszcze bardziej godne pozazdrosczenia, trudniejsze do osiągnięcia i nowe, coraz to nowsze, ciągle nowe.

Pewnego dnia, chcąc się jakoś wymówić od wizyty u jednego ze swych przyjaciół bez pozycji, którego zaproszenie lekkomyślnie przyjął, a jednocześnie nie chcąc go jeszcze całkiem odstręczyć, Charrigaud

napisał do niego następujący list:

Mój drogi staruszk, jesteśmy zrozpaczeni. Wybacz nam, że nie dotrzemy słowa i sprawimy ci zawód w poniedziałek. Ale otrzymaliśmy akurat na ten sam dzień zaproszenie na obiad do Rotszyldów... Po raz pierwszy... sam rozumiesz, że nie możemy odmówić. To byłaby katastrofa. Ale na szczęście znam dobroć twego serca. Wiem, że nie tylko nie weźmiesz nam tego za złe, ale z całą pewnością będziesz podzielał naszą radość i dumę.

Innego znowu dnia opowiadał, jak kupowali willę w Deauville:

– Doprawdy nie wiem, za kogo oni nas wzięli, ci właściciele... Być może za jakichś dziennikarzy czy kogoś z cyganerii. Ale szybko uświadomiłem ich, że mam własnego notariusza.

Powoli pozbył się reszty przyjaciół z młodych lat, bo sama obecność tych ludzi stawała się obelżywym przypomnieniem przeszłości. Stanowiła pośrednie przyznanie się do społecznego kalectwa, do poniżenia, jakim jest literatura i praca. Wysilał się także, by gasić płomienie, co niekiedy zapalały się jeszcze w jego mózgu, by swą szacownością dobić ostatecznie ten przeklęty błysk inteligencji, który – ilekroć w nim ożywał – napełniał go wielkim przerażeniem, Charrigaud sądził bowiem, że dawno go na zawsze pogrzebał. Ponadto już mu nie wystarczało bywanie u innych – zapragnął przyjmować u siebie. Przeprowadzka do świeżo kupionego pałacyku w Auteuil stanowiła świetną okazję do wydania pierwszej prozowej kolacji.

Nastałam do ich domu właśnie wtedy, gdy Charrigaud wreszcie zdecydował się wyprawić u siebie przyjęcie. Nie jakąś tam zwykłą kolacyjkę dla najbliższych, swobodną i wesołą, jakie wydawali z wprawą od wielu już lat, dzięki czemu ich dom stał się naprawdę uroczy, o nie! Charrigaud chciał obecnie wydać kolację, co się zowie, prawdziwie elegancką, prawdziwie uroczystą, kolację napuszoną i sztywną, kolację „wyszukaną”, na którą zaprosi, wraz z paru dobrze widzianymi sławami literatury i sztuki, kilka osobistości z wielkiego świata, osobistości nie zanadto niedostępnych, nie zawsze w porządku, o nie, ale dostatecznie reprezentacyjnych, by odrobina bijącego od nich blasku padła i na Charrigaudów.

– Zaprosić kogoś na kolację do lokalu to nic trudnego – powiedział Victor Charrigaud – ale wyprawić kolację we własnym domu to dopiero sztuka.

Victor Charrigaud najpierw namyślał się długo nad tym projektem, a później przedstawił swój plan:

– No więc tak, rzecz ma się następująco: sądzę, że na początek możemy mieć tylko rozwódki... i ich kochanków. Ale trudno, trzeba od czegoś zacząć. Zresztą da się wśród nich znaleźć osoby całkiem stosowne, o których dzienniki katolickie piszą z zachwytem. Później, kiedy już w naszych stosunkach towarzyskich będziemy mogli być bardziej wybredni, kiedy nabiorę rozgłosu, wtedy się tych rozwódek pozbędziemy... zwyczajnie je przepędzimy.

– Słusznie – przytaknęła pani Charrigaud. – Na razie najważniejsze, żeby z tych rozwódek wyciągnąć jak największe korzyści. Bo rozwód, cokolwiek się o tym mówi, to także pozycja.

– Ma chociażby tę zaletę, że wyklucza cudzołóstwo – zarechotał szydyczko Charrigaud. – Cudzołóstwo stało się już takie niemodne... Jeszcze tylko nasz przyjaciel Bourget wierzy w cudzołóstwo... w cudzołóstwo wedle zasad chrześcijańskich... i w angielskie meble.

Na co pani Charrigaud odpowiedziała poirytowanym tonem:

– Jaki ty jesteś śmiertelnie nudny z tymi żarcikami! Zobacysz, zobacysz, że przez to nigdy nie będziemy mogli mieć salonu jak należy.

I dodała:

– Jeśli chcesz zostać prawdziwym światowcem, musisz się najpierw nauczyć, jak udawać idiotę... albo milczeć.

Układano, przekreślano, zmieniano bez końca listę zaproszonych, by po wielu wyężonych wysiłkach i kombinacjach poprzestać wreszcie na tym:

Księżna Fergus – rozwódka, i jej przyjaciel, ekonomista, deputowany Józef Brigard.

Baronowa Henrykowa Gogsthein – rozwódka, i jej kochanek, poeta Teo Crampp.

Baronowa Ottonowa Butzinghen i jej kochanek wicehrabia Lahyrais, klubowiec, sportowiec, gracz i oszust.

Pani Rambure – rozwódka, i jej ukochana, pani Tiercelet, w trakcie rozvodu.

Sir Harry Kimberly – muzyk, symbolista, zajadły pederasta, i jego młody kochanek Lucjan Sartorys, piękny jak kobieta, giętki jak rękawiczka z giemzowej skóry, smukły i płowy jak cygaro.

Dwóch członków Akademii – Joseph Dupont de la Brie, kolekcjoner sprośnych numizmatów, i Isidore Durand de la Marne, w życiu prywatnym kronikarz skandalicznych miłości, w Instytucie – poważny sinolog.

Portrecista Jacques Rigaud.

Autor powieści psychologicznych Maurice Fernancourt.

Dziennikarz od kronik wielkoświatowych Poult d'Essoy.

Zaproszenia poszły w świat i – dzięki energicznym pośrednictwom – wszystkie zostały przyjęte.

Jedynie księżna Fergus wahała się.

– Charrigaudowie? – spytała. – Ale czy na pewno przystoi mi bywanie w ich domu? Czy to aby nie on chwycił się niegdyś przeróżnych zajęć na Montmartre? Czy to nie o nim opowiadają, że sprzedawał plugawe fotografie, do których sam pozował z dosztukowanymi krągłościami? A ona? Czy to nie na jej temat krążą jakieś okropne opowieści? Czy to nie ona właśnie miała jakieś wulgarne przygody, nim wyszła za mąż? Czy nie mówiono, że była modelką i pozowała malarzom do aktów? Jakże to wstrętne! Kobieta rozbierająca się do naga wobec mężczyzn, którzy nie są jej kochankami!

W końcu przyjęła zaproszenie, gdy zapewniono ją, że pani Charrigaud pozowała tylko do portretów, a pan Charrigaud jest mściwy i z pewnością nie zawaha się obrazić ją bezczelnie w którejś ze swych książek, i że nawet sam Kimberly przyjdzie na kolację. Och, jeżeli Kimberly obiecał przyjść... Kimberly, wzór dżentelmena... taki wrażliwy i taki uroczy, taki uroczy...

Charrigaudowie byli powiadamiani na bieżąco o wszystkich rokowaniach i wszystkich zastrzeżeniach. Nie obrażali się wcale z tego powodu, przeciwnie, wieszowali sobie, że z jednymi od razu szczęśliwie poszło, a innych udało się w końcu przekonać. Teraz nie trzeba już było czuwać nad nimi, a tylko nad sobą i, jak mówiła pani Charrigaud, zachowywać się jak ludzie z wielkiego świata. Ta kolacja, tak bajecznie przygotowana i obmyślona, tak zręcznie ludziom wmówiona, miała po raz pierwszy ukazać ich w nowym wcieleniu – jako ludzi o światowych ambicjach, prowadzących elegancki żywot. Trzeba

koniecznie, by wypadła olśniewająco.

Już na osiem dni przed owym przyjęciem w domu wszystko zostało przewrócone do góry nogami. Należało poniekąd odświeżyć całe mieszkanie, żeby nic w nim nie „kulało”. Wypróbowano przeróżne ustawienie świateł, dostosowując je do przybrania stołu. Przy tej okazji pan i pani Charrigaud kłócili się jak dwie przekupki, ponieważ mieli całkiem różne upodobania w sprawach estetyki, i to dosłownie w każdym szczególe... ona nakłaniała do sentymentalnej dekoracji, on wołał, żeby było surowo i „artystycznie”.

– To idiotyczne! – krzyczał Charrigaud. – Co oni sobie pomyślą? Że są u jakiejś szwaczki; jakiejś puszczalskiej? Och, ależ się będą z nas nabijali!

– Radzę ci, mów spokojnie – odpowiedziała pani Charrigaud bliska nerwowego rozstroju. – Nic się nie zmieniłeś. Jesteś całkiem taki sam jak dawniej: łobuziak z piwiarni. A zresztą, mam tego dosyć, mam tego po dziurki w nosie.

– Ach, więc to tak... no to rozwiedzmy się, moje kociątko, rozwiedzmy się. W ten sposób uzupełnimy szeregi naszych gości i przestaniemy wśród nich razić.

Połapali się nagle, że zabraknie im sreber, że zabraknie porcelany i szkła. Musieli je wypożyczyć. Wypożyczyli również krzesła, bo mieli ich tylko piętnaście, a do tego wcale nie stanowiły kompletu. No i wreszcie zamówili menu w jednej z wielkich restauracji na bulwarach.

– Żeby mi wszystko było arcyszukowne – poleciła pani Charrigaud – i żeby nie można było rozpoznać ani jednej potrawy, żeby nikt nie wiedział, co z czego zrobione. Krewetki w plasterkach, sznycle z mielonych wątróbek, dziczyzna w kształcie szynki, szynka w kształcie ciastek, trufle jako mus, przetarte kartofle w kształcie gałązek, wiśnie w kształcie kwadratów, a brzoskwinie w spiralach. Słowem, wszystko jak najszykowniej.

– Niech pani będzie spokojna – odpowiedział restaurator. – Umiem tak zamaskować, tak przerobić potrawy, że mogę się z każdym założyć, iż nie potrafi zgadnąć, co je. To specjalność mojej firmy.

No i wreszcie nadszedł ten wielki dzień.

Pan wstał wcześnie, był niespokojny, zdenerwowany, podniecony. Pani, udręczona sprawunkami na mieście i różnymi przygotowaniami, nie zmrużyła oka przez całą noc i od samego rana kręciła się bez przerwy po domu, marszcząc czoło, zziębnięta, cała w dygotach i tak zmęczona, że – wedle jej własnych słów – czuła żołądek w piętach. Zrobiła przegląd całego pałacyku cztery albo pięć razy, rozrzucała i przestawiała bez widocznej przyczyny bibeloty oraz meble, latała z pokoju do pokoju jak szalona. Drżała, że nie przyjdą kucharze, że kwiaciarnia nie dotrzyma słowa i że goście nie zostaną rozsądzeni przy stole wedle ścisłej etykiety. Pan łąził za nią krok w krok, odziany w same tylko kalessony z różowego jedwabiu, chwając jedno, ganiąc drugie.

– Nie chce mi wyjść z głowy, skąd ci się wziął ten dziwaczny pomysł zamawiania centurii do przybrania stołu. Zapewniam cię, że ich ciemnoniebieski kolor będzie wyglądał w sztucznym oświetleniu jak czarny. A poza tym centurie, jakby je nie nazwać, to przecież zwykłe bławatki. Będzie wyglądało na to, żeśmy te bławatki sami uzbierali w zbożu.

– Och, bławatki... Jakiż ty jesteś dokuczliwy!

– Ależ tak, bławatki. A bławatki... Kimberly świetnie je określił na kolacji u Rotszyldów... to nie jest kwiat z towarzystwa. A właściwie dlaczego nie maki?

– Daj mi święty spokój – odpowiadała pani. – Zupełnie tracę głowę od tych twoich głupich uwag. Wybrałaś sobie akurat odpowiedni moment.

Ale pan obstawał przy swoim.

– No dobrze, sama zobaczysz... Oby tylko, mój Boże, wszystko odbyło się w jakim takim porządku, bez zbytnich niespodzianek, bez zbytnich przeszkód. Nie wiedziałem, że być człowiekiem światowym to taka trudna, taka męcząca i taka skomplikowana sprawa. A może powinniśmy byli pozostać zwykłymi łobuzami?

Pani aż zazgrzytała zębami:

– Dalibóg! Widzę dobrze, że pod tym względem nic się nie zmieniłeś. Nie przynosisz zaszczytu swojej żonie.

Ponieważ uznali, że jestem ładna i na oko bardzo elegancka, więc w tej całej komedii mnie też wyznaczyli odpowiedzialną rolę. Na początku miałam zawiadywać szatnią, a później wspierać, a raczej doglądać czterech lokai, czterech wysokich zuchów, dobranych z kilku biur pośrednictwa pracy do obsługiwanego stołu w czasie tej wyjątkowej kolacji.

Na początku wszystko szło dobrze. A jednak nie obyło się bez alarmu. Za piętnaście dziewięta księżna Fergus jeszcze nie przybyła. Czyżby zmieniła zdanie i w ostatniej chwili zdecydowała, że w ogóle nie przyjdzie? Co za upokorzenie... Co za klęska!... Charrigaudowie mieli strapione miny. Józef Brigard uspokoił ich. Właśnie w tym dniu księżna przewodniczy zebraniu stowarzyszenia Resztki Cygar dla Wojska na Łądzie i Morzu, które było jej własnym, godnym podziwu dziełem. Te zebrania kończą się nieraz bardzo późno.

– Co za urocza kobieta! – unosiła się pani Charrigaud, jak gdyby pochlebstwa miały magiczną moc i mogły przyspieszyć nadejście „podłej księżnej”, którą przeklinała w głębi duszy.

– A co za umysł! – podbijał cenę Charrigaud, zdany na pastwę tych samych co żona uczuć. – Niedawno u Rotszyldów uświadomiłem sobie, że chcąc odnaleźć podobną jej grację, podobną wzniosłość, należałoby sięgnąć do minionych stuleci.

– I to jeszcze pytanie! – przelicytował go Józef Brigard. – Widzi pan, drogi Charrigaud, należałoby przede wszystkim szukać w środowiskach dążących do równości i demokracji.

I zaczął wygłaszać któryś ze swych zwykłych monologów, na pół wytwornych, na pół socjologicznych – lubił się z nimi obnosić po salonach – ale właśnie wtedy weszła księżna Fergus: imponująca, majestatyczna, w czarnej toalecie haftowanej dżetami, która pięknie podkreślała pulchną biel i prześliczną krągłość jej ramion. Wśród szmerów i szeptów zachwytu wkroczone uroczyście do jadalni.

Kolacja rozpoczęła się dość sztywno. Mimo wspaniałego wrażenia, jakie wywarła, a może właśnie z powodu tego sukcesu, księżna Fergus zachowywała się wyniośle, w każdym razie z rezerwą. Wyglądało na to, że chce uchodzić za kogoś, kto uczyniwszy zadość cudzym życzeniom, raczy uświetnić swą obecnością dom tych „maluczkich”. Charrigaud dostrzegł, a w każdym razie tak mu się wydało, że księżna bada dokładnie, z kwaśną i pogardliwą miną, wypożyczone srebro, przybranie stołu, zieloną suknię pani Charrigaud i czterech lokai, których długie bokobrody maczały się w półmiskach. Zdjął go nieokreślony lęk, powziął jakieś niewesołe podejrzenia – i nagle zwątpił w wygląd stołu i w wygląd własnej żony. Przeżył potworną chwilę.

Początkowo goście wymieniali między sobą pojedyncze, wymuszone i banalne zdania, ale pomalutku rozmowa zaczęła się rozkręcać i zatoczyła szeroki krąg z chwilą, gdy wypłynął temat dobrego wychowania i roli, jakie ono odgrywa w życiu światowca.

Wtedy ta hołota, te szelmy i szelmutki, nie zważając na własną, co najmniej dwuznaczną sytuację społeczną, okazali nieubłaganą surowość, niewyrozumiałość, i to wobec osób, których nie podejrzewali o żadną plamę czy skazę, zarzucając im wyłącznie brak należytego szacunku dla praw wielkiego świata oraz niechęć do podporządkowania się tym prawom, jedynym, jakich należy przestrzegać. A ponieważ sami żyli w niejkiej sprzeczności z głoszonymi zasadami, ponieważ zostali wyrzuceni, że tak powiem, na margines życia elity, a mimo to nadal czcili tę elitę niczym relikwią, więc pewnie wyobrażali sobie, że zdołają odzyskać jasną i niedwuznaczną pozycję towarzyską, wejść ponownie do wielkiego świata, jeśli tylko uda się im przepędzić stamtąd innych.

Och, cóż to była za komiczna, co za smakowita sytuacja! Najpierw podzielili cały świat na dwie części: w jednej zgromadzili wszystko, co jest w dobrym tonie, w drugiej – wszystko, co w dobrym tonie nie jest; tutaj ludzie, których można u siebie przyjmować, tam ludzie, których u siebie przyjmować nie można. Ale te dwie zasadnicze części zaczęli prędko dzielić na mniejsze kawałki, na cieniutkie plasterki, maleńkie okruszyny i dalej je rozdrabniać, jeszcze i jeszcze, w nieskończoność... Okazuje się, że są tacy, u których można jadać kolację i można do nich przyjść na raut, ale są i inni, u których nie należy jadać kolacji, natomiast na raut przyjść można. Są tacy, których wolno dopuścić do swego stołu, i inni, którym wolno jedynie zezwolić, a i to tylko w pewnych, ściśle określonych sytuacjach, na przekroczenie progu salonu. Są tacy, u których nie należy jadać i nie należy ich przyjmować u siebie, i inni, których można u siebie przyjmować, lecz nie powinno się ich podejmować kolacją.. tacy, których można zaprosić na obiad, ale nigdy na kolację, i tacy, u których można zjeść obiad na wsi, ale nigdy w Paryżu itd. itd.

– Wszystko polega na subtelnych odcieniach – powiedział wicehrabia Lahyrais, sportowiec, bywalec klubów, gracz i oszust. – W tym cały sekret. Ścisłe przestrzeganie owych subtelnych odcieni decyduje, czy człowiek jest prawdziwym światowcem, czy też nim nie jest.

Myślę, że nigdy w życiu nie słyszałem równie żalonych głupstw. Doprawdy, aż mnie litość brała, gdy ci nieszczęśnicy tak między sobą rozprawiali. Charrigaud nic nie jadł, nic nie pił i nie odzywał się słowem. I choć nie uczestniczył w rozmowie, potężna, ponura głupota tej paplaniny uciskała mu czaszkę niczym ciężkie brzemie. Niecierpliwy, rozgorączkowany, bardzo blady, czuwał nad roznoszeniem potraw, starając się pochwycić na twarzach gości pochlebne lub ironiczne wrażenia, a przy tym machinalnie, wbrew przestrogom żony, coraz szybciej formował i kręcił kulki z chleba. Na kierowane do niego pytania odpowiadał wystraszonym, roztargnionym, coraz słabszym głosem:

– Z pewnością... z pewnością... z pewnością...

Na wprost, po drugiej stronie stołu siedziała jego własna żona – godnie wyprostowana, w zielonej sukni naszywanej perłami z metalu, które świeciły i fosforyzowały, z kitą czerwonych piór wpiętą we włosy. Czasem skłaniała się lekko to w prawo, to w lewo ku siedzącym obok niej gościom, zachowując przy tym całkowite milczenie i uśmiech przyklejony do warg, tak niesamowicie nieruchomy i martwy, jakby go ktoś domalował.

„Co za dziwka – mówił sobie Charrigaud – co za głupia i śmieszna dziwka! A ta jej suknia! W sam raz na maskaradę. Przez tę moją żonusię staniemy się jutro pośmiewiskiem całego Paryża”.

Zaś pani Charrigaud kryła pod sztucznym uśmiechem takie oto myśli:

„Co to za idiota z tego Victora! Ależ się nie potrafi zachować! Już nas jutro urzędzą te jego kulki z chleba”.

Kiedy dyskusja o wielkoświatowych manierach ostatecznie wygasła, usiłowano, wymieniwszy dodatkowo parę zdań na temat miłości, nakierować rozmowę na starożytne bibeloty, co się zresztą nie całkiem udało. Starożytne bibeloty to była dziedzina, w której zawsze triumfował Lucjan Sartorys. Posiadał cały ich zbiór i miał opinię zręcznego kolekcjonera, któremu w dodatku sprzyjało szczęście. Jego gablotki, pełne cennych przedmiotów, stały się już sławne w całym Paryżu.

– Ale gdzież pan, wyszukuje te cuda? – spytała pani de Ramboure.

– W Wersalu – odpowiedział Sartorys – u marzycielskich wdów żyjących z dożywocia i u sentymentalnych kanoniczek. Nie sposób sobie wyobrazić, jakie skarby kryją się po domach tych starszych dam.

Pani Ramboure nalegała:

– Ale w jaki sposób skłania je pan do sprzedaży?

Cyniczny i prześliczny Sartorys wypiął cherlawą pierś i odparł, wyraźnie chcąc wywołać zgorszenie:

– Najpierw się do nich umizgam, a potem oddajemy się wspólnie praktykom przeciwnym naturze.

Bezczelność tej wypowiedzi wywołała wśród gości okrzyki oburzenia, ale ponieważ Sartorysowi wszystko wybaczano, więc w końcu każdy śmiał się wraz z innymi.

– Co pan nazywa praktykami przeciwnymi naturze? – spytała z ironią, zaczepnym, łobuzerskim tonem baronowa Gogsthein, która się lubowała w ryzykownych sytuacjach.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie Kimberly’ego, by Lucjan Sartorys natychmiast zamilkł. Wyręczył go Maurycy Fernancourt, który pochyliwszy się ku baronowej powiedział poważnie:

– To zależy, z której strony Sartorys umieszcza naturę.

Wszystkie twarze znów rozjaśniła wesołość. Ośmielona tym, pani Charrigaud postawiła Sartorysowi, mimo jego protestów wyrażanych wdzięcznymi gestami, takie oto pytanie, wykrzykując je w dodatku na cały głos:

– A więc to prawda? Więc pan rzeczywiście do nich należy?

Jej słowa podziały na obecnych jak lodowaty prysznic. Księżna Fergus zaczęła się gwałtownie wachlować. Inni spoglądali po sobie zawstydzeni, zakłopotani, zgorszeni, lecz widać było z ich min, że bardzo chce im się śmiać i tylko z trudem ten śmiech powstrzymują.

Charrigaud oparł ciężko ręce o stół, zacisnął wargi, zbladł jeszcze bardziej i pot mu wystąpił na czoło; dalej kręcił z furią nieszczęsne kulki z chleba i toczył dokoła dzikim wzrokiem.

Nie wiem, co by się dalej stało, gdyby nie Kimberly, który wykorzystał trudną sytuację i złowieszcze milczenie, by zacząć opowieść o swej niedawnej podróży do Londynu.

– Tak, łaskawe panie – powiedział – spędziłem w Londynie osiem upojnych dni i byłem tam świadkiem wydarzenia jedyne w swoim rodzaju, uczestniczyłem bowiem w obrzędzie kolacji wydanej dla kilku przyjaciół przez wielkiego poetę Johna Giotto Farfadettiego, który chciał w ten sposób uczcić swe zaręczyny z żoną drogiego mu Fryderyka Ossiana Pinggletona.

– Och! Jakie to musiało być wytworne! – mizdrzyła się księżna Fergus.

– Tak, po prostu trudno to sobie wyobrazić – odpowiedział Kimberly, przy czym jego spojrzenie, gesty, głos, a nawet orchidea, rozchylająca płatki w butonierce, płonęły z zachwytu.

Ciągnął dalej:

– Proszę sobie wyobrazić, droga przyjaciółko, wielką salę o błękitnych ścianach... zaledwie błękitnych... a na tych ścianach... pawie białe i pawie złote... Proszę sobie wyobrazić stół z jaspisu o niepojęcie cudownym owalu. I na tym stole kilka pucharów, a w nich cukierki harmonizujące ze sobą kolorami – żółte i amarantowe – pośrodku zaś płaską czarę z różowego kryształu wypełnioną konfiturami z polinezyjskich owoców. I to już wszystko. Udrapowani w długie, białe szaty przechodziliśmy kolejno powolnym krokiem wzdłuż stołu, każdy z nas nabierał na koniec złotego noża odrobinę tych tajemniczych konfitur i podnosił je powoli do ust... I to już wszystko.

– Ach, jakież to, moim zdaniem, wzruszające... – dyszała księżna – jakie wzruszające!

– Niełatwo to sobie wyobrazić... Ale najbardziej podniosła chwila, kiedy nasze wzruszenie przeobraziło się doprawdy w nieklamane, bolesne rozdarcie duszy... nadeszła wówczas, gdy Fryderyk Ossian Pinggleton zaczął śpiewać poemat o zaręczynach swej żony ze swym przyjacielem. Nie słyszałem nigdy czegoś równie tragicznie, nadludzko pięknego.

– Och, błagam pana, Kimberly – prosiła księżna Fergus – niech nam pan powtórzy ten cudowny poemat...

– Ten poemat? Niestety, nie potrafię go powtórzyć. Mógłbym co najwyżej odtworzyć jego istotę.

– Otóż to... otóż to... jego istotę.

Chociaż kobietom znane były upodobania i obyczaje Kimberly'ego, chociaż wiedziały, że nie mogą odeń niczego oczekiwać, że nie mają tu nic do roboty – wprawiał je w szal zachwytu, opowiadając subtelnie, bo w tym celował, przeróżne grzechy i zadziwiające doznania duszy ludzkiej. Więc i teraz wokół stołu przebiegł szczególny dreszcz i nawet kwiaty, nawet klejnoty, nawet kryształy stojące na obrusie zdały się uczestniczyć, naginać do stanu duszy obecnych. Charrigaud czuł, że traci rozum. Miał wrażenie, że znalazł się nagle w domu wariatów. Wszakże opanował się całą siłą woli, a nawet zdołał powiedzieć z uśmiechem:

– Ależ oczywiście... oczywiście...

Lokaje kończyli podawać kolejną potrawę, z której, choć wyglądem przypominała szynkę, dobywał się strumieniami żółtawy krem oraz wiśnie przemienione w czerwone larwy. Lecz księżna Fergus, na pół omdlała ze wzruszenia, już szybowała w nieziemskich rejonach.

Kimberly zaczął znów mówić:

– Fryderyk Pinggleton i jego przyjaciel John Giotto Farfadetti ukończyli właśnie we wspólnej pracowni swe codzienne zajęcia. Jeden był wielkim malarzem, drugi wielkim poetą, pierwszy był niski i tęgi, drugi wysoki i chudy, obaj odziani w jednakowe szaty ze zgrzebnej wełny, na głowach nosili berety, jak artyści w czasach Odrodzenia. Obaj byli jednakowo nerwowi i wrażliwi, bo w ich – jakże odmiennych! – ciałach kryły się umysły i dusze bliźniaczo do siebie podobne. John Giotto Farfadetti opiewał w poetyckich strofach te same symbole, które jego przyjaciel Fryderyk Ossian Pinggleton malował na płótnach, tak dalece jednakie, że nie dało się już oddzielić sławy poety od sławy malarza

i w końcu połączono w jedno ich dzieła i ich nieśmiertelne, genialne talenty, otaczając je wspólnym uwielbieniem.

Kimberly odczekał dłuższą chwilę. Zapanowała cisza jak w kościele, a nad stołem unosił się nabożny nastrój. Więc ciągnął dalej:

– Dzień miał się ku schyłkowi. Łagodny zmierzch spowił pracownię zwiewnym cieniem, migotliwym niczym księżycowa poświata. Z trudem można było dostrzec na ścianach koloru lila długie, wysmukłe, powyginane wodorosty złocistej barwy, które zdały się kołysać, jakby poddane wibracji wody, czarodziejskiej i głębokiej. John Giotto Farfadetti zamknął księgę w kształcie mszału, na jej welinowych stronach perską trzcina pisał, a raczej rytował swe nieśmiertelne poematy. Fryderyk Ossian Pinggletton odwrócił licem do kotary sztalugi w kształcie liry i odłożył na kruchy mebel paletę w formie harfy; położyli się obaj na potrójnej warstwie poduszek barwy wodorostów dobytých z dna morskiego, zwróćeni do siebie twarzami, w dostojnych i znużonych pozach.

– Ho, ho – mruknęła pani Tiercelet, po czym zakaszła ostrzegawczo.

– Och, nie, skądże znowu – zapewnił Kimberly – nie chodziło wcale o to, o czym pani myśli.

I ciągnął dalej:

– Pośrodku pracowni znajdował się basen, a w nim pływały płatki róż i wydzielaly silny aromat unoszący się w powietrzu. Na małym stoliku zaś, w wysmukłym wazonie, którego wąska szyjka rozchyłała się na końcu jak kielich lilii, niewinnej i perwersyjnej, narcyzy o bardzo długich łodygach gasły niczym ludzkie uczucia.

– Niezapomniane – szepnęła księżna głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym.

Lecz Kimberly, nie przerwawszy nawet na moment, ciągnął dalej:

– Na zewnątrz ulice już pustoszały, robiło się coraz ciszej. Tylko od Tamizy dolatywało stłumione odległością, przeraźliwe zawodzenie okrętowych syren i huczący dygot parowych kotłów. Zazwyczaj o tej godzinie dwaj przyjaciele oddawali się całkowicie we władanie marzeń i milczeli jak zakłęci...

– Och, jakże dokładnie, jakże wyraźnie ich widzę! – podziwiała pani Tiercelet.

– A to określenie „jak zakłęci”... ma moc przywoływania duchów... jest takie czyste... – przyklasnęła jej księżna Fergus.

Kimberly wykorzystał tę chwilę przerwy spowodowaną pochlebstwami i wypił łyk szampana, po czym, czując wokół siebie rosnące, coraz bardziej namiętne zainteresowanie, powtórzył:

– Milczeli jak zakłęci... Ale właśnie owego wieczoru John Giotto Farfadetti szepnął: „Noszę w sercu trujący kwiat”, na co Fryderyk Ossian Pinggletton odpowiedział: „A w moim sercu dziś wieczór smutny ptak zaśpiewał”. I zdało się, że cała pracownia aż zadygotała od tej niezwykłej dysputy. Na lilioworóżowych ścianach, co blakły z minuty na minutę, złote wodorosty rozpościerały się i stulały, rozpościerały i stulały, falując nowym, nieznanym dotąd rytmem, gdyż bez wątpienia duch ludzi przekazuje duchowi rzeczy swe niepokoje, namiętności, żarliwe pragnienia i grzechy, swoje życie...

– Jakież to prawdziwe!

Ale ten okrzyk, który dobył się z wielu ust, jakby wcale nie dotarł do Kimberly’ego. Snuł dalej opowieść, która od tego momentu płynęła w pełnej napięcia ciszy. A głos Kimberly’ego nabierał coraz bardziej tajemniczego brzmienia:

– Owa minuta milczenia była bolesna i tragiczna. „O, mój przyjacielu” – zaklinał błagalnie John Giotto Farfadetti – ty, „który mi wszystko ofiarowałeś, ty, którego dusza jest tak cudownie, tak niepojęcie bliźniacza mej duszy, musisz mi jeszcze dać coś z siebie, czego nie posiadam i rozpaczam, że nigdy nie będę posiadał...”. „Czy więc domagasz się mego życia? – spytał malarz. – Należy do ciebie... możesz je wziąć...” „Nie, tu nie chodzi o twoje życie... chodzi o coś więcej niż twoje życie... chodzi o twoją żonę!” „Botticellina!” – wykrzyknął malarz. „Tak, Botticellina, Botticellinetta, ciało twego ciała... dusza twojej duszy... marzenie twych marzeń... magiczne ukojenie twych cierpień!... Pograżasz się w niej, a ona pograża się w tobie, niczym w jeziorze bez dna oświetlanym blaskiem księżycy”. „Botticellina! Niestety! Niestety! To musiało nastąpić”. Dwie łzy potoczyły się z oczu malarza, połyskując w półmroku. Poeta odpowiedział: „Wysłuchaj mnie, przyjacielu. Kocham Botticellinę... a Botticellina kocha mnie... umieramy oboje z tej miłości... Brak nam odwagi, by ją sobie wyznać... Brak odwagi, by się z sobą połączyć... A stanowimy, ona i ja, dwie części jednej i tej samej istoty, które kiedyś, dawno temu, rozdzieliły się, a potem, może od dwóch tysięcy lat, szukały się i przyzywały nawzajem, by teraz się wreszcie odnaleźć. O, mój drogi Pinggletonie, nieprzeniknione życie ma swe dziwne, straszliwe i wspaniałe wyroki przeznaczenia. Czyż został stworzony kiedykolwiek wspanialszy poemat od tego, który my dziś wieczór przeżywamy?”. Ale malarz powtarzał w kółko jedno, jedyne słowo: „Botticellina... Botticellina...”, coraz bardziej bolesnym głosem. Podniósł się z potrójnej warstwy poduszek, na których spoczywał swobodnie wyciągnięty, i zaczął gorączkowo chodzić po pracowni. Po paru minutach potwornego napięcia odezwał się: „Botticellina była moja. Czyż trzeba, by od tej chwili stała się twoja?”. „Będzie nasza – władczo odpowiedział poeta. – Gdyż Bóg cię wybrał, byś stał się nią, która zszyje na powrót materię naszych rozdartych dusz, Jej duszy i mojej! W przeciwnym razie... Botticellina posiada magiczną perłę, która wyzwala z ziemskich snów, a ja – sztylet, co przecina cielesne okowy... Jeżeli odmówisz, będziemy się kochali po śmierci”.

I dorzucił głosem tak głębokim, że zadźwięczał on w pracowni niczym głos dobywający się z otchłani: „Kto wie, może to będzie jeszcze piękniejsze...”. „Nie! – zakrzyknął malarz. – Będziecie żyli. Botticellina będzie twoją, tak jak była moją. Rozerwę swe ciało na strzępy, wyrwę serce z piersi... roztrzaskam czaszkę o mur... Ale mój przyjaciel będzie szczęśliwy. Potrafię cierpieć. Cierpienie jest także rozkoszą!” „Najpotężniejszą, najbardziej gorzką, najbardziej nieokiełznaną ze wszystkich rozkoszy! – zapalał się, gorzał w zachwyceniu John Giotto Farfadetti... – Zazdroszczę ci twego losu. Co do mnie, jestem pewny swej śmierci. Umrę bądź ze szczęścia spełnionej miłości, bądź z bólu nad losem przyjaciela. Wybiła moja godzina. Żegnaj”.

Stał wyprostowany niczym archanioł. W tej samej chwili zadygotała kotara, rozchyliła się i zsunęła, przepuściwszy świetlistą zjawę. To była Botticellina udrapowana w zwiewną suknię księżycowej barwy. Miała rozpuszczone włosy, które świeciły wokół niej jak ognisty snop. W rękę trzymała złoty klucz. Jej nieruchome wargi wyrażały ekstazę, oczy wypełniało wieczorne niebo. John Giotto uczynił parę szybkich kroków i znikł za kotarą. Wówczas Fryderyk Ossian Pinggleton znowu położył się na potrójnej warstwie poduszek koloru wodorostów dobytých z dna morza... Zagłębił paznokcie w swym ciele, krew trysnęła jak z fontanny, a złote wodorosty kołysały się łagodnie, ledwie już widoczne na ścianie, którą powoli wchłaniał mrok. Ale paleta w kształcie harfy i sztalugi w kształcie liry długo jeszcze rozbrzmiewały weselną pieśnią.

Kimberly umilkł na chwilę, po czym czując, że napięcie wokół stołu ścisza wszystkich za gardło

i tłumi bicie serca, zakończył:

– Oto dlaczego zanurzyłem koniuszek złotego noża w konfiturach przygotowanych przez polinezyjskie dziewice na cześć uczty zaręczynowej, tak wspaniałej, że nasz wiek, który nie zna już Piękna, podobnej nie widział.

Obiad dobiegał końca. Wstawano od stołu w nabożnej, pełnej westchnień ciszy. W salonie goście natychmiast otoczyli Kimberly’ego, ogromnie go wychwalając. Promienne spojrzenia kobiet podążały w stronę jego umalowanej twarzy, okalając ją aureolą zachwyty.

– Och, jak bardzo bym chciała mieć mój portret namalowany przez Fryderyka Ossiana Pinggletona! – wykrzyknęła z ferworem pani de Ramboure... – Dałabym wszystko za takie szczęście.

– Niestety, czcigodna pani – odrzekł Kimberly – od czasu owego bolesnego i wzniosłego wydarzenia, które dopiero co opisałem, tak się dzieje, że Fryderyk Ossian Pinggleton nie chce już malować twarzy ludzkich, nawet tych najpiękniejszych. Maluje teraz wyłącznie ludzkie dusze.

– Och, jakże to słuszne! Tak bym chciała, żeby namalowano mnie jako duszę!

– A jakiej płci? – spytał nieco sarkastycznie Maurycy Fernancourt, wyraźnie zazdroszcząc Kimberly’emu sukcesu.

Kimberly odpowiedział po prostu:

– Dusze nie mają płci mój drogi Maurycy. Mają...

– Kosmate nogi – szepnął Victor Charrigaud tak cichutko, by mógł go usłyszeć tylko pewien pisarz, autor psychologicznych powieści, którego akurat w tym momencie częstował cygarem...

– Ach, mój stary – westchnął ciężko – gdybym tylko mógł sobie na to pozwolić, wrzasnąłbym na całe gardło prosto w twarz tym ludziom różne świństwa. Bo mam już powyżej uszu tych ich dusz, tych ich miłości, niewinnych i perwersyjnych, tych magicznych konfitur... Och, jak by to było wspaniale móc sobie pozwolić na grubiaństwo, unurzać się w cuchnącym, lepkiem błocie, ale by mi ulżyło! Pozbyłbym się wreszcie tych cikliwych lilii, co mi ich napakowali do duszy. A ty?

Ale opowieść Kimberly’ego była dla tych ludzi wstrząsem i nadal pozostawali pod jej wrażeniem. Więc nie sposób już było zająć się pospolitymi, ziemskimi sprawami... wrócić do rozmów światowych, wyrafinowanych, złośliwych. Nawet sam wicehrabia Lahyrais, bywalec klubów, sportowiec, gracz i oszust, czuł się tak, jakby zewsząd wyrastały mu skrzydła. Każdy pragnął skupienia, samotności, chciał dalej przeżywać sen lub zwyczajnie pójść spać. Więc mimo wysiłków i starań Kimberly’ego, który przechodząc od jednej grupki do drugiej, pytał: „Czy pili już państwo mleko sobola? Ach, niechże państwo koniecznie spróbują mleka sobola, to takie czarujące!” – nie udało się już podjąć na nowo rozmowy... i zaproszeni goście, tłumacząc się na różne sposoby, wychodzili chyłkiem jeden po drugim. O godzinie jedenastej nie było już nikogo.

Gdy moi państwo zostali sami, najpierw stanęli na wprost siebie twarzą w twarz i zaczęli się sobie przyglądać długo, uważnie i wrogo, po czym dopiero wymienili pierwsze wrażenia:

– No, tośmy nieźle wpadli, jeśli chcesz wiedzieć – jasno postawił sprawą mój pan.

– To przez ciebie – kwaśno wypomniała mu pani.

– Nie, doprawdy, ona jest pyszna!

– Tak, przez ciebie. Niczym nie potrafiłeś się zająć i tylko kręciłeś paluchami te swoje kulki z chleba. Nie można było wydusić z ciebie słowa. Ale się ośmieszyles! Wstydz się.

– No, proszę, mów dalej – odciął się pan. – A ta twoja zielona toaleta... a twoje uśmiechy? A to chamstwo z Sartorysem? Może to także ja? A może to ja opowiadałem o cierpieniach Pinggletona, może to ja jadłem konfitury z polinezyjskich owoców, może to ja maluję dusze, może to ja jestem pederastą i lilią?

– Nawet i na to nie byłoby cię stać! – krzyknęła pani.

Długo się lżyli. Później pani, na skraju rozpacz, uporządkowała srebra, zamknęła w kredensie nieodkorkowane jeszcze butelki i udała się do swego pokoju.

Ale pan wałęsał się nadal po całym pałacyku, zupełnie nie panując nad nerwami. I gdy nagle spostrzegł mnie w jadalni, gdzie starałam się zaprowadzić jaki taki porządek, podbiegł do mnie... i objął mnie w pół.

– Celestyno – odezwał się – czy zechcesz mi wyświadczyć przysługę? Sprawić wielką, ale to wielką przyjemność?

– Tak, proszę pana.

– No to, moje dziecko, krzyknij mi prosto w twarz dziesięć razy, dwadzieścia razy, sto razy: „Gówno!”.

– Ależ proszę pana! Co też panu przyszło do głowy! Nigdy bym nie śmiała...

– Zdobądź się na tę śmiałość, Celestyno, zdobądź się na tę śmiałość. Błagam cię!

Kiedy zrobiłam już to, o co mnie prosił, omal nie pękliśmy oboje ze śmiechu.

– Uf, Celestyno, wcale nie wiesz, jak mi to ulżyło, jaką mi to sprawiło radość. Mieć nareszcie przed sobą kobietę, która nie jest samą duszą. Dotknąć kobiety, która nie jest lilią... Obejmij mnie, Celestyno.

No i proszę. Nigdy bym się po nim tego nie spodziewała.

Ale nazajutrz wystarczyło, że przeczytali w „Figaro” jakiś artykułik wynoszący pod niebiosa wczorajszą kolację, a także wytworność gospodarzy, ich dowcip, stosunki towarzyskie, by od razu zapomnieć o tym, co było, co sobie zdążyli powiedzieć. Rozprawiali wyłącznie o swoim wielkim sukcesie. Ich dusze znów się rwały do nowych, jeszcze świetniejszych podbojów, do zdobycia jeszcze bardziej snobistycznej pozycji.

– Cóż to za urocza kobieta, ta księżna Fergus! – powiedziała moja pani przy obiedzie, pałaszując resztki z wczorajszej kolacji.

– A przy tym jaka uduchowiona! – przyświadczył mój pan.

– A Kimberly? Pomyśl tylko: co to za wspaniałe rozmówca, a jakie ma wykwintne maniery!

– Nie mają racji ci, którzy z niego tak szydzą. Ostatecznie ta jego ułomność nikomu nie szkodzi. Nic nam do tego.

– Oczywiście.

I dodała z pobłażliwością:

– A zresztą, gdyby tak innych dobrze poskrobać...

Dziś, siedząc przez cały dzień w szwalni, zabawiałam się wspomnianiem tego przyjęcia i jeszcze innych

śmiesznych historyjek, które przydarzyły się w ich domu. Od momentu owej wzmianki w „Figaro” pani Charrigaud oszalała na punkcie reklamy. Zaczęła się puszczać z każdym dziennikarzyną, byle tylko zechciał przyrzec artykuł o książce męża lub szepnąć jakieś słówko o jej toaletach czy salonie... Robiła to za łaskawym przyzwoleniem pana, który, świadom tych bezceństw, bynajmniej się im nie sprzeciwiał. Mówił z godnym podziwu cynizmem: – Zawszeć to tańsze od biura reklamy. Z kolei on sam popadł w całkowitą bezmyślność i osiągnął dno upodlenia. Nazywał to polityką salonów i światową dyplomacją.

A swoją drogą! – muszę napisać do Paryża, żeby mi przysłali ten nowy tom mego byłego pana. Cóż to musi być za wstrętna książka, gdy się w nią dobrze wczytać!

XI

10 listopada

Już nikt teraz o Klarcie nie rozpytuje. Tak jak przewidywano, śledztwo zostało zawieszono. A więc las Raillon i Józef zachowują na wieki swą tajemnicę. I o tej nieszczęsnej istocie będzie się odtąd mówiło akurat tyle, co o byle ptaszku, gdy zaginie w gąszczu leśnym, pod byle jakim drzewem. Jakby w ogóle nic się nie stało! Jej ojciec dalej tłucze kamienie na szosie, a miasteczko, ożywione na chwilę tą zbrodnią, wróciło do swych codziennych spraw i nawet, może z racji zimy, jest jeszcze bardziej ponure. Chłody bardzo szybko zagnały ludzi do domów i całkiem w nich uwięziły. Czasami dostrzegam poprzez zamarznięte szyby blade, senne twarze, zaś na ulicach, oprócz włóczęgów w łachmanach i zziębniętych psów, nie spotyka się obecnie żywej duszy.

Pani posłała mnie po zakupy do rzeźnika, wzięłam ze sobą psy... Kiedy już byłam na miejscu, weszła nieśmiało do jatki jakaś starowinka i poprosiła rzeźnika, by jej sprzedał kawałek mięsa. Chciała ugotować trochę rosółu dla chorego syna. Rzeźnik wygrzebał spośród kupy odpadków, zwalonych do miedzianej miednicy, jakiś wstrętny ochłap, sam tłuszcz i kości, i zważywszy go byle jak, oświadczył:

– Piętnaście su.

– Piętnaście su! – staruszka aż krzyknęła. – Na Boga, ależ to niemożliwe! I czy z tego można w ogóle ugotować rosół?

– Jak sobie chcecie – powiedział rzeźnik i rzucił z powrotem ochłap do miski. – Tylko że dziś zamierzam wam wysłać rachunek, a jak jutro nie zapłacicie mi należności, to komornik!

– Proszę mi dać to mięso – poddała się starowinka.

A kiedy już wyszła, rzeźnik mi wyjaśniał:

– Każdy ma swoje racje, to prawda. Ale gdyby nie ci biedacy, co ja bym robił z ochłapami? Ile bym tracił pieniędzy, nie miałbym nawet na kupno nowego bydłęcia. Teraz biedota też ma swoje wymagania. A to szelmy!

I odkroiwszy dwa długie plastry pięknego, krwistego mięsa, rzucił je psom. No tak, psy bogaczy to nie to samo co biedacy!

W Opatówce dzieją się na przemian różne rzeczy. Po tragicznych, następują komiczne, bo przecież nie można się ciągle trząść ze zgrozy. Mój pan, udreńczony psikusami kapitana, podał go w końcu za poradą pani do Sądu Rozjemczego. Oskarżył kapitana o świadome wyrządzanie szkód i domagał się odszkodowania za potłuczone doniczki, inspekty i zniszczone grządki w ogrodzie. Myślę, że spotkanie tych dwóch wrogów w gabinecie sędziego warte jest opisanie. Wyzywali się niczym jacyś śmieciarze. Oczywiście kapitan wszystkiemu zaprzeczał, przysięgając z mocą, że nigdy nie wrzucił do ogrodu

Lanlaire'a nawet najmniejszego kamyczka, w ogóle niczego; odwrotnie, to on sam, Lanlaire, ciskał kamienie do ogrodu kapitana.

– Ma pan na to świadków? Gdzie są pańscy świadkowie? Niech się pan tylko odważy ich skaptować! – darł się kapitan.

– Świadkowie? – odparł mój pan. – Ależ moimi świadkami są właśnie te kamienie i przeróżne świństwa, którymi pan bez przerwy obrzuca mi posiadłość. Każdego ranka zbieram jakieś stare kapelusze, stare kapcie i każdy z pewnością łatwo rozpozna, że te paskudztwa należą do pana.

– Pan kłamie!

– A z pana kanalia... łajdak...

Ale wobec niemożności przedstawienia świadków i dostarczenia przekonywających dowodów rzeczowych, sędzia, zresztą przyjaciel kapitana, zobowiązał mojego pana do wycofania skargi.

– A ponadto, daruje pan – oświadczył sędzia na zakończenie – ale to zupełnie nieprawdopodobne... to całkiem nie do pomyślenia, żeby stary żołnierz, nieustraszony oficer, który zdobywał swe rangi na polach bitew, zabawiał się niczym andrus rzucaniem kamieni i starych kapeluszy do pana posiadłości.

– Tak jest, dalibóg! – darł się kapitan. – Ten człowiek to zagorzały zwolennik Dreyfusa. Znieważa armię!

– Ja?

– Tak, pan! Bo w gruncie rzeczy chodzi ci tylko, parszywy Żydzie, o zniesławienie armii. Niech żyje armia!

Niewiele brakowało, a wzięliby się za czuby. Sędzia z trudem ich rozdzielił. Wtedy pan ułożył dwóch świadków, którzy bez przerwy sterczeli w ogrodzie, ukryci za czymś w rodzaju przepierzenia z desek, w którym na poziomie oczu wywiercono cztery otwory. Ale kapitana ktoś o tym uprzedził, więc zachowywał się spokojnie. Mój pan tylko się niepotrzebnie wykosztował.

Kapitana widziałam poprzez sztachety dwa albo trzy razy. Mimo mrozu nie opuszczał za dnia ogrodu i zawzięcie w nim pracował. Dzisiaj nasadzał na krzaki róż wielkie kaptury z pergaminu. Opowiedział mi swe zmartwienia. Róża zachorowała na influencę... a to, do licha, przy jej astmie...! Burbaki umarł. Umarł na zapalenie płuc, bo pił za dużo koniaku. Rzeczywiście, nie wiecie się kapitanowi. Zresztą jest przekonany, że to ta kanalia Lanlaire rzuca na niego złe uroki. Ale kapitan chce dowieść, że słuszność jest po jego stronie, chce uwolnić od Lanlaire'a całą okolicę, więc podsunął mi wspianiały plan walki:

– Oto jak Celestyna powinna postąpić: powinna panna wnieść skargę do sądu. Skargę dobrze umotywowaną... o obrazę moralności i o nastawanie na panny cnotę.

– Ależ, kapitanie, mój pan nigdy nie obraził moralności i nigdy nie nastawał na moją cnotę!

– No to co? Jakie to ma znaczenie?

– Ależ ja nie mogę...

– Jak to: nie mogę? Przecież nie ma nic prostszego. Wnieść do sądu skargę i podać na świadków Różę i mnie. Przyjdziemy zeznawać... Zaświadczymy w obliczu sprawiedliwości, żeśmy widzieli wszystko... dosłownie wszystko... A słowo żołnierza, zwłaszcza w obecnej chwili, to nie bagatela, to się liczy, do pioruna! I niech panna zważy, że potem będzie nam już łatwo odgrzebać sprawę zgwałcenia Klarci...

i ubrać w nią Lanlaire'a. To jest pomysł, co? Niech się panna Celestyna nad tym zastanowi... niech się dobrze zastanowi.

A ja rzeczywiście mam się teraz nad czym zastanawiać... Józef ciśnie mnie, bym się wreszcie zdecydowała... nie mogę już dłużej zwlekać. Otrzymał wiadomość z Cherbourga, że w przyszłym tygodniu odbędzie się licytacja tej kawiarenki. Ale ja jestem niespokojna, cała rozdygotana. Chciałabym i nie chciałabym. Dziś mi się podoba ten pomysł – a jutro już mi się nie podoba. Myślę, że przede wszystkim mam stracha... boję się, żeby mnie Józef nie wciągnął w zbyt potworne rzeczy. Nie mogę się zdecydować. A on do niczego mnie brutalnie nie zmusza, tylko przedstawia różne argumenty, kusi obietnicami swobody, pięknych strojów, życia zabezpieczonego, dostatniego, szczęśliwego.

– Przecież muszę kupić tę kawiarenkę – powiedział. – Nie mogę pozwolić, żeby mi umknęła podobna okazja. A jeśli nastąpi przewrót? Pomyśl tylko, Celestyno! To oznacza natychmiastową fortunę. A kto wie, wszystko jest możliwe... Rewolucja! Celestyno, wbij to sobie dobrze do głowy: dla kawiarenki nie może się zdarzyć nic lepszego.

– Kup ją... kup tak czy inaczej. Jeśli to nie będę ja, znajdziesz inną.

– Nie, nie, to musisz być ty! Nie ma mowy o żadnej innej, musisz być ty. Zalazłaś mi za skórę, Celestyno! No, widzisz, a ty mi nie ufasz.

– Nie, Józefie, zapewniam cię.

– Tak, tak. Źle o mnie myślisz.

W tej właśnie chwili – sama nie wiem doprawdy, skąd zdobyłam się na tyle odwagi – spytałam go:

– No więc dobrze, Józefie. Przyznaj się, że to ty zgwałciłeś Klarcię w lesie.

Józef przyjął cios ze zdumiewającym spokojem, wzruszył tylko ramionami, parę razy pokręcił głową, po czym, podciągając spodnie, które mu trochę opadły, powiedział po prostu:

– Wścibska jesteś, już ci to mówiłem. Znam twoje myśli na wylot... Wiem ja dobrze, co ci chodzi po głowie...

Mówił teraz łagodniejszym głosem, ale jego wzrok stał się tak przerażający, że nie mogłam dobyć z siebie słowa.

– Nie mówmy o Klarci, mówmy o tobie.

Jak przed paru dniami, tak i teraz czule mnie objął.

– Pojedziesz ze mną do tej kawiarenki?

Cała roztrzęsiona, zebrałam się jednak w sobie i trochę bełkocąc, odparłam:

– Boję się, boję się ciebie. Dlaczego ja się tak ciebie boję?

Zaczął mnie kołysać w swoich ramionach. I mając w pogardzie wszelkie usprawiedliwienia, a nawet może zadowolony, że wzmógł mój strach, odezwał się ojcowskim tonem:

– No dobrze, dobrze, tak już to jest... porozmawiamy o tym jeszcze... jutro...

Po miasteczku krąży numer gazety wydawanej w Rouen, gdzie zamieszczono artykuł, który wywołał skandal wśród dewotów obojga płci. W tym artykule opisano pewną historyjkę, bardzo śmieszna i wcale pikantna – zdarzyła się ona naprawdę nie tak dawno w Port-Lancon, ładnym zakątku położonym trzy mile stąd. Opisana w gazecie historia zyskuje jeszcze na pikanterii, ponieważ wszyscy znają jej głównych

bohaterów. Będą ludziska mieli znowu o czym mówić przez parę dni... Ktoś przyniósł tę gazetę Mariannie i wieczorem w kuchni, po kolacji, zaczęłam czytać na głos ów sławetny artykuł. Ledwo jednak zdążyłam przeczytać parę zdań, a Józef już się podniósł, bardzo godny, surowy, nawet lekko zagniewany. Oświadczył, że nie lubi świntuszenia i po prostu nie może znieść, gdy się w jego obecności atakuje religię.

– Nie powinna Celestyna tego robić... to nie jest w porządku... to nie w porządku.

I poszedł spać.

Przepiszę tu tę całą historię. Sądzę, że jest godna upamiętnienia, a poza tym myślę, że warto ubarwić nieco uśmiechem te smutne w gruncie rzeczy stronicie.

Oto jak było:

Proboszcz parafii w Port-Lancon to krewki i rzutki duchowny, a przy tym nieprzejednany fanatyk. Jego kwiecista wymowa cieszy się wielką sławą w okolicy. Nawet wolnomyśliciele i niedowiarki chodzą w niedzielę do kościoła po to tylko, by wysłuchać kazania. Chcąc usprawiedliwić swe religijne zapędy, jako jedyną ich przyczynę podają krasomówstwo kapłana:

– Nie podzielamy oczywiście jego poglądów, lecz mimo to miło jest posłuchać człowieka na wysokim poziomie.

I żałują, że ich deputowanemu, co słowem się nigdy nie odezwie, brak tego „piekielnego daru wymowy”, jaki posiada kapłan. A kapłan warcholsko i zapalczywie wtrącał się w sprawy miasta, co krępowało nieraz mera i złościło notabli, lecz mimo to ostatnie słowo zawsze należało do niego, bo umiał swoim „darem wymowy” zamknąć na kłódkę wszystkie usta. Jedną z jego manii była nauka w szkołach – upierał się, że dzieci nie otrzymują wystarczających wiadomości.

– Czego ich tam uczą? Niczego! Kiedy im zadaję najbardziej podstawowe pytania, nigdy nie wiedzą, co odpowiedzieć: aż litość bierze.

A gdy już stwierdził fatalny stan oświaty, od razu brał się za Voltaire’a, za Rewolucję Francuską... za rząd... za zwolenników Dreyfusa, ale nigdy nie głosił swych poglądów z ambony lub w czasie publicznych wystąpień, o nie! Zachowywał je wyłącznie dla grona wypróbowanych przyjaciół, bo choć taki z niego fanatyk i człowiek niezłomny, to jednak bardzo zważał na swoją pozycję i nie chciał utracić pensji. Toteż w każdy wtorek i czwartek na dziedzińcu przed plebanią gromadził dzieci, gromadził ich tyle, ile się tylko dało, i przez dwie godziny oświecał, udzielał im zdumiewających nauk, uzupełniając luki świeckiej edukacji.

– Więc tak, moje dzieci, czy które z was wie przynajmniej, gdzie się niegdyś znajdował Raj na Ziemi? Jeśli które wie, to proszę, niech podniesie rękę do góry. Zaczynamy.

Nie uniosła się ani jedna ręka. Ale we wszystkich żrenicach zapłonęła od razu namiętna ciekawość, a duszpasterz, wzruszywszy ramionami, wykrzyknął:

– To skandal! Więc czego oni was uczą, ci pedagogdzy? Nie ma co, śliczna edukacja, świecka, bezpłatna, obowiązkowa... no pięknie! Więc teraz ja wam powiem, ja, we własnej osobie, gdzie się znajdował Raj na Ziemi... Uwaga!

Przybrał stanowczą minę, napuszył się cały i zaczął mówić, kładąc nacisk na każde słowo:

– Raj na Ziemi, moje dzieci, co by tam nie mówiono, nie leżał wcale w Port-Lancon ani też

w departamencie dolnej Sekwany... ani w Normandii, ani w Paryżu... ani we Francji... Nie leżał w ogóle w Europie ani nawet w Afryce czy też w Ameryce... a tym bardziej w Oceanii. Rozumiecie? Są ludzie, którzy utrzymują, że Raj na Ziemi leżał we Włoszech, inni znów twierdzą, że w Hiszpanii, ponieważ w tych krajach rosną pomarańcze... głupie żarłoki. Ale to kłamstwo, wielkie kłamstwo. Przede wszystkim w Raju na Ziemi rosły tylko jabłka... na nasze nieszczęście. No, ale spróbujmy, może już teraz któreś z was potrafi odpowiedzieć. Słucham, odpowiadajcie.

A ponieważ nikt nie odpowiadał, duszpasterz ciągnął dalej.

– Raj na Ziemi leżał w Azji! – krzyknął donośnym, rozwścieczonym głosem. – W Azji, gdzie niegdyś nie padał ani deszcz, ani grad, ani śnieg... ani pioruny. W Azji, gdzie wszystko się zieleniło i pachniało, gdzie kwiaty były wysokie jak drzewa, a drzewa wysokie jak góry. Teraz w Azji już nic z tego nie zostało. Z powodu grzechów, które ludzie popełnili. W Azji teraz są tylko Chińczycy, Indochińczycy, Turcy, czarni heretycy i żółci poganie, którzy zabijają świętych misjonarzy, a potem idą do piekła. Ja wam to mówię! Przejdźmy do innej sprawy. Czy wiecie, co to jest wiara? No, wiara?

Jedno z dzieci wydukało bardzo poważnie, tonem wyuczonej lekcji:

– Wiara... Nadzieja... i Miłość... To jest jedna z trzech cnót teologicznych.

– Nie o to was pytam – skarcił je duszpasterz. – Pytam was, na czym polega wiara? Aha, więc tego także nie wiecie? No, pięknie... Wiara, uważacie, polega na tym, żeby ufać w to, co mówi wasz dobry proboszcz! nie ufać temu, co mówi wasz nauczyciel. Bo wasz nauczyciel w ogóle nic nie wie... A wszystko, co wam opowiada, nigdy i nigdzie nie miało miejsca.

Kościół w Port-Lancon znają archeolodzy i turyści. To jedna z najciekawszych budowli sakralnych tej części Normandii, gdzie przecież istnieje wiele świątyń godnych podziwu.

W zachodniej fasadzie kościoła, nad głównym ostrołukowym portalem, rozkwita wspaniała rozeta, leciutko podparta trzema ażurowymi arkadami, niezmiernie wdzięcznymi i delikatnymi w rysunku. Natomiast gzyms bocznej, północnej nawy, który prowadzi wzdłuż wąskiej, ciemnej uliczki, przystrojono bogatymi w szczegóły, mniej surowymi ozdobami. Pośród koronek ażurowego fryzu można wypatrzeć wiele osobliwości: postaci z twarzami demonów, symboliczne zwierzęta, świętych o wyglądzie włóczęgów, którzy stroją dziwaczne miny. Niestety, większość z nich ma poutraćane głowy i została na różne sposoby okaleczona. Czas i barbarzyńska pruderia wikariuszy niszczyły stopniowo te rzeźby szydercze, wesołe, jurne – niczym proza Rabelais'go. Ponury, stateczny mech porasta ich ciała ze skruszałego kamienia i niezadługo oko ludzkie dostrzeże tu tylko ruinę niezdatną już do naprawy. Kościół dzielią na dwie części wąskie, strzeliste arkady, okna w południowej fasadzie promienieją słońcem, a w północnej – płoną jego odblaskiem. Płonie także owa potężna rozeta, najokazalszy witraż nawy głównej, rozpościerając wokół wiązki promieni niczym chyłące się ku zachodowi jesienne słońce.

Z wysadzanego starymi kasztanami dziedzińca nestor miejscowego duchowieństwa ma w każdej chwili dostęp do kościoła przez wąskie, niziutkie drzwiczki, które niedawno wybito w bocznej nawie. Jedyne klucze do tych drzwiczek dzierży on sam i powierza go niekiedy tylko siostrze Angeli zawiadującej hospicjum. Chuda, koścista, jeszcze nie stara, a już przywiedła i zgorzkniała, surowa i zrzędząca, przedsiębiorcza i poganiająca wszystkich, siostra Angela była wielką przyjaciółką przeora i jego najbliższą powiernicą. Widywali się potajemnie każdego dnia, knuli bez przerwy jakieś intrygi wyborcze,

przygotowywali kontakty z urzędem miejskim, powierzali sobie sekrety dotyczące gospodarki miasta, sekrety, które zawsze jedno z nich umiało wytropić; usiłowali obejść, zręcznie manewrując, różne zarządzenia policji i przepisy administracyjne, mając stale na względzie dobro Kościoła. To tu rodziły się wszystkie paskudne plotki, które potem krążyły po okolicy. Ale też nikt nie pisał na ten temat ani słówka, bojąc się zarówno nieobliczalnych wystąpień kapłana, jak i powszechnie znanej złośliwości siostry Angeli, która kierowała hospicjum wedle własnej fantazji, będąc przy tym kobietą bezwzględną i zawziętą.

W zeszły czwartek duszpasterz wpajał jak zwykle dzieciom na dziedzińcu probostwa zadziwiające teorie meteorologiczne. Już zdążył im wyjaśnić, czym jest naprawdę grzmot, grad, wiatr i błyskawice.

– A deszcz? Czy wiecie na pewno, co to jest deszcz? Skąd się bierze i kto go stwarza? Dzisiejsi uczeni powiedzą wam, że deszcz to skroplona para. Powiedzą wam jeszcze różne głupstwa. Kłamią. Bo ci uczeni to okropni heretycy... poplecznicy diabła. A deszcz, moje dzieci, bierze się ze złości Pana Boga. Pan Bóg jest niezadowolony z waszych rodziców, gdyż oni od lat nie uczestniczą w roratach. I mówi sobie: „Ach, więc to tak, więc pozwalacie, by wasz zacny proboszcz i jego ministranci, i jego chór samotnie marzli na drogach i ścieżkach? Dobrze... dobrze... Uważajcie na plony, nicponie!”. I nakazuje, by spadł deszcz. No więc widzicie teraz, czym jest deszcz. Gdyby wasi rodzice byli przykładnymi chrześcijanami, gdyby przestrzegali nakładanych przez Kościół obowiązków – nigdy by nie padało.

Właśnie w tym momencie na progu drzwiczek do kościoła pojawiła się siostra Angela. Była jeszcze bledsza niż zwykle i wielce wzburzona. Nawet jej kornet zsunął się nieco z białego, byle jak nasadzonego czepka, powiewając skrzydłami z przerażenia i gniewu. Gdy dostrzegła dzieci otaczające kołem duszpasterza, w pierwszym odruchu chciała się cofnąć i zamknąć za sobą drzwi. Ale kapłan, zdumiony jej nagłym wtargnięciem, jej bladą twarzą i przekrzywionym na bakier kornetem, zdążył już w kierunku drzwi, spoglądając na nią z niepokojem w oczach, a jednocześnie uśmiechając się z przymusem.

– Niech ksiądz natychmiast odprawi te dzieci – błagała siostra Angela. – Natychmiast. Mam z księdzem do pomówienia.

– Och, mój Boże! Cóż się stało! No, co takiego? Siostra taka wzburzona...

– Niech ksiądz odprawi te dzieci – powtarzała siostra Angela. – Dzieją się ważne rzeczy... bardzo ważne... zbyt ważne...

Kiedy dzieci już sobie poszły, siostra Angela opadła na ławkę i milcząc, jęła tak szybko i nerwowo obracać w dłoniach mosiężny krzyż i poświęcone medaliki, że aż zaczęły o siebie podzwaniać na wykrochmalonym białym gorsie, który niczym pancierz osłaniał jej płaską pierś bezpłodnej samicy. Ksiądz zaniepokoił się nie na żarty. Spytał porywczym tonem:

– Prędeej... Niech już siostra wszystko powie... Siostra mnie przeraża... No więc, co się stało?

Siostra Angela odpowiedziała krótko:

– Stało się to, że idąc przed chwilą uliczką, zobaczyłam... na dachu kościoła, księdza kościoła... całkiem nagiego mężczyznę.

Duszpasterz rozdziawił usta.

– Całkiem nagiego mężczyznę? Jak to? Zobaczyła siostra na dachu kościoła... mężczyznę... całkiem nago? Siostra jest tego pewna?

– Widziałam go na własne oczy.

– A więc w mojej parafii... znajduje się jakiś parafianin... tak bezwstydnym... tak rozpustnym... że odważa się spacerować nago po dachu kościoła... Nie, to nie do wiary... Och, och!

Twarz spąsowiała mu ze wściekłości. Strzępy słów z trudem dobywały się ze ściśniętego gardła:

– Całkiem nagi mężczyzna na dachu mojego kościoła? No proszę, w jakich czasach żyjemy? I co on tam robił? Całkiem nago... A może oddawał się rozpuście? Och...

– Ksiądz mnie nie rozumiał... – przerwała siostra Angela. – Ja nie powiedziałam, że ten całkiem nagi mężczyzna jest jednym z księdza parafian. Nie mogłam tego powiedzieć, ponieważ on jest z kamienia.

– Jak to: z kamienia? Ależ to całkiem inna sprawa, moja siostrzyczko!

Jej słowa sprawiły księdzu wyraźną ulgę. Odetchnął głęboko.

– Ale się wystraszyłem!

Siostra Angela rozsierdziła się. Świszczącym głosem dobywającym się przez zaciśnięte i zbielejące wargi nastawała dalej.

– A więc to tak... więc wszystko jest w najlepszym porządku? Może ksiądz uważa, że skoro ten mężczyzna jest z kamienia, to już przestał być całkiem nagi?

– Tego nie powiedziałem. Ale przecie to nie to samo...

– A jeśli ja księdza zapewnię, że ten mężczyzna... nie szkodzi, że z kamienia... jest bardziej nagi, niż ksiądz przypuszcza? Że bezwstydnie wystawia... no ten. to narzędzie nieczystości... tę rzecz ogromną, potworną, słowem to, co staje dęba... Nie, dość! Proszę, niech mnie ksiądz nie zmusza do mówienia świństw!

Siostra Angela wstała z ławki bardzo poruszona i srodze zgorzona. Ksiądz zaś jej wypowiedź wprowadziła w ogromne osłupienie. Wszystko mu się pomieszało w głowie i jego myśli zaczęły się gubić w jakichś nieczystych, zdrożnych majakach, w jakichś obrzydliwościach z piekła rodem. Wreszcie wybąkał jak dziecko:

– Och, doprawdy? Narzędzie nieczystości... olbrzymie... które staje dęba? To się nie mieści w głowie. Szkaradna sprawa, nie ma co! Ale czy siostra jest pewna, całkiem pewna, że rzeczywiście widziała tego... no, to ogromne... stojące dęba? Czy siostra się aby nie pomyliła? Czy to nie jakieś żarty?

Siostra Angela tupnęła nogą.

– On już tak od wieków sterczy... i profanuje kościół. Ksiądz nigdy nie zauważył? Więc dopiero trzeba było mnie... mnie, kobiety... mnie, zakonnicy, co złożyła śluby czystości... mnie trzeba było, żebym księdzu doniosła o tej... o tej ohydzie... żebym krzyknęła: „Księżę proboszczu, diabeł jest w księdza kościele!”.

Ale proboszcz, za sprawą płomiennych słów siostry Angeli, szybko odzyskał zmysły. Przemówił zdecydowanym głosem:

– Nie możemy dłużej tolerować takiego skandalu. Trzeba tego diabła powalić na ziemię. Już ja sam się tym zajmę. Niech siostra tu przyjdzie o północy... jak już wszyscy będą w mieście spali. Wtedy siostra mnie tam zaprowadzi. Uprzedzę zakrystiana, żeby przygotował drabinę. Czy to bardzo wysoko?

– Tak, bardzo wysoko.

– A czy siostra potrafi odnaleźć to miejsce?

– Odnajdę je z zamkniętymi oczami. A więc o północy, proszę księdza proboszcza.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, siostro.

Siostra Angela przeżegnała się, zawróciła do bocznych drzwiczek i zniknęła.

Noc była czarna, bez księżyca. W oknach domów ciągnących się wzdłuż uliczki, światła już dawno pogasły. Ledwie widoczne latarnie chwiały się na wysokich słupach, zgrzytając drucianą osłoną. Całe Port-Lancon pogrążyło się we śnie.

– To tu – odezwała się siostra Angela.

Zakrystian przystawił drabinę do muru, tuż obok szerokiego okna z witrażem. Przez ten witraż blado przeświecał nikły blask lampki oliwnej, co dniem i nocą pali się przed Przenajświętszym Sakramentem. Na tle fioletowego nieba, mrugającego tu i ówdzie gwiazdami, kościół rysował swój misternie rozczłonkowany kontur. Ksiądz proboszcz, uzbrojony w młotek, mocne cęgi i ślepą latarkę, zaczął się wdrapywać po drabinie. Tuż za nim wspinała się siostra Angela, której kornet ukrył się w fałdach obszernej, czarnej mantyli. Ksiądz mruczał:

– *Ab omni peccato.*

Siostra odpowiadała:

– *Libera nos, Domine.*

– *Ab insidiis diaboli.*

– *Libera nos, Domine.*

– *A spiritu fornicationis.*

– *Libera nos, Domine.*

Gdy już znaleźli się na wysokości gzymsu, znieruchomieli.

– To tu – szepnęła siostra Angela. – Na lewo od księdza przeora.

Strwożona mrokiem i ciszą, szeptała bardzo szybko:

– *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi.*

– *Exaudi nos, Domine* – odpowiedział ksiądz proboszcz i nakierował swą latarnię w gąszcz kamiennej płataniny, gdzie wykrzywiały się dziwacznie powykręcane apokaliptyczne postacie demonów i świętych.

Nagle krzyknął. Zobaczył potworny i wyuzdany instrument grzechu wycelowany prosto w siebie.

– *Mater purissima... Mater catissima... Mater inviolata...* – bełkotała siostra skurczona na drabinie.

– Ach! Świnia! Świnia!... – darł się proboszcz, jakby głosząc *Ora pro nobis.*

Zamachnął się młotkiem i wymierzył plugawej rzeźbie, mimo że była wizerunkiem świętego, krótki, mocny cios; za jego plecami siostra Angela recytowała dalej litanię do Najświętszej Pani.

Kamień rozpadł się, kilka odprysków smagnęło księdza po twarzy, później usłyszeli, jak twardey człon spada na dach, obsuwa się do rynny, stacza po niej, by wreszcie runąć na bruk uliczki.

Nazajutrz panna Robineau, święta kobieta, wychodząc po mszy z kościoła, spostrzegła nagle na bruku uliczki jakiś przedmiot. Wyglądał dziwnie, jego osobliwy kształt przywiódł jej na myśl relikwie przechowywane w kościelnym relikwiarzu. Podniosła go i zaczęła uważnie oglądać ze wszystkich stron.

„To jest najpewniej jakaś relikwia – powiedziała sobie – jakaś święta, rzadka i cenna relikwia... Pewnie skamieniała w jakimś cudownym źródle. Niezbadane są ścieżki Pańskie”.

Z początku chciała ją ofiarować proboszczowi. Ale po namyśle doszła do wniosku, że, kto wie, a może ta relikwia stanie się opatrnością jej własnego domu. Może będzie go chronić przed nieszczęściami i grzechem? Więc zabrała ją z sobą.

Wróciwszy do mieszkania, panna Robineau od razu zamknęła się w swym pokoju. Przykryła stół białym obrusem, położyła na nim poduszeczkę z czerwonego aksamitu, przyozdobioną złotymi frędzlami, a na niej ostrożnie umieściła cenną relikwię. Następnie przykryła to wszystko szklanym kloszem i pospiesznie ustawiła po bokach dwa wazony pełne sztucznych kwiatów. Po czym uklękła przed tym naprędce zmontowanym ołtarzem i zaczęła żarliwie przyzywać świętego, którego imienia wprawdzie nie знаła, ale którego cząstka tajemna i czysta leżała tuż przed nią. Ale niebawem poczuła jakiś niepokój. Jej umysł zaczęły zaprzętać jak najbardziej ludzkie sprawy, mącąc gorliwe modlitwy i radość religijnego uniesienia. A nawet – jakieś kłujące, potworne podejrzenia zakradły się do jej duszy.

„Czy to aby jest rzeczywiście święta relikwia?” – zastanawiała się, pełna wątpliwości.

I choć wargi jej szeptały bez przerwy *Ave*, szeptały coraz szybciej *Pater*, nie mogła zapanować nad własnymi myślami, a te krążyły wokół ciemnych, nieczystych spraw, nie była zdolna stłumić wewnętrznego głosu, donioślejszego od modłów, który jej mówił: „Tak czy inaczej, ten święty musiał być pięknym mężczyzną”.

Biedna panna Robineau! Wreszcie ktoś jej wyjaśnił, co naprawdę przedstawiał ten kawałek kamienia. Omal nie umarła ze wstydu. I bez przerwy powtarzała w kółko:

– A ja go tyle razy całowałam!

Dziś, 10 listopada, przez cały dzień czyściliśmy srebra. Bo w tym domu czyszczenie sreber to doroczna, prawdziwa uroczystość, uświęcona tradycją w tym samym stopniu co, dajmy na to, smażenie konfitur. Lanlaire’owie posiadają wspaniałą srebrną zastawę, trafiają się w niej stare przybory, rzadko spotykane i prześliczne. Pani otrzymała tę zastawę w spadku po ojcu, a ten z kolei zagarnął ją w swe ręce częściowo jako depozyt, częściowo jako zastaw pod jakąś sumę pieniędzy, którą pożyczył pewnemu wysoko urodzonemu sąsiadowi. Nie kupił ani jednej sztuki, to pewne. Bo ten zbereźnik kupował przecie wyłącznie ludzi do służby wojskowej. Ale niczym nie gardził i w niejednym łajdactwie maczał palce. Jeśli wierzyć sklepikarce, to historia tych sreber była bardzo niejasna lub bardzo jasna, jak kto woli. Ojciec pani, chociaż sąsiad zwrócił mu pożyczkę, zachował srebrną zastawę, a jakim sposobem, tego nikt nie wie. Ten oszust umiał płatać niezłe figle, szkoda gadać!

Oczywiście Lanlaire’owie nigdy tej zastawy nie używają. Spoczywa w głębi kuchennej szafy ściiennej, w trzech skrzyniach wyściełanych czerwonym aksamitem, które przykuto do ściany solidnymi uchwytnymi z żelaza. Co roku 10 listopada, z samego rana, wyjmuje się je ze skrzyń i czyści przez cały dzień pod pani nadzorem. Potem tej srebrnej zastawy oko ludzkie nie ogląda aż do następnego roku. Ach, ten wzrok pani, gdy patrzy na srebra, gdy patrzy na nasze ręce czy czegoś nie ukradły! Jeszcze nigdy nie widziałam we wzroku żadnej kobiety takiej zachłannej chciwości.

Ciekawe, dlaczego pewni ludzie wszystko ukrywają – pieniądze, biżuterię, własne bogactwo i powodzenie – dlaczego, mogąc sobie pozwolić na zbytki i radości, postanowili z uporem ograniczać się

we wszystkim i żyć w nudzie?

Po skończonej pracy, gdy srebra spoczęły już w skrzyniach, zaryglowane aż do następnego roku, i pani wreszcie wyszła z kuchni, pewna, że nie zwędziliśmy ani jednej sztuki, Józef odezwał się do mnie z dziwną miną:

– To bardzo piękna zastawa, wierz mi, Celestyno, Zwłaszcza ten komplet do oliwy Ludwika XVI. Och do kroćset! Ależ to ciężar! Wszystko razem może być warte ze dwadzieścia pięć tysięcy franków, Celestyno... A może i więcej... Nikt nie wie, ile to jest naprawdę warte.

I patrząc na mnie uważnym, ciężkim spojrzeniem, którym starał się przeniknąć moją duszę do głębi, zapytał:

– No i co, pojedziesz ze mną do tej kawiarenki w Cherbourgu?

Jaki związek mogła mieć dla niego srebrna zastawa pani z tą kawiarenką w Cherbourgu? Doprawdy nie wiem czemu... ale byle odezwanie Józefa przyprawia mnie o dreszcz.

XII

12 listopada

Już zapowiedziałam, że opowiem o panu Ksawerym. Myśl o tym lalusiu nadal mnie prześladowuje, wspomnienia kłębią się pod czaszką. I choć tyłu znałam w życiu wybitnych ludzi, to właśnie on, a nie kto inny, najczęściej zaprzęta mój umysł. Czasem ubolewam z tego powodu, a czasem ogarnia mnie wściekłość. W każdym razie pan Ksawery, z tą swoją zmiętą, grzeszną, wyblakłą twarzą, był bardzo rozgarniętym i, co się zowie, rozpustnym chłopcem. Boże, co to za kanalia! Prawdę mówię. W sam raz pasował do swojej epoki.

A więc najęłam się do pracy u pani de Tarves z ulicy Varennes. Śliczny dom, elegancko prowadzony... i duża pensja. Sto franków miesięcznie, a do tego opierunek, wino i tak dalej... Więc kiedy bardzo zadowolona stawiałam się raniutko na miejscu, pani kazała mnie wprowadzić do swojej gotowalni. Ta gotowalnia była wyjątkowo wspaniała, cała obita kremowym jedwabiem, ale sama pani wydała mi się przesadnie wymalowana: za dużo pudru na twarzy, za dużo różu na wargach, zanadto rozjaśnione włosy, ale jeszcze ładna, wystrojona, szeleszcząca... świetna prezencja... wielki szyk. Co do tego – słowa nie można powiedzieć. Miałam już wtedy wyjątkowo bystre i pewne oko. Wystarczyło, bym raz, nawet bardzo szybko, przeszła przez paryski apartament, a już wiedziałam, co sądzić o jego mieszkańcach i ich obyczajach, a choć meble potrafią kłamać nie gorzej niż twarze, rzadko kiedy zdarzyło mi się pomylić. W tym domu, mimo że wyglądał okazale i przyzwoicie, od razu poczułam jakieś rozprężenie, niepokój, pozrywane więzy, intrygi, pośpiech, gorączkowy tryb życia, brudy starannie ukrywane, lecz nie na tyle, bym nie poczuła ich smrodu – śmierdzą przecież zawsze tak samo. W pierwszych spojrzeniach, jakie nowo najęty wymienia z miejscową służbą, kryje się zwykle pewne porozumienie, rodzaj masońskich znaków, najczęściej odruchowych i mimowolnych, które jednak pozwalają zorientować się od razu w ogólnym charakterze domu. Wśród służby panują takie same stosunki, jak w każdym zawodzie: są o siebie zazdrośni i zajadle zwalczają nowo przybyłych intruzów. Ja także, mimo że jestem łatwa w pożyciu, nieraz doświadczyłam na własnej skórze skutków zazdrości i nienawiści, zwłaszcza ze strony kobiet, rozwścieczonych moim urokiem. Za to mężczyźni reagowali odwrotnie i zawsze – muszę im oddać tę sprawiedliwość – dobrze mnie przyjmowali.

Także i tym razem w oczach lokaja, który u pani de Tarves otworzył mi drzwi, wyczytałam jasno: „To bardzo śmieszna buda – od góry do dołu, nie ma chwili spokoju, ale można się nieźle zabawić. Wchodź śmiało, moja mała”.

Tak więc, gdy się znalazłam w pani gotowalni, byłam już niejako przygotowana – na tyle, na ile pozwalało ogólnikowe i niejasne wrażenie – i nastawiona na coś szczególnego. Ale, muszę szczerze wyznać, nic mnie nie ostrzegało przed losem, który miał mnie czekać w tym domu.

Pani siedziała przy malutkim biurczku, pięknym jak klejnot, i pisała listy. Wielka, biała skóra z kozłat

zastępowała w tym wnętrzu dywan. Zdziwiło mnie trochę, że na obitych kremowym jedwabiem ścianach ryciny XVIII wieku, o bardzo frywolnych, niemal plugawych tematach, sąsiadowały w niewielkiej odległości ze starożytnymi emaliami, na których widniały jakieś sceny religijne. W serwantce nagromadzono starą biżuterię, wyroby z kości słoniowej, tabakierki ozdobione miniaturami i urocą, wzruszająco kruchą saską porcelaną. A na stole – niezwykle bogate, oprawne w złoto i srebro przybory toaletowe. Mały, jasnobrązowy piesek, istna kulka lśniącej, starannie wypielęgnowanej sierści, spał na długim, wąskim szezlongu wtulony między dwie poduszki koloru lilaróż. Pani zwróciła się do mnie:

– Na imię ci Celestyna, prawda? Och, nie lubię tego imienia... Będę cię nazywała z angielska... Mary... Zapamiętasz... Mary! Tak... Mary, to mi lepiej odpowiada.

W porządku, zgadza się. Ja, służąca, nie mam oczywiście prawa nawet do własnego imienia... bo w każdym domu może się znaleźć córka czy kuzynka, czy suczka, czy papuga, która będzie nosić takie imię jak moje.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziałam.

– Znasz angielski?

– Nie, proszę pani. Już to pani mówiłam...

– A tak, prawda. No cóż, szkoda. Obróć się trochę, Mary, chcę ci się dobrze przyjrzeć.

I zaczęła mnie uważnie oglądać ze wszystkich stron, od przodu, od pleców, z profilu, mrucząc od czasu do czasu:

– No proszę... wcale nieźle... wcale niebrzydka...

I nagle:

– Powiedz mi, Mary... jesteś dobrze zbudowana?... ale tak naprawdę dobrze zbudowana?

Jej pytanie zaskoczyło mnie i zaniepokoiło. Bo jaki związek mógł istnieć między służbą, jaką miałam pełnić w tym domu, a kształtem mego ciała? Ale pani, wcale nie czekając na odpowiedź i wodząc po mnie od góry do dołu swoim *lognon*, mówiła dalej do siebie:

– Tak, wcale nieźle się prezentuje... wcale nieźle...

A potem zwróciła się do mnie, uśmiechnięta i zadowolona:

– Widzisz, Mary, lubię mieć koło siebie ładnie zbudowane kobiety. Tak jest stosowniej.

Lecz na tym nie koniec niespodzianek! Pani dalej wpatrywała się we mnie, nie pomijając najmniejszego szczegółu, i nagle wykrzyknęła:

– A włosy! Życzę sobie, żebyś się czesała inaczej. Nie jesteś elegancko uczesana... A masz bardzo piękne włosy... Trzeba je umieć pokazać... zwrócić na nie uwagę. Uczesanie to bardzo ważna rzecz... Patrz... ułóż je tak... w ten sposób.

Rozburzyła mi włosy nad czołem, powtarzając:

– W ten sposób... rzeczywiście jest urocza... Spójrz teraz na mnie: jesteś doprawdy urocza. Tak jest stosowniej.

I gdy tak grzebała się w mojej fryzurze, pytałam sama siebie, czy aby ta pani nie jest trochę zbzikowana albo czy nie ma zboczonych skłonności. Och, doprawdy, jeszcze tylko tego mi brakowało!

Kiedy skończyła zajmować się fryzurą, bardzo zadowolona z moich włosów, spytała znowu:

– Czy to jest twoja najładniejsza sukienka?

– Tak, proszę pani.

– Nie jest ładna. Dam ci którąś z moich sukienek, będzie ci w niej bardziej do twarzy. A jaką masz halkę?

Uniosła lekko moją spódnicę.

– No tak, już widzę... Nie, to nie to... zupełnie nie to... A twoja bielizna... Masz stosowną bieliznę?

Rozdrażniona jej bezceremonialnym gestem, odpowiedziałam sucho:

– Nie wiem, co pani ma na myśli, mówiąc „stosowna”.

– Pokaż mi swoją bieliznę. Zrób parę kroków... jeszcze... wróc z powrotem... obróć się w koło... Zgrabnie się porusza... ma szyk.

Jak tylko spojrzała na moją bieliznę, od razu się skrzywiła.

– Och, ale płótno... a te pończochy... i jaka koszula... po prostu zgroza. A ten stanik! Nie chcę tego więcej na tobie oglądać. Zapamiętaj to sobie, Mary... A teraz pomóż mi.

Otworzyła jakąś szafę z różowej laki, wyciągnęła ogromną szufladę pełną pachnących fatałaszków i zaczęła bezładnie wyrzucać jej zawartość na dywan.

– Weź to sobie, Mary... weź wszystko. Sama się zorientujesz, zobaczysz... może trzeba będzie coś poprawić, coś zreperować, przyszyć jakąś koronkę. Dasz sobie z tym radę. Zabierz wszystko... znajdziesz tam niejedno. Jest z czego skompletować śliczną garderobę, odpowiednią wyprawkę... Zabierz to wszystko.

Rzeczywiście, czego tam nie było! Jedwabne gorsety, jedwabne pończochy, koszule z jedwabiu i cienkiego batystu, prześliczne desusy, cudowne żaboty, lśniące halki. Mocna woń perfum, chyba Juchtu, migdałowego kremu, wypielęgnowanej, kobiecej skóry... no i – oczywiście – woń miłości unosiła się z tych porzrzucanych byle jak fatałaszków, a ich kolory, delikatne i stłumione lub jaskrawe, jarzyły się na dywanie niczym klomb kwiatów w ogrodzie.

Nie mogłam się otrząsnąć ze zdumienia... Ucieszona i zarazem skępowana stałam całkiem oglupiała nad tym stosem różnokolorowych szmatek – lila, żółtych, różowych, czerwonych, ozdobionych wstążeczkami w barwie o jeden ton żywszej, rąbkami z delikatnych koronek. A pani grzebała się w tych szmatek, wciąż jeszcze ślicznych, ledwie noszonych, pokazywała mi je i wybierała, zachwalając te, które jej zdaniem najbardziej będą mi pasować.

– Lubię, żeby kobiety, które mi usługują, były zalotne i eleganckie... Żeby ładnie pachniały. Jesteś szatynką, w tej czerwonej halce będzie ci świetnie. Zresztą, we wszystkim będzie ci do twarzy. Bierz wszystko.

Byłam zupełnie osłupiała. Nie wiedziałam, co zrobić... co powiedzieć. Odruchowo powtarzałam jedno i to samo:

– Dziękuję pani... Jaka pani jest dobra... Dziękuję pani.

Ale pani nie pozwoliła mi zebrać myśli, nie zostawiała chwili do zastanowienia. Mówiła, mówiła bez przerwy, na różne sposoby, poufale, bezwstydnie, macierzyńsko, jak rajfurka – bardzo dziwnie!

– Dbalność o własne ciało, staranne mycie sekretnych miejsc, na tym polega, Mary, czystość. Jest to dla mnie bardzo ważne i tu jestem wymagająca wprost do szaleństwa.

Następnie wdała się w intymne szczegóły, obstając ciągle przy słowie „stosowny”, wciąż wracało ono na jej wargi, i to w związku ze sprawami, które moim zdaniem bynajmniej nie były „stosowne”. Gdy już ukończyłyśmy sortowanie fatałaszków, zwróciła się do mnie:

– Kobieta, każda kobieta, powinna być, musi być zawsze dobrze utrzymana, zadbana. Zresztą będziesz robiła to samo, co ja robię: to jest moje główne wymaganie. Wykąpiesz się jutro... pokażę ci, jak masz to robić...

Następnie pani pokazała mi swój pokój – szafy, wieszaki. Objasniła, jakie miejsca przynależą poszczególnym rzeczom, zaznajomiła ze zwyczajami, które tu obowiązują przy podawaniu do stołu, opatrując je uwagami co najmniej dziwnymi i zaskakującymi, tak mi się przynajmniej wydało.

– A teraz – powiedziała – chodźmy do sypialni pana Ksawerego. Bo będziesz także obsługiwała i paniczowi Ksaweremu. To mój syn, Mary...

– Dobrze, proszę pani.

Sypialnia pana Ksawerego mieściła się na drugim końcu obszernego mieszkania. Ładniutki pokój, cały wybity suknem, którego błękit uwydatniał biegnący wokół żółty szlak. Na ścianach kolorowe angielskie ryciny przedstawiały polowania, wyścigi, zaprzęgi, pałace. Pośrodku widniał stojak na laski. Na kominku, wśród wielu bibelotów, pudełka z cygarami, fajki i fotografia ładnego, młodzieńczego chłopca, jeszcze bez zarostu, ale już z beczelną miną przedwcześnie dojrzałego strojnisia o podejrzanym, dziewczęcym wdzięku. Spodobał mi się.

– To panicz Ksawery – objasniła pani.

Nie umiałam się powstrzymać i krzyknęłam z przesadnym zapalem:

– Och! Ależ piękny z niego chłopiec!

– No to dobrze, no to dobrze – mruknęła pani.

Spostrzegłam, że mój zachwyt wcale jej nie rozgniewał. Uśmiechała się.

– Pan Ksawery jest taki sam, jak inni młodzi ludzie – odezwała się do mnie – niezbyt porządny. Trzeba, żebyś ty to zrobiła za niego... i żeby jego pokój był utrzymany we wzorowym porządku. Będziesz mu przynosić co rano herbatę, o dziewiątej, punktualnie o dziewiątej, słyszysz mnie, Mary? Czasem pan Ksawery wraca późno. Wówczas może cię powitać niezbyt życzliwie... ale nic sobie z tego nie rób. Młody człowiek powinien być budzony punkt dziewiąta.

Pokazała mi, gdzie kładzie się jego bieliznę, wiesza krawaty, odstawia buciki; każdą wskazówkę opatrywała uwagami w tym stylu:

– Mój syn jest trochę porywczy, ale to uroczy chłopiec.

Albo też:

– Umiesz składać spodnie na kant? Panu Ksaweremu nade wszystko zależy na spodniach. Co zaś do kapeluszy, to stosowniej będzie, jeśli zaszczyt opiekania się nimi przypadnie lokajowi.

Uznałam za co najmniej dziwne, iż w domu, w którym jest lokaj, pani obarcza właśnie mnie obsługiwaniem swojego synowi Ksaweremu.

– To zabawne, ale chyba niezbyt stosowne – powiedziałam sobie, przedrzeźniając panią, której to ulubione słówko nie schodziło z ust; określała nim wszystko, co się tylko napatoczyło. Ale prawdę mówiąc, nie tylko słówko, lecz w ogóle wszystko razem wydało mi się dziwaczne w tym dziwaczonym

domu.

Wieczorem w kuchni nasłuchiwałam się niejednego. Dowiedziałam się różnych rzeczy.

– Szczególna buda – opowiadali. – Z początku człowiek nie może się nadziwić... a potem jakoś się przyzwyczajają. Ile to razy w całym domu nie ma ani grosza! Wtedy pani wylatuje, biega, wraca z powrotem zdenerwowana, zmordowana, przeklina i złorzeczy. A pan nie odchodzi od telefonu, wrzeszczy do aparatu, grozi, błaga, wścieka się. No i komornicy! A ile to razy kamerdyner musiał wyłożyć z własnej kieszeni rozwścieczonym dostawcom, którzy odmawiali towaru! Raz, akurat w dniu przyjęć, zamknęli im gaz i elektryczność. A potem, nagle: deszcz złota. Dom pęka od pieniędzy. Skąd się wzięły? Dobrze sobie, tego nikt dokładnie nie wie. Służba miesiącami czeka na pensję. W końcu zawsze zapłacą, ale po jakich wymysłach i awanturach! Aż trudno w to uwierzyć.

A więc to tak. Ładnie wpadłam. Jak już raz zdarzyła mi się wysoka pensja... to tak właśnie wygląda moje szczęście.

– Panicz Ksawery nie wrócił tej nocy – powiedział lokaj.

– Och – mruknęła kucharka, natarczywie się we mnie wpatrując – może teraz zacznie wracać wcześniej.

Lokaj odpowiedział, że akurat dziś rano jeden z wierzycieli pana Ksawerego przyszedł do domu i nagadał o nim różnych plotek. Musiały to być niezłe brudy, ponieważ pan od razu spuścił z tonu i bez oporu zapłacił poważną sumę, co najmniej cztery tysiące franków.

– Pan wściekał się nie na żarty i słyszałem, jak mówił do pani: „Tak dłużej być nie może. On nas okryje hańbą... on nas okryje hańbą”.

Kucharka, która, zdaje się, miała własny pogląd na świat, wrzuciła ramionami.

– „Okryje hańbą” – szydziła. – Gwiżdżą na to. Wściekają się, bo muszą płacić.

Poczułam się nieswojo. Zaczęłam się czegoś niejasno domyślać, kto wie, czy te pani fatałaszk i dziwne gadanie nie mają jakiegoś związku z osobą pana Ksawerego. Ale o co by tu mogło chodzić?

„Wściekają się, bo muszą płacić”.

Bardzo źle spałam tej nocy. Trapiły mnie jakieś dziwne sny. Niecierpliwiłam się, chciałam już zobaczyć tego panicza.

Lokaj nie kłamał. Doprawdy dziwny dom.

Pan był zatrudniony przy organizowaniu pielgrzymek, nie wiem dokładnie, jako kto... przewodniczący... dyrektor... no, coś w tym rodzaju. Werbował pielgrzymów gdzie się tylko dało – wśród Żydów, protestantów, włoścogów, nawet wśród katolików, i raz do roku szedł z nimi do Rzymu, do Lourdes, do Paray-le-Monial – rozumie się, że naciągał ich na pieniądze i miał z tego dochody. Ale papież widział w tych pielgrzymkach jedynie żarliwą wiarę i triumf religii. Pan trudnił się również dobroczynnością i polityką; należał do ligi zwalczającej świeckie nauczanie, do ligi zwalczającej frywolne publikacje, do stowarzyszenia bibliotek chrześcijańskiej rozrywki... kongregacji smoczka dożywiającego dzieci robotnicze...

To chyba jeszcze nie wszystko. Prezydował sierocińcom, seminarium duchownym, szwalniom, różnym kółkom, biuram pośrednictwa pracy. Prezydował wszystkim. Ileż on miał zawodów, ten pocziwina! Był malutki, okrągłutki, bardzo ruchliwy, bardzo wypielegnowany, starannie ogolony. Słodkim i cynicznym

zachowaniem przypominał chytrego, komicznego księżula. Pisano już o nim parę razy w gazetach, o nim i o jego pracy. Oczywiście jedni przesadnie wychwalali pana cnoty i godną podziwu świętobliwość apostoła, a inni po prostu wyzywali go od wstrętnych kanalii.

Bawiliśmy się setnie w kuchni tymi sporami – bo przecież szykownie jest pracować u kogoś, o kim piszą w gazetach; służbie to zawsze pochlebia.

Każdego tygodnia pan wydawał przyjęcie, na które schodziły się różne sławy we wszystkich dziedzinach – akademicy, senatorzy, deputowani, księża, skłonni do knowań zakonnicy, arcybiskupi. Był między nimi jeden, którego otaczano wyjątkowymi względami, bardzo stary mnich z zakonu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, ojciec... nie pamiętam już jego imienia, człek obłudny i jadowity, który bez przerwy mówił jakieś złośliwości z pełną skruchy nabożną miną. Wszędzie, w każdym pokoju wisiały portrety papieża. Ależ Ojciec Święty musiał się w tym domu napatrzeć różnych sprawek, których nie mógł pochwalać!

Panem nie zaprzętałam sobie głowy. Miał zbyt wiele zajęć, zbyt wielu ludzi kochał. A i tak nie znałmy ani połowy spraw, którymi się zajmował, ani połowy ludzi, których kochał. Z pewnością był z niego filut, co się zowie.

Ledwo zdążyłam objąć pracę, a już nazajutrz pan, gdy pomagałam mu w przedpokoju włożyć płaszcz, spytał:

– Czy należysz do mojego Stowarzyszenia? Do Stowarzyszenia Służących pod wezwaniem Jezusa Chrystusa?

– Nie, proszę pana.

– To musisz się zapisać... Koniecznie. Sam cię zapiszę do tego Stowarzyszenia.

– Dziękuję, proszę pana... a czy wolno mi pana spytać, co to jest za Stowarzyszenie?

– Bardzo zacne Stowarzyszenie. Gromadzi i wychowuje w duchu chrześcijańskim panny, które mają dzieci...

– Ależ, proszę pana, ja nie jestem panną z dzieckiem!

– To nie szkodzi. Do tego Stowarzyszenia należą również kobiety, które wyszły z więzienia i prostytutki odbywające pokutę... Kogo tam nie ma! Zapiszę cię na pewno.

Wyciągnął z kieszeni plik starannie złożonych pism i wręczył mi je:

– Schowaj to... przeczytaj, jak będziesz sama... Na pewno cię nie znudzą.

Ujął mnie pod brodę i powiedział, mlaszcząc językiem:

– No proszę. Ta mała jest całkiem do rzeczy... jest całkiem, ale to całkiem do rzeczy.

Kiedy pan już wyszedł, przejrzałam te pisma, co mi je zostawił. „Schyłek Wieku”, „Kobietki Paryskie” itp. Same ohydne świństwa, ot co!

Ach, te mieszcuchy! Wieczna komedia z nimi! Napatrzyłam się już najrozmaitszym burżujom. Wszyscy są jednacy. Służyłam na przykład u jakiegoś deputowanego, republikanina. Ten z kolei przez cały czas, od rana do wieczora, wygadywał na księży. Ale był zuch z niego, aż miło popatrzeć. Nie chciał nawet słyszeć o papieżu, religii, zakonnikach. Gdyby brać poważnie jego słowa, to należałoby spalić wszystkie kościoły, wysadzić w powietrze klasztory. No i proszę: w każdą niedzielę chodził potajemnie do kościoła, tyle że do parafii bardzo oddalonej od jego domu. A gdy go chwycił najmniejszy ból, od razu

kazał wzywać księdza i wszystkie swoje dzieci oddał na wychowanie do jezuitów. Nigdy nie przystał na spotkanie z rodzonym bratem, bo tamten odmówił wzięcia kościelnego ślubu.

Wszyscy oni, te mieszczychy, to hipokryci, tchórze i obrzydliwcy – tyle tylko, że każdy w innym guście.

Również i pani de Tarves nieobce było miłosierdzie, także i ona przewodniczyła rozmaitym stowarzyszeniom religijnym, komitetom dobroczynności i organizowała wenty; słowem, trudno ją było zastać w domu, a dom sam sobie radził, jak potrafił i mógł. Często się spóźniała, wracając diabli wiedzą skąd, no i oczywiście halki pomięte, z ciała aż bucha obcy wiadomy zapach.

Och, już ja się znam na takich wyjściach i od razu się domyśliłam, jakiego rodzaju zajęciom pani się oddaje, co za ucieszne grubiańskie figle muszą odchodzić w tych jej komitetach!

Ale w stosunku do mnie była bardzo miła. Ani jednego ostrego słowa, żadnych wymówek. Przeciwnie, okazała się bardzo przystępna, prawie koleżeńska, tak dalece, że często jakby zapominała o swej pozycji, a ja o należnym jej szacunku, i gadałyśmy ze sobą, plotąc różne głupstwa i świństwa. Radziła mi, jak mam załatwiać różne drobne sprawy, pochwalała moją zalotność i zachęcała mnie do niej, zalewała angielszczyzną, smarowała gliceryną, skrapiała perfumami, wcierała mi krem w ramiona i ręce, obsypywała pudrem ryżowym. A robiąc to, ciągle powtarzała:

– Widzisz, Mary... Kobieta musi być dobrze utrzymana, musi mieć piękną skórę, gładką, białą i miękką. Masz ładną figurę: trzeba wiedzieć, jaką należy jej dać oprawę. Masz bardzo piękne piersi: trzeba wiedzieć, jak to wykorzystać. Twoje nogi są wspaniałe: trzeba umieć je pokazać. To jest stosowne.

Byłam zadowolona. A jednak w głębi serca tkwił jakiś niepokój i mroczne podejrzenia. Nie mogłam zapomnieć o tych dziwnych opowieściach, które posłyszałam w kuchni. I kiedy teraz wychwalałam tam moją panią, wyliczając wszystko, co zrobiła dla mnie dobrego, kucharka mi odpowiadała:

– Tak, tak, oby tylko tak dalej. Ale zobaczysz, czym to się skończy. Pani chodzi o jedno: żebyś sypiała z jej synem... żebyś go bardziej przywiązała do domu... żeby te sknery nie musiały na niego wydawać tylu pieniędzy. Próbowala już z innymi, a nuż się uda. Wciągała w to własne przyjaciółki, kobiety zamężne, młodziutkie dziewczyny... tak, młodziutkie dziewczyny... stara rajfura. Tylko że panicz Ksawery nie daje się na to nabrać... woli wytrawne kokotki... sama się przekonasz... sama się przekonasz.

I dorzucała z żalem, pełna nienawiści:

– Ja na twoim miejscu... dopiero bym ich oskubała!

Jej słowa stawiały mnie w kłopotliwej sytuacji wobec pozostałej służby. Ale żeby sobie dodać odwagi, wolałam wierzyć, że kucharka jest po prostu zazdrosna o względy okazywane mi przez panią w tak widoczny sposób.

Każdego ranka o godzinie dziewiątej wchodziłam do pokoju pana Ksawerego, by rozsunąć zasłony i podać mu herbatę. Zabawne, ale wchodziłam tam zawsze z bijącym sercem, pełna lęku. Przez długi czas w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Przygotowując mu ubranie, kręciłam się to tu, to tam, obracałam na wszystkie strony, starając się być jak najbardziej urocza, usiłując roztoczyć wszystkie wdzięki. Ale on nie odzywał się do mnie słowem, czasami tylko zrzędził mrukliwym, zasapanym głosem, że mu tak wcześniej przeszkadzam. Gniewała mnie ta obojętność, zdwoiłam cichą, wyszukaną kokieterię. Każdego ranka oczekiwałam, że coś nastąpi, ale milczenie pana Ksawerego świadczyło dobitnie, że całkiem lekceważy

moją osobę. Złościł mnie w najwyższym stopniu. A co zrobię, gdy nastąpi to, czego oczekiwałam? Tym się w ogóle nie przejmowałam. Chciałam tylko, żeby już się stało.

Pan Ksawery był rzeczywiście prześlicznym chłopcem. Ładniejszym niż na fotografii. Małeńki, jasny wąsik niczym dwa złociste łuki okalał mu wargi, tak czerwone i jędrne, że aż się dopraszały pocałunku. Oczy jasnoniebieskie w żółte cętki miały w sobie szczególny urok, a ospałe ruchy – jakiś leniwy wdzięk okrutnej dziewczyny lub młodej, dzikiej bestii. Był wysoki, smukły, bardzo gibki, ubrany arcymodnie, jego uwodzicielskie powaby potęgował dodatkowo cynizm i zepsucie. Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia i od razu wzbudził we mnie pożądanie, a ponadto jego opór, a raczej obojętność sprawiły, że to pożądanie bardzo szybko przerodziło się w poważniejsze uczucie – w miłość.

Pewnego ranka, kiedy weszłam, pan Ksawery już nie spał i nawet nie leżał w łóżku, lecz stał przy nim boso. Przypominam sobie, że był w jedwabnej nocnej koszuli, białej w niebieskie groszki. Jedną piętę oparł o kant łóżka, drugą zagłębił w dywanie, i w tej pozycji, niezbyt przyzwoitej, pewien szczegół jego ciała był całkiem odsłonięty. Wobec tego chciałam się wstydliwie cofnąć, ale przywołał mnie z powrotem.

– Co ty wyprawiasz? O co ci chodzi? Wejdźże tu. Boisz się mnie? Nigdy nie widziałaś mężczyzny?

Naciągnął poję koszuli i okrywwszy kolano wspartej o łóżko nogi, wpatrywał się we mnie długo, uważnie, bezczelnie. Ja zaś zręcznymi, powolnymi ruchami, lekko zapłoniona, ustawiłam tacę na stoliku obok kominka. Odezwał się wreszcie, jakby mnie doprawdy zobaczył po raz pierwszy:

– Ależ ty jesteś... klasa dziewczyna. Jak dawno tu pracujesz?

– Od trzech tygodni, proszę pana.

– Zdumiewające.

– Co w tym zdumiewającego, proszę pana?

– To, że cię dotąd nie zauważyłem, jak mogłem nie spostrzec takiej ślicznej dziewczyny!

Usiadł na skraju łóżka i obie nogi wyciągnął przed siebie na dywanie. Klepnął się po udach tak białych i krągłych, jak białe i krągłe bywają tylko uda kobiece.

– Chodź tu – mruknął.

Zbliżyłam się, trochę zalękniona. Bez słowa objął mnie wpół, obwąchał, pociągając nosem i posadził obok siebie na skraju łóżka.

– Och, panie Ksawery – westchnęłam, stawiając słaby opór. – Niech mnie pan zostawi w spokoju, proszę... Gdyby to widzieli pana rodzice...

Wybuchnął śmiechem.

– Moi rodzice... daj spokój. Już mi się to przejadło.

To był jego ulubiony zwrot, miał go zawsze na podorędziu. Kiedy go o coś pytano, odpowiadał: „Już mi się to przejadło”. Wszystko mu się przejadło.

Aby odwlec moment decydującego szturmu, bo jego ręce już niecierpliwie szperały w moim staniku, spytałam:

– Jedna rzecz mnie ciekawi u panicza. Dlaczego panicza nigdy nie widać na kolacjach?

– Tak się jakoś składa, mój kotku... Nie... daj spokój... diabelnie mnie nudzą te kolacje.

– A jak to się stało – nalegałam – że tylko w pana sypialni nie ma portretu papieża, a przecież porozwieszano je w całym domu?

To spostrzeżenie mile połechtало jego ambicję:

– Ależ, dziecinko, przecież ja jestem anarchistą. Religia... jezuici... księża... Co to, to nie... Dość się już na nich napatrzyłem... Już mi się to przejadło. Społeczeństwo złożone z takich ludzi jak mój tatuś i moja mama? No wiesz... Tylko tego brakuje!

Teraz czułam się już z panem Ksawerym o wiele swobodniej, bo odnalazłam w nim nie tylko wszystkie grzeszki paryskich nicponi, ale nawet ich przeciągający sylaby akcent. Zdawało mi się, że znam go całe lata. Z kolei on spytał:

– Powiedz no, puszczasz się z moim ojcem?

– Z pana ojcem! – aż krzyknęłam, udając zgorszenie. – Och, paniczu, przecież to świątobliwy człowiek!

Zaczął się śmiać dwa razy głośniej, po prostu pękał ze śmiechu.

– Tatuś, och, mój tatuś! Ależ on sypia z każdą służącą, która się tu trafi, ten mój tatunio! Służące to jego prawdziwa mania. Tylko służące, wyłącznie służące go podniecają. A więc nie puściłaś się jeszcze z tatusiem? Zdziwiasz mnie.

– Nie – odrzekłam, również zanosząc się śmiechem. – Wręczył mi tylko „Schyłek Wieku” i „Kobietki Paryskie”.

To go szalenie rozbawiło. Parskał, dławił się śmiechem.

– Tatuś! – krzyknął. – Mój tatuś! Coś podobnego! Mój tatuś jest zdumiewający.

Rozbawił się na dobre i zaczął mówić komicznym tonem:

– Moja mama też... Wczoraj znów mi urządziła scenę. Okrywam ich hańbą, to znaczy, ją i tatusia. Tak mówiła, dasz wiarę? A religia... a społeczeństwo... niczego mi nie poskaپیła. Przekomiczne. Wtedy oświadczyłem: „Moja kochana mateczko. Załatwiona sprawa. Ustatkuję się z punktu... tego samego dnia, w którym mateczka odprawi swych kochanków”. Ale wycelowane, co? Od razu się opamiętała i zamilkła. Och, doprawdy, zanudzą mnie na śmierć ci moi rodziciele. Już mi się przejadły ich sprawy... Ale, ale... Oczywiście znasz tego Fumeaux?

– Nie, panie Ksawery.

– Ależ tak... ależ tak... musisz znać Anthima Fumeaux.

– Zapewniam pana, że nie.

– Gruby... całkiem jeszcze młody... z twarzą czerwoną jak burak... niebywale elegancki... najpiękniejsze zaprzęgi w Paryżu. Fumeaux, bagatela! Trzy miliony renty! Torciki Fumeaux... Ależ tak... na pewno go znasz...

– A jednak go nie znam.

– Zdumiewające, no popatrz. Wszyscy go znają... Biskopcy Fumeaux, no? To jemu przecież przydzielono dwa miesiące temu kuratora z urzędu... ten kurator ma pohamować jego rozrzutność, ograniczyć wydatki. No, przypomniałaś sobie?

– Wcale nie, panie Ksawery. Zapewniam pana.

– Mniejsza z tym, głupia gąsko! Otóż w zeszłym roku nieźle go urządziłem, tego Fumeaux... całkiem nieźle... Zgadnij, jakim sposobem? No, nie umiesz zgadnąć?

– Jak ja mogę zgadnąć, kiedy go wcale nie znam!

– No, już dobrze, dziecinko... Więc spiknąłem tego Fumeaux z moją mamą. Daję słowo! Dobrze pomyślane, co? Ale najśmieszniejsze jest to, że mamusia potrafiła go w trzy miesiące oskubać na trzysta tysięcy franków! No, a tatuś z tą swoją dobroczynnością? Oboje mają własne sposoby, znają się na rzeczy. Gdyby nie to, nasz dom by się zawalił. Tonęli po uszy w długach. Już nawet księża nie chcieli o niczym słyszeć. No i co ty na to powiesz, moja mała?

– Powiem tylko tyle, panie Ksawery, że pan dziwnie traktuje swoją rodzinę.

– Cóż chcesz, kotku, jestem anarchistą. Rodzinka mi się przejadła.

Zdażył już przez ten czas rozpiąć mój gorset, dawny gorset pani, który leżał na mnie jak ulał.

– Panie Ksawery, panie Ksawery... ale łotrzyk z pana. To bardzo brzydkie, co pan robi.

Próbowałam się bronić dla zachowania pozorów. Ale on nagle położył mi łagodnie rękę na ustach:

– Nic już nie mów – poprosił.

I przewrócił mnie na łóżko.

– Och jak pięknie pachniesz – szepnął. – Ach, ty ładaczniczo, używasz perfum mojej mamy.

Tego ranka pani była dla mnie szczególnie miła.

– Jestem bardzo zadowolona z twoich usług – powiedziała. – Mary, podnoszę ci pensję o dziesięć franków.

Pomyślałam sobie, że jeśli za każdą „usługę” będzie mi dorzucać dziesięć franków... to wcale nieźle. To będzie całkiem stosowne.

Ale teraz, kiedy dumam nad tym wszystkim, to już wiem, że mnie się to także przejadło.

Namiętność, a raczej kaprys pana Ksawerego, nie trwała długo. Szybko mu się „przejadłam”. Zresztą ani przez chwilę nie miałam nad nim aż takiej władzy, bym mogła go zatrzymać w domu. Jakże często, wchodząc rano do jego sypialni, zastawałam nietkniętą pościel, puste łóżko. Pan Ksawery nie wrócił na noc. Kucharka dobrze go znała i miała rację, mówiąc: „Ten smarkacz woli kokotki”. Wrócił do dawnych przyzwyczajień, ciągnęły go jak przedtem miłosne figle i rozpustne hulanki. W takie ranki ból ścisnął mi serce i już cały dzień byłam smutna, ach, jaka smutna.

Najgorsza bieda, że panu Ksaweremu obce były wielkie uczucia, nie wiedział, że w ogóle coś takiego istnieje. Nie był liryczny jak pan Jerzy. Poza „tym” nic dla niego nie istniało, a kiedy już „zrobił swoje”, od razu chciał się mnie pozbyć, nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Nigdy do mnie czule nie przemówił, nigdy nie odezwał się serdecznym słowem, jak to zwykli czynić zakochani, o których czytałam w książkach czy oglądałam na scenie. Poza tym nie lubił nic z tych rzeczy, które ja kochałam, nie lubił na przykład kwiatów, z wyjątkiem ogromnych goździków, które nosił w butonierce. A czyż to nie miło, nie cudownie szeptać do siebie słowa, co pieszczą tylko serce, wymieniać niewinne pocałunki, wpatrywać się sobie w oczy, jak gdyby ta chwila miała trwać wiecznie... Ale on miał w głowie tylko lubieżne figle. Mężczyźni to istoty zbyt gruboskórne i tego rodzaju radości, czyste, delikatne, w ogóle do nich nie docierają. W tym cała bieda. A zwłaszcza pan Ksawery, ten znał się tylko na rozpuście i tylko

miłosne swawole robiły mu przyjemność. W miłości wszystko, co nie było rozpustą i swawolą, nudziło go.

– Och, nie, daj spokój, to takie nudne... Poezja już mi się przejadła. Bławatki zachowaj dla ojczulka.

Kiedy już nasycił żądzę, natychmiast stawałam się dla niego bezosobowym stworem, sługą, której wydawał rozkazy, którą sztorcował z całą powagą chlebobdawcy, a w dodatku ranił cynicznymi żarcikami łobuza. W jednej chwili, bez żadnego przejścia, przeobrażałam się ze zwierzęcia do usług miłosnych w zwierzę do wszelkich posług.

Często powtarzał tonem, który brzmiał jak zgrzyt piły, krzywiąc usta w szkaradnym uśmiechu, tym śmiechem deptał mnie i poniżał:

– A co z ojczulkiem? Mówisz prawdę? Jeszcze się z nim nie przespałaś? Zdumiewasz mnie!

Kiedyś zabrakło mi sił, by ukryć łzy... dławiły mi krtań. Pan Ksawery rozgniewał się:

– Och, nie... daj spokój! To już szczyty nudziarstwa. Łzy, sceny? Trzeba nad tym panować, trzeba je tłumić, koteczku... w przeciwnym razie, żegnaj! Już mi się przejadły te głupoty.

A ja, nim jeszcze ochłonę ze szczęścia, uwielbiam trzymać w objęciach długo, bardzo długo mężczyznę, który mnie nim obdarzył.

Ledwie przeminą spazmy rozkoszy, a ja już zaczynam tęsknić za wspólnym, tkliwym ukojeniem, czuję ogromną, przemożną potrzebę bezinteresownych pieszczot, niewinnych pocałunków, co nie są już dzikim kąsaniem, lecz tylko delikatną pieszczotą... ekstazą... komunią dusz. Chcę szybko wznieść się z piekła cielesnej miłości, zapamiętania zmysłów – do rajy ekstazy... Chcę osiągnąć pełnię w cudownym i niewinnym spokoju ekstazy... Ale panu Ksaweremu ekstaza się przejadła. Od razu wyrywał się z moich ramion, uwalniał z uścisków, umykał pocałunkom, bo „już po wszystkim” nie mógł ich ścierpieć. A przecie przed sekundą ciała były jeszcze ze sobą zrośnięte... nasze ciała... nasze usta... nasze dusze stopione we wspólnym krzyku zapamiętania, ostatecznego zatracenia. Więc czemu, gdy chciałam go potem tulić do swych piersi, przytrzymać nogami, nie rozluźnić jeszcze całkiem miłosnych splotów, on odpychał mnie brutalnie i wyskakiwał z łóżka:

– Och, nie zawracaj mi głowy. Koniec z tym!

I zapalał papierosa.

W takich chwilach było mi ciężko... najciężej. Widziałam bowiem jasno, że nie udało mi się wzbudzić w sercu pana Ksawerego nawet iskierki uczuć, cienia miłości, krztyny czułości, choć naginałam się tak ochoczo do jego wyuzdanych wybryków i z góry się na wszystko zgadzałam, ba, próbowałam nawet prześcignąć go w rozpustnych zachciankach, choć Bóg jeden wie, jak dalece te zachcianki były niezwykle i przerażające. Ależ był zdeprawowany ten smarkacz! Gorzej niż niejeden starzec... pomysłowością zaś i dzikością przewyższał zgrzybiałych impotentów i demonicznych księży.

A mimo wszystko myślę, że kochałam tę młodą bestię i byłam mu oddana jak pies. Nawet jeszcze dziś, ilekroć sobie wspomnę pana Ksawerego, od razu się rozmarzam... brak mi jego bezczelnego buziaka, tak okrutnego, ale i tak uroczonego... jego pachnącej skóry... brak podniecających, wyuzdanych, bezwstydných pieszczot... pocałunków, których piekący smak często czuję na wargach, choć tyle innych ust mogło i powinno ten smak już dawno zetrzeć.

Kiedyś wrócił do domu przed kolacją, chciał się przebrać na wieczór – Boże, jak mu było pięknie we fraku! – i podczas gdy ja starannie przygotowywałam różne części garderoby, odezwał się ani trochę niezmiśnany, bez chwili wahania, bez zająknięcia... niemal rozkazującym tonem, którym zwykle domagał się gorącej wody:

– Może masz pięć ludwików? Potrzeba mi koniecznie pięciu ludwików na dzisiejszy wieczór. Zwróć ci jutro. Akurat tego ranka pani wypłaciła mi pensję. Czyżby o tym wiedział?

– Mam tylko dziewięćdziesiąt franków – odparłam lekko zawstydzona.

Myślę, że głównie zawstydziło mnie jego pytanie, ale chyba i to, że nie miałam całej sumy, jakiej żądał.

– Nie szkodzi – powiedział. – Przynieś te dziewięćdziesiąt franków. Jutro ci zwrócę.

Wziął pieniądze, a za całe podziękowanie mruknął krótko i sucho:

– W porządku.

Potem uniósł w górę nogę i brutalnym ruchem podsunął mi ją nieomal pod sam nos:

– Zasznurowuj mi but – rozkazał beczelnie. – Szybko, spieszę się.

Patrzyłam na niego smutno i błagalnie.

– Nie będzie pana dziś w domu na kolacji?

– Nie, jem na mieście. Pospiesz się.

– Więc to tak, więc znów idzie pan hulać z tymi ladacznicami? Nie wróci pan na noc? I ja znów będę przez całą noc płakała. Czy to się godzi tak postępować, paniczu? Czy to ładnie?

Odpowiedział twardym głosem, wręcz niegrzecznie:

– Jeśli mówisz tak z powodu tych pieniędzy, coś mi je pożyczyła, to możesz zabrać sobie z powrotem te dziewięćdziesiąt franków. Zabieraj je natychmiast.

– Nie, nie... – westchnęłam. – Pan dobrze wie, że mnie nie chodzi o pieniądze.

– No więc... nie zwracaj mi głowy.

W pośpiechu skończył się ubierać i wyszedł... nawet mnie nie objął, nawet nie odezwał się słowem na pożegnanie.

Nazajutrz oczywiście ani pisał o tych pieniądzach, a ja nie chciałam się upominać. Dawało mi nawet pewną przyjemność, że mogłam mu coś od siebie ofiarować. I zrozumiałam wówczas, co sprawia, że istnieją na świecie kobiety, które zamęczają się pracą, które nocą oddają się na ulicy nieznanym przechodniom, kobiety, co kradną, kobiety, co zabijają, byle tylko móc przynieść trochę pieniędzy i złożyć je u stóp ukochanego mężczyzny. Że też akurat na mnie musiał się tak zawziąć... Ale czy doprawdy zawziął się aż tak bardzo? Niestety, nie mam żadnej pewności... Nachodzą mnie takie chwile, że wobec każdego mężczyzny czuję się taka słaba... taka słaba... bezwolna, uległa i taka głupia... och, jaka głupia...

Pani nie omieszkała natychmiast zmienić do mnie stosunku. Z dotychczasowej uprzejmości nie zostało śladu – z punktu zrobiła się szorstka, wymagająca i dokuczliwa. Uznała, że nie ma ze mnie żadnego pożytku, że jestem niezręczna, niechlujna, nieobyta, roztrzepana, złodziejka... słowem, cokolwiek bym zrobiła, było źle. Jej głos, początkowo tak słodki, tak przyjacielski i poufały, teraz zrobił się kwaśny jak ocet. Zaczęła mi rozkazywać ostrym, poniżającym tonem. Skończyły się czasy fatalaszków, wonnych

kremów, ryżowego pudru, sekretnych zwierzeń, poufnych zleceń do tego stopnia zawstydzających, że w pierwszych dniach zastanawiałam się, i do dziś się jeszcze zastanawiam, czy pani nie ma zdrożnych skłonności do kobiet. Ale teraz koniec z tą podejrzaną zażyłością, która w gruncie rzeczy, czułam to dobrze, nie płynęła z dobroci. Ale przez to spoufalenie ulotnił się mój szacunek dla chlebodawczyni, która raczyła odsłaniać przede mną swe grzeszne przywary. Ostro na nią fukałam, czując się do tego upoważniona, no i dodatkowo umacniały mnie w tym poczuciu jawne i skrywane podłości, od których dom aż się roił. Dochodziło do kłótni i połajanek, wywlekałyśmy na wierzch wszystkie grzechy i plugastwa, smagając się nimi nawzajem niczym brudnymi ścierkami.

– Jak ty traktujesz mój dom! – krzyczała. – Czy myślisz, że pracujesz u jakiejś dziwki?

No, proszę... co za tupet!... Odpowiadałam:

– Och, pani dom jest nieskalany... Pani może się nim szczyścić. No, a pani sama?... Pomówmy i o pani...

Och, koniecznie pomówmy o tym... pani także jest nieskalana... A cóż dopiero pan! O, ho, ho!... Tylko że już się na was poznali w dzielnicy i w całym Paryżu. Wszędzie o was głośno. Pani dom?... To burdel... Nie, jeszcze gorzej... są przecie burdele mniej plugawe niż ten dom...

Tym sposobem nasze sprzeczki przechodziły w najgorsze obelgi, w niecne pogrożki. Poniżałyśmy się, sięgając do słownictwa dziwek ulicznych... A potem nagle kłótnie milkły... Wystarczyło, żeby panu Ksaweremu znów przyszła na mnie – przelotna, niestety! – chętką. Od razu wracały podejrzaną poufałości, zawstydzające, sekretne znowy, obdarowywanie strojami, obietnice podwojenia pensji, smarowanie różnymi kremami – to bardziej stosowne – wtajemniczanie w najbardziej wyrafinowane sposoby używania perfum. Pani reagowała jak termometr na każdą zmianę stosunku jej syna do mnie. On był dla mnie łaskawy – ona natychmiast robiła się czuła; on mnie zaniedbywał – ona robiła się bezczelna. Byłam ich ofiarą, na wszelkie sposoby pomiatali mną. Kapryśne przypływy i odpływy uczuć, niestałość tego smarkacza bez serca szarpały mi nerwy. Można by sądzić, że pani nas szpieguje, podsłuchuje pod drzwiami, że wie, dzięki przemyślnym fortelom, o każdej zmianie w naszym stosunku... Lecz nie... Miała po prostu instynkt grzechu, nic więcej. Umiała wywęszyć każdy grzech przez ścianę, przez podłogę, podobnie jak suka węszy pod wiatr zapach dalekiej zwierzyny.

Co zaś do pana, to nadal zręcznie lawirował wśród tych wydarzeń, wśród tylu dramatów skrywanych w tym domu. Był żwawy, zaferowany, cyniczny i zabawny. Znikał z samego rana, rumiany, wygolony, z twarzą rozpustnego fauna, objuczony plikiem dokumentów i teczką wypchaną pobożnymi broszurami oraz pikantnymi gazetkami. Wieczorem pojawiał się z powrotem, szacowny, uroczysty, udrapowany we wzniosłe idee, promieniejący chrześcijańskim umiłowaniem ludzi. Krok miał nieco wolniejszy, gesty bardziej namaszczone, plecy lekko zgarbione, zapewne pod ciężarem dobrych uczynków, które zdążył spełnić w czasie dnia... Regularnie co piątek, prawie bez żadnych odmian, rozgrywała się ta sama krotocwilna scena.

– No, co tam jest w środku? – mruczał, wskazując na swoją teczkę.

– Pewnie jakieś świństwa – odpowiadałam ze śmiechem.

– Ależ nie... to tylko tłuste kawały.

I wręczał mi plik pism, zwlekając z otwartą propozycją, aż nadejdzie odpowiednia chwila. Na razie kontentował się porozumiewawczym uśmiechem, brał mnie pod brodę i oblizując sobie wargi mówił:

– Ho, ho! Całkiem zabawna jest ta mała!...

Nie odbierałam mu nadziei, bawiły mnie te manewry, lecz w duchu obiecywałam sobie, że wykorzystam pierwszą, całkiem już niedwuznaczną sytuacją, by go ostro osadzić na miejscu.

Toteż pewnego popołudnia bardzo mnie zdumiał i zaskoczył, gdy wszedł nagle do szwalni, gdzie siedziałam nad jakąś robotą, pogrążona w smutnych rozmyślaniach. Tego ranka miałam ciężką przeprawę z panem Ksawerym i jeszcze się nie otrząsnęłam. Pan delikatnie zamknął za sobą drzwi, położył teczkę na dużym stole, tuż obok sterty prześcieradeł, i podszedłszy do mnie, jedną ręką ujął moje dłonie, a drugą zaczął je lekko poklepywać. Jego oczy, przysłonięte obwisłymi powiekami, biegały niespokojnie na wszystkie strony, niczym u starej kury kokoszącej się w słońcu. Myślałam, że umrę ze śmiechu.

– Celestyno – powiedział – wolę nazywać cię Celestyną, to ci przecież nie sprawia przykrości, prawda?

Z wielkim trudem udało mi się pohamować śmiech.

– Ależ nie – odparłam, zachowując rezerwę.

– No więc tak, Celestyno... Uważam, że jesteś urocza. Otóż to!

– Naprawdę, proszę pana?

– Po prostu cudowna... cudowna... cudowna!

– Och, proszę pana!

W jednej chwili puścił moje dłonie i ocieężałymi od pożądania palcami sunął w górę stanika, a gdy wreszcie dotarł do szyi, podbródka i karku, zaczął je pieścić krótkimi, urywanymi dotknięciami – no, słowo daję, jakby brzdąkał na pianinie.

– Jesteś cudowna, cudowna – sapał zdyszany. Chciał mnie objąć. Cofnęłam się lekko do tyłu, uchylając się od pocałunku.

– Nie umykaj mi, Celestyno... proszę cię. Proszę cię. Chyba nie sprawia ci przykrości, że zwracam się do ciebie po imieniu?

– Nie, proszę pana... tylko mnie dziwi...

– Co cię dziwi... szelmutko... to cię zdumiewa? Och, ty jeszcze mnie nie znasz!

Jego głos stracił zwykłą oschłość. Odrobina śliny pieniała mu się na wargach.

– Posłuchaj, Celestyno. W przyszłym tygodniu idę do Lourdes... tak, poprowadzę do Lourdes pielgrzymkę. Czy chcesz pójść do Lourdes? Mam sposób, żeby cię tam zabrać... Chcesz pójść z pielgrzymką? Nikt się w niczym nie połapie. Zostaniesz w hotelu... będziesz się przechadzała, będziesz robić, co zechcesz. A wieczorem przyjdę do twojej sypialni... a w sypialni... w łóżeczku... och, szelmutko! Ty mnie jeszcze nie znasz, nie wiesz, co potrafię. Łączę doświadczenia starca z zapałem i ogniem młodzieńca. Sama zobaczysz... sama zobaczysz. Ależ ty masz oczy... jakie ogromne, jakie filuterne.

Zdziwiła mnie nie jego propozycja, bo od dawna jej oczekiwałam, ale forma, jaką jej nadał. Mimo to zachowałam zimną krew. I pragnąc upokorzyć starego lubieżnika, pokazać mu, że nie zdołali wywieść mnie w pole ani on, ani jego żonusia, że się oboje przeliczyli w plugawych rachubach, chlusnęłam mu prosto w twarz te oto słowa:

– A pan Ksawery? Pan zdaje się zapomniał o panu Ksawerym... Co on z sobą zrobi, gdy my będziemy

figlowali w Lourdes na koszt pocziwych chrześcijan?

Spojrzenie spode łba, niespokojny błysk w pociemniałym nagle wzroku dzikiej bestii. Wybełkotał:

– Panicz Ksawery?

– No, tak.

– Dlaczego nagle mówisz mi o panu Ksawerym? Pan Ksawery... nie ma tu nic do rzeczy.

Zdwoiłam bezczelność:

– Tak pan sądzi? Niech no pan nie będzie za sprytny... Najęto mnie do tego domu po to, bym spała z panem Ksawerym. Tak czy nie? Tak, prawda, że tak? No i dobrze... Sypiam z nim. Ale pan? Tego nie było w umowie. A poza tym... wiesz co, ojczulku... nie jesteś w moim typie!

I roześmiałam mu się prosto w nos.

Zrobił się purpurowy, oczy płonęły mu wściekłością. Ale uznał, że będzie ostrożniej nie podejmować sporu, bo miałam w ręku potężną broń... Zabrał więc pospiesznie teczkę ze stołu i wymknął się cichaczem. Pożegnał go mój gromki śmiech.

Nazajutrz bez żadnej przyczyny skarcił mnie grubiańsko. Uniosłam się. Nadbiegła pani. Szalała ze złości. Następnie doszło między naszą dobraną trójką do sceny tak okropnej, tak ohydnej, że wyrzekam się jej opisu. Wytykałam im po kolei, posługując się słowami, które trudno byłoby mi tu przytoczyć, wszystkie brudy, wszystkie popełnione nikczemności: oraz zażądałam zwrotu pieniędzy pożyczonych przez pana Ksawerego. Pienili się ze złości. Chwyciłam poduszkę i cisnęłam ją w pana.

– Dość tego... Wynoś się natychmiast, natychmiast! – darła się pani, grożąc, że mi rozharata twarz paznokciami.

– Usuwam cię z mego Stowarzyszenia... Nie jesteś już członkiem Stowarzyszenia... ty zatracona dziwko... ty ladacznico! – darł się pan, waląc pięścią w teczkę.

W rezultacie pani potrafiła mi za osiem dni, odmówiła zwrotu tych dziewięćdziesięciu franków pożyczonych przez pana Ksawerego i kazała oddać co do jednej sztuki łachy, które mi kiedyś ofiarowała.

– Wszystkie jesteście dobre! – krzyczałam. – Same złodziejki... same rajfurki...

I poszłam sobie, grożąc policją i sądem.

– Ach tak, chcesz rozgłosu? Ależ proszę... idź na policję... podła dziwko!

Niestety, komisarz policji uznał, że to nie jego rzecz, a rozjemca namawiał mnie, żebym dała spokój z całą tą sprawą, i wyjaśnił:

– Po pierwsze, nikt pannie nie uwierzy. I tak powinno być, tak jest w porządku, bo niech się panna tylko dobrze zastanowi, co by się stało ze społeczeństwem, gdyby to panna, zwykła pokojówka, miała rację, a nie jej państwo? Koniec... koniec... Społeczeństwo przestałoby być społeczeństwem, zapanowałaby anarchia.

Chciałam zasięgnąć porady prawnika... zażądał dwustu franków. Napisałam do pana Ksawerego. Nie odpowiedział. Więc przeliczyłam moje zasoby. Zostało mi trzy i pół franka... no i bruk ulicy.

XIII

13 listopada

I znów znalazłam się u sióstr, tym razem z zakonu pod wezwaniem Matki Boskiej od iluś tam Boleści. Prowadziły przytułek, który był jednocześnie czymś w rodzaju biura pośrednictwa pracy dla służących. Mieścił się w głębi ogrodu, w pięknym budynku o bielutkiej fasadzie. W samym ogrodzie co pięćdziesiąt kroków wznosiła się figura Najświętszej Pani... Zbudowano również kapliczkę, całkiem nową, wcale okazałą. Siostry przeznaczyły na to pieniądze uzyskane z kwesty. Kapliczkę otaczały wysokie drzewa. Co godzina rozlegał się w tamtej stronie dźwięk dzwoneczków. Cóż to za cudowny dźwięk!... Budzi w moim sercu dawno zapomniane, odległe uczucia i sceny. Jak tylko posłyszę bicie dzwonów, wsłuchuję się w nie... przymykam powieki... i od razu stają mi przed oczami jakieś krajobrazy, których chyba nigdy w życiu nie oglądałam, a mimo to rozpoznaję je... swojskie krajobrazy... tkliwe, pełne ulotnych wspomnień z dzieciństwa i młodości... Kobzy... odświętnie wystrojony tłum sunący wolno po urwistych wydmach... Dzyń... dzyń... dzyń... Dźwięk dzwonów nie brzmi wesoło. Ale nie o to mi chodzi... Dźwięk dzwonów kryje w sobie nawet smutek... jak miłość. Lecz ja to uwielbiam... W Paryżu słyszy się tylko dźwięk rogu studniarzy i ogłuszające trąbki tramwajów.

U sióstr pod wezwaniem Matki Boskiej sypiamy w celach klasztornych na poddaszu. Karmią nas chudo, ochłapami mięsa, zgniłymi jarzynami, a płacimy za to dwadzieścia pięć su dziennie na zakład. To znaczy, że gdy siostronom uda się już nas gdzieś ulokować, ściągają te dwadzieścia pięć su z naszej pensji. Ale nazywa się, że nic nie biorą za znalezienie pracy. A w dodatku musimy tu pracować od szóstej rano do dziewiątej wieczór, jak aresztantki. Mowy nie ma o wychodnym... ani dnia wolnego. Posiłki i modlitwy zastępują chwile wypoczynku. Och, dobre siostrzyczki nie zawracały sobie głowy, jak mawiał pan Ksawery, naszym losem... a to ich miłosierdzie... to tylko zręczny chwyt. Nieźle nas nabierały, a co myślicie? Ale ja... ja będę głupia do końca życia. Twarda szkoła doświadczeń i wszelakie nieszczęścia nigdy mnie niczego nie nauczą. Nie zdadzą się na nic. Sprawiam wrażenie takiej, co umie wołać o pomstę do nieba, co urwie łeb diabłu, a koniec końców... każdy może mnie wykiwać.

Często koleżanki opowiadały mi o tych zakonnicach pod wezwaniem Matki Boskiej od iluś tam Boleści:

– Tak, kochanie, zdaje się, że do tej budy przychodzą pierwsza klasa paniusie, księżne... markizy. Tam łatwo może się nadarzyć wspaniałe miejsce.

Wierzyłam im. A poza tym w moim strapieniu przypominałam sobie z rozczuleniem, głupia i naiwna, te szczęśliwe lata spędzone u siostrzyczek z Pont-Croix. Zresztą coś musiałam z sobą począć... jak się nie ma grosza przy duszy, nie zadziera się dumnie nosa...

Kiedy tu nastalam, w przytułku znajdowało się ze czterdzieści dziewczyn. Wiele z nich przybyło z bardzo daleka – z Bretanii, Alzacji, z południa – nigdzie dotąd nie służyły, były niezręczne, ślamazarne,

miały ołowianą cerę, zacięty wyraz twarzy i dziwne oczy... wpatrywały się, ponad murem klasztornym, w Paryż, co jawił im się w oddali niczym prawdziwy cud. Inne, bardziej obyte, przeszły już przez służbę, tak jak ja.

Siostry wypytały mnie szczegółowo, skąd przybyłam, co umiem robić, czy mam dobre zaświadczenia z pracy i czy zostało mi trochę pieniędzy. Naopowiadałam im przeróżnych historyjek, nablagowałam ile wlażło. Przyjęły mnie więc bez zasięgnięcia dalszych opinii. Mówiły:

– To kochana dziecina... Znajdziemy jej świetne miejsce.

Dla nich my wszystkie, co do jednej, byłyśmy „kochanymi dziecinami”. W oczekiwaniu na przyręczone dobre miejsce każda wykonywała jakąś pracę zależnie od umiejętności. Jedne zajmowały się kuchnią i sprzątaniami, inne pracowały w ogrodzie... skopywały ziemię jak robotnice rolne. Mnie zapędzono natychmiast do szycia, ponieważ – wedle słów siostry Bonifacji – miałam zręczne palce i dystygowaną minę. Zaczęłam od łątania spodni jałmużnikom, którzy właśnie wtedy wygłaszali tu kazania z okazji rekolekcji odprawianych w kaplicy. Ach, te spodnie! W niczym nie przypominały garderoby pana Ksawerego, to pewne.

Następnie powierzono mi pracę mniej eklezjastyczną, całkiem świecką, zaczęłam mianowicie szyć wytworną, cieniutką i delikatną bieliznę... i od razu znalazłam się w swoim żywiole. Razem z innymi szyłam eleganckie wyprawy ślubne, bogate wyprawki dla noworodków... zamawiały je u pocziwych siostrzyczek miłosierne i bogate damy, dając w ten sposób dowód zainteresowania zakładem.

Z początku, po tylu przebytych strapieniach i ciosach, mimo złego wyżywienia i łątania spodni jałmużników, mimo braku swobody, mimo że domyślałam się, jak nędznie i chciwie wyzyskują nas siostrzyczki, zakosztowałam jednak, w tej ciszy i spokoju, prawdziwej słodyczy. Niewiele się zresztą nad tym wszystkim zastanawiałam. Odczuwałam potrzebę modlitwy. Wyrzuty sumienia lub raczej znużenie poprzednim rozwiązłym trybem życia nakłaniały do żarliwej skruchy. Poszłam parę razy pod rząd do spowiedzi. Spowiadał mnie ten sam jałmużnik, któremu naprawiałam spodnie, i na przekór szczerym, pobożnym intencjom to on właśnie sprawił, że znów zrodziły się we mnie nieprzystojne i swawolne myśli... Śmieszny był z niego człeczyna... różowitki, okrągłutki, nieco szorstki w obejściu i mowie, a w dodatku cuchnął jak stary kozioł. Zadawał mi dziwne pytania, z upodobaniem kładąc nacisk na to, co czytam...

– Czytałaś Armanda Silvestre’a? Tak?... Ach, tak! Mój Boże, to świntuch, bez wątpienia świntuch. Nakładając ci pokutę, nie jego książki wskażę do naśladowania. Z pewnością nie! Ale on nie jest groźny. Natomiast nie wolno czytać książek prawdziwie bezbożnych, walczących z religią... na przykład Voltaire’a. Słyszysz mnie? Nie czytaj nigdy Voltaire’a... to śmiertelny grzech... Tak samo Renana czy Anatola France’a... Widzisz, ci są naprawdę niebezpieczni!

– A Paul Bourget, mój ojcz?

– Paul Bourget! On teraz wkracza na dobrą drogę... nie przeczę... nie przeczę. Ale jego katolicyzm nie jest jeszcze szczery... na razie nie jest szczery, a co najmniej bardzo powikłany... Ten twój Paul Bourget sprawia na mnie wrażenie miski... ależ tak, miski, w której każdy może obmyć... opłukać, co zechce... lecz w tej misce, obok kłaków i piany z mydła, pływają również... nie przeczę... oliwki z Góry Oliwnej. Trzeba poczekać... jeszcze trochę poczekać... Huysmans, uważasz, to prostackie, och, do licha, całkiem prostackie... ale prawowierne.

I spytał mnie jeszcze:

– Dopuszczasz się cielesnych swawoli? To źle. Mój Boże, toć to zawsze źle. Ale jeżeli już musisz grzeszyć, czyń to ze swymi chlebobawcami, bo to ludzie bogobojni. Toć to zawsze lepiej niż grzeszyć z samym sobą... czy z mężczyznami z twojej sfery. Wiesz... czyń to już lepiej ze swymi chlebobawcami, bo tak czy inaczej, są to ludzie bogobojni. Wtedy grzech jest nie tak ciężki... nie drażni tak Pana Boga. A kto wie, może te osoby posiadają dyspensę... Wielu z nich ma dyspensę...

A kiedy mu wymieniłam pana Ksawerego i jego ojca, wykrzyknął:

– Tylko bez nazwisk! Nie pytam cię o nazwiska... nigdy nie wymieniaj żadnych nazwisk... Nie jestem przecież z policji... Zresztą wymieniłaś mi tu osoby bogate i szacowne... osoby nadzwyczaj religijne. Więc w rezultacie to ty się mylisz, ty właśnie jesteś w błędzie, buntując się przeciw moralności i ładowi społecznemu.

Te komiczne wypowiedzi, a przede wszystkim jego spodnie, których nie udało mi się wyrzucić z pamięci, bo był to natrętny i zbyt męski szczegół garderoby, poważnie ostudziły moją skruchę i zapal do pokuty. Praca także mnie drażniła. Wykonując ją, tęskniłam za moim właściwym zawodem. Brakło mi cierpliwości, pragnęłam jak najszybciej uciec z tego więzienia, powrócić do wygodnego zacisza ślicznych gotowalni. Wzdychałam gorzko do szuflad pełnych pachnącej bielizny, do szaf, w których trzeszczały tafty, szeleściły jedwabie i welury, tak miłe w dotyku... a te kąpiele, kiedy bielutkie ciało pieni się kolorowymi mydlami! A te rozmówki w kuchni, a te niespodziane, przelotne miłości, przygodne romanse po sypialniach i na schodach! Właściwie to dziwne, ale kiedy mam jakieś miejsce, te sprawy brzydzą mnie; kiedy jestem bez miejsca – odczuwam ich brak. Brzydzi mnie także, brzydzi niepomiernie i to, że tu karmią nas wyłącznie marmoladą ze skisłych porzeczek... Dobre siostrzyczki kupiły ją hurtem na bazarze Levallois. Cokolwiek te święte kobiety zdołają ściągnąć z wózka na śmieci, w sam raz nadaje się dla nas do zjedzenia.

Oczywiście najbardziej złościła mnie i drażniła zatwardziała bezczelność, z jaką nas wyzyskiwały. Ich chwyt był prosty i ledwie go maskowały. Polegał zwyczajnie na tym, że znajdowały pracę tylko dla takich dziewcząt, które im samym nie były w niczym użyteczne. Te zaś, z których mogły ciągnąć jakiegokolwiek korzyści, były strzeżone niczym więźniowie, i w dodatku wykorzystywano bezlitośnie ich umiejętności, siłę i naiwność. No i proszę... nie kto inny, jak właśnie przepelnione chrześcijańskim miłosierdziem siostrzyczki znalazły świetny sposób, by mieć służące i robotnice, co same za siebie płacą. Wyciągały od nich z niepojętym cynizmem, bez najmniejszych wyrzutów sumienia, ostatnie resztki skromnych zasobów... drobne oszczędności uciulane w ciężkim trudzie. Byle tylko forsa płynęła do kieszeni.

Najpierw słabo, potem coraz głośniejszymi głosami uskarżałam się, że jeszcze ani razu nie wezwano mnie na rozmowę z kimś, kto szuka pokojówki. Ale na moje skargi te świętoszki odpowiadały tylko jedno:

– Trochę cierpliwości, kochana dziecińco... Myślmy o tobie, kochana dziecińco... Chcemy ci znaleźć wspaniałe miejsce... Wiemy, co ci będzie odpowiadać... Do tej pory nie trafiło się nam jeszcze takie miejsce, jakiego dla ciebie szukamy, na jakie zasługujesz.

Mijały dni, mijały tygodnie i żadne z miejsc nie było dla mnie wystarczająco dobre, dostatecznie wyjątkowe... A forsa płynęła do kieszeni.

Choć sypialni dozorowała jedna z zakonnicek, każdej nocy działy się tam rzeczy, od których ciarki przebiegają po skórze. Gdy wszystkie zdawały się już pogrążone we śnie i opiekunka skończyła obchód,

od razu podnosiły się jakieś białe cienie, sunęły wzdłuż łóżek, wślizgiwały za zaciągnięte zasłony. Rozlegały się tłumione odgłosy pocałunków, piski, chichoty, urywane szeptu... Ani trochę się nie krępowwały, te moje koleżaneczki... W mętym, chybotliwym świetle lampy, która zwisała z sufitu pośrodku sypialni, ileż to razy byłam świadkiem okropnie nieprzyzwoitych, bardzo zasmucających scen! Poczciwe siostrzyczki, te święte kobiety, przymykały oczy, by niczego nie widzieć... zatykały uszy, by niczego nie słyszeć. Nie życzyły sobie żadnego, najmniejszego skandalu – wtedy bowiem musiałyby odprawić te grzeszne dziewczyny. Tolerowały więc plugawe bezceństwa, udając, że nic o nich nie wiedzą... A forsa nieprzerwanie płynęła do kieszeni.

Szczęśliwym trafem, w okresie najgorszej udręki, przybyła do zakładu moja przyjaciółka Klementyna, którą nazywałam Klecią. Pracowałyśmy kiedyś razem na ulicy Rivoli. Klecia była urocza, jaśniutka, różowiotka i cwana, a przy tym jaka żywa, jaka wesoła! Ze wszystkiego się śmiała, na wszystko się godziła i wszędzie się dobrze czuła. Oddana i wierna, знаła tylko jedną przyjemność: wyświadczać innym przysługi... Mimo że rozpustna do szpiku kości, nie miała w sobie nic odrażającego, gdyż jej grzechy były radosne, szczere i naturalne. Były dla niej tym, czym kwiat dla łodygi, czym jabłko dla jabłoni. Szczebiotała wesoło jak ptaszek i sprawiła, że na parę dni zapomniałam o kłopotach, przestałam się buntować. Ponieważ nasze łóżka stały jedno przy drugim, więc już następnej nocy spałyśmy razem. Nie ma się czemu dziwić... Może wpłynął na mnie przykład innych... może chciałam zaspokoić ciekawość, która od dawna mnie kusila? Zresztą było to prawdziwą namiętnością Kleci od przeszło czterech lat, od kiedy jedna z jej pań, żona generała, zbałamuciła ją i wciągnęła w taką właśnie rozpustę.

Pewnej nocy, gdy leżałyśmy razem w łóżku, opowiedziała mi półgłosem, zabawnie, szepcząc do ucha, że przysła tu prosto ze służby u pewnego wyższego urzędnika w Wersalu.

– Wystaw sobie, że trzymał mnóstwo zwierząt... koty... trzy papugi... małpę... dwa psy... Musiałam je oporządzać. A trudno było tej menażerii dogodzić... W nas, tylko sobie pomyśl, wmuszano stare resztki, ochłapy, konserwy z puszki, a one dostawały ile wlezie drobiu, kremów, ciasta i wody mineralnej... tak, moja droga!... Te zwierzęta pijały tylko wodę mineralną z powodu jakiejś epidemii tyfusu w Wersalu... Ubiegłej zimy pani zabrała mi bezczelnie piec z tej klitki, gdzie sypiałam, i ustawiła go w pokoju, w którym wylegiwały się koty i małpa. Tak to wyglądało, kapujesz?... Nie cierpiałam tych zwierzątek... zwłaszcza jednego psa, starego mopsa. Istne straszdyło... Stale mi się pakował pod spódnicę, choć odpędzałam go kopniakami. Kiedyś z rana pani przyłapała mnie, jak go biłam. Już sobie wyobrażasz tę scenę... Wyrzuciła mnie z domu w pięć minut. A musisz wiedzieć, kochanie, że ten pies...

Zdusiła wybuch śmiechu, przytulając się do moich piersi.

– No więc, ten pies – zakończyła – miał całkiem męskie skłonności i żądze.

Nie, doprawdy, co za dziewczyna z tej Kleci! Ale była zabawna i urocza!

Nikt nawet się nie domyśla wszystkich udręk, jakie zagrażają służbie, i niemiłosiernego wyzysku, który zawsze jej grozi... Wszyscy nas wyzyskują – raz chlebodawcy, raz pośrednicy, raz stowarzyszenia dobroczynności – nie licząc kolegów, bo i wśród służby znajdują się tęgie świny... Tu nikt się nad nikim nie lituje. Każdy żyje, tuczy się, zabawia kosztem drugiego, jeszcze biedniejszego od siebie... Zmienia się tylko scena, dekoracje są coraz to inne, ale istota rzeczy pozostaje ta sama... te same ambicje... te same namiętności... mimo że wędrujecie po przeróżnych środowiskach społecznych... W skromnych mieszczańskich mieszkaniach czy w okazałych apartamentach bankierów – wszędzie natraficie na

jednakie brudy, wszędzie stykacie się z jednaką bezwzględnością. W ostatecznym rozrachunku dla dziewczyny takiej jak ja jedno jest pewne – musi przegrać... gdziekolwiek pójdzie i cokolwiek zrobi... wiem to z góry. Biedacy są nawozem ludzkości, na którym kiełkują ziarenka życia, pełni się radość... ale zbiory należą do bogaczy... którzy korzystają z nich w nadmiarze... naszym kosztem.

Zapewniają nas, że niewolnictwo już nie istnieje. A to mi dopiero dobry kawał! A służba?... czymże więc są ludzie w służbie u innych, jeśli nie niewolnikami?... Prawdziwymi niewolnikami, wraz z całym zawartym w niewolnictwie poniżeniem moralnym, nieuchronnym przekupstwem i buntem, który rodzi nienawiść... Służba uczy się występków od swoich państwa. Przychodzą czyści i naiwni... przecież zdarzają się wśród nas i tacy. Ale w tym zawodzie szybko nasiąkają zgnilizną, stykając się bez przerwy z obyczajami zdeprawowanych chlebobawców... Od początku widzą same tylko występki, same grzechy, oddychają nimi, ocierają się o nie... Wychowują się na występkach, one kształtują ich naturę z miesiąca na miesiąc, z minuty na minutę... A przecież nie mamy jak się bronić, przeciwnie – musimy służyć wszelkiej podłości, chuchać na nią, szanować ją. Więc czy można się dziwić, że służba buntuje się przede wszystkim dlatego, że nie może własnych grzechów i pożądań w pełni zaspokajać, że nie może zerwać więzów nałożonych na popędy własnej natury? Bo czy to nie przesada, żeby wymagać od nas wszelkich cnót i wyrzeczeń, zezwalając jedynie na grzeszki, które schlebiają próżności naszych państwa i przynoszą im korzyści? Wynagradzają nas za to pogardą oraz pensją, której wysokość waha się od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu franków. I dorzucicie jeszcze do tego, że my, służba, żyjemy w ciągłej rozterce i lęku – raz pracujemy w pozornym luksusie, to znowu popadamy w całkowitą nędzę, z dnia na dzień skazani na bezrobocie – że mamy świadomość dokuczliwej podejrzliwości, jaka towarzyszy nam wszędzie, ryglując przed nami drzwi, zamykając na kłódkę szuflady i zabezpieczając każdy zamek... ta sama podejrzliwość każe im znaczyć poziom wina w butelkach, przeliczać co do sztuki ciasteczka, śliwki, i bez przerwy zerkać nam na ręce, zaglądać do kieszeni, do naszych tobołków, i zawstydzają jak wzrok policjanta. Bo nie ma takich drzwi, takiej szafy, takiej szuflady, takiej butelki, nie ma ani jednego przedmiotu, który by do mnie nie krzyczał: „Złodziejka... złodziejka... złodziejka”.

Dorzucicie jeszcze do tego niekończące się udręki wynikłe z potwornej nierówności społecznej, niesprawiedliwości losu, gdyż mimo zażyłości, uśmiechów, prezentów istnieje między nami a państwem przepaść, zapora nie do przebycia, co tworzy z nas osobną kastę pełną głuchych nienawiści, skrywanych pożądań, marzeń o zemście... przy tym różne zachcianki, a nawet łaski bogaczy, czynią tę nierówność jeszcze bardziej wyczuwalną, jeszcze bardziej groźną i upokarzającą. Czy zastanowiliście się bodaj przez chwilę, że służba ma słuszne, uzasadnione prawo do śmiertelnej nienawiści? Pragniemy mordować, tak, mordować, słysząc, jak nasi państwo, chcąc zganić czyjś podły postępek, z obrzydzeniem wykrzykują w naszej obecności: „On ma duszę sługusa... to uczucia godne służby”, i pozbawiają nas tym sposobem człowieczeństwa. No więc, jak myślicie, kim można się stać, żyjąc w takim piekle? Czyż doprawdy moje panie wyobrażają sobie, że ja nie chciałabym nosić pięknych sukien, jeździć pięknym powozem, pohulać sobie z kochankami i mieć także własną służbę? Mówią nam w kółko o oddaniu, uczciwości, wierności... O nie, nic z tego... jeszcze nam zapłacicie za to wszystko własną śmiercią, stare kłępy!...

Raz, a było to na ulicy Cambon – Boże, w ilu ja już miejscach służyłam! – gospodarze wydawali córkę za mąż. Z tej okazji odbył się wielki raut i na tym raucie wystawiono na pokaz prezenty, a było ich tyle, że wypełniłyby z łatwością cały wóz meblowy. Spytałam żartem Baptystę, tamtejszego lokaja:

– No dobrze, a co Baptysta? Gdzie jest podarek od Baptysty?

– Mój podarek? – mruknął, wzruszając ramionami.

– Co to za podarek?

– Bańka z płonącą benzyną pod łóżkiem, oto mój prezent!

To rozumiem... szykowna odpowiedź. Zresztą ten Baptysta miał kapitalne poglądy polityczne.

– A twój podarek, Celestyno? – spytał mnie z kolei.

– Mój?

Wygięłam obie ręce jak szpony i wykonałam okrutny ruch, jakbym rozdrapywała czyjąś twarz.

– Moje pazury – odpowiedziałam – wbite w ich oczy.

Kamerdyner, choć wcale niepytany, układając zręcznymi palcami owoce na kryształowej paterze, odezwał się spokojnym tonem:

– A mnie zadowoliliby chluśnięcie im w twarz witriolem, i to w kościele.

Po czym włożył różę między dwie gruszki.

Ach, tak! Kochać ich?! Dziwi mnie tylko jedno, że żądza zemsty nie ogarnia nas częściej. Kiedy sobie na przykład pomyślę o takiej kucharce: ma co dzień w swych rękach życie państwa... szczypta arszeniku zamiast soli... odrobina strychniny zamiast octu... i już po wszystkim. No proszę... i nic! Może rzeczywiście mamy we krwi jakąś służalczość?

Nie mam wykształcenia i piszę tylko to, co myślę i co widziałam. Ale, powiadam, to wszystko razem nie jest w porządku. Powiadam, że z chwilą, gdy ktoś bierze pod swój dach drugiego – choćby to był ostatni nędzarz czy ostatnia dziwka – ma obowiązek opiekować się nim, dbać o jego dobro... I powiadam, że skoro państwo nam tego nie dają, mamy prawo sami po to sięgać... a nawet po ich walizki... a nawet po ich krew...

Zresztą, dość już o tym. Niepotrzebnie rozmyślam nad takimi sprawami, boli mnie tylko od nich głowa i przewraca się w żołądku. Wracam do moich opowieści.

Z wielkim trudem udało mi się opuścić zakład siostrzyczek Matki Boskiej od iluś tam Boleści. Mimo miłości Kleci, mimo nowych, nieznanych mi i rozkosznych doznań, jakie jej zawdzięczam, postarzałam się w tej budzie i czułam wilczy głód wolności. Gdy tylko zrozumiały, że jestem całkiem zdecydowana odejść, od razu znalazło się dla mnie miejsce, i to nie jedno... Tylko dla mnie, specjalnie dla mnie... Ale choć tak bywa najczęściej, to nie zawsze jestem całkiem głupia i mam dobre oko na różne szelmostwa. Odrzucałam więc wszystkie proponowane mi miejsca. W każdym umiałam znaleźć coś, co mi nie odpowiadało. Ależ miały głupie miny te święte kobiety! Można się było setnie ubawić. Liczyły, że jeśli mnie umieszczą u jakichś starych bigotek, to bez trudu będą mogły ściągać mi z pensji koszty utrzymania wraz z lichwiarskim procentem. A tymczasem okazało się, że ja z kolei wywiodłam je w pole.

Pewnego dnia uprzedziłam siostrę Bonifację, że chcę odejść jeszcze tego samego wieczoru. Miała czelność odpowiedzieć mi, wznosząc ręce do nieba:

– Ależ, kochana dziecinko, to niemożliwe!

– Jak to, niemożliwe?

– Ależ, kochana dziecinko... nie możesz nas ot tak sobie porzucić... Jesteś nam winna ponad

siedemdziesiąt franków!... Wpierw musisz to zapłacić.

– A z czego? – odparłam. – Nie mam grosza. Mogą mnie siostry zrewidować.

Siostra Bonifacja rzuciła mi nienawistne spojrzenie i pełna godności oświadczyła surowo:

– Ale czy panna zdaje sobie sprawę, że popełnia kradzież? A okradanie biednych kobiet, takich jak my, to coś więcej niż kradzież, to świętokradztwo, za które Bóg pannę ukarze... Proszę się dobrze namyślić.

Wtedy ogarnął mnie gniew.

– Powiedz no mi, siostrzyczko – krzyknęłam – kto tu właściwie kradnie: wy czy ja?! Naprawdę jesteście kapitalne, drogie mateczki!

– Zabraniam pannie mówić w ten sposób!

– Och, nie zwracajcie mi głowy... Wykonujemy za was robotę... pracujemy tu jak woły, od rana do wieczora... zarabiamy dla was ogromne pieniądze... Karmicie nas tak, że pies by nie tknął tego jedzenia... I jeszcze każecie za nie płacić... drożej niż na rynku... och, nie brak siostrzyczkom tupetu!

Siostra Bonifacja aż pobladła. Czułam, że cisną się jej na usta ordynarne, plugawe wyrazy pełne wściekłości. Nie śmiała ich wypowiedzieć... tylko bełkotała:

– Zamilcz, jesteś bezwstydną, bezbożną dziewczyną. Bóg cię ukarze. Idź, skoro chcesz... zatrzymamy twoje rzeczy.

Stanęłam śmiało tuż przed nią w wyzywającej pozie i patrząc jej prosto w twarz, wykrzyknęłam:

– O, chciałabym to zobaczyć! Spróbujcie no tylko zatrzymać moje rzeczy, siostrzyczki... a szybko się przekonacie, że zawezwę policję. Jeśli religia polega na łataniu brudnych portek jałmużników, na okradaniu biednych dziewcząt, na tolerowaniu plugawych okropności, które co noc dzieją się po sypialniach...

Siostrzyczka zbladła jeszcze bardziej i starała się zagłuszyć moje słowa:

– Moja panno... moja panno...

– Niby to nie wiecie o świństwach, które odbywają się co noc po sypialniach? Czy siostra odważy się poświadczyć, ale teraz, twarzą w twarz, patrząc mi prosto w oczy, że siostra nic o tym nie wie? Nie zabraniamie im tego, przemykacie oczy, bo te dziewczyny przynoszą wam zyski... tak, zyski.

I cała drżąca, zziajana, z wyschniętym gardłem, tak oto zakończyłam mój akt oskarżenia:

– Jeśli religia ma na tym polegać... jeśli ma polegać na tym, że jest się więźniem, że się żyje w burdelu... jeśli tak jest... to mam powyżej uszu religii. Moje rzeczy! Czy siostra mnie słyszy? Żądam wydania moich rzeczy... niech siostra idzie natychmiast po moje rzeczy.

Siostra Bonifacja przestraszyła się.

– Nie mogę dyskutować z upadłą dziewczyną – powiedziała głosem pełnym godności. – W porządku, możesz sobie iść.

– Z rzeczami?

– Z rzeczami.

– To dobrze. Widać trzeba się tu ostro postawić, żeby odzyskać własne tobołki... Widział to kto? Gorzej niż na komorze celnej.

Rzeczywiście odeszłam z zakładu tego samego wieczoru. Klecia zachowała się nadzwyczaj miło

i pożyczyła mi ze swych oszczędności dwadzieścia franków. Znalazłam pokój do wynajęcia na ulicy Sourdière. Zafundowałam sobie od razu bilet na balkon do teatrzyku przy Porte-Saint-Martin. Grali tam *Dwie sieroty*. Coś podobnego!... Przecież to niemal moja własna historia.

Spędziłam w teatrze cudowny wieczór, zalewając się łzami... płakałam, płakałam, płakałam..

XIV

18 listopada

Róża umarła. Bez wątpienia jakieś nieszczęście zawisło nad domem kapitana. Biedny kapitan! Nie żyje łasica... jeż nie żyje... a teraz przyszła kolej na Różę.

Chorowała już od paru dni, a przedwczoraj dobiło ją nagłe zapalenie płuc. Została pochowana dzisiaj rano. Z okien szwalni widziałam żałobny kondukt idący drogą. Ciężką trumnę, niesioną na ramionach przez sześciu mężczyzn, pokrywały w całości wieńce i wiązanki kwiatów, niczym trumnę młodzianki dziewczycy. Wielki tłum – całe Mesnil-Roy – sunął długim, czarnym i rozgadany sznurem za kapitanem Maugerem, który sztywno wyprostowany, opięty w ciemny wojskowy surdut szedł na czele konduktu. Ministranci potrząsali dzwoneczkami, a dzwony kościelne odpowiadały im dalekim din-don, din-don... Pani zapowiedziała, że nie wolno mi pójść na pogrzeb. Zresztą nie miałam na to żadnej ochoty. Nie lubiłam tej grubej, strasznie złośliwej kobiety, a jej śmierć przyjąłam całkiem obojętnie i spokojnie. A może jednak będzie mi Róży brakowało i pożałuję czasem, że już jej nigdy nie spotkam na drodze? A co za ploty wywoła jej śmierć u sklepikarki!...

Ciekawa byłam, jakie wrażenie wywarła na kapitanie nagła śmierć Róży. Więc jak tylko moi państwo wybrali się po obiedzie w odwiedzinę, zaczęłam się przechadzać wzdłuż parkanu; ogród kapitana jest smutny i opuszczony. Łopata wbita w ziemię świadczy o nagle przerwanej pracy. „Kapitan nie wyjdzie do ogrodu – powiedziałam sobie. – Z pewnością płacze, przygnębiony, w sypialni, wśród tyłu pamiętek”. Ale raptem spostrzegam go. Zdążył się już pozbyć pięknego surdutu, w którym wystąpił na pogrzebie, i włożył zwykłe, codzienne ubranie. Z gołą głową, krótko ostrzyżoną zwyczajem dawnych wojskowych, zawzięcie zwozi nawóz na grządki. Posłyszałam nawet, że trąbi sobie półgłosem marsza wojskowego. Zostawia taczkę i podchodzi do mnie, przerzuciwszy grabie przez ramię. Mówi:

– Rad jestem, że pannę widzę, Celestyno.

Chcę go pocieszyć, ulitować się nad nim. Szukam słów, odpowiednich zdań. Ale spróbujcie no znaleźć jakieś czułe słówko, mając przed sobą tak komiczną facjatę. Poprzestaję więc na powtarzaniu w kółko:

– Jakie to nieszczęście, kapitanie, jakie to dla pana wielkie nieszczęście... Biedna Róża!...

– Tak, tak – mówi bez przekonania.

Jego twarz nie wyraża żadnych uczuć. Wykonuje jakiś nieokreślony gest, a potem wbija grabie w skrawek miękkiej ziemi koło parkanu.

– Tym bardziej że nie mogę zostać sam, bez nikogo.

Staram się podkreślić zalety Róży jako gospodyni:

– Jej nikt panu łatwo nie zastąpi.

Z całą pewnością nie jest ani trochę zmartwiony. Można by nawet powiedzieć, sądząc z jego nagle ożywionego wzroku i energicznych ruchów, że pozbył się wielkiego ciężaru.

– Ba – mówi po krótkiej chwili milczenia – każdego da się zastąpić.

Tak łatwe pogodzenie się z losem zdumiewa mnie i trochę gorszy. Żeby się trochę zabawić jego kosztem, staram się uświadomić mu, co utracił, tracąc Różę.

– Tak dobrze znała pana nawyki, upodobania, dziwactwa... Taka była panu oddana.

– A widzisz... nie mogłaś gorzej spudłować – zaskrzeczał.

I wykonał ruch, którym jakby chciał odrzucić na bok wszelkie wątpliwości.

– A zresztą, czy ona była mi aż tak oddana? Wiesz, bierze mnie chęć, by ci to wyznać: miałem już dosyć tej Róży... Dalibóg, mówię prawdę. Odkąd najęliśmy chłopca do posług, niczego się w domu nie tykała, wszystko w nim kulało... bardzo kulało... Nie mogłem nawet dostać jajka na miękko ugotowanego, tak jak lubię. A te sceny od rana do nocy, o nic, po prostu o nic. Jeśli wydałem dziesięć su, jaki był krzyk... jakie wymówki... Ilekroć rozmawiałem z panną Celestyną, tak jak teraz... jakie robiła z tego historie, bo była zazdrosna... okropnie zazdrosna. Co ona o panie wygadywała, trzeba było słyszeć... Nie, nie! Do licha, przestałem się już czuć we własnym domu jak u siebie.

Oddychał głęboko i głośno. Niczym podróżny, co wrócił z dalekiego kraju, spoglądał z nową, przejmującą radością na niebo, nagie trawniki w ogrodzie, na sploty gałęzi, fioletowe pod światło, na własny domek...

Jego radość, tak obraźliwa dla pamięci Róży, teraz nagle wydaje mi się bardzo zabawna. Chcąc zachęcić kapitana do dalszych zwierzeń, mówię tonem pełnym wyrzutu:

– Kapitanie, myślę, że jest pan niesprawiedliwy.

– Dalibóg, nie, coś podobnego! – odparował żywo. – Panna o niczym nie wiedziała... panna nic nie wie. Ona przecież nie opowiadała o tych scenach, o tych awanturach... nie mówiła, jak mnie terroryzuje, jaka jest zazdrosna. Już nic do mnie nie należało, wszystko było jej... W moim własnym domu!... Panna Celestyna nawet by nie uwierzyła. Na przykład taki fotel wolteriański... wcale z niego nie korzystałem, wcale. Zawsze ona się w nim rozsiadała. Zagarnęła wszystko... wszystko... to przecież święta prawda. A jak sobie pomyślę, że nie wolno mi było jadać szparagów z oliwą, bo ona ich nie lubiła!... Dobrze zrobiła, że umarła. Nic lepszego nie mogło jej spotkać, gdyż tak czy owak już bym jej dłużej nie trzymał, o nie! O nie, do licha! Nie trzymałbym jej dłużej. Do tego stopnia przebrała miarę. Miałem jej powyżej uszu. I chcę coś jeszcze powiedzieć... gdybym to ja umarł przed Różą, spotkałaby ją nie lada niespodzianka, nie lada niespodzianka. Ślicznie bym ją urządził... Przygotowałem dla niej na tę okoliczność pewną niespodziankę, gorzką niespodziankę. Powiem panie Celestynie, co to takiego.

Złożył wargi jak do uśmiechu, ale ten uśmiech szybko zamienił się w przykry grymas. Mówił dalej, przy każdym słowie parskając krótkim, obleśnym śmiechem:

– Panna Celestyna z pewnością wie, że sporządziłem testament i w tym testamencie zapisałem jej wszystko: dom... pieniądze... rentę... słowem, wszystko. Musiała panie o tym mówić, przecież opowiadała to każdemu. Tak, ale nie powiedziała jednego, bo sama o tym nie wiedziała... że w dwa miesiące później sporządziłem drugi testament, unieważniając pierwszy... a w nim... nic już jej nie zapisałem. Do licha, kompletnie nic!

I nie panując dłużej nad sobą, wybuchnął śmiechem, okropnym, skrzeczącym śmiechem, który niósł się po ogrodzie niczym pisk przelatującego wróbla.

– To jest dopiero pomysł, co?... Och, ale by zdębiała, dowiedziawszy się, że cały majątek należy do Akademii Francuskiej... Ponieważ, droga panno Celestyno, rzeczywiście zapisałem mój majątek Akademii Francuskiej. Tak, to dopiero jest pomysł!

Zaczekałam, aż przestanie się śmiać, i pytam poważnie:

– A co pan zamierza zrobić teraz, kapitanie?

Kapitan patrzy na mnie przeciągle, chytrze i z zachwytem, a potem mówi:

– No cóż? To zależy od panny Celestyny...

– Ode mnie?

– Tak, od panienki... Tylko od panny Celestyny.

– Jak to być może?

Znów zapada krótkie milczenie, kapitan wykorzystuje to: pręży łydki, wypina pierś, unosi do góry zmierzwioną bródkę, celuje nią w moją stronę, pewnie pragnie tymi sposobami rzucić na mnie uwodzicielski urok.

– Naprzód! – mruczy nagle. – Trzeba zmierzać prosto do celu. Mówmy otwarcie... po żołniersku. Chciałaby panna zająć miejsce Róży? Czeka na pannę!

Jestem przygotowana na ten atak. Już z jego oczu wyczytałam, co się święci. Nie ma mowy o zaskoczeniu, więc przyjmuję jego słowa z poważną, nieprzeniknioną twarzą:

– A testament, kapitanie?

– Podrę go, do pioruna!

Piętrzę trudności:

– Ale ja nie umiem gotować.

– Sam będę gotował, sam... Sam będę ścielił łóżko... i twoje... do pioruna... sam będę wszystko robił.

Zaczyna mi nadskakiwać, staje się frywolny, oczy błyszczą mu łobuzersko. Szczęściem dla mojej cnoty dzieli nas parkan, gdyby nie to, nie jestem pewna, czyby się na mnie nie rzucił.

– Jest kuchnia i kuchnia... – krzyczy schrypniętym, a zarazem gromkim głosem. – Założę się, Celestyno, że to, czego od ciebie oczekuję, potrafisz świetnie przyrządzić... i pieprznie przyprawić... do pioruna!

Uśmiecham się ironicznie, grożąc mu przy tym palcem jak dziecku:

– Kapitanie, kapitanie... ależ z pana mały świntuch...

– Wcale nie mały – upomina się dumnie. – Duży... bardzo duży... Tam do licha! Poza tym... jest jeszcze jedna sprawa. Muszę ci o niej powiedzieć...

Przechyla się przez parkan, wyciąga szyję. Oczy nabiegają mu krwią. Ścisza głos i mówi:

– Gdyby Celestyna przeszła do mnie... no to...

– No to co?

– No to Lanlaire'owie pękliby z wściekłości To dopiero jest myśl, co?

Milknę, chcę sprawiać wrażenie osoby, która się nad czymś głęboko zastanawia. Kapitan niecierpliwi

się... denerwuje... drąży obcasem dziurę w piasku, którym wysypana jest alejka.

– Pomyśl no, Celestyno... Trzydzieści pięć franków miesięcznie... wspólny stół... wspólna sypialnia... do licha! i testament. Odpowiada ci to? Mówże...

– Odpowiem za jakiś czas. Ale na razie niech pan sobie weźmie inną, do pioruna!

I szybko uciekam, by nie parsknąć mu w twarz gromkim śmiechem, co bulgoce mi w gardle.

Mam więc w czym wybierać. Kapitan czy Józef? Zostać służącą, a jednocześnie utrzymanką, to znaczy przystać na wszelkie możliwe ryzyko, które się w takiej sytuacji kryje; być dalej na cudzej łasce, tym razem człowieka głupiego, gruboskórnego i niestałego, uzależnić się od tysiąca przykrych okoliczności i tysiąca przesądów? Albo wyjść za mąż i osiągnąć tym sposobem jaką taką pozycję społeczną, uwolnić się od kontroli innych, wyswobodzić od kaprysu wydarzeń? Tym sposobem ziściłaby się część moich marzeń.

Jasne, że mogłabym sobie życzyć wspanialszego ziszczenia moich rojeń. Ale widząc, jak mało szans mają kobiety w mojej sytuacji, powinnam sobie wieszować, że w końcu nadarza mi się jakaś inna możliwość, a nie to odwieczne, jednostajne miotanie się od domu do domu, od ludzi do ludzi.

Rozumie się, że od razu oddaliłam od siebie propozycje kapitana. Zresztą nawet mi nie było trzeba tej ostatniej rozmowy, już przedtem wiedziałam, co to za gatunek człowieka, co to za okaz ponurego i groteskowego błazna.

Chociaż brzydota fizyczna kapitana jest czymś więcej niż tylko brzydota ciała, bo – niczym nieuwznioślona, niczym niezatuszowana – świadczy, że i jego dusza jest bez wartości, Róża wierzyła niezachwianie w swą władzę nad tym mężczyzną, no i proszę, właśnie ten mężczyzna ją wykiwał. Nie można mieć władzy nad zerem, nie można działać w próżni.

Zresztą ilekroć próbuję sobie choć przez chwilę wyobrazić, że ten komiczny facet trzyma mnie w ramionach, a ja go pieszczę... natychmiast zaczynam pękać ze śmiechu. Nie czuję do niego fizycznego wstrętu, bo wstręt zakłada możliwość zbliżenia. Otóż ja mam całkowitą pewność, że to zbliżenie jest niemożliwe. Gdyby się tak zdarzyło, że jakimś cudem, jakimś zrzędzeniem losu znalazłabym się jednak w jego łóżku, to jestem całkiem pewna, że nieprzeparty śmiech broniłby mu dostępu do moich ust. Z miłości czy z rozpusty, z bierności czy ze współczucia, z próżności czy wyrachowania – sypiałam z wieloma mężczyznami. Zresztą sam akt płciowy wydaje mi się rzeczą normalną, naturalną i konieczną. Nigdy z tego powodu nie miałam wyrzutów sumienia i tylko niezmiernie rzadko nie sprawiał mi przyjemności. Ale przespać się z mężczyzną tak nie do pojęcia komicznym jak kapitan, o, nie... jestem pewna, że to nie mogłoby mi się przydarzyć... to byłoby po prostu niemożliwe fizycznie. Uznałabym zwyczajnie, że jest to przeciwne naturze... coś znacznie bardziej gorszącego niż ten pies, o którym mówiła Klecia... No i widzicie... a mimo wszystko jestem z jego propozycji zadowolona... czuję nawet niejaką dumę. Ten hołd, choć tak nikczemny, pozostaje jednak hołdem i dodaje mi wiary w siebie, w moją urodę.

Dla Józefa mam całkiem inne uczucia. Józef znów zawładnął moją wyobraźnią. Wziął ją w posiadanie, opętał. Na przemian niepokoi mnie, zachwyca, napełnia lękiem... Z pewnością jest brzydki, brutalnie, okropnie brzydki, ale kiedy się w tę brzydotę wpatrzyć, to okaże się, że kryje w sobie coś wspaniałego, niemal pięknego, coś, co przewyższa piękność i jest ponad pięknnością – tak jak żywioty. Zdaję sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw pożycia, w małżeństwie czy w wolnym związku, z tym mężczyzną,

kórego mam prawo podejrzewać o wszystko, a w rzeczywistości nic o nim nie wiem. A może właśnie ta tajemniczość tak mnie w nim pociąga i przyprawia o zawrót głowy? Ten przynajmniej, ponieważ jest zdolny do wielu złych rzeczy, kto wie, czy nie potrafi też wyświadczać dobra. Nie mam pojęcia... Czego on ode mnie chce? Co ze mną robi? Czyżbym była nieświadomym narzędziem w jakichś jego zamysłach, które nie są mi znane, zabawką w grze potężnych namiętności? A może po prostu mnie kocha – ale co we mnie kocha? Mój urok, moje grzeszki, moją inteligencję, a może nienawiść do przesądów, chociaż sam jest przesądny? Znów nic nie wiem! W Józefie pociąga mnie nie tylko to, że jest nieprzenikniony i tajemniczy – również jego siła wywiera na mnie władczy, potężny, nieprzeparty urok. I ten urok, tak, urok, podnieca coraz to bardziej moje nerwy i sprawia, że moje ciało staje się uległe i pokorne.

Przy Józefie moje zmysły zaczynają się burzyć jak nigdy dotąd, jak nigdy w kontakcie z żadnym samcem. Ta namiętność jest we mnie jeszcze gwałtowniejsza, jeszcze bardziej mroczna i straszliwsza od tamtej żądz, która sprawiła, że pan Jerzy skonał przecież w moich uściskach. I jakby polegała na czymś innym, czego nie umiem dokładnie określić... tak czy inaczej włada mną niepodzielnie, zarówno moim ciałem, jak i umysłem, a przy tym wyzwala nowe, drzemiące we mnie instynkty, o których istnieniu nie wiedziałam, których nie znałam i których dotąd żadna miłość, żadna namiętność nie obudziła.

Więc dygocę od stóp do głów, gdy wspominam te słowa Józefa:

– Jesteś taka sama jak ja, Celestyno. O, nie z wyglądu, oczywiście. Ale nasze dusze są takie same... są do siebie podobne.

Nasze dusze! Czy to jest możliwe?

Uczucia, których doświadczam, są tak nowe, tak przemożne i tak piekielnie uparte, że nie pozostawiają mi ani chwili wytchnienia... stale jestem pod ich wpływem, pod ich odurzającą fascynacją. Na próżno staram się zająć umysł innymi myślami. Gdy moich państwa nie ma w domu, próbuję czytać, spacerować po ogrodzie, zapamiętałe pracuję, naprawiam w domu wszystko, co jest do naprawy. Ale nie ma rady. Józef wszedł w posiadanie każdej mojej myśli. Włada zresztą nie tylko tymi, które obecnie kłębią mi się w głowie – zagarnął również i te z przeszłości. Józef tak dalece stanął między mną a moją przeszłością, że widzę w niej, by tak rzec, tylko jego – i moja przeszłość, pełna szkaradnych, ale także i uroczych twarzy, oddala się coraz bardziej, traci barwę, zaciera się. Kleofas Biscouille, pan Jan... pan Ksawery... William, o którym jeszcze nie mówiłam... pan Jerzy, tak, nawet i on, o którym sądziłam, że na zawsze odcisnął piętno w mej duszy, podobnie jak piętnuje się rozpalonym do czerwoności żelazem ramię galernika... więc i on, i inni, którym ochoczo, wesoło, namiętnie dawałam z siebie, z mego wibrującego ciała i nieszczęsnego serca... niewiele lub dużo – wszyscy ci, wszyscy razem, to już tylko cienie. Cienie chwiejne i pocieszne, cienie, które osuwają się na dno... Zarysy wspomnień... a wnet tylko niejasne sny... niepochwytna rzeczywistość... zapomnienie... mgła... pustka... niebyt...

Niekiedy w kuchni, już po kolacji, patrząc na Józefa, przyglądając się jego zbrodniczym ustom, zbrodniczym oczom, tłustym policzkom, spłaszczonej czaszce, szorstkiej i gruzłowatej, na której światło lampy żłobi głębokie bruzdy, mówię sobie: „Nie, nie... to niemożliwe... musiał mnie zauroczyć... to jakieś szaleństwo... nie chcę... nie mogę kochać tego człowieka. Nie. Nie! To niemożliwe!”

A jednak to jest możliwe... to jest prawda! Trzeba wreszcie, żebym się do tego przyznała sama przed sobą... żebym krzyknęła do samej siebie... Kocham Józefa!

Ach, teraz rozumiem, że nie należy szydzić z miłości... rozumiem, skąd się biorą kobiety całkiem

nieświadome zbrodni, kierowane niewidzialnym popędem natury, które rzucają się w objęcia nieokrzesanych prostaków, żyją z potworami i dyszą z rozkoszy na widok diabłów i kozłów.

Józef zdołał uzyskać u pani sześć dni urlopu i wczoraj, pod pozorem jakichś spraw rodzinnych, pojechał do Cherbourg. To już postanowione: kupi tę kawiarenkę. Ale przez pierwszych parę miesięcy nie będzie jej sam prowadził. Ma na miejscu jakiegoś zaufanego przyjaciela, który się tym zajmie.

– Pojmujesz – powiedział mi – najpierw trzeba ją odmalować, odświeżyć, żeby była jak nowa... żeby była bardzo piękna... ze ślicznym szyldem o złożonych literach „Pod Żołnierską Zbroją”. A poza tym nie mogę jeszcze rzucić tego miejsca... Nie, nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego, Józefie?

– Dlatego, że nie mogę, i już. Jeszcze nie teraz...

– A kiedy odejdziesz na dobre?

Józef drapie się po karku, rzuca mi nieprzeniknione spojrzenie i mówi:

– A tego to jeszcze sam nie wiem. Może nie przed upływem sześciu miesięcy... a może wcześniej... może jeszcze później... Trudno przewidzieć... To zależy...

Czuję, że Józef nie chce mówić, mimo to nalegam.

– Zależy... od czego?

Waha się, czy ma mi odpowiedzieć, a potem tajemniczym, lekko podnieconym tonem mruczy:

– Od pewnej sprawy, bardzo ważnej sprawy.

– Ale jakiej sprawy?

– Ważnej sprawy, i już!

Powiedział to opryskliwym głosem, ale nie było w nim złości, tylko zdenerwowanie.

Nie wspomina słowem o mojej osobie. To mnie dziwi i czuję się bardzo zawiedziona. Czyżby zmienił zamiar? Czyżby miał już dość mego wścibstwa i niezdecydowania? A cóż w tym dziwnego, że ciekawi mnie sprawa, której powodzenie lub klęska dotyczy również mnie?

A może Józefa zniechęciły po pewnym czasie i głębszym namyśle te moje uparte podejrzenia, których nie umiałam przed nim ukryć, dając mu tyle razy do zrozumienia, że to on zgwałcił i zamordował biedną Klarcię? Poczułam bolesny skurcz serca i od razu zrozumiałam, że postanowienie wspólnego wyjazdu z Józefem już dawno i nieodwołalnie we mnie zapadło, a jeśli dotąd mu o tym nie powiedziałam, to tylko przez kokieterię czy przekorę. Być wolną... Królować za kontuarem, wydawać rozkazy innym, być oglądaną, pożądaną, uwielbianą przez tylu mężczyzn... Miałoby tego nie być? Więc i te marzenia, jak tyle innych, miałyby się rozwiązać?... Nie chcę, żeby wyglądało na to, że się Józefowi narzucam, ale muszę wiedzieć, co mu siedzi w głowie... Robię smutną minę... i wzdycham:

– Jak Józef odejdzie, ten dom zrobi się dla mnie nie do zniesienia. Bardzo się już teraz przywiązałam do Józefa... do naszych rozmów.

– Co robić...

– Ja także odejdę.

Józef nie odpowiada, chodzi tam i z powrotem po izdebce, zaprzątnięty swymi myślami, z zatroskanym

czołem... nerwowo obracając w dłoniach sekator wsunięty do przedniej kieszeni granatowego fartucha. Ma zły wyraz twarzy. Powtarzam, patrząc, jak chodzi tam i z powrotem:

– Tak, odejdę... Wrócę do Paryża.

Ani słowa sprzeciwu... ani okrzyku... ani jednego błagalnego spojrzenia w moją stronę... Dorzuca kawałek drzewa do pieca, bo gaśnie... potem znów zaczyna chodzić w milczeniu tam i z powrotem. Czemu tak się zachowuje? Godzi się więc na to rozstanie? Chce go? Więc już utracił zaufanie i miłość, którą dla mnie żywił? A może po prostu obawia się mej bezczelności, nieustannych pytań?

Zagaduję go, trochę niepewnie:

– Czy Józefowi także będzie przykro, gdy już przestaniemy się widywać?

Chodzi bez przerwy, nie patrzy na mnie, nie rzuca mi spojrzeń spode łba, jak ma w zwyczaju.

– No, pewnie. Ale cóż Celestyna chce? Nie można zmuszać ludzi, żeby robili to, czego nie chcą robić. Albo się komuś coś podoba, albo też nie...

– A czegoż to ja odmówiłam, Józefie? Czegoż ja nie chcę robić?

– A poza tym Celestynie wciąż łążą po głowie jakieś paskudne myśli na mój temat – ciągnie dalej, nie odpowiadawszy na moje pytanie.

– Mnie? Czemu Józef mi to mówi?

– Ponieważ...

– Nie, nie, Józefie... To znaczy, że Józef już mnie nie kocha... że Józefowi już teraz co innego w głowie. Ja niczego nie odrzuciłam... namyślałam się tylko, i to wszystko. Przecie to całkiem zrozumiałe. Nie można decydować o całym swoim życiu ot tak, bez namysłu. Powinien mi Józef być wdzięczny za te wahania. Świadczą bowiem, że nie jestem płochą... że jestem odpowiedzialną kobietą.

– Dobra z ciebie kobieta, Celestyno... porządnicka...

– No więc, o co chodzi?

Józef przestał nareszcie spacerować i spojrzał mi głęboko w oczy, jeszcze nieufnie, ale już trochę czulej.

– To nie o to chodzi, Celestyno – powiedział powoli – wcale nie o to chodzi... Dlaczego ja bym miał ci przeszkadzać w namysłach? Dalibóg, niech się panna namysła... Mamy czas, jeszcze o tym pomówimy, jak wrócę. Ale ja rzeczywiście nie lubię, gdy ktoś jest zbyt ciekawy i chce za dużo wiedzieć. Są sprawy, które kobiet nie dotyczą... są takie sprawy...

I przerwał zdanie, kiwając głową. Po chwili milczenia:

– Nie mam nic innego w głowie, Celestyno, marzę tylko o tobie. Wzburzyłaś we mnie krew. Mówię prawdę, jak Bóg na niebie. A to, co ja powiem, jest ważne raz na zawsze. Pomówimy jeszcze o tym. Ale nie powinnaś być taka wścibska. Panna robi to, co się pannie podoba... ja robię to, co mnie się podoba. Jeśli tak podejść do rzeczy, nie będzie omyłki ani niespodzianek.

Zbliżywszy się do mnie, chwycił mnie za obie dłonie:

– Jestem tępy, Celestyno, tak, zgadzam się. Ale jak raz wbiję coś sobie do głowy, to już na dobre. I nie da się niczego z niej wybić. Marzę o Celestynie... marzę o Celestynie w tej małej kawiarence.

Podciągnięte do góry i zwinięte w rulon rękawy koszuli tak ciasno opinały mu ręce, że krew można by

z nich puszczać: potężne mięśnie, gibkie, naoliwione niczym wał korbowy, zdadne do każdego chwytu, pulsowały mocno i zwinnie pod białą skórą. Na każdym przedramieniu, po obu stronach bicepsów, dostrzegłam tatuaż: płonące serce, skrzyżowane sztylety, a niżej wiązanka kwiatów. Z jego tułowia, szerokiego i wypukłego jak pancerz, zaleciało silnym, samczym odorem, jak od dzikiej bestii. Upojona jego siłą, odurzona jego wonią, oparłam się o stojak, na którym dopiero co czyścił skórzaną uprząż, odłożył tę robotę, gdy przyszłam. Ani pan Ksawery, ani pan Jan, w ogóle żaden z moich mężczyzn – mimo że wszyscy byli przystojni i pachnący – nie robił na mnie tak potężnego wrażenia jak ten nieledwie starzec o płaskiej czaszce i okrutnej twarzy zwierzaka. Więc objęłam go, starając się, by pod dotknięciem moich dłoni choć odrobinę zmiękły, rozluźniły się jego mięśnie, napięte i twarde jak stal.

– Józefie – powiedziałam mdlejącym głosem – połóżmy się razem, natychmiast, od razu, bierz mnie, mój Józefie!... Ja również marzę o tobie, ty także wzburzyłeś we mnie krew.

Ale Józef odpowiada poważnie, po ojcowsku:

– Jeszcze nie pora, Celestyno...

– Ależ tak... teraz... zaraz, Józefie, mój Józeczku...

Uwolnił się z moich objęć łagodnym, delikatnym ruchem:

– Gdyby chodziło tylko o zabawę, tylko o rozrywkę, Celestyno, to oczywiście... natychmiast. Ale to jest sprawa poważna... na całe życie. Trzeba być rozsądnym. Nie wolno tego robić, nim ksiądz pobłogosławi.

Staliśmy nieruchomo naprzeciw siebie, on dysząc, z płonącymi oczami... ja zwiesiwszy bezradnie ręce, z szumem w głowie... i ogniem w ciele.

XV

20 listopada

Józef, tak jak zostało ustalone, wyjechał wczoraj rano. Kiedy zesłam na dół, już go nie było. Marianna, jeszcze nie całkiem rozbudzona, z zapuchniętymi oczami i flegmą w gardle, ciągnęła wodę ze studni. Na stole w kuchni stał talerz, z którego dopiero co Józef jadł zupę, i pusty dzbanek po jabłeczniku.

Jestem niespokojna, a jednocześnie zadowolona, gdyż czuję, że właśnie dziś decyduje się moje nowe, odmienione życie. Dzień ledwie wstał, powietrze jest zimne. Po tamtej stronie ogrodu wieś śpi jeszcze, osnuta gęstym woalem mgły. Słyszę gdzieś w oddali, od strony niewidzialnej doliny, słabiutki gwizd lokomotywy. Ten pociąg uwozi Józefa i moje przeznaczenie... Rezygnuję ze śniadania... czuję jakiś ciężar w żołądku. Już nie dochodzi do mnie gwizd lokomotywy. Mgła gęstnieje, sięga powoli ogrodu. A gdyby Józef nie miał już nigdy powrócić?

Przez cały tydzień byłam roztargniona, zdenerwowana, niespokojna jak nigdy. Nigdy jeszcze ten dom nie ciążył mi tak bardzo, nigdy jeszcze jego długie korytarze nie wydawały mi się tak posępne, a cisza tak lodowata; nigdy jeszcze nie nienawidziłam tak gwałtownie mojej pani, jej jędzowatej twarzy i piskliwego głosu. Nie jestem w stanie zabrać się do roboty. Pokłóciłam się z panią, rozegrała się między nami gwałtowna scena, po której byłam pewna, że będę musiała odejść. Ciągłe zadaję sobie pytanie, co ja pocznę przez te sześć dni bez Józefa. Przerazają mnie posiłki, nuda przebywania sam na sam z Marianną. Bo zawsze potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

Wieczorami Marianna upija się, popadając na ogół w całkowite odrętwienie. Wtedy jej mózg całkiem tępieje, język się płacze, wargi zwisają jak oślizłe, poszczerbione ocembrowanie starej studni... bywa smutna... och, jak smutna, gotowa w każdej chwili do płaczu. Trudno z niej coś wyciągnąć: zwykle skarży się na jakieś drobiazgi, postępuje i kwili jak dziecko. Tymczasem wczoraj wieczorem, mniej pijana niż zwykle, wyznała mi wśród niekończących się jęków, iż obawia się, że zaszła w ciążę. Marianna w ciąży!... Nie, to doprawdy szczyt wszystkiego. Z początku miałam ochotę się roześmiać, ale szybko ogarnął mnie wielki smutek i coś ścisnęło w dołku. A jeśli to Józef jest sprawcą tej ciąży? Przypomniałam sobie, że od razu, pierwszego dnia, gdy tu przyjechałam, zaświtało mi w głowie podejrzenie, że pewnie ze sobą sypiają. Ale jak dotąd nic tych głupich podejrzeń nie potwierdziło; wręcz przeciwnie. Nie, nie. To niemożliwe... Gdyby Józef utrzymywał miłosne stosunki z Marianną, wiedziałabym o tym... już bym to wyniuchała. Nie, to nie jest tak... nie może być tak. A poza tym Józef jest zbyt wielkim „artystą” w tych sprawach. Pytam:

– Czy masz pewność, że jesteś w ciąży, Marianno?

Marianna zaczyna obmacywać brzuch. Jej grube paluchy zagłębiają się, giną w fałdach tłuszczu jak w źle nadmuchanej, gumowej poduszce.

– Pewna? Nie... – mruczy – boję się tylko...

– A z kimże to Marianna mogła zajść w ciążę?

Waha się, a potem nagle oświadcza z niejaką dumą:

– No, z naszym panem.

Tym razem mało nie pękłam ze śmiechu. Jeszcze tylko tego mu brakowało! Wszechstronny człowiek z naszego pana, nie ma co! Marianna, sądząc, że w moim śmiechu kryje się podziw, sama także zaczyna się śmiać.

– Tak, tak... z panem – powtarza.

Ale jak to się mogło stać, że ja niczego nie zauważyłam? Jakże to! Taka śmieszna sprawa odbywa się, że tak powiem, na moich oczach, a ja niczego nie spostrzegłam... niczego nie podejrzewałam? Wypytyuję Mariannę, ponaglając pytaniami. A Marianna odpowiada łaskawie, pęcznieje z dumy:

– Jakieś dwa miesiące temu pan wszedł do komórki, w której zwykle zmywam naczynia... akurat zmywałam garnki po obiedzie. To było niedługo potem, jak tu nastąpiłaś. Poczekaj, ależ tak, dokładnie wtedy, gdy pan tak długo rozmawiał z Celestyną na schodach. Więc wpadł, wymachując na wszystkie strony rękami. Ciężko dyszał... oczy miał przekrwione, wybałuszone. Myślałam, że go zaraz szlag trafi. Rzucił się na mnie bez słowa, a ja od razu skapowałam, o co mu chodzi... A to przecie mój pan... rozumiesz... nie śmiałam się bronić. I zresztą tutaj ma się tak mało okazji... Zdziwiłam się... ale było mi przyjemnie... No i tak... od tej pory często tu zagląda. Jako mężczyzna jest bardzo miutki... pieszczoszek z niego...

– I niezły świntuch, nieprawdaż, Marianno?

– O tak – wyszeptła z gorącym uwielbieniem w oczach. – A jaki to piękny mężczyzna! W każdym szczególe.

Jej gruba, rozlana twarz nadal uśmiecha się marząco, a pod granatowym kaftanem, rozmamłanym, poplamionym tłuszczem i węglem, falują ogromne, przelewające się cycki.

Znów pytam:

– A jesteś przynajmniej zadowolona?

– O tak, jestem bardzo zadowolona – mówi – to znaczy będę zadowolona, jak się upewnię, że nie jestem w ciąży... W moim wieku... to byłoby niewesołe.

Uspokajam ją, jak umiem, ale ona przy każdym słowie potrząsa tylko głową. Potem dorzuca:

– Wszystko jedno... Dla świętego spokoju pójdę jutro do pani Gouin.

Litowałam się prawdziwie nad tą biedną kobietą, której umysł był tak ograniczony, a myśli tak ponure. Jakaż jest smutna, jaka godna pożałowania! Że też właśnie jej musiało się to przytrafić! Ale – rzecz dziwna – miłość nie przydała jej blasku... ani wdzięku. Nie ma wokół niej tej świetlistej aureoli, jaka promieniuje po doznanej rozkoszy z każdej twarzy, nawet najbrzydszej. Jest taka, jak była, ciężka, nalana, krępa. A ja jestem bardzo rada, że to właściwie mnie zawdzięcza tę radość, która mimo wszystko trochę ożywia to tłuste cielsko, od tak dawna pozbawione męskiej pieszczoty. Bo przecie nie kto inny, tylko właśnie ja podnieciłam w panu żądzę do tego stopnia, że polecił ją zaspokoić u tej smętnej kreatury. Powiadam serdecznie:

– Musisz ogromnie uważać, Marianno. Bo jeśli pani was przyłapie, to będzie straszna chryja.

– Och, nie ma się czego obawiać! – woła Marianna. – Pan przychodzi do mnie tylko wtedy, gdy pani nie ma w domu. I nigdy długo nie zostaje, jak tylko się zadowoli, idzie sobie. A w dodatku w tej komórce, gdzie zmywam, są drzwi, co wychodzą na podwórko... a stamtąd furka prowadzi prosto na drogę. Najmniejszy szmer – i pan może uciec, przez nikogo niezauważony. A zresztą, co mi tam! Jak nawet pani nas przydybie, no to co... wielka mi rzecz!

– Ależ pani by cię od razu stąd przegnała... Biedna Marianno!

– No to co? – powtarza, kołysząc ciężko głową jak stary niedźwiedź.

Zapada okrutne milczenie... usiłuję wyobrazić sobie te dwie istoty, te dwa nieszczęsne cielska złączone aktem miłosnym w komórce z pomyjami. Mówię:

– Czy pan jest czuły dla ciebie?

– Oczywiście, że jest czuły.

– Szepce ci czasem jakieś miłe słówka? Jak on z tobą rozmawia?

A Marianna odpowiada:

– Pan wchodzi... od razu rzuca się na mnie... a już po wszystkim mówi: „A to szelma!... A to szelma!”.

A potem dyszy, dyszy... O, tak... bardzo jest miłutki.

Opuściłam ją z ciężkim sercem. Teraz już się nie śmieję z Marianny i nie będę się nigdy z niej śmiała, bo litość, którą dla niej miałam, szybko zmieniła się w prawdziwą, przejmującą czułość.

Ale w gruncie rzeczy rozczulam się przede wszystkim nad sobą, wiem to dobrze. Kiedy wróciłam do swego pokoju, zdjął mnie wstyd i wielkie zniechęcenie. Nie trzeba się zastanawiać nad miłością, nigdy, przynigdy. Bo każda miłość jest w gruncie rzeczy strasznie smutna. I co po niej zostaje? Ośmieszenie, gorycz, a często i to nawet nie... Co mi dziś zostało z pana Jana, choć jego fotografia w czerwonej pluszowej ramce puszy się i rozpiera na kominku? Nic, prócz niesmaku, który zostawił po sobie ten sobek, pyszałek i głupiec. Doprawdy, jak mogłam kochać takiego lalusia o bladej, chorowitej twarzy, z przepisowo nasuniętymi na skronie puklami czarnych włosów, rozdzielonych przedziałkiem pośrodku głowy. Złości mnie ta fotografia. Nie zniosę dłużej widoku tych głupich oczu, które wpatrują się we mnie bez przerwy bezczelnym i służalczym wzrokiem fagasa. Niech wraca z powrotem na dno walizki, gdzie wraz z innymi pamiątkami przeleży sobie spokojnie do chwili, gdy całą moją przeszłość, coraz to bardziej znenawidzoną, radośnie spalę, spopielę.

I znowu dumam o Józefie. Gdzie może się znajdować o tej godzinie? Co porabia? Czy aby myśli o mnie? Jest z pewnością w tej kawiarence. Ogląda ją, bije się z myślami, wymierza, zastanawia się, jakie wrażenie będzie robiła za kontuarem, pośród oślepiającego blasku szklanek i różnokolorowych butelek.

Szkoda, że nie znam Cherbourga, jego ulic, placów, portu – mogłabym sobie wtedy dokładniej wyobrazić Józefa, jak spaceruje tam i z powrotem i zdobywa miasto, tak jak mnie kiedyś zdobył. Wiercę się w łóżku, przewracam z boku na bok. Moja myśl krąży między lasem w Raillon a Cherbourgiem... między trupem Klarci a małą kawiarenką. Po długiej i męczącej bezsenności wreszcie się zdrzemnęłam, mając w oczach przykry, ponury obraz Józefa, obraz całkiem nieruchomy, na którym Józef tam, gdzieś w głębi, odcinał się od czarnego falującego tła, gdzie sunęły białe maszty i widać było czerwone reje.

Dzisiaj, to znaczy w niedzielę, poszłam po południu do pokoju, w którym sypia Józef. Oba psy ochoczo

podążyły za mną, co i raz zaglądając mi w oczy i jakby pytając, gdzie się Józef podział. Wąskie, żelazne łóżeczko, duża szafa, coś w rodzaju niskiej komody, stół, dwa krzesła, wszystko z jasnego drzewa, wieszak osłonięty zasłoną z zielonej tkaniny, która daje się przesuwac na drążku wbitym po przekątnej i chroni ubranie od kurzu – ot i całe umeblowanie. W tej sypialni, pozbawionej wszelkiego zbytku, panował wzorowy porządek i czystość. Surowością i prostotą przypominała klasztorne cele mnichów. Na pobielonych wapnem ścianach, między portretem generała Merciera, święte obrazki bez ramek, Madonny... Pokłon Trzech Króli... Rzeź niewiniątek... Widok Raju. Nad łóżkiem – wielki krucyfiks z czarnego drzewa, okolony, jak ramką, gałązkami poświęconego bukszpanu.

Zapewne nie jest to zbyt delikatne... ale nie mogłam się oprzeć gwałtownej pokusie i przetrząsnęłam wszystkie kąty w niejasnej zresztą nadziei, że odkryję tym sposobem choć część sekretów Józefa. Ale w jego sypialni nie było żadnych tajemnic, niczego nie kryła. To był po prostu nagi, jasny pokój mężczyzny, który nie ma żadnych tajemnic, którego życie jest czyste, pozbawione wszelkich komplikacji i przygód. Klucze tkwiły w meblach i ściennych skrytkach, ani jedna szuflada nie była zamknięta. Na stole torebki z ziarnem i książka *Dobry ogrodnik*. Na kominku modlitewnik o pożółkłych kartach i mały notesik, w którym umieszczano różne przepisy: zaprawa do podłóg, fermentacja pulpy winnej, siarczan żelaza. Nigdzie żadnego listu, nawet księgi rachunkowej. Śladu korespondencji handlowej, urzędowej, politycznej, rodzinnej czy miłosnej. W komodzie, obok butów już nienadających się do chodzenia i starego sitka od konewki, stosy broszur, wiele numerów „Wolnego Słowa”. Pod łóżkiem pułapki na myszy, na kuny i szczury. Wszystko macałam, wywracałam do góry nogami, wszystko opróżniałam – ubrania, materace, bieliznę, szuflady. I nie znalazłam nic szczególnego. W szafie nic nie zostało przełożone, każda rzecz leżała na tym samym miejscu, na którym ją położyłam osiem dni temu, robiąc w niej porządki w obecności Józefa.

Czy to możliwe, żeby Józef tak zupełnie nie posiadał żadnych własnych rzeczy? Czy to możliwe, żeby nie miał nic, ale to nic z tysiąca różnych osobistych drobiazgów, poprzez które człowiek ujawnia swe upodobania, namiętności, myśli... coś niecoś z tego, co wypełnia mu życie? No, a jednak! Wyciągnęłam z głębi szuflady stołu pudełko po cygarach, owinięte w papier i czterokrotnie owiązane sznurkiem, mocno zasupłanym.

Z wielkim trudem rozmotałam węzeł, otworzyłam pudełko i zobaczyłam pięć poświęconych medalików, srebrny różaniec z czerwonych koralików... wszystko razem ułożone starannie na podściółce z waty. Ciągłe ta religia...

Ukończywszy rewizję, wyszłam z pokoju poirytowana, gdyż nic nie znalazłam z tego, czego szukałam, i nie dowiedziałam się ani jednej rzeczy, o której chciałam wiedzieć. Stanowczo Józef obdarza wszystko, co go otacza, własną nieprzeniknioną naturą. Otaczające go przedmioty były nieme, milczały jak on sam, były nieodgadnione jak jego wzrok, jak jego czoło. Przez resztę dnia miałam przed oczami, doprawdy, miałam przed oczami twarz Józefa, zagadkową, szyderczą i mrukliwą na przemian. Wtem wydało mi się nagle, że słyszę wyraźnie, jak mówi: „No i co uzyskałaś tą twoją ciekawością, niezdaro?... Och, możesz jeszcze raz wszystko przejrzeć, przetrząsać moją pościel, moje rzeczy, moją duszę... i tak nigdy niczego się nie dowiesz”.

Nie chcę już dłużej o tym myśleć, nie chcę już myśleć o Józefie. Zanadto boli mnie głowa i mam uczucie, że zaraz zwariuję. Wróćmy więc do wspomnień.

Ledwie się wydostawszy od dobrych siostrzyczek z Neuilly, znowu popadłam w piekło biur pośrednictwa pracy. A tak sobie przysięgałam, że już nigdy nie będę się uciekała do ich pomocy. Ale wskażcie mi inny sposób, gdy człowiek znajdzie się na bruku i nie ma za co kupić nawet kawałka chleba?... Zwrócić się do przyjaciół, do starych kolegów? Akurat! Nawet ci nie raczą odpowiedzieć. Ogłoszenia w gazetach? To są duże koszty, niekończąca się wymiana listów... ceregiele i zawracanie głowy. A zresztą, to też jest bardzo ryzykowne. W każdym razie trzeba mieć w zapasie trochę pieniędzy, a te dwadzieścia franków od Kleci szybciotko stopniały mi w rękach. Nierząd? Włóczenie się po ulicach? Sprowadzanie mężczyzn, wśród których nie brak biednych jak mysz kościelna, biedniejszych od ciebie? O nie, do diaska, za nic! Dla przyjemności zrobię wszystko, co zechcą. Za pieniądze?... Nie mogę... nie umiem. Zawsze mnie wyrolują. Więc zastawiłam wtedy jakieś drobiazgi, skromniutką biżuterię, która mi jeszcze została, żeby móc zapłacić za komorne i mieć na jedzenie. Nędzą, jak nieubłagalne fatum, pcha cię do biur lichwiarzy i wyzyskiwaczy.

Te biura pośrednictwa pracy stosują taki brudny chwyt: najpierw musisz sama wpłacić dziesięć su wpisowego, za które dają ci możliwość otrzymania złej pracy. W tych potwornych budach nie brakuje złych miejsc, doprawdy, jest w czym wybierać, więc zastanów się tylko, co wolisz... ślepą krowę czy krowę z jednym okiem. Dzisiaj nawet kobiety nie warte żadnego zachodu, kupcowe za trzy grosze, także chcą mieć służbę jak inne i odgrywają prawdziwe hrabiny. Wprost żałość bierze! A jeśli nawet po długich rozmowach, upokarzających pytaniach i jeszcze bardziej upokarzających targach uda ci się wreszcie i zatrudni cię u siebie któraś z tych chciwych mieszczek, to i tak będziesz musiała płacić pośredniczce przez cały rok trzy procent od pensji.

A jeśli na przykład przepracujesz gdzieś tylko dziesięć dni, to tym gorzej dla ciebie, bo pośredniczki to nie obchodzi i cała prowizja zostanie ściągnięta. Już one mają swoje sposoby i dobrze wiedzą, gdzie cię posyłają, przekonane, że niebawem znów do nich wrócisz. Dzięki takim oto chwytom ja sama pracowałam kiedyś w ciągu czterech i pół miesiąca aż w siedmiu domach. Czarna seria... te domy były straszne, gorsze od kaźni, Potem spłacałam biuro pośrednictwa pracy przez siedem lat, bo mój dług, po doliczeniu za każdym razem dziesięciu su wpisowego, wynosił więcej niż dziewięćdziesiąt franków.

Nic nie można na to poradzić i znów trzeba zaczynać wszystko od początku. Ale czy to jest sprawiedliwe? Czy to nie jest po prostu ohydna kradzież?

Kradzież? Przecież w którą stronę człowiek się obróci, wszędzie widzi wokół same kradzieże. Naturalnie, dotyczy to tylko tych, co nic nie mają i są stale okradani przez ludzi, którzy mają wszystko. Człowiek się wścieka, buntuje, a w końcu mówi sobie, że już lepiej być okradanym niż zdychać jak pies na ulicy. Świat jest źle urządzony... do niczego – to jedno jest pewne. Szkoda, że temu generałowi Boulangerowi nie udało się w swoim czasie objąć władzy. On, zdaje się, lubił służbę.

Biuro, do którego się zapisałam jak głupia, mieści się przy ulicy Colisée, w głębi podwórza, na trzecim piętrze ponurego, bardzo starego domu. Zaraz od wejścia prowadzą wąskie, strome schody... brudne stopnie kleją się do podeszew, dłonie ślizgają się po lepkiej poręczy. Cały budynek zionie morowym powietrzem, duchotą i odorem ubikacji, sącząc od razu lęk do serca... Nie chcę przesadzać, ale na sam widok tych schodów czułam mdłości, nogi się podę mną uginały i szaleńczo pragnęłam stamtąd uciec. Nadzieja, która świeciła mi w sercu, gdy tu szłam, od razu się rozwiewała w ciężkim, dusznym powietrzu na tych plugawych schodach, nikła pośród ociekających wilgocią ścian, tak oślizgłych, jakby je obsiadły

jakiś lepkie larwy i zimne ropuchy. Na Boga – nie rozumiem, jak te piękne damy mają odwagę zapuszczać się do tak śmierdzącej dziury? Ale szczerze mówiąc, te piękne damy dziś się już niczym nie brzydzą. Oczywiście nie zajrzą do takiego domu, by przyjść z pomocą jakiemuś biedakowi, ale pójdą diabli wiedzą dokąd, byle tylko wystrychnąć na dudka jakąś biedną sługę.

Prowadziła to biuro pani Paulhat-Durand, wysoka kobieta, mniej więcej czterdziestopięcioletnia, która pod diademem lekko falujących, bardzo czarnych włosów, mimo zwiotczałego już ciała, ściągniętego okrutnym gorsetem, zachowała jeszcze resztki urody i majestatyczną postawę... no i co za oko... Do licha... Musiała sobie nie żałować! Nosiła się z surową elegancją: stale ta sama czarna, taftowa suknia, złoty, długi łańcuch na obfitym biuście, brązowa aksamitka na szyi, wypiełgnowane, bardzo białe dłonie. Robiła wrażenie osoby godnej, a nawet nieco wyniosłej. Żyła na wiarę z jakimś magistrackim urzędnikiem, panem Ludwikiem – znałyśmy go tylko z imienia. Śmieszny był z niego facet: okropnie krótkowzroczny, nieśmiały, niezręczny w ruchach, zawsze milczący, ubrany stale w jedną i tę samą szarą marynarkę, wytartą i kusą. Smutny, zalękniony, zgarbiony mimo młodego wieku, nie wyglądał na szczęśliwego, raczej na całkiem zrezygnowanego. Ani razu nie ośmielił się do nas zagadać, a nawet spojrzeć w naszą stronę, bo szefowa jest o niego bardzo zazdrosna. Kiedy wchodził z teczką pod pachą, uchylał tylko lekko kapelusza, nie odwracając przy tym głowy, i wślizgiwał się jak cień do korytarza, nieco powłócząc nogą. Ależ ten biedny chłopak był udręczony! Wieczorami pan Ludwik porządkował korespondencję, prowadził księgi rachunkowe... a na dodatek miał przecież... jeszcze inne zajęcia...

Pani Paulhat-Durand nie nazywała się ani Paulhat, ani Durand, oba nazwiska, które tak ładnie do siebie pasowały, zapożyczyła, zdaje się, od dwóch panów, z którymi niegdyś żyła i którzy dali jej fundusze na założenie tego biura. Zarówno jeden, jak i drugi już umarli. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Józefina Karp. Jak większość pośredniczek, również i ona była dawniej panną służącą. Zresztą można to łatwo rozpoznać po jej pretensjonalnych ruchach, przesadnych, wzorowanych na wielkich damach manierach, które niewątpliwie nabyła w służbie. I pomimo złotego łańcucha i sukni z czarnego jedwabiu zalatywało od niej niskim pochodzeniem. Zachowywała się bezczelnie – to właściwe określenie – jak prawdziwa pokojówka, ale rezerwowała to dla nas, w kontaktach zaś z klientami popadała w służalczą uniżoność, dawkując ją oczywiście zależnie od rangi społecznej i zamożności danej osoby.

– Och, co się teraz porobiło ze służbą, proszę księżnej pani – mówiła, mizdrząc się. – Luksusowych pokojówek, to znaczy panienek, które nie chcą niczego robić... które w ogóle nie pracują i za których uczciwość i moralność nie dałabym złamanego grosza: proszę bardzo, takich jest pod dostatkiem. Ale kobiet, które naprawdę chcą pracować, potrafią szyć, znają swój zawód, w ogóle nie ma... ja ich nie mam... nikt nie ma. Tak to teraz wygląda.

A jednak jej biuro cieszyło się powodzeniem. Zgłaszały się tu przede wszystkim klientki z bogatych dzielnic, w większości cudzoziemki i Żydówki. Och, nasłuchiwałam się tam różności...

Drzwi wejściowe otwierały się na korytarz, który prowadził prosto do salonu – w nim królowała pani Paulhat-Durand w swojej wiecznie tej samej, czarnej, jedwabnej sukni. Na lewo z korytarza wchodziło się do ciemnej klitki, rodzaju wąskiej poczekalni, gdzie pod ścianami ustawiono ławki, a pośrodku stół przykryty czerwoną, spłowiałą rogózką. I nic poza tym. Poczekalnię oświetlał wąski oszklony otwór, ciągnący się górą wzdłuż przepierzenia, które oddzielało tę klitkę od biura. Przez tę szybę sączyło się słabe, nienaturalne światło, bardziej posępne niż mrok, ledwie pozwalając rozróżnić rzeczy i twarze.

Przychodziliśmy tam każdego ranka i każdego popołudnia – kucharki i pokojówki, ogrodnicy i lokaje, stangreci i kamerdynerzy – dla zabicia czasu gadaliśmy o naszych nieszczęściach, oczernialiśmy chlebowców, życząc sobie nawzajem wspaniałych miejsc. Niektórzy przynosili ze sobą książki i gazety i z zapalem pograżali się w czytaniu; inni pisali listy. Szmer naszych rozmów, raz wesołych, raz smutnych, przerywała często pani Paulhat-Durand, która wpadając nagle niczym burza, wołała:

– Uciszcie się, panienki! W salonie własnego głosu nie sposób usłyszeć!

Albo też krzyczała urywanym, piskliwym tonem:

– Panno Janino!

Panna Janina wstawiała, poprawiała fryzurę i szła za pośredniczką do biura, skąd wracała po paru minutach, pogardliwie wydawszy wargi. Uznały, że jej zaświadczenia z pracy nie są wystarczające. Czegóż im więc trzeba? Dyplomu Stowarzyszenia Niewinnych Dziewic? Albo nie mogły się dogadać w sprawie pensji, ile mianowicie miała wynosić.

– Och, nie wytrzymam... co za jędrza! Nędzna buda... Żadnych napiwków... żadnego koszykowego, bo pani sama wszystko kupuje... O, nie... a w dodatku czworo dzieci w domu... Nigdy... przenigdy.

Przy tym podkreślała każde słowo wściekłymi lub sprośnymi gestami.

Każdego z nas to czekało, każdy się zaciętrzewiał w tym biurze, przywoływany coraz to bardziej piskliwym głosem pani Paulhat-Durand, której woskowa twarz zieleniała w końcu ze złości... Ja orientowałam się z punktu, z kim mogę dojść do porozumienia, a z kim się nigdy nie dogadam. A więc dla rozrywki – zamiast pozwolić, by mnie zameęzały głupimi pytaniami – pierwsza zaczynałam stawiać pytania tym ślicznotkom, kpiąc sobie z nich w żywe oczy:

– Pani jest zamężna?

– Oczywiście.

– Aha. A ma pani dzieci?

– Naturalnie.

– A psy?

– Tak...

– Czy pani każe w nocy czuwać pokojówce?

– Kiedy, wychodzę wieczorem... oczywiście.

– A często pani wychodzi wieczorem?

Zaciskała wargi. Szykowała się do odpowiedzi. Ale wtedy – obrzucając pogardliwym spojrzeniem jej kapelusz, ubiór, całą postać – odzywałam się zwięźle i z godnością:

– Żałuję, ale praca u pani mi nie odpowiada. Nie najmuję się do takich domów.

I wychodziłam triumfalnie.

Pewnego dnia jakieś kobieciątko z wyzywająco umalowanymi włosami i wargami pociągniętymi krzyczącą czerwoną kredką, bezczelne jak perliczka, pachnące jak sklep z perfumami, spytało mnie z kolei, po co najmniej trzydziestu sześciu innych pytaniami:

– A czy prowadzisz się przyzwoicie? Może przyjmujesz kochanków?

– A pani? – odpowiedziałam ani trochę niezmiészana, bardzo spokojnie.

Niektóre z nas, mniej harde czy bardziej zmęczone, przyjmowały każde, najbardziej obrzydliwe miejsce. Witano je w poczekalni szyderczymi okrzykami:

– Szczęśliwej drogi... I do zobaczenia!

Kiedyś rozejrzałam się wokół i widząc, jak siedzimy jedna obok drugiej rozparte na ławkach, zmęczone, rozwalone byle jak, z rozkraczonymi nogami, zadumane, oziębiałe czy rozgadane, w oczekiwaniu na kolejne wezwanie patronki: „Panna Wiktoria!... Panna Irena!... Panna Zulma!...” – pomyślałam sobie, że wszystkie jesteśmy w domu publicznym i czekamy na gości. Nie pamiętam już dobrze, czy to spostrzeżenie rozbawiło mnie, czy zasmuciło, tak czy inaczej któregoś dnia wypowiedziałam je na głos. Moje odezwanie się wywołało ogólny wybuch śmiechu. Potem zaczęły opowiadać, przekrzykując się nawzajem, co mianowicie wiedzą o wspaniałościach tego rodzaju zakładów... Jedna, gruba i nadęta, obierając pomarańczę, wyjaśniła:

– Z pewnością to się lepiej opłaca. W domach publicznych przynajmniej jedzą przez cały dzień i wiecie, moje kochane... piją szampana... a jakie noszą koszule... naszywane srebrnymi gwiazdeczkami... i żadnych gorsetów!

Inna znów, wysoka, chuda, o bardzo czarnych włosach, z meszkiem na górnej wardze, powiedziała:

– A poza tym to musi być mniej męczące. Bo na przykład ja: jednego i tego samego dnia musiałam się przespać z panem, z synem pana... z dozorcą... z lokajem z pierwszego piętra, z chłopcem od rzeźnika... z chłopcem ze sklepu korzennego... z posłańcem... z tymi od gazowni... i od elektryczności... no i jeszcze z innymi. Wierzcie mi, dla mnie to nie nowina, znam swoją dolę.

– A to świntucha! – rozległo się ze wszystkich stron.

– No i co jeszcze? A wy, to same niewiniątka... moje aniołki? Wielkie mi nieszczęście – odpowiedziała wysoka czarnula, wzruszając chudymi ramionami.

I klepnęła się po zadku.

Przypominam sobie, że tego dnia myślałam dużo o mojej siostrze Luizie, zamkniętej zapewne w jednym z takich domów. Próbowałam wyobrazić sobie jej życie, kto wie, może szczęśliwe czy przynajmniej spokojne, a w każdym razie wolne od groźby nędzy i głodu. I zbrzydzone, zniechęcona do reszty swoją ponurą, zmarnowaną młodością, moim tułaczym życiem i grozą, jaką budzi każdy nadchodzący dzień, ja także pomyślałam sobie: „Kto wie, a może tam byłoby mi lepiej?”.

Nadszedł wieczór... a potem noc... noc niewiele czarniejsza od naszego dnia. Umilkłyśmy zmęczone, zbyt wieleśmy już sobie powiedziały, zbyt wiele się nasłuchały. Gazowy płomyk zapalił się w korytarzu, a dokładnie o piątej w szybie wyjściowych drzwi zamajaczyła nieco zgarbiona sylwetka pana Ludwika, który szybko przeszedł obok nas i zniknął w głębi korytarza. To był znak, że trzeba już sobie iść.

Często były prostytutki z domów publicznych, rajfurki o bardzo szacownym wyglądzie, słodkie jak miód, czym przypominały mi święte siostrzyczki, oczekiwały nas na ulicy, tuż przy wyjściu. Podążały za nami dyskretnie i dopiero w jakimś ciemnym zaułku, na tyłach ponurych gmachów Pól Elizejskich, z dala od czujnego oka policji, zbliżały się do nas i naczepiały:

– Urządź się u mnie. Dlaczego się tak poniewierasz? Po co ci tyle zawracania głowy w tym marnym życiu, po co masz popadać z jednej biedy w drugą? U mnie miałabyś zbytek, rozrywki, pieniądze... na tym polega wolność...

Wiele z moich koleżanek olśniły te wspaniałe propozycje i dały się zwieść rajfurkom frymarczącym miłością. Patrzyłam ze smutkiem, jak się razem z nimi oddalały. Gdzie teraz się znajdują?

Pewnego wieczoru jednej z tych wałęsających się kuplerek, którą już raz brutalnie odprawiłam, udało się jednak zaciągnąć mnie do kawiarni w pobliżu Pól Elizejskich; tam zafundowała mi kieliszek likieru. Jeszcze dziś mam ją przed oczami: siwiejące loki, skromny, surowy strój, jak u mieszczańskich wdów, i dłonie, zwłaszcza dłonie – tłuściutkie, lepkie, upierścienione. Z jeszcze większym niż poprzednio zapałem i przekonaniem zaczęła się umizgać, starając się mnie usidlić. Ale kiedy spostrzegła, że jej kłamstwa nie robią na mnie żadnego wrażenia, wykrzyknęła:

– Och, gdybyś tylko zechciała, moja malutka... Mnie wystarczy raz rzucić okiem, by dostrzec, jak jesteś piękna... piękna w każdym calu... od stóp do głów... To prawdziwa zbrodnia, że takie bogactwo leży odłogiem, że marnujesz taką urodę z mężczyznami, na których się natykasz po byle domach. Taka piękna dziewczyna, a przy tym jestem tego pewna, niezła szelmutka... szybko mogłabyś zbić fortunę. Och, miałybyś w niedługim czasie cały worek pieniędzy. Bo widzisz, ja mam wspaniałą, godną pozazdroszczenia klientelę... starsi panowie... bardzo wpływowi... i bardzo hojni. Praca jest czasem trochę przykra... nie przeczę. Ale zarabia się tyle, tyle pieniędzy! Najlepszy, najświetniejszy Paryż przewija się przez mój dom... sławni generałowie... wszechmocni urzędnicy... zagraniczni ambasadorzy.

Przysunęła się do mnie bliżej i zniżyła głos:

– A jeśli ci powiem, że i prezydent Republiki, prezydent we własnej osobie... Ależ tak, moja mała! Może to da ci pojęcie, czym jest mój dom. Takiego nie znajdziesz na całym świecie. A uważasz, wczoraj o piątej po południu prezydent był tak zadowolony, że przyrzekł mi Palmę Akademii... to znaczy... dla mojego syna... który jest głównym doradcą w Instytucie Wychowania Religijnego w najelegantszej dzielnicy Paryża. Tak się rzeczy mają...

Długo się we mnie wpatrywała, jakby badając zawzięcie wzrokiem, chcąc przejrzeć na wskroś moją duszę i ciało, a potem powtórzyła:

– Och, gdybyś tylko zechciała... Co to byłby za sukces!...

I znowu dodała poufnym tonem:

– Często przychodzą do mnie potajemnie również i damy z najlepszego towarzystwa... czasem same... czasem z mężami lub kochankami. Do licha, rozumiesz przecież, u mnie wszystkiego się napatrzysz.

Piętrzyłam trudności: brak dostatecznego wykszolenia w miłosnych sztuczkach, brak szykownej bielizny, strojów... biżuterii... Stara uspokajała mnie.

– Jeśli tylko to stoi na przeszkodzie – powiedziała – to nie masz się o co kłopotać. U mnie najwspanialszy strój to piękne ciało i para pończoch... nic poza tym.

– Tak, tak... wiem dobrze... ale oprócz tego...

– Zapewniam cię, że nie masz powodu do niepokoju – nalegała życzliwie. – Jak już mówiłam, mam bardzo szykownych klientów... przeważnie ambasadorów... mają swoje... swoje zachcianki. No ale, do licha, w ich wieku i z takimi pieniędzmi mogą sobie na to pozwolić! Najbardziej lubią i najczęściej się upominają o pokojówki, o subretki... czarna, bardzo obcisła sukienka... biały fartuszek... czepeczek z cieniutkiego płótna. A pod spodem strojna halka, bardzo proszę. Słuchaj mnie uważnie, podpisz kontrakt na trzy miesiące, przez ten czas dostarczę ci wiązanek mężczyzn najlepszych, jacy są, o jakich statystki z Teatru Francuskiego nie mogą nawet marzyć... za to ci ręczę.

Poprosiłam o czas do namysłu.

– No, właśnie. Otóż to!... Zastanów się... – poradziła ta handlarka żywym towarem. – W każdym razie zostawiam ci mój adres. Przyjdiesz, kiedy zechcesz, kiedy serce ci to podszeptnie. Jestem o to zupełnie spokojna... A jutro zapowiem cię prezydentowi Francji.

Wypiłyśmy resztę likieru. Stara, płacąc za oba kieliszki, wyciągnęła z małego, czarnego portfela bilet wizytowy, który wsunęła mi ukradkiem do ręki. Gdy już sobie poszła, obejrzałam go dokładnie i wyczytałam:

Pani Rebeka Ranvet

Krawiectwo

U pani Paulhat-Durand napatrzyłam się najdziwniejszych scen. Niestety, nie mogę wszystkich opowiedzieć, wybieram więc jedną, która może posłużyć za przykład tego, co się tam u niej odbywało każdego dnia.

Mówiłam już, że góra przepierzenia dzielącego poczekalnię od biura była oszklona i to wewnętrzne okno ozdabiały tiulowe firaneczki. Pośrodku był lufcik, zwykle zamknięty.

Pewnego dnia spostrzegłam, że przez jakieś niedopatrzenie lufcik jest lekko uchylony, i postanowiłam to wykorzystać. Wdrapałam się więc na ławkę, a potem wspierałam na poręcz. W ten sposób zdołałam dosięgnąć brodą dolnej futryny lufcika i popchnąć go leciutko do wewnątrz. Wówczas przesunęłam wzrokiem po pokoju i oto, co zobaczyłam:

Jakaś dama siedziała w fotelu, panna służąca stała tuż przed nią, a w kącie pani Paulhat-Durand porządkowała kartotekę. Pani przyjechała z Fontainebleau, żeby znaleźć służącą. Mogła mieć może pięćdziesiąt lat. Wyglądała na bogatą mieszkankę i na jędzę. Dostojny ubiór, prowincjonalna surowość. Pokojówka, mimo że chuderlawa i chorowita, z ołowianą cerą – skutek nieregularnego odżywiania się i przymusowych postów – miała sympatyczną powierzchowność i w sprzyjających warunkach mogłaby nawet wydać się ładna. Była bardzo schludna i smukła w swej czarnej spódnicy. Czarny sweter opinał jej szczupłą talię, płócienny biały czepeczek, przypięty w tyle głowy, dodawał dziewczynie jeszcze więcej uroku, odsłaniając czoło, wokół którego wiły się jasne włosy.

Po dokładnych oględzinach – jakże natarczywych, obraźliwych i nachalnych! – dama zdecydowała się wreszcie przemówić:

– No więc, za kogo panna się uważa? Za pannę służącą?

– Tak, proszę pani.

– Nie wygląda panna na pokojówkę. Jak się nazywa?

– Janina Le Godec.

– Co powiedziałaś?

– Janina Le Godec, proszę pani.

Pani wzruszyła ramionami.

– Janina – mruknęła – to nie jest imię dla służącej. Gdybyś objęła u mnie służbę, nie będziesz się, przypuszczam, upierała, żeby zachować to imię?

– Jak pani sobie życzy.

Janina spuściła głowę i mocniej zacisnęła dłonie na rączce parasola.

– Podnieś głowę – rozkazała pani – i trzymaj się prosto. Z jakich stron pochodzi?

– Z Saint-Brieuc.

– Z Saint-Brieuc!...

Skrzywiła się pogardliwie, ale na jej twarzy szybko pojawił się znów odrażający grymas, przy czym kąciaki oczu i ust skurczyły się, jakby wypła szklanke octu.

– Z Saint-Brieuc!... – powtórzyła. – Więc jesteś Bretonką? Ach, nie lubię Bretonek... Są uparte i niechlujne.

– Ale ja jestem bardzo czysta, proszę pani... – zaprzeczała biedna Janina.

– To ty tak sądzisz. Zresztą nie o to teraz chodzi... Ile panna masz lat?

– Dwadzieścia sześć.

– Dwadzieścia sześć? Nie licząc chyba dzieciństwa. Wyglądasz o wiele starzej. Nie próbuj mnie oszukiwać.

– Ja nie oszukuję, proszę pani. Zapewniam panią, że mam tylko dwadzieścia sześć lat. A jeśli wydaję się starsza, to dlatego, że długo chorowałam.

– Aha, długo chorowałaś? – powtórzyła szyderczo i zjadliwie ta burżujka. – Długo chorowałaś? No więc tak, muszę cię uprzedzić, córko, że mój dom; aczkolwiek nie jest ciężki do utrzymania, to jednak jest dość duży i wymaga silnej i zdrowej kobiety.

Janina usiłowała naprawić swe nieopatrzne słowa. Oświadczyła:

– Ale ja jestem już wyleczona... Całkiem wyleczona...

– To już panny sprawa. Zresztą nie o to chodzi. Jesteś panną czy mężatką? No, jak to tam z tym jest?

– Jestem wdową, proszę pani.

– Aha. Ale spodziewam się, że nie masz dziecka?

A ponieważ Janina nie od razu odpowiedziała, pani nalegała coraz gwałtowniej:

– No więc w końcu jak z tym jest, masz dziecko czy nie masz dziecka?

– Mam córeczkę – wyznała cichutko.

Wówczas pani zamachała rękami, jakby opędzając się od muchy.

– Och! Tylko żadnych dzieci w domu! – krzyknęła. – Żadnych dzieci w domu! Nie przyjmuję ich za żadną cenę... Gdzie ona teraz jest, ta twoja córka?

– U ciotki mojego męża.

– A kim jest ta ciotka?

– Ma sklepik z wyszynkiem w Rouen...

– Cóż za żalosny zawód! Pijaństwo, rozpusta, piękny przykład dla małej dziewczynki!... Zresztą, to twoja sprawa. Ile lat ma twoja córka?

– Osiemnaście miesięcy...

Pani aż podskoczyła gwałtownie w fotelu. Była oburzona i zgorszona. Z jej ust dobywał się groźny

pomruk:

– Dzieci! No proszę, coś podobnego! Mają dzieci, choć nie mogą ich sami wychować, a nawet zatrzymać przy sobie. Co za ludzie, co za diabeł w nich siedzi! Tacy niepoprawni!

Z minuty na minutę robiła się coraz bardziej napastliwa, a nawet okrutna w stosunku do Janiny, która dygotała pod jej wzrokiem.

– Uprzedzam cię – powiedziała, kładąc nacisk na każde słowo – uprzedzam cię, jeśli przyjdiesz do mnie na służbę, nigdy się nie zgodzę, żebyś sprowadzała córkę do mnie, do mego domu. Żadnej bieraniny po mieszkaniu... nie życzę sobie... nie chcę bieraniny po domu. Nie... nie... Nikogo obcego... żadnych przybłędów... żadnych nieznanymi ludzi. I bez tego człowieka dostatecznie nabierają. Ach nie, dziękuję!

Po tym mało zachęcającym wstępie pokojówka ośmieliła się jednak zapytać:

– A może pani zezwoliłaby mi łaskawie jeździć do mojej córeczki? Raz, tylko jeden raz w roku?

– Nie.

Tak wyglądała odpowiedź tej zawziętej mieszczki. Potem dorzuciła:

– U mnie nie wychodzi się nigdy. To jest zasada. Zasada, od której nie odstępuję. Nie po to płacę służbie, żeby pod pretekstem odwiedzin u córki włóczyła się po jakichś spelunkach... O nie, nie... Masz świadectwa?

– Tak, proszę pani.

Wyciągnęła z kieszeni owinięte w papier świadectwa. W milczeniu... drżącą, budzącą litość ręką podała je pani... były pożółkłe, zmiętoszone, wybrudzone... Pani ujęła je koniuszkami palców, jakby nie chcąc sobie pobrudzić dłoni, i z miną pełną obrzydzenia, rozpostarłszy jedno z nich, zaczęła czytać na głos:

– „Zaświadczam, że panna Ja...”

Przerwała natychmiast i spojrzała straszliwym wzrokiem na coraz bardziej spłoszoną i rozdygotaną Janinę.

– Panna? Tu wyraźnie pisze: „panna”! Więc to tak. Nie jesteś mężatką? Masz dziecko i nie jesteś mężatką... Co to znaczy?

Janina wyjaśniła:

– Bardzo panią przepraszam... Jestem zamężna od trzech lat... A to świadectwo wystawiono mi sześć lat temu... Może pani sprawdzić...

– W końcu to twoja sprawa.

I powróciła do czytania:

– „...że panna Janina Le Godec była u mnie służącą przez trzynaście miesięcy. Nie mam żadnych zastrzeżeń co do jej pracy, prowadzenia się i uczciwości”. No tak, wszystkie świadectwa brzmią zawsze tak samo. Nie można się z nich niczego dowiedzieć. To nie są żadne informacje. Czy można do tej pani napisać?

– Ona już nie żyje.

– Ona już nie żyje? No, oczywiście, jakże by mogło być inaczej? Więc przedstawiasz mi akurat świadectwo osoby, która umarła? Sama przyznasz, że to dość podejrzane.

Wymawiała każde z tych słów upokarzającym, podejrzliwym tonem, z grubiańską ironią. Wzięła następne świadectwo:

– A ta osoba?... Pewnie także umarła?

– Nie, proszę pani... Pani Robert jest w Algierze, razem ze swoim mężem, pułkownikiem.

– W Algierze! – krzyknęła pani. – Oczywiście! No i jak ty sobie wyobrażasz korespondencję z Algierem? Jedni umarli... inni są w Algierze... No, proszę, więc jak w tych warunkach można się czegoś o tobie dowiedzieć? Wszystko to razem wygląda bardzo podejrzanie...

– Ale ja, proszę pani, mam jeszcze inne świadectwa – błagała nieszczęsna Janina Le Godec. – Może je pani obejrzyć i zasięgnąć o mnie opinii.

– Tak, tak, widzę, że masz dużo tych świadectw... widzę, że pracowałaś w wielu domach... może nawet w zbyt wielu. W twoim wieku to zachęcające!... Zresztą zostaw mi te świadectwa, przyjrę się im dokładnie. A teraz inna sprawa... Co umiesz robić?

– Umieję sprzątać, szyć, podawać do stołu.

– Cerujesz dobrze?

– Tak, proszę pani.

– Umiesz tuczyć drób?

– Nie, proszę pani... To nie należy do mojego zawodu...

– Moja panno – oświadczyła – twoim zawodem jest wykonywanie wszystkiego, cokolwiek zleczą ci twoi państwo. Musisz mieć paskudny charakter.

– Nie, proszę pani. Nie należę do pyskatych.

– Oczywiście... To ty tak uważasz. Wszystkie tak uważacie. Ale nie wolno ich nawet tknąć, takie są harde. Zresztą... zobaczymy... Praca nie jest szczególnie ciężka, zdaje się, że ci to już mówiłam, ale dom dość duży. Trzeba wstawać o piątej rano.

– Zimą także?

– Zimą także. Tak, oczywiście. A dlaczego spytałaś, czy zimą także? Czy zimą jest mniej pracy? To mi dopiero komiczne pytanie... Panna służąca sprząta schody, salon, gabinet pana... i oczywiście sypialnie... czyści piece. Kucharka sprząta przedpokój, korytarze, jadalnię... Szczególnie dbam o zachowanie wzorowej czystości. Nie zniosę ani odrobiny kurzu. Klamki u drzwi muszą być wypolerowane, meble lśniące... lustra przetarte do połysku... U mnie panna służąca zajmuje się również podwórkiem.

– Ale ja się na tym nie znam, proszę pani...

– To się nauczysz!... U mnie pokojówka również pierze, zmywa, prasuje, z wyjątkiem koszul pana, szyje, ja niczego nie daję do szycia poza domem, z wyjątkiem własnej garderoby... podaje do stołu... pomaga kucharce... wyciera naczynia... froteruje podłogi. Musi utrzymywać porządek... idealny porządek. Nie folguję w sprawie czystości, a zwłaszcza uczciwości... Zresztą wszystko jest i tak pod kluczem. Kiedy czegoś potrzeba, należy mnie poprosić. Brzydzą się marnotrawstwem. Co zwykle jadasz na śniadanie?

– Kawę z mlekiem, proszę pani.

– Kawę z mlekiem? Wstydu nie masz. Tak, teraz one wszystkie pijają kawę z mlekiem... Więc

posłuchaj, u mnie nie ma takich obyczajów. Będiesz jadała supę... to zdrowsze na żołądek. Coś powiedziała?

Janina nie wyrzekła ani słowa. Ale widać było, że stara się przemóc i o coś zapytać... Wreszcie się zdecydowała:

– Bardzo panią przepraszam... A co pani daje do picia?

– Sześć litrów jabłeczniaka na tydzień...

– Nie mogę pić jabłeczniaka, proszę pani. Lekarz mi zakazał.

– O, lekarz ci zakazał... No, cóż! Mimo to będziesz dostawała te swoje sześć litrów jabłeczniaka co tydzień. Jeśli zechce ci się wina, sama je sobie kupisz. To już twoja sprawa... Jakie chcesz wynagrodzenie?

Janina wahała się, rozglądała bezradnie po ścianach, spojrzała na wiszący zegar, zerknęła na sufit, obracała w rękach parasolkę i wreszcie powiedziała cichutko:

– Czterdzieści franków.

– Czterdzieści franków? – wykrzyknęła pani. – A czemuż to nie dziesięć tysięcy franków?... Ja myślę, moja panno, że ty jesteś szalona... Czterdzieści franków?... A to niesłychane!... Dawniej dawało się piętnaście franków... i człowiek był o wiele lepiej obsłużony... Czterdzieści franków!... I nawet nie umiesz tuczyć drobiu!... Nic nie umiesz!... Ja płacę trzydzieści franków i uważam, że to i tak o wiele za dużo... Jakie ty masz u mnie wydatki? Nie jestem wymagająca co do ubrania... Masz opierunek... jedzenie... Bóg świadkiem, jak dobrze będziesz karmiona. Ja sama wydzielam porcje.

Janina nastawała:

– Wszędzie, gdziekolwiek pracowałam, płacono mi czterdzieści franków.

Ale dama już wstała z krzesła. Powiedziała sucho, zgryźliwie:

– To świetnie... powinnaś tam wrócić. Czterdzieści franków!... Co za bezczelność... Proszę, tu są twoje świadectwa... świadectwa ludzi nieżyjących. Zabieraj się wraz z nimi.

Janina starannie owinęła świadectwa w papier i wsunęła do kieszeni, a potem zrozpaczonym, nieśmiałym głosem poprosiła:

– Gdyby mi pani zechciała podwyższyć do trzydziestu pięciu franków... mogłybyśmy się ugodzić...

– Ani grosza więcej! Zabieraj się stąd. Jedź do Algierii, odszukaj tę swoją panią Robert. Idź, dokąd zechcesz. Nie brakuje takich włóczęgów jak ty... jest ich na kopy... Wynoś się stąd!

Janina wyszła z gabinetu wolnym krokiem, ukłoniwszy się przedtem obu kobietom. Po jej oczach, a zwłaszcza po drzeniu warg widziałam, że jest bliska płaczu.

Kiedy już zostały same, pani, rozwścieczona, wykrzyknęła:

– Ach, ta służba... Prawdziwa plaga! Dziś już nie można się spodziewać, że człowieka obsłużą.

Na co pani Paulhat-Durand, która właśnie skończyła sortować kartotekę, dostojna, spracowana i surowa, odpowiedziała:

– Proszę pani, uprzedzałam panią... Wszystkie są takie... Nie chcą pracować, tylko zarabiać tysiące i setki... Dziś już nie ma żadnej innej, mam tylko jeszcze gorsze od tej. Jutro postaram się coś dla pani znaleźć... Och, proszę mi wierzyć, bardzo mi przykro...

Opuściłam mój punkt obserwacyjny w chwili, gdy Janina Le Godec wróciła do rozgadanej poczekalni.

– No i jak? – pytano zewsząd.

Janina osunęła się na ławkę w rogu pokoju i spuściwszy głowę, skrzyżowała ramiona na piersi... Serce miała ściśnięte, żołądek pusty, ale siedziała spokojnie, tylko jej drobne stopy poruszały się nerwowo.

Ale widziałam tam jeszcze smutniejsze wypadki.

Wśród dziewcząt, które przychodziły codziennie do pani Paulhat-Durand, jedna zwłaszcza zwróciła moją szczególną uwagę; po pierwsze dlatego, że nosiła na głowie bretoński czepek, a poza tym starczyło raz rzucić na nią okiem, by się człowiek całkiem pogрузzył w melancholii. Nie widziałam jeszcze w życiu czegoś równie żalosego... Chłopka zabłąkana w tym okropnym Paryżu, który ją przytłaczał i miażdżył, przyprawiając o chorobliwe rozgorączkowanie. Patrząc na nią, mimo woli wspomniałam samą siebie sprzed lat i bardzo się wzruszyłam. Skąd pochodziła?... Dokąd podążała?... Dlaczego opuściła rodzinne strony? Co za szaleństwo, co za nieszczęście, jaki gwałtowny huragan rzucił ją na tę mieliznę, pośród huczącego morza ludzi, co posiadało ją na tym plugawym bruku?

Każdego dnia zadawałam sobie te pytania, przyglądając się biednej dziewczynie zaszytej w kącie i tak rozpaczliwie pośród nas samotnej.

Była brzydka brzydota ostateczną i bezapelacyjną, która wyklucza wszelką litość i wyzwała w ludziach okrucieństwo, gdyż rzeczywiście stanowi dla nich pewnego rodzaju obelgę. Kobiety, nawet te najbardziej upośledzone przez naturę, rzadko bywają tak beznadziejnie, tak całkowicie brzydkie, jak ta niemal wyzuta z ludzkiego wyglądu istota. Na ogół zawsze można się u każdej brzydkiej kobiety dopatrzeć jakiegoś szczegółu... nieważne jakiego... oczu, ust... gibkości ciała... łagodnego zarysu ramion czy jeszcze skromniej... ruchu ręki, przegubu dłoni – na którym oko ludzkie może spocząć bez uczucia zgrozy, bez oburzenia. Nawet u bardzo posuniętych w latach staruszek urok i wdzięk zwycięsko opierają się deformacjom cielesnej powłoki, zagładzie dawnej urody. Ale z tą Bretonką rzecz miała się inaczej, a w dodatku była ona przecież całkiem młoda. Niska, niemal kwadratowa w pasie, płaskie biodra, krótkie nogi, tak krótkie, że można by ją wziąć za kalekę, przywodziła nieodparcie na myśl prymitywne rzeźby, owe barbarzyńskie, płaskonose dziewice wykute z jednego bloku kamienia, które cierpią od wieków po przydrożnych, bretońskich kapliczkach górujących nad ziemią na koślawym słupie. A jej twarz... Ach, nieszczęsna!... Nawisłe, wypukłe czoło, źrenice zamazane, jakby ktoś po nich przejechał brudną ścierką, potworny nos, rozpląszczony przy nasadzie, siodełkowato wklęsły i zapadnięty pośrodku, po czym nagle na końcu zadarty i rozsadzony przez dwie czarne dziury, z których wystawały strzępiaste, twarde jak szczecina włosy. A wszystko razem powleczone szarą, łuszczącą się skórą, jak u zdechłego węża... skórą, która wędnie w świetle... Miał jednak ten pokraczny stwór jedną rzecz piękną: włosy; tych przepięknych włosów mogłaby jej pozazdrościć niejedna ślicznotka. Wspaniałe, ciężkie sploty... rudawe, połyskujące złotem i czerwienią. Ale te włosy, miast łagodzić jej brzydotę, jeszcze bardziej ją podkreślały i wyostrzały, dzięki nim ta brzydota stawała się oczywista, natarczywa, beznadziejna...

Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy jej ruch był szczytem niezręczności. Nie umiała postąpić kroku, by czegoś nie potracić. Ledwie coś wzięła, a już ten przedmiot wypadał jej z rąk. Zawadzała ramieniem o każdy mebel, strącając wszystko, co na nim stało. Deptała ludziom po nogach, niechcący kuksała ich łokciem w pierś. Po czym przeproszała szorstkim, dudniącym głosem, który zionął ci w twarz zatrutym

oddechem, trupią wonią...

Wystarczyło, żeby pojawiła się w przedpokoju, a już dobywał się z nas poirytowany jęk, który szybko zamieniał się w obelżywe wyrzekania i kończył znaczącym pochrząkiwaniem. Nieszczęsne stworzenie przechodziło przez pokój wśród szyderczych okrzyków, tocząc się na swych krótkich nogach niczym piłka, kolebiąc się z jednej kończyny na drugą, i wreszcie siadało na ławce w głębi. Każdy się od niej ostentacyjnie odsuwał z wyraźnym obrzydzeniem, krzywiąc się i osłaniając nos chusteczką. Wtedy, oddzielona od nas sporą przestrzenią, co się natychmiast wokół niej samorzutnie tworzyła, niczym kordonem sanitarnym, ta ponura dziewczyna sadowiła się wygodnie, opierała o ścianę, milcząca, wyklęta, bez słowa skargi, nie zdając się nawet pojmować, że to właśnie ona jest przedmiotem ogólnego wstrętu.

Choć naśladowując innych, dałam się parę razy wciągnąć w te okrutne zabawy, nie mogłam w stosunku do małej Bretonki powstrzymać odruchu litości. Zrozumiałam, że oto mam przed sobą istotę skazaną na nieszczęście, jedną z tych istot, które – cokolwiek by zrobiły i dokądkolwiek by się udały – zawsze będą odtrącone przez ludzi, a nawet przez zwierzęta, bo istnieje pewna doza brzydoty, pewien typ kalectwa, którego i zwierzęta, tak, nawet zwierzęta, nie mogą znieść.

Pewnego dnia, przezwyciężając wstręt, przysunęłam się do niej i spytałam:

– Jak się nazywasz?

– Luiza Randon.

– Jestem Bretonką... pochodzę z Audierne. Ty także jesteś Bretonką?

Zdumiona, że ktoś z własnej woli chce z nią rozmawiać, a jednocześnie obawiając się jakiejś obelgi czy kawału, nie od razu odpowiedziała. Zagłębiła palec w przepastnej dziurce od nosa. Powtórzyłam więc moje pytanie:

– Z jakich stron Bretanii pochodzisz?

Wówczas przyjrzała mi się uważnie i upewniwszy się, że w moich oczach nie ma złości, zdecydowała się na odpowiedź:

– Jestem z Saint-Michel-en-Grève... koło Lannion.

Nie miałam pojęcia, co by tu jeszcze powiedzieć.

Jej głos odpychał mnie. To w ogóle nie był głos – to było coś, co skrzypiało i załamywało się jak przy czkawce... coś, co w dodatku przypominało burczenie w brzuchu... Jednakże ciągnęłam dalej:

– Czy masz jeszcze rodziców?

– Tak... ojca... matkę... dwóch braci... cztery siostry. Ja jestem najstarsza.

– A twój ojciec? Czym się zajmuje?

– Jest kowalem.

– Jesteście ubodzy?

– Mój ojciec ma trzy gospodarstwa, trzy domy, trzy młockarnie.

– No to jest bogaty.

– Oczywiście... jest bogaty. Uprawia pole, wynajmuje domy... zabiera młockarnie i jeździ na wieś młócić chłopom zboże... mój brat podkuwa konie...

– A twoje siostry?

– Mają piękne czepki z koronkami i bogato wyszywane suknie.

– A ty?

– Ja?... Ja nic nie mam.

Cofnęłam się, żeby nie czuć trupiego odoru, który dobywał się z jej ust.

– Dlaczego jesteś służącą? – podjęłam.

– Bo jestem..

– Dlaczego opuściłaś rodzinne strony?

– Bo chciałam..

– Nie byłaś tam szczęśliwa?

Powiedziała bardzo szybko, głuchym głosem, wyrzucając z siebie słowa, które dudniły jak toczące się kamienie:

– Bił mnie ojciec... biła matka... biły siostry... wszyscy mnie bili... Zapędzali do każdej roboty... To ja wychowałam moje siostry...

– A dlaczego cię bili?

– Nie wiem... żeby mnie bić... Zawsze, w każdej rodzinie, jest taki jeden, którego się bije... ponieważ... no cóż... nie wiadomo dlaczego.

Moje pytania już jej nie peszyły. Nabrała zaufania.

– A ciebie – zwróciła się do mnie – czy twoi rodzice cię bili?

– Och, tak...

– No widzisz... To już tak jest...

Luiza przestała dłubać w nosie i rozpląszczyła na udach obie dłonie z poobgryzаныmi paznokciami. Wokół nas poszeptywano. Śmiechy, chichoty, sprzeczki, skargi uniemożliwiały innym przysłuchiwanie się naszej rozmowie.

– Ale jak się dostałaś do Paryża? – spytałam po chwili milczenia.

– W zeszłym roku – opowiada Luiza – znalazła się w Saint-Michel-en-Grève pewna dama z Paryża, która kąpała się w morzu razem z dziećmi... Zaproponowałam jej, żeby mnie wzięła na służbę... ponieważ odprawiła pokojówkę, która ją okradła... A później... to ona mnie zabrała z sobą do Paryża... żebym pielęgnowała jej ojca... znieoężniałego starca, który miał sparaliżowane nogi...

– I nie postarałaś się zostać na tym miejscu? W Paryżu to nie taka łatwa sprawa dostać pracę...

– Nie – mruknęła energicznie. – Z pewnością bym tam została, nie o to chodzi... Ale jakoś się nie ułożyło...

Jej oczy, dotąd tak zmatowiałe, dziwnie zaświeciły. Dostrzegłam, że w ożywionym wzroku zalśnił błysk dumy. Ciało wyprostowało się, nieomal przemieniło.

– Jakoś nie mogliśmy się pogodzić... Stary chciał wyprawiać ze mną różne świństwa.

Przez chwilę siedziałam ogłuszona tym wyznaniem. Czy to możliwe? Więc ktoś jej pożądał, nawet jeśli to był plugawy, rozwiąży starzec... Więc ktoś pożądał tego bezkształtnego cielska... tego straszdyła... wybryku natury? Ktoś chciał zbliżyć usta do tych spróchniałych zębów... Wciągnąć w siebie jej oddech

zionający zgnilizną?... Więc aż takim plugastwem jest mężczyzna?... Jakim upokarzającym szaleństwem jest miłość! Spojrzałam na Luizę. Ale płomień w jej oczach już przygasł. Źrenice znów wyglądały jak dwie martwe, szare plamki.

– Dawno to się stało?

– Trzy miesiące temu

– I od tego czasu nie znalazłaś żadnego innego miejsca?

– Nikt już więcej mnie nie chciał... Sama nie wiem dlaczego... Kiedy wchodzę do biura, wszystkie panie wykrzykują na mój widok: „Nie, nie... tej nie chcę”. Z pewnością wisi nade mną jakieś przekleństwo. Bo przecież w końcu nie jestem brzydka... jestem bardzo silna... Umiem obsługiwać... Mam dużo dobrej woli... A jeśli jestem za niska, to nie moja wina... Na pewno ktoś rzucił na mnie urok.

– Jak sobie dajesz radę?

– Mieszkam u takich jednych, co wynajmują umeblowane pokoje. Więc sprzątam wszystkie pokoje i łatam bieliznę... Dają mi za to siennik na pawlaczu i jeden posiłek... rano...

Są więc jeszcze nieszczęśliwsze ode mnie. Ta samolubna myśl napełniła mi znowu serce litością, która już się zdążyła uprzednio rozwiać.

– Posłuchaj, Ludwisiu – starałam się nadać mojemu głosowi czułe i przekonujące brzmienie – bardzo trudno jest znaleźć jakieś miejsce w Paryżu... Trzeba znać się na wielu rzeczach... a i państwo są o wiele bardziej wymagający niż dawniej. Bardzo się boję o ciebie... Ja na twoim miejscu wróciłabym w rodzinne strony...

Ludwika przeraziła się.

– Nie, nie – wrzasnęła – nigdy! Nie chcę wracać w moje strony... Powiedzą, że mi się nie udało... że nikt mnie nie chciał... Za bardzo by się ze mnie śmieli... Nie, nie... to niemożliwe... wołałabym umrzeć!

W tym momencie otworzyły się drzwi do przedpokoju i ostry głos pani Paulhat-Durand zawołał:

– Panna Ludwika Randon!

– Czy to mnie wołają? – spytała Ludwika, wystraszona i drżąca.

– Ależ tak, ciebie. Idź szybko... I postaraj się coś załatwić tym razem.

Wstała, walnęła mnie w pierś wystającym łokciem, nadepnęła mi na stopę, potrąciła stół, tocząc się na swych zbyt krótkich nogach i ścigana szyderczymi okrzykami zniknęła w korytarzu.

Weszłam na ławkę i pchnęłam lufcik, żeby przyjrzeć się scenie, która się tam za chwilę miała rozegrać. Jeszcze nigdy salon pani Paulhat-Durand nie wydał mi się tak smutny, choć Bóg jeden wie, jak lodowaciało mi serce, ilekroć tam wchodziłam. Och, te meble obite niebieskim rypsem, poźółkłym i wytartym, te potężne rejestry porozkładane wokół jak płaty poćwiartowanych zwierząt! Na stole rypsowa serweta, także niebieska, pokryta plamami z atramentu i plamami koloru uryny. A ten pulpit! – łokcie pana Ludwika zostawiły na przyciemnionym drzewie jaśniejsze, wyświecone miejsca... i kredens w głębi... a w nim widoczne nietutejsze szkło i nakrycia stołowe, pewnie otrzymane w spadku. A na kominku, między dwiema lampami na trzonkach z brązu przetartego tu i ówdzie, wśród wyblakłych fotografii ten drażniący zegar, który swym tykaniem sprawiał, że godziny wlokły się jeszcze wolniej... i ta klatka w kształcie kopuły, w której dwa osowiałe kanarki stroszyły nędzne piórka... A te kartoniki rozmieszczone w mahoniowych przegródkach, pozadzierane chciwymi paznokciami...

Ale nie po to wlażłam na ławkę, żeby oglądać ten pokój, znałam go, niestety, aż za dobrze... znałam to posępne, tragiczne mimo mieszczańskiego poloru wnętrze, które moja szalona wyobraźnia przemieniła w ponurą jatkę z mięsem. Nie, chciałam przecież widzieć, jak Ludwika Randon zмага się z tymi handlarami żywym towarem.

Była już tam, stała przy oknie, pod światło, nieruchoma. Ręce zwisały jej bezwładnie wzdłuż ciała. Zapadający mrok niczym gęsta woalka przysłonił brzydotę jej twarzy i wysmuklił, wydłużył korzystnie przysadziste, ułomne ciało. Ostre światło połyskiwało na kosmykach włosów, wyrównywało koślawy zarys ramion i torsu, ginęło w fałdach zniszczonej czarnej spódnicy.

Starsza szacowna pani uważnie się jej przyglądała. Siedziała na krześle, zwrócona do mnie plecami, te plecy miały w sobie coś wrogiego, a kark zdradzał okrucieństwo. Widziałam tylko jej czarny kapelusz, śmiesznie przystrojony piórami, czarną rotundę, która podwinęła się na dole, ukazując szare futrzane podbicie i czarną suknię, kolistą rozpostartą na dywanie. Przede wszystkim zaś widziałam jej dłoń spoczywającą na kolanie, w czarnej koronkowej rękawiczce, sękatą dłoń powykrzywianą reumatyzmem, która powoli unosiła się i opadała, a palce to kryły się, to wynurzały z tkaniny płaszcza, zagięte, podobne szponom, gdy dopadną żywej zdobyczy. Stojąc obok przy stole pani Paulhat-Durand, bardzo sztywna, bardzo godna, czekała, co dalej nastąpi.

To przecież drobiazg, prawda? Po prostu spotkanie trzech pospolitych osób w pospolitym wnętrzu... Mogłoby się wydawać, że w tym zwykłym fakcie nie ma nic, czym by się można zainteresować, czym by się można wzruszyć. No tak, ale dla mnie widok tych trzech kobiet, które się tu znalazły i patrzyły na siebie w milczeniu, był ogromną tragedią. Miałam uczucie, że patrzę na prawdziwy dramat wynikły z nierówności społecznych, potworny, dręczący... gorszy od morderstwa. Zaszło mi w gardle. Serce waliło gwałtownie.

– Źle cię widzę, moja mała – odezwała się nagle starsza pani. – Nie stój tam.. źle cię widzę. Przejdź w głąb pokoju, żebym ci się mogła lepiej przyjrzeć.

I wykrzyknęła zdumionym głosem:

– Mój Boże!... Jaka ty jesteś malutka!

Mówiąc te słowa, przesunęła krzesło i zobaczyłam teraz jej profil. Spodziewałam się haczykowatego nosa, długich, wystających zębów, okrągłego, żółtego jak u krogulca oka. Tymczasem – nic podobnego. Miała łagodną, raczej miłą twarz. Prawdę mówiąc, jej oczy nie wyrażały niczego... ani złości... ani dobroci. To była z pewnością sklepikarka, która już wycofała się z interesu. Sklepikarze potrafią przybierać specjalny wyraz twarzy, z którego nie da się nic wyczytać o ich prawdziwym wnętrzu, o ich naturze. W miarę jak stają się coraz okrutniejsi w swoim zawodzie, jak przyzwyczajają się do nieuczciwych doraźnych zysków, co pobudza niskie instynkty i okrutne ambicje – wyraz ich twarzy robi się coraz słodszy lub raczej całkiem niepochwytany i przestaje cokolwiek wyrażać. Całe tkwiące w nich zło, które mogłoby obudzić nieufność klienta, kryją w głębi natury, a jeśli znajduje ono upust, to tylko w tych częściach ciała, które zazwyczaj pozbawione są wszelkiego wyrazu. Na przykład u tej starszej, szacownej pani twarda bezwzględność jej duszy – niepostrzegalna w źrenicach, ustach, czole czy w miękkich, obwisłych mięśniach twarzy – objawiła się nagle i brutalnie w zarysie karku. Ten kark był jakby jej prawdziwą twarzą i ta twarz była potworna.

Ludwika, wedle rozkazu pani, przeszła w głąb pokoju. Chęć przypodobania się uczyniła z niej,

prawdziwe monstrum... wyglądała rzeczywiście odrażająco. Ledwie zdążyła stanąć w świetle, gdy pani wykrzyknęła:

– Och! Ależ ty jesteś brzydka, moja mała!

I dodała, jakby biorąc na świadka panią Paulhat-Durand:

– Czyż to doprawdy możliwe, żeby na ziemi istniały aż tak brzydkie stworzenia jak ta mała?

Pani Paulhat-Durand, uroczysta i godna jak zwykle, odparła:

– Z całą pewnością nie jest piękną... ale ta panna jest bardzo przyzwoita...

– Możliwe – odrzekła starsza pani. – Ale jest stanowczo zbyt brzydka... W aż takiej brzydocie kryje się coś głęboko obraźliwego... Co? Coś ty powiedziała?

Ludwika przez cały czas nie odezwała się słowem. Lekko się tylko zarumieniła i spuściła głowę. Czerwone obwódki wystąpiły wokół jej zmatowiałych źrenic. Myślałam, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Zresztą... przekonamy się o tym – podjęła pani, której piekielnie ruchliwe palce zaczęły w tym momencie szarpać materię sukni niczym szpony okrutnego zwierzęcia.

Wypytywała Ludwikę o rodzinę, o miejsca, gdzie służyła, o umiejętność gotowania, sprzątanania, szycia. Ludwika ograniczała się w odpowiedzi do „Tak, proszę pani” lub „Nie, proszę pani”. Drobiazgowo, złośliwie, mordercze przesłuchanie ciągnęło się przez dwadzieścia minut.

– No więc, moja mała – zakończyła stara – z twoich odpowiedzi jedno jasno wynika: nic nie umiesz robić... Musiałabym cię uczyć wszystkiego. Przez cztery, pięć miesięcy nie miałabym z ciebie żadnego pożytku... A to, zważywszy twoją brzydotę, wcale nie jest pociągające... A skąd masz takie wgłębienie na nosie? Ktoś cię uderzył?

– Nie, proszę pani... Zawsze je miałam...

– Ach! to także nie jest pociągające... Jakiego spodziewasz się wynagrodzenia?

– Trzydzieści franków... opierunek... i wino – powiedziała Ludwika rezolutnym głosem.

Stara aż podskoczyła:

– Trzydzieści franków! Chyba nigdy się sobie dobrze nie przyjrzałaś! To nedorzecznosc!... Jak to?... Przecież nigdy nikt cię nie chciał... i nikt nigdy cię nie zechce! I jeśli ja bym cię do siebie wzięła, to tylko dlatego że jestem dobra... że w głębi serca lituję się nad tobą!... A ty żadasz ode mnie trzydziestu franków! Nie brak ci tupetu, moja mała... Jesteś po prostu bezczelna, moja mała. To pewnie te twoje koleżanki tak ci głupio poradziły... To źle, że ich słuchasz.

– Z całą pewnością – przyświadczyła pani Paulhat-Durand. – Przewracają sobie nawzajem w głowach.

– No więc – powiedziała stara pojednawczo – dam ci piętnaście franków... I sama będziesz płacić za wino... To i tak o wiele za dużo... Ale nie chcę wykorzystywać twojej brzydoty i twego nieszczęścia.

Zmiękła. Jej głos stał się prawie pieszczotliwy.

– Widzisz, moja mała, to jest dla ciebie jedyna okazja... Nie znajdziesz takiej drugiej... Ja nie jestem taka jak inne... jestem sama... nie mam rodziny... nie mam nikogo... Moja rodzina to moja służąca. A czego wymagam od służącej? Jedyne odrobiny sympatii, żeby mnie po prostu lubiła. Moja służąca mieszka ze mną... jada ze mną... z wyjątkiem wina. Rozpieszczam ją... Sama się przekonasz. A kiedy umrę... jestem

już bardzo stara i często choruję... kiedy umrę, z całą pewnością nie zapomnę o tej, która mi będzie oddana, która mnie będzie dobrze obsługiwała... Starannie pielęgnowała... Ty jesteś brzydka... bardzo brzydka... zbyt brzydka... No cóż, mój Boże, przyzwyczaję się do twojej brzydoty, do twojej twarzy. Wśród ładnych zdarzają się bardzo złe dziewczyny... Są zdolne do kradzieży. Brzydota bywa czasem gwarancją moralności. Ty przynajmniej nie będziesz mi sprowadzała mężczyzn do domu, prawda? Widzisz, umiem ci oddać sprawiedliwość. W twoim położeniu, mając do czynienia z kobietą takiej dobroci jak ja... pensja, jaką ci proponuję, to majątek... więcej niż majątek... to tak jak rodzina!

Ludwika wahała się. Z całą pewnością słowa tej starej rozbudziły w jej głowie nieznane dotąd nadzieje. Chłopska chciwość podsuwała wyobraźni skrzynie pełne złota... Bajeczny zapis w testamencie... No i to wspólne życie z dobrą panią... wspólne posiłki, wspólne spacerunki po skwerach, w podmiejskich lasach – wszystko razem olśniło ją. Ale również napełniło lękiem... jakieś wątpliwości, wrodzona, nieprzeparata nieufność rzucała cień, gasiła blask wspaniałych obietnic. Nie wiedziała, co powiedzieć, co zrobić... na co się zdecydować. Miała ochotę krzyknąć do niej: „Nie!... Nie zgódź się!”. Już sobie dokładnie wyobrażała czekającą ją egzystencję: osamotnienie, wycieńczająca praca, gorzkie wymówki, kłótnie o każdy kęs pożywienia. Same kości albo zepsute mięso miały zaspokajać głód. No i bezustanny, uporczywy, bezlitosny wyzysk, którym ta baba będzie torturować nieszczęsną, bezbronną dziewczynę. „Nie, za nic, przestań jej słuchać, daj sobie z tym spokój”. Ale powstrzymała ten okrzyk, który mimo woli cisnął mi się na wargi.

– Zbliź się, podejdź bliżej, moja mała... – rozkazała stara. – Można by pomyśleć, że się mnie boisz... Chodź... przestań się bać... podejdź bliżej... Jakie to zabawne... teraz wydaje mi się, że nie jesteś aż tak brzydka. Zdażyłam się już przyzwyczaić do twojej twarzy.

Ludwika zbliżyła się powoli, szła sztywno, pilnie zważając, by nie potrącić jakiegoś krzesła czy innego mebla... Ta nieszczęsna istota starała się stąpać elegancko. Ale ledwo znalazła się w pobliżu starej, już tamta, krzywiąc się, odepchnęła ją:

– Wielki Boże! – wrzasnęła. – A to co?! Co ci jest? Dlaczego twój oddech tak cuchnie?... Czyżby twoje ciałogniło od środka? To okropne... To nie do wiary... W życiu nie zetknęłam się z nikim, od kogo by tak zionęło. Masz chyba raka w nosie... A może w żołądku?

Pani Paulhat-Durand przerwała:

– Uprzedzałam panią... To właśnie jest ten feler... Ten wielki feler, przez który nie może znaleźć odpowiedniego miejsca.

Stara jęczała dalej:

– Mój Boże! Mój Boże! Czy to możliwe? Ależ ty mi zatrujesz powietrze w całym domu... nie będziesz mogła się do mnie zbliżyć... Och, ale... to zmienia naszą umowę. A ja już poczułam do ciebie sympatię. Nie, nie... Mimo całej mojej dobroci to jest niemożliwe... To niemożliwe!

Wyciągnęła chusteczkę i odganiając gwałtownie zepsute powietrze, powtórzyła:

– Nie, doprawdy... tego nie da się długo wytrzymać.

– Odwagi, proszę pani – wtrąciła się pani Paulhat-Durand. – Niech pani zbierze siły. Jestem pewna, że ta biedna dziewczyna będzie pani wdzięczna do końca życia...

– Wdzięczna? To bardzo pięknie... Ale ta wdzięczność nie wyleczy jej z tego strasznego kalectwa... Zresztą, niech będzie! Ale obecnie nie mogę jej dać więcej jak dziesięć franków. Tylko dziesięć

franków... Może się zgodzić albo nie...

Ludwika, której udawało się dotąd powstrzymać łzy, powiedziała, wstrzymując oddech:

– Nie... ja nie chcę... nie chcę... nie chcę.

– Niech panna posłucha – odezwała się sucho pani Paulhat-Durand. – Albo przyjmujesz tę pracę, albo nie będę się już dłużej tobą zajmowała. Nigdy! Możesz iść i prosić o miejsce w innych biurach pośrednictwa. W końcu mam tego dosyć. Przynosisz ujmę mojej firmie...

– To jasne – naciskała stara. – A za te dziesięć franków powinnaś mi być wdzięczna. Daję ci je z litości, z miłosierdzia. Jak możesz nie rozumieć, że jest to z mojej strony po prostu jeszcze jeden dobry uczynek, którego pewnie pożałuję, jak to już przedtem nieraz bywało.

Zwróciła się do pośredniczki:

– Co robić... Sama pani widzi... Już taka jestem... Nie umiem obojętnie przyglądać się ludzkim cierpieniom... Całkiem tracę głowę na widok ludzkiej niedoli... A w moim wieku trudno liczyć, że się zmienię... Chodźmy, moja mała, zabieram cię z sobą...

Przy tych słowach chwycił mnie jakiś skurcz i musiałam zejść z ławki. Już nigdy więcej nie zobaczyłam Ludwiki.

W dwa dni potem pani Paulhat-Durand, wprowadziwszy mnie uroczyście do swego gabinetu, najpierw przyjrzała mi się dokładnie ze wszystkich stron, co było nieco krępujące, a potem odezwała w te słowa:

– Panno Celestyno... mam dobre... bardzo dobre miejsce dla panny... Ale trzeba by było wyjechać na prowincję... Och, niezbyt daleko...

– Na prowincję... Nie, ja nie wyjadę, przecież pani mówiłam.

Pośredniczka naciskała:

– Nie wiemy, co to jest prowincja... Na prowincji bywają znakomite miejsca...

– Och, znakomite miejsca... Pani żartuje! – sprzeciwiałam się. – Po pierwsze, nigdzie nie ma znakomitych miejsc...

Pani Paulhat-Durand uśmiechała się przymilnie i wdzięczyła. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałam.

– Proszę mi darować, panno Celestyno... ale nie ma złych miejsc...

– Do licha! Znam się na tym... Istnieją tylko źli chlebodawcy.

– Nie... są tylko złe służące... O to chodzi... Daję wam pracę w domach... najlepszych, jakie są... To nie moja wina, że nie potraficie się tam utrzymać...

Przypatrywała mi się życzliwie:

– Pomijając już to, że jesteś bardzo inteligentna... dobrze się prezentujesz... masz w dodatku ładną buzię... ładną figurę... śliczne ręce, zupełnie nie zniszczone pracą... i oczy... widać nie dajesz się łatwo zbić z tropu... Może się pannie przytrafić jeszcze niejedno... możesz być jeszcze bardzo szczęśliwa... a to będzie zależeć od dobrego sprawowania...

– Chciała pani powiedzieć: to będzie zależeć od złego sprawowania.

– To zależy od punktu widzenia... Ja to nazywam dobrym sprawowaniem.

Zmiękła. Powoli opadała z niej maska dostojeństwa. Teraz już było jasne, że mam przed sobą dawną

służącą, znakomicie obeznaną z wszelakimi świństwami i łajdactwami... Jej oczy nabrały w jednej chwili plugawego wyrazu, gesty stały się obleśne i ordynarne, zaczęła się ślinić, co jest także zawodową przywarą wszystkich stręczycielek. Pani „Rebeka Ranvet, krawiectwo” też się śliniła:

– Ja to nazywam dobrym sprawowaniem...

– A to dlaczego? – mruknęłam.

– Proszę posłuchać, moja panno... Nie jesteś początkującą służącą i znasz życie... Można się z tobą porozumieć... Chodzi o samotnego mężczyznę... już niemłodego... mieszka niezbyt daleko od Paryża... jest bardzo bogaty... no, powiedzmy... dość bogaty. Panna ma mu prowadzić dom... zostać czymś w rodzaju gospodyni... panna pojmuje... Ten rodzaj zajęć jest bardzo delikatny... bardzo poszukiwany... W tej sytuacji otwiera się w pewnym sensie przyszłość przed kobietą... taką jak ty... inteligentną... miłą... Która będzie się, powtarzam, dobrze sprawowała!

Zawsze o tym śniłam. Ileż to razy budowałam cudowną przyszłość na miłosnych zboczeniach jakiegoś starca... i oto ten wymarzony raj otwiera się przede mną... jest tuż-tuż... uśmiecha się do mnie i kusi. I za sprawą niepojętej ironii życia, przez głupią przekorę, której powodów nie udało mi się zrozumieć... z miejsca odrzuciłam to po tylekroć oczekiwane szczęście, gdy mi się wreszcie nadarzyło.

– Och, to pewnikiem jakiś stary rozpustnik... Ach, nie! Już z tego wyrosłam... Zbyt brzydzą mnie mężczyźni... starzy, młodzi... wszyscy.

Pani Paulhat-Durand osłupiała na chwilę. Nie była przygotowana na tak brutalną odmowę. Przybierając z powrotem godny i surowy wyraz twarzy, który miał podkreślić wielki dystans dzielący przyzwoitą mieszczkę, za jaką chciała uchodzić, od dziewczyny z półświatka, to znaczy ode mnie, powiedziała:

– Moja panno... co pannie przychodzi do głowy?... Za kogo mnie panna bierze?... Co panna sobie wyobraża?

– Niczego sobie nie wyobrażam... Tylko powtarzam pani, że mam już mężczyzn powyżej uszu... To wszystko.

– Czy panna wie, o kim mówi? Ten mężczyzna to, proszę panny, bardzo czcigodny człowiek. Jest członkiem Stowarzyszenia Świętego Wincentego à Paulo. I był deputowanym z ramienia rojalistów... Tak, tak, moja panno!

Wybuchnęłam śmiechem:

– Tak... tak... zawsze w kółko to samo! Już ja ich znam, tych pani członków świętych kongregacji... tych świętych Wincentych... tych deputowanych... Nie, dziękuję...

I nagle, bez żadnego przejścia, spytałam:

– A kim jest tak naprawdę ten pani staruszek? Cóż, do licha... jeden więcej, jeden mniej, to już doprawdy nie ma znaczenia...

Ale pani Paulhat-Durand nie dała się udobruchać. Oświadczyła stanowczym głosem:

– To już teraz jest bezcelowe, moja panno. Panna nie jest odpowiedzialną kobietą, a takiej potrzeba temu panu. Sądziłam, że panna bardziej się do tej pracy nadaje... Okazuje się, że z panną nigdy nic nie wiadomo.

Długo nalegałam. Pozostała nieugięta. Kiedy wróciłam do poczekalni, było mi niewyraźnie na duszy.

Och, ta poczekalnia, tak smutna, tak ciemna, nic się tu nigdy nie zmienia! Na ławkach rozwalone, umęczone dziewczyny, wystawione jak towar na sprzedaż, mięso ludzkie oferowane żarłocznym mieszczanom... Och, ten przypływ plugastwa i odpływ nędzy, co cię tu wyrzuca niczym żałosnego rozbitka, ofiarę katastrofy miotaną wiecznie z kąta w kąt.

„Co za dziwny typ ze mnie – myślałam. – Najpierw pragnę tylu rzeczy... tylu rzeczy... ale pragnę ich pod warunkiem, że są nieosiągalne. A niech no tylko któreś z tych marzeń zaczną się urzeczywistniać, niech przybierze realne kształty, z punktu je odrzucam”.

W mojej odmowie kryła się z pewnością i ta cecha, ale ponadto i szelmowska chęć, by choć raz upokorzyć trochę panią Paulhat-Durand, choć trochę się na niej odegrać i przyłapać ją – taką wyniosłą, taką pogardliwą! – na wstrętnym stręczycielstwie.

Bardzo, ogromnie żałowałam, że się wyrzekłam tego starca, który teraz jawił mi się w pełni urojonego czaru osoby nieznanej, stając się z wolna nieosiągalnym ideałem. Z lubością wyobrażałam go sobie, tworzyłam w myślach jego wizerunek... schludny staruszek o miękkich dłoniach... z łagodnym uśmiechem na różowej, starannie wygolonej twarzy... wesoły... hojny... trochę zdzienniały... niezbyt rozpustny i nie do tego stopnia zboczony, co pan Ravour... a przy tym byłby mi posłuszny i dał się wodzić jak pies na smyczy.

– Pójdź tu... Pójdź tu... piesku...

Przybiega, przymilny, merdający ogonkiem i wpatruje się we mnie oddanym, pokornym wzrokiem.

– No, ładnie poproś!

I zaczyna prosić: staje słupka, wsparty na zadzie, bije w powietrzu przednimi, uniesionymi do góry łapkami – ależ jest komiczny!

– Tak, tak... dobry piesek.

Daję mu kostkę cukru, głaszczę po jedwabistym grzbiecie. Nie budzi już we mnie żadnego wstrętu... i marzę dalej:

Jakaż ja, mimo wszystko, jestem głupia... Piękny piesek... piękny dom... piękny ogród... pieniądze, spokój, zabezpieczona przyszłość... I pomyśleć tylko, że ja to wszystko odrzuciłam, nawet nie wiedząc dlaczego. Bo nigdy dobrze nie wiedziałam, czego chcę... i nigdy nie miałam dość silnej woli, żeby dążyć do tego, czego pragnę. Z ilu ja już mężczyznami się puściłam, ilu oddałam się tak łatwo, a przy tym czułam w głębi serca lęk, gorzej niż lęk – wstręt do każdego mężczyzny, gdy tylko znalazł się z dala ode mnie.

Ale gdy byle facet jest blisko mnie, może mnie łatwo złapać, niczym kulawą kurę – z punktu jestem gotowa do każdego szaleństwa. Stać mnie tylko na opór wobec faktów, które mogłyby się dopiero zdarzyć, i wobec mężczyzn, których nie widziałam na oczy. Jestem głęboko przeświadczona, że nigdy nie osiągnę szczęścia...

Widok poczekalni dobił mnie do reszty... Mrok gasnącego dnia, rozwalone wokół na ławkach nieszczęsne, pokraczne stwory budziły we mnie coraz posępniejsze myśli.

Poczułam, że jakiś ciężar przygniata mi duszę i że nie ma na to lekarstwa. Nie czekając więc na zamknięcie biura, wyszłam stamtąd ze ściśniętym gardłem, z sercem jak z ołowiu... Na schodach minęłam się z panem Ludwikiem. Przytrzymując się poręczy, powoli i z trudem wspinał się po stopniach. Przez

sekundę patrzyliśmy sobie w oczy. Nie odezwał się do mnie, nawet nie pozdrowił... ja także nie znalazłam stosownego słowa... ale nasz wzrok i tak mówił wszystko... Och, on także nie był szczęśliwy! Nasłuchiwałam chwilę, jak wchodził stopień po stopniu... potem szybko zbiegłam na dół... Jakiż to biedaczyna!...

Gdy już znalazłam się na ulicy, przystanęłam całkiem bezwiednie i stałam tak przez dobrą chwilę na trotuarze, szukając oczami znanych mi rajfurek... okrągłych pleców pani „Rebeki Ranvet, krawiectwo”. Och, gdybym ją wtedy zobaczyła, bez wahania poszłabym za nią, oddałabym się w jej ręce!... Ale żadnej z nich nie było. Mijali mnie jacyś ludzie zaprzątnięci własnymi sprawami, obojętni, niezwracający najmniejszej uwagi na moją strapioną minę. Więc weszłam do jakiejś knajpy, gdzie kupiłam butelkę wódki, i powłóczywszy się trochę po ulicach, w dalszym ciągu kompletnie otepiała, wróciłam do hotelu...

Pod wieczór usłyszałam, że ktoś stuka do moich drzwi. Leżałam wyciągnięta na łóżku, półnaga, zamroczone alkoholem.

– Kto tam? – wrzasnęłam.

– To ja...

– Jaki ja?

– Chłopiec.

Wstałam z łóżka, koszula ledwo mi osłaniała nagie piersi, rozczochrane włosy opadały na ramiona... Otworzyłam drzwi.

– Czego chcesz?

Chłopiec uśmiechnął się. Znałam z widzenia tego rudego zucha, mijaliśmy się parokrotnie na schodach... i wtedy zawsze jakoś łapczywie na mnie spoglądał.

– Czego chcesz? – powtórzyłam.

Chłopak znów się uśmiechnął i bardzo skrępowany zaczął zwijać w palcach skraj roboczego, poplamionego oliwą fartucha. Wyjąkał:

– Proszę panienki... ja...

Wpatrywał się z ponurym, tępyim pożądaniem w moje obnażone piersi, w prawie całkiem nagi brzuch, bo koszula zsunęła się i trzymała się tylko na biodrach.

– No to włącz... ty bydlaku! – krzyknęłam nagle.

I popychając go w głąb pokoju, zatrzasnęłam gwałtownie drzwi.

Co za nikczemnica ze mnie!... Znalezione nas nazajutrz kompletnie pijanych, tarzających się w łóżku... Boże mój, w jakim potwornym stanie!...

Chłopca wyrzucili z pracy. Nawet nie dowiedziałam się, jak mu było na imię.

Nie chciałam zakończyć mojej opowieści o biurze pośrednictwa pracy pani Paulhat-Durand, nie wspomniawszy wpierw o jeszcze jednym biedaczynie, którego tam spotkałam. Był ogrodnikiem, wdowcem. Żona odumarała go przed czterema miesiącami. Przychodził tu codziennie, by znaleźć jakąś pracę. Choć przez to biuro przewijało się tyle żalonych postaci, nie spotkałam tam ani jednej równie tragicznej, równie przywalonej życiem. Jego żona umarła wskutek poronienia, które kazała sobie zrobić...

na zajutrz mieli objąć pracę w pewnej posiadłości, bo wreszcie po dwóch miesiącach nędzy udało im się otrzymać dobre zajęcie. On miał tam pracować jako ogrodnik, ona doglądać wiejskiego gospodarstwa. Ale od śmierci żony... czy że miał pecha... czy może po prostu był już zbyt zmęczony i zbyt niewdzięczny, dość, że nie znalazł żadnej pracy... Zresztą kto wie, czy od chwili, gdy spotkało go to wielkie nieszczęście, naprawdę jej szukał. Oczywiście drobne oszczędności stopniały już dawno, był bardzo długo bez roboty... Choć nie miał zaufania do ludzi, udało mi się go trochę obłaskawić... Chcę więc opisać w bezosobowej formie jego dramat, tak prosty, a tak wstrząsający. Opowiedział mi go pewnego dnia, gdy ogromnie poruszona jego nieszczęściem okazałam mu większe, niż to się na ogół zdarza, zainteresowanie i współczucie. Zaczynam więc.

Gdy już sobie obejrzeni sad, ukwiecone tarasy, oranżerię i wzniesiony u wylotu parku domek ogrodnika, gęsto spowity powojem i dzikim winem, powoli, z sercem przepełnionym nadzieją, lecz i niepokojem, zawrócili ku rozległej parkowej polanie, na której siedziała hrabina, wodząc rozkochanym wzrokiem za swymi dziećmi. Było ich troje: w jasnych ubrankach, różowiućki, o blond czuprynach bawiły się radośnie na trawie pod czujnym okiem guwernantki. Zatrzymali się pełni szacunku w odległości dwudziestu kroków, mężczyzna odkrył głowę i trzymał czapkę w ręku... Kobieta w swym czarnym słomkowym kapeluszu i kaftaniku z ciemnej wełny, zalękniona i onieśmielona, chcąc sobie trochę dodać odwagi, kręciła w dłoniach łańcuszek przy małej, skórzanej torebce. Park ciągnął się daleko w głąb, rozpościerając sfałowane trawniki między potężnymi masywami drzew.

– No, cóż to takiego... Podejdźcie bliżej – odezwała się hrabina tonem pełnym dobroci, chcąc ich w ten sposób ośmielić.

Mężczyzna miał ciemną, ogorzałą od słońca twarz, duże sękaty dłonie koloru ziemi, zdeformowane i połamane paznokcie, a to od stałego używania ogrodniczych narzędzi. Jego żona o bladej, szarobladej twarzy, usianej piegami... była bardzo schludna i równie jak on nieporadna. Nie śmiała nawet podnieść oczu na tę piękną panią, czekając, aż ona, zwyczajem wszystkich chlebobawców, zacznie ich egzaminować, zarzucać niedyskretnymi pytaniami, zadrećcać i torturować, wdzierać się do duszy, badać ciało. Więc zawzięcie wpatrywała się zachwyconym wzrokiem w prześliczny obrazek, który miała tuż przed oczami: troje dzieci bawiło się z wdziękiem na trawie, przestrzegając dobrych manier, bo już im je zdążono wpoić.

Zbliżali się powoli, zrobili parę kroków i znowu stanęli; oboje skrzyżowali odruchowo i jednocześnie ręce na brzuchu.

– No i jak tam – spytała hrabina. – W porządku? Obejrzeliscie już wszystko?

– Pani hrabina jest bardzo łaskawa – odpowiedział mężczyzna. – Wielka posiadłość... bardzo wspaniała... szkoda gadać!... W takiej posiadłości jest przynajmniej co robić.

– Ale ja jestem bardzo wymagająca, uprzedzam was. Bardzo sprawiedliwa... ale wymagająca. Lubię, żeby wszystko było utrzymane w należytych porządku. No i kwiaty... kwiaty... kwiaty... zawsze... stale... gdzie się tylko da... Zresztą, będziecie mieli, mój człowieku, dwóch pomocników latem i jednego zimą... To wystarczy.

– Och – odrzekł mężczyzna – pracy to ja się nie boję... im mam jej więcej, tym bardziej jestem zadowolony. Lubię mój zawód i znam go dobrze... drzewa... flance... dywany z kwiatów... słowem,

wszystko jak należy. A co do kwiatów... żeby pięknie rosły... trzeba im kropli wody... dobrej podściółki ze słomy... i, uczciwszy uszy pani hrabiny, gnoju oraz innych nawozów... wtedy można uzyskać wszystko, co tylko się zechce...

Przerwał na chwilę i ciągnął dalej:

– Moja żona także jest bardzo obrotna... bardzo zręczna... wie, co i jak zarządzić. Choć na oko nie wygląda na silną, jest bardzo wytrzymała, wcale nie choruje... a na zwierzętach zna się jak nikt. W miejscu naszej poprzedniej pracy były trzy krowy... i dwieście kur... Tak było, prawdę mówię!

Hrabina skinęła głową z zadowoleniem.

– A mieszkanie spodobało się wam?

– Mieszkanie także jest bardzo piękne... Może nawet trochę za wielkie dla takich skromnych ludzi jak my... Nie mamy dość sprzętów, żeby je urządzić. Ale oczywiście mieszka się tam, gdzie los zdarzy... A poza tym daleko od pałacu... To w porządku... tak być powinno. Państwo nie lubią, żeby ogrodnicy kręcili się im pod nosem. Państwo wolą trzymać ogrodników na odległość. My znowu krępijemy się państwu przeszkadzać... A tak, jak tu... każdy jest u siebie... Tak dla każdego jest lepiej. Tylko...

Mężczyzna zawahał się, jakby przerażony i onieśmielony tym, co miał za chwilę powiedzieć.

– Tylko co? – spytała hrabina po chwili ciszy, w czasie której skrępowanie mężczyzny jeszcze się wzmogło.

Stał, jakby go wmurowano w ziemię, ścisnął coraz mocniej czapkę w dłoniach i miętosił ją grubymi palcami:

– No więc... chodzi o to – wymamrotał – chciałem rzec pani hrabinie, że pensja nie jest odpowiednio wysoka... w stosunku do roboty... Nie wystarczy... Nawet przy najlepszych chęciach... Żeby się człowiek nie wiem jak starał... nie wyjdzie na swoje. Pani hrabina powinna coś dołożyć.

– Zapominasz, mój przyjacielu, że macie mieszkanie, ogrzewanie, światło... że macie jarzyny i owoce... że dam wam tuzin jajek tygodniowo i litr mleka dziennie. To bardzo dużo.

– Ach, to tak... pani hrabina daje za darmo oświetlenie i mleko? I jajka?

Spojrzał na żonę, jakby szukając u niej rady.

– Do licha... to już coś jest... Nie da się zaprzeczyć... to nie jest źle...

Kobieta wyjąkała:

– Z pewnością... To już jest pewna ulga.

I powiedziała po chwili, cała drżąca i zawstydzona:

– Z pewnością pani hrabina daje jakieś upominki w styczniu i na świętego Fiakra, patrona ogrodników?

– Nie, żadnych.

– Przecież taki jest zwyczaj.

– U mnie nie ma tego zwyczaju.

Z kolei mężczyzna zaczął się dopytywać:

– A norki... a kuny... a tchórze? Co z nimi?

– Też nic z tego...

Powiedziała to tak suchym tonem, że nie było już po co dalej nalegać... I nagle dorzuciła:

– Uprzedzam was raz na zawsze, że zabraniam ogrodnikowi sprzedawać lub darowywać komukolwiek jarzyn. Wiem, że trzeba ich sadzić za dużo, aby mieć pewność, że starczy... i że trzy czwarte się marnuje...

Tym lepiej... Niech się marnują... żądam, żeby się marnowały.

– Oczywiście... Tak jak u innych... No, cóż robić!

– No więc, porozumieliśmy się? Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Od sześciu lat – odpowiedziała kobieta.

– Nie macie dzieci?

– Mieliśmy córeczkę. Umarła...

– Aha, to dobrze, to bardzo dobrze... – powiedziała hrabina niedbale. – Ale jesteście jeszcze całkiem młodzi... Możecie mieć dzieci!...

– Wcale ich nie pragniemy... wcale a wcale, proszę pani hrabiny... Ale, do licha... łatwiej o nie niż o sto franków zapomogi.

Oczy hrabiny przybrały surowy wyraz.

– Muszę was jeszcze uprzedzić, że w żadnym razie nie życzę sobie dzieci w moim domu. Jeśli się wam przytrafi dziecko, będę zmuszona was odprawić... i to z miejsca. O nie, żadnych dzieci. Krzyczą, wszędzie wążą, wszystko niszczą, płoszą konie i roznoszą zarazki... choroby. Nie, nie, za skarby świata nie zniosę dziecka w moim domu. A więc... uprzedziłam was, więc już wiecie... Jakoś to sobie musicie ułożyć... Zachowujcie ostrożność...

W tym momencie jedno z dzieci, które przed chwilą upadło, przybiegło z krzykiem, by schronić się w fałdach matczynej sukni... Matka wzięła je na ręce, kołysała, coś czule szeptała, pieściła, całowała, aż wreszcie dziecko już wesołe i uśmiechnięte wróciło do rodzeństwa, które ciągle bawiło się na trawniku.

Kobieta poczuła nagle ogromny ciężar na sercu. Myślała, że nie zdoła powstrzymać łez. A więc radość, czułość, miłość, macierzyństwo może być tylko udziałem bogatych? Dzieci na trawniku zabrały się do nowej zabawy. Teraz nienawidziła ich dziko, chciałyby je lżyć, katować... pozabijać... Chciała również lżyć i katować tę bezczelną, okrutną kobietę, tę samolubną matkę, co przed chwilą wypowiedziała słowa, które skazywały na niebyt, odbierały prawo do życia przyszłej, ludzkiej istocie, drzemiącej w łonie owej biedaczki. Ale pohamowała się i odpowiedziała z prostotą na ponowne, jeszcze bardziej stanowcze ostrzeżenie hrabiny:

– Będziemy uważali, pani hrabino... będziemy się starali...

– O to właśnie chodzi... nie chciałabym wam ciągle o tym przypominać... powtarzać... Ale mam już taką zasadę... i nigdy od niej nie odstąpię.

I dodała, zmieniając ton, prawie pieszczotliwym głosem:

– A zresztą, wiercie mi... Kiedy się nie jest bogatym... lepiej nie mieć dzieci.

Mężczyzna przytaknął, chcąc się przypodobać swej przyszłej pani:

– No pewnie... no pewnie... Pani hrabina słusznie mówi.

Ale też kipiała w nim nienawiść. Jego oczy rzucały błyskawice, były ponure i okrutne, przecząc służalczości wypowiedzianych dopiero co słów. Lecz hrabina nie spostrzegła owych morderczych

błysków, bo, jakby wiedziona instynktem, wpatrywała się w brzuch kobiety, którą dopiero co skazała na bezpłodność lub dzieciobójstwo.

Szybko dobito targu. Przejrzała ich świadectwa, wyliczyła szczegółowo, jakich usług oczekuje od nowego ogrodnika i jego żony, i żegnając ich z wyniosłym uśmiechem, powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Spodziewam się, że jesteście religijni. Tu wszyscy w niedzielę chodzą do kościoła i przestrzegają świąt. Wymagam tego i od was.

Wracali, nie odzywając się do siebie ni słowem, bardzo ponurzy, bardzo przygnębieni. Szli drogą pełną kurzu, w ciężkim upale. Nieszczęsna kobieta posuwała się z trudem, ledwie powłócząc nogami. W pewnej chwili tak się zadyszała, że odłożywszy torebkę na ziemię, rozluźniła nieco gorset.

– Uf – odsapnęła, wciągając głęboko haust powietrza.

I wtedy jej brzuch, długo ściśnięty i przyduszony, wzdął się swobodnie... charakterystycznie zaokrąglił... zdradzając tym samym widomą zapowiedź macierzyństwa, lecz w tym wypadku – zbrodnię macierzyństwa... Ruszyli dalej w drogę...

Przeszedłszy jeszcze parę kroków, wstąpili do przydrożnej oberży i kazali sobie podać litr wina.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś, że jestem w ciąży? – spytała kobieta.

Mężczyzna odpowiedział:

– Patrzcie no ją! Żeby nas wyrzuciła za drzwi, tak jak już nas wyrzucili w trzech poprzednich miejscach, gdzieśmy się starali o pracę?

– Dziś czy jutro... co za różnica?

Wówczas mężczyzna syknął cicho przez zęby:

– Gdybyś była prawdziwą kobietą... no cóż... poszłabyś jeszcze dziś wieczór do matki Hurlot... ona ma takie zioła.

Ale kobieta uderzyła w płacz. Jęczała, zalana łzami:

– Nie mów tak... nie mów tak... To przynosi nieszczęście!

Mężczyzna walnął pięścią w stół, krzycząc:

– Więc, do licha, przyjdzie nam zdychać z głodu!

Nieszczęście nie kazało długo na siebie czekać.

W cztery dni później kobieta poroniła – ale czy naprawdę było to poronienie? – i umarła w okropnych męczarniach na zapalenie otrzewnej. Mężczyzna, kończąc swą opowieść, zwierzył mi się:

– I tak oto jestem teraz zupełnie sam. Nie mam już żony, nie mam dzieci, nie mam nikogo. Rozmyślałem dniem i nocą, jak się zemścić... marzyłem długo, żeby zabić tę trójkę dzieci, co się bawiły na trawniku. Nie jestem złym człowiekiem, a przecież zadusiłbym te dzieci i tę kobietę własnymi rękami, przysięgam... zadusiłbym z radością... z dziką radością. O, tak!... Ale w końcu zabrakło mi śmiałości... Nie ma się co dziwić! Człowiek się boi... człowiek jest miękki... Odwaga służy tylko do tego, żeby mężnie znosić cierpienia!

XVI

24 listopada

Żadnego listu od Józefa. Wiem, jak jest ostrożny, toteż niezbyt dziwi mnie jego milczenie, ale jest mi trochę przykro. Oczywiście Józef zdaje sobie sprawę, że wszystkie listy, nim do nas dotrą, przechodzą przez ręce pani, i z pewnością nie chce ani siebie, ani mnie narazić na to, by pani je przeczytała, a już nawet sam fakt, że do siebie pisujemy, byłby niewątpliwie bardzo niezyczliwie przyjęty. Wszelako wierzyłam, że on, który ma tyle sprytu, znajdzie jakiś sposób i da mi znać o sobie. Powinien wrócić jutro rano. Ale czy wróci? Niepokoję się tym... i mój umysł pracuje, pracuje bez przerwy... Zastanawiam się także na przykład, czemu nie chciał, żebym znała jego adres w Cherbourgu? Wolę już o tym wszystkim nie myśleć, bo pęka mi głowa i dostaję gorączki.

Tu nic nowego, żadnych zdarzeń i jeszcze większa niż zazwyczaj cisza. Józefa zastępuje po przyjaźni zakrystian. Przychodzi akuratnie każdego dnia... czyści konie, dogląda szklarni. Ale nie sposób wyciągnąć z niego słowa. Zachowuje się jeszcze bardziej tajemniczo niż Józef, jest jeszcze bardziej milczący, jeszcze bardziej nieufny. Jest również bardziej ordynarny, a przy tym nie ma wysokiego wzrostu ani siły Józefa. Widuję go bardzo rzadko i przelotnie, jedynie wówczas, gdy przekazuję mu jakieś polecenia. Zabawny typek z niego! Nielichy łajdak. Dowiedziałam się od sklepikarki, że w młodości uczył się na księdza, ale wyrzucili go z seminarium za grubiaństwa i niemoralne prowadzenie się. Kto wie, a może to właśnie on, nikt inny tylko on zgwałcił Klarcie w lesie? Od kiedy wyrzucono go z seminarium, miał się różnych zawodów. Jakiś czas był piekarzem, potem śpiewał w chórze kościelnym, potem z kolei został wędrownym kramarzem, był kancelistą u notariusza, później służącym, dostawcą targowym, zatrudniał go komornik i wreszcie od czterech lat jest zakrystianem. Zakrystian – to prawie ksiądz. Toteż i on zachowuje się tak samo obleśnie i tak samo obłudnie płaszczy jak te eklezjastyczne płazy. Z pewnością nie cofnie się przed najbrudniejszą robotą! Czy Józef postępuje słusznie, traktując go jak najbliższego przyjaciela? Ale czy rzeczywiście jest to przyjaciel Józefa? A może raczej współnik?

Pani ma migrenę. Wygląda na to, że cierpi na nią regularnie co trzy miesiące. Przez dwa dni leży w sypialni po ciemku, przy szczelnie zasuniętych kotarach, i tylko Marianna ma do niej dostęp. Nie życzy sobie mojego widoku... Kiedy pani choruje, dla pana nastają dobre czasy... Wykorzystuje to... Nie opuszcza kuchni... Dopiero co przyłapałam go, jak wychodził stamtąd, czerwony na twarzy, w niedopiętych spodniach... Och, jakżeżbym chciała zobaczyć ich razem... Mariannę i jego! Myślę, że taki widok może na zawsze obrzydzić miłość.

Kapitan Mauger, który już wcale ze mną nie rozmawia i tylko rzuca mi przez parkan wściekłe spojrzenia, pojednał się ze swoją rodziną, a przynajmniej z jedną z siostrzenic, która przyjechała i mieszka u niego... Wcale niezła: duża blondynka o nieco za długim nosie, ale świeża i zgrabna. Wedle ludzkiego gadania teraz ona będzie prowadzić dom i zajmie miejsce Róży w łóżku kapitana. W ten

sposób brudy pozostaną w rodzinie.

Co zaś do pani Gouin, to śmierć Róży mogła stać się ciężkim ciosem dla jej niedzielnych zebrań. Zrozumiała jednak szybko, że nie może zostać bez prowodyrki. Więc obecnie ta ohydna kramarka – prawdziwa zaraza! – zajmuje się puszczaniem plotek i rozpowiada wśród dziewcząt z Mesnil-Roy o sekretnym talencie nikczemnej sklepikary, budząc tym ich podziw. W ostatnią niedzielę zaszłam do nich. Zastałam wszystkie na kupie, stały się co do jednej, w pełnej krasie. O Róży mówiło się bardzo mało, a kiedy opowiedziałam historyjkę z testamentem, wybuchnął ogólny, gromki śmiech. Och, miał rację kapitan, mówiąc mi: „Każdego da się zastąpić”! Ale kramarka nie ma takiego autorytetu jak Róża, bo prowadzi się niestety bez zarzutu.

Z ogromną niecierpliwością oczekuję Józefa... W jakich nerwach, z jakim niepokojem czekam tej chwili, w której dowiem się, co mnie czeka za los, radosny czy smutny... Dłużej nie mogę tak żyć. Nigdy jeszcze nie czułam podobnego wstrętu do nędznej egzystencji, którą wiodę, do ludzi, którym muszę służyć, do otaczających mnie wkoło ponurych błaznów. Z każdym dniem coraz bardziej głupieję wśród nich. Gdyby nie to dziwaczne uczucie do Józefa – bo tylko ono podtrzymuje mnie w obecnym życiu i dodaje potężnego bodźca – wiem, że i ja sama szybko pogrążyłabym się w otchłani głupoty i nikczemności, która coraz szerzej otwiera się przede mną. Bez względu na to, czy Józef osiągnie to, czego chce, czy zmieni lub nie swoje plany... powzięłam nieodwołalne postanowienie... nie chcę dłużej tu zostać... Jeszcze parę godzin, jeszcze cała noc pełna niepokoju i nareszcie będę dokładnie wiedziała, jak wygląda moja przyszłość...

Tę noc postanowiłam spędzić na roztrząsaniu starych wspomnień, kto wie – może po raz ostatni. To jedyny sposób, jaki mi został, by nie myśleć o pełnej niepokojuw terażniejszości i nie łamać sobie zbyt głowy urojoną przyszłością. Prawdę mówiąc, te wspomnienia bawią mnie i napełniają jeszcze większą pogardą dla świata, z którym się stykam. W mojej tułaczce po różnych domach spotykałam postaci jedyne w swoim rodzaju, a mimo to tak do siebie podobne...

Gdy je teraz przywołuję w myślach, nie mam wrażenia, że kiedykolwiek istniały naprawdę. Bo też żyły jedynie dzięki swym występkom i grzechom. Pozbawić ich tych występków to tak, jakby obedrzeć mumię z bandażu... rozsypie się od razu. Z nich też zostały tylko upiory... proch... popiół... śmierć...

Weźmy dla przykładu pewien wspaniały dom, ten właśnie, do którego skierowała mnie pani Paulhat-Durand w parę dni potem, jak kategorycznie odmówiłam objęcia służby u owego staruszka na prowincji, o czym już wspominałam. Dwoje państwa, całkiem jeszcze młodych, bez dzieci, żadnych zwierząt, mieszkanie źle utrzymane, ale bardzo okazałe i szykowne, pełne wspaniałych mebli i ozdób. Wielki zbytek i jeszcze większe marnotrawstwo... Gdy tylko tam weszłam, starczył mi jeden rzut oka i już wiedziałam dokładnie, z kim mam do czynienia. Marzenie nie dom – słowo daję! Tutaj na pewno szybko zapomnę o kłopotach i o panu Ksawerym – choć ta bestia siedziała mi jeszcze za skórą – i o siostrzyczkach z Neuilly! o wycieńczających godzinach oczekiwania w przedpokoju biura pośrednictwa pracy, o długich dniach smutku i długich nocach... samotnych lub rozpustnych...

Zacnie się tu dla mnie słodkie życie, będę miała lekką pracę i wreszcie stały i pewny zarobek. Uszczęśliwiona z powodu tak korzystnej zmiany przysięgłam sobie pohamować mój zbyt chimeryczny charakter i stłumić wybuchy szczerości, byle tylko zostać tu długo, jak najdłużej. W mgnieniu oka rozwiały się wszystkie czarne myśli, a nienawiść do burżujów znikła jak za dotknięciem różdżki

czarodziejskiej. Znowu odzyskałam radość, szaleńczą, żywiołową wesołość, i znowu ogarnęła mnie miłość do życia. Uznałam, że niekiedy i państwo mają w sobie dobre cechy... Służba nie była liczna, ale doborowa: kucharka, lokaj, kamerdyner i ja... Nie było stangreta, państwo zlikwidowali niedawno stajnię i teraz jeździli wynajmowanymi powozami. Z punktu zaprzyjaźniłam się z wszystkimi... Już pierwszego wieczoru oblali moje przybycie butelką szampana.

– O, do licha! – powiedziałam, klasnąwszy w dłonie. – Nieźle się wam tu żyje.

Lokaj, uśmiechając się, potrząsnął w powietrzu pękiem kluczy, które wydały melodyjny dźwięk. Miał klucze od piwnicy, miał klucze od wszystkiego. Był w tym domu człowiekiem zaufania.

– Będziesz mi je czasami pożyczał, powiedz no? – zapytałam niby żartem.

Odpowiedział, rzucając mi czułe spojrzenie:

– Tak, jeśli będziesz dla mnie milusia... Musisz być bardzo milusia dla mnie...

To dopiero był szykowny facet! Wiedział, jak należy rozmawiać z kobietami. Na imię miał William.. Jakie piękne imię!

W czasie posiłku, który się przeciągał, stary kamerdyner nie odezwał się słowem, tylko dużo pił i dużo jadł. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a on sam robił wrażenie lekko zidiociałego. Za to ów William okazał się uroczy: wytworny, nadskakujący, zalecał się do mnie delikatnie, poprzez stół, częstował kawą i rosyjskimi papierosami, miał ich pełne kieszenie... Później co prawda przyciągnął mnie do siebie – byłam już trochę oszołomiona tytoniem, lekko podchmielona i całkiem rozczochrana – i posadził sobie na kolanach, szepcząc coś do ucha! Och, jakież był bezczelny!

Eugenia, kucharka, nie robiła wrażenia zgorszonej ani jego słowami, ani swawolnym zachowaniem. Rozmarzona i czujna, bez przerwy wyciągała szyję w kierunku drzwi, nadstawiając uszu przy najbliższym szmerze, jakby na kogoś czekała, i mimo że miała już całkiem mętny wzrok, wychylała dalej jedną po drugiej szklanki wina... Miała chyba ze czterdzieści pięć lat, duże usta o mięsistych, zmysłowych wargach i senne, namiętne oczy; jej twarz była dobra i smutna.

Wreszcie ktoś parę razy zastukał do kuchennych drzwi... bardzo dyskretnie. Eugenia z rozjaśnioną twarzą poderwała się szybko, jednym susem dopadła drzwi i natychmiast je otworzyła. Ponieważ nie znałam jeszcze tutejszych obyczajów, więc próbowałam doprowadzić do porządku mój wygląd i przybrać bardziej przyzwoitą pozę, lecz William objął mnie jeszcze mocniej i gwałtownie przytulił do siebie.

– Nie przejmuj się – mruknął spokojnie – to ten mały.

Tymczasem do kuchni zdążył już wejść młody chłopak, prawie dziecko. Bardzo szczupły, bardzo jasny, twarz blada, z meszkiem zarostu. Nie miał chyba jeszcze osiemnastu lat i był śliczny jak marzenie. Całkiem nowiutka, elegancka marynarka, podkreślała smukłość i wdzięk jego delikatnej sylwetki, a spod kołnierzyka wystawał różowy krawat. Był synem dozorczy z sąsiedniego domu. Wyglądało na to, że przychodzi tu co wieczór. Eugenia uwielbiała go, szalała na jego punkcie, Każdego dnia okradała swych państwa z najlepszych kęsów i wkładała do specjalnie w tym celu przygotowanego kosza wazę pełną bulionu, wielkie płaty mięsa, parę butelek wina, owoce i ciastka; mały zabierał ten kosz dla swoich rodziców.

– Dlaczego przyszedłeś dziś tak późno? – dopytywała się Eugenia.

Mały tłumaczył się sennym głosem:

– Musiałem siedzieć w portierni... Mama poszła po sprawunki.

– Mama... mama... Och, ty niecnoto... a czy choć mówisz prawdę?

Westchnęła i ze wzrokiem utkwionym w źrenicach chłopca położyła obie dłonie na jego ramionach.

Przemawiała do niego żalonym tonem:

– Powiedz matce, że jeśli się to będzie powtarzało, to nic już ode mnie nie dostaniecie... Jak tylko się spóźniasz, zawsze się czegoś obawiam... Nie chcę, kochanie, żebyś się spóźniał...

Jej nozdrza drżały, przez ciało przebiegł dreszcz.

– Moje kochanie, jaki ty jesteś piękny... Cóż za śliczny pyszczek! Nie chcę, żeby ktoś inny na ciebie patrzył... Dlaczego nie włożyłeś tych ładnych, żółtych trzewików? Jak tu przychodzisz, masz być śliczny od stóp do głów... Ach, te ślepka... te łobuzerskie ślepka... Założę się, łotrzyku, że znowu je wlepiłeś w jakąś kobietę... A te usteczka... te usteczka... Co te usteczka porabiały?

Uspokajał ją, zapewniał, uśmiechnięty, przestępując z nogi na nogę i wyginając kusząco smukłe biodra.

– Bóg widzi, że nic podobnego... zapewniam cię, Nini... nie kłamię... Mama wyszła po sprawunki, doprawdy.

Ale Eugenia powtarzała w kółko:

– Och, ty podły nicponiu... ty podły chłopaku... nie chcę, żebyś się rozglądał za innymi kobietami... Twój pyszczek jest tylko dla mnie... twoje usteczka są moje... twoje wielkie oczy są tylko moje... Kochasz mnie, bardzo mnie kochasz, powiedz?...

– O, tak... Z pewnością...

– Powtórz to jeszcze raz...

– Och, z pewnością!...

Zawisła mu na szyi i bełkocąc załamującym się głosem jakieś czułe słowa, zaciągnęła do sąsiedniego pomieszczenia.

William odezwał się do mnie:

– Ale ją do niego ciągnie! A przy tym ten chłopak drogo ją kosztuje... W zeszłym tygodniu znowu go ubrała od stóp do głów w same nowiutkie rzeczy. Ty byś na pewno mnie tak nie pokochała?

Scena, która się przed chwilą rozegrała, wstrząsnęła mną do głębi i z punktu poprzysięgłam sobie, że pokocham biedną Eugenię jak własną, rodzoną siostrę. Ten chłopiec przypomni mi bowiem pana Ksawerego. W każdym razie w tych dwóch zdeprawowanych prześlicznych istotach było jakieś bliźniacze podobieństwo... wspólna moralność. Jak tylko to sobie uświadomiłam, od razu ogarnął mnie smutek, och, jaki smutek... Znów stanął mi przed oczami pokój pana Ksawerego... i ja sama, jak daję mu owego pamiętnego wieczoru dziewięćdziesiąt franków... „Och, ten twój pyszczek, te twoje usteczka, te wielkie oczy...” Miał taki sam zimny i okrutny wzrok, tę samą gibkość ciała. I ten sam spryt błyszczał w jego oczach, przydając pocałunkom, niczym trucizna, oszałamiającej mocy.

Uwolniłam się z ramion Williama, bo stawał się coraz bardziej przedsiębiorczy.

– Nie – powiedziałam niemal sucho – nie teraz... nie dziś... nie tej nocy...

– Ale obiecałaś, że będziesz dla mnie milutka?

– Nie dziś...

I wyrwawszy się z uścisku, uporządkowałam trochę rozburzone włosy i zmiętoszoną spódnicę, mówiąc:

– No tak!... Ale muszę przyznać, że w każdym razie... czas się tu nie dłuży.

Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru niczego zmieniać w obyczajach domu, zwłaszcza gdy szło o pracę. William nadal sprzątał po łebkach, jakby to w ogóle nie do niego należało. Tu ruszył szczotką, tam dotknął ściereczką... i gotowe. Resztę czasu spędzał na rozmowach, na grzebaniu po szufladach, na czytaniu cudzych listów, które zresztą poniewierały się we wszystkich kątach i przeróżnych zakamarkach. Więc i ja zaczęłam postępować podobnie. Patrzyłam ze spokojem, jak kurz gromadzi się warstwami na meblach i pod meblami, i bardzo się wystrzegałam, żeby, broń Boże, nie zaprowadzić porządku w salonie czy sypialniach. Na miejscu państwa wstydziłabym się żyć w tak zapuszczonym mieszkaniu. Ale oni nie umieli rozkazywać; cisi z natury, bojąc się scen, nie ośmielili się nigdy głośniej odezwać. Niekiedy tylko, gdy uchybienia w pracy były już zbyt widoczne czy zbyt żenujące, zdobywali się na ryzyko i bąkali półgłosem: „Wydaje mi się, że to a to nie zostało zrobione”. Lecz wtedy starczyło odpowiedzieć stanowczym, bezczelnym tonem: „Proszę pani... niech mi pani daruje... ale pani nie ma racji... a jeśli pani nie jest z nas zadowolona...”. Wówczas przestawała nalegać i na tym się wszystko kończyło. Nigdy w życiu nie spotkałam większych gamoni, tak pozbawionych autorytetu chlebobawców. Doprawdy, nietrudno ich było wystrychnąć na dudka.

Trzeba przyznać Williamowi, że umiał w tej budzie ustawić stosunki między służbą a państwem na właściwej stopie. William miał jedną namiętność, wspólną wielu służącym: wyścigi. Znał wszystkich dżokejów, wszystkich trenerów, bukmacherów, a do tego... jeszcze kilku wysoko urodzonych panów, pięknych baronów, wicehrabiów, którzy okazywali mu pewną przyjaźń, wiedząc, że William może im od czasu do czasu dostarczać poufnie ważnych informacji o koniach. Ale, by móc zaspokoić namiętność do wyścigów, trzeba mieć dużo czasu i możliwość częstych wyjazdów za miasto, a to trudno pogodzić z zawodem lokaja, bo praca lokaja wymaga stałego siedzenia w domu i nie zostawia wiele wolnych chwil. Otóż William potrafił ułożyć sobie życie w następujący sposób: po obiedzie ubierał się i wychodził... Ale wtedy sztywnie wyglądał! Spodnie uszyte z czarnobiałej pepity, lakierowane kamaszki, jasno beżowy płaszcz i melonik. A co za melonik! Melonik Williama miał kolor głębokiej wody i niczym w wodzie odbijało się w nim niebo, drzewa, ulice, tłumy, hipodromy... Wracał dopiero na ostatnią chwilę, gdy musiał pomóc swemu panu przy wieczornej toalecie, a tuż po kolacji także często wychodził, bo, jak mówił, miał ważne spotkania z Anglikami. Stykałam się z nim dopiero późno w nocy, kiedy wracał z lekka podchmielony, choć zawsze pił tylko koktajle. Każdego tygodnia zapraszał na kolację swych kumpli – stangretów, lokai, ludzi pracujących na wyścigach – ci ostatni byli strasznie komiczni i wyglądali niesamowicie. Mieli krzywe nogi, powykręcane do środka kolana, cyniczne i łajdackie miny... oraz nie całkiem zdecydowaną płeć. Rozmawiali o koniach, torach wyścigowych, kobietach, opowiadali o swych panach jakieś przerażające historie i gdyby im wierzyć, to każdy mężczyzna był pederastą; a później, gdy już wino uderzało im dobrze do głów, zabierali się do polityki... W polityce zaś William był wyniosłym, nieprzejednanym, zajadłym, namiętnym reakcjonistą.

– Moim człowiekiem – krzyczał – jest Cassagnac! To zuch, ten Cassagnac morowy chłop... Mają przed nim pietra. Cokolwiek napisze, zawsze trafia w sedno... Zawsze się na niego nadzieją te świńskie kanalie!...

Ale starczyło, by wśród tych piekielnych hałasów rozległ się najłżejszy szmer, a już Eugenia podrywała się, bladła jeszcze bardziej i z płonącymi oczyma podbiegała do drzwi. Mały wchodził i na widok tyłu nieznanymi ludźmi, opróżnionych butelek, bałaganu na stole na jego ślicznej twarzyczce malowało się zmieszanie. Eugenia nigdy nie zapomniała zostawić dla niego na boku kieliszka szampana i talerza łakoci... A potem oboje znikali w sąsiednim pokoju...

– Och, ten twój pyszczek... te twoje usteczka... te twoje wielkie oczy...

W takie wieczory koszyk wypełniały lepsze niż zazwyczaj i bardziej obfite resztki. Chciała, by i oni, ci poczciwi ludzie, także coś przy tej uroczystej okazji skorzystali...

Któregoś wieczoru, gdy mały znów się spóźniał, pewien otyły stangret, cynik i złodziejasek, który nie ominął żadnego z tych zebrań, widząc, że Eugenia się niepokoi, zagadał do niej:

– Przestań się dręczyć... Ten twój pedał zaraz przyjdzie.

Eugenia wstała i cała się trzęsąc, ryknęła:

– Coś ty powiedział? Pedał? Ten cherubinek? Powtórz to jeszcze raz! A zresztą, jeśli temu dziecku to sprawia przyjemność... Jest na to wystarczająco piękny... jest wystarczająco piękny do wszystkiego, zapamiętaj to sobie!

– Oczywiście, że pedał... – odparował stangret z obleśnym uśmiechem. – Zapytaj o to hrabiego Hurota, dwa kroki stąd, przy ulicy Marb...

Nie zdążył dokończyć... Siarczysty policzek przerwał mu w pół słowa.

W tym momencie mały pojawił się w drzwiach... Eugenia podbiegła do niego:

– Och, mój najmilszy... moje kochanie... chodź szybciotko... Nie zostawaj ani chwili z tymi łobuzami.

Ja jednak przypuszczam, że ten gruby stangret mówił prawdę.

William często mi opowiadał o Edgarze, sławnym forysiu barona Borgsheima. Był ogromnie dumny, że znał Edgara osobiście, i podziwiał go tak samo jak generała Cassagnaca. Edgar i Cassagnac – ci dwaj budzili w nim największy zapał i sądzę, że nie byłoby bezpiecznie zażartować z któregoś nich przy Williamie, a nawet dyskutować z nim na ich temat. Kiedy wracał późną nocą, mówił mi, chcąc się usprawiedliwić: „Byłem z Edgarem”. Jakby spędzanie czasu z Edgarem było nie tylko wystarczającym usprawiedliwieniem, ale i powodem do dumy!

– Dlaczego nie sprowadzisz go nigdy na kolację? Chciałabym wreszcie zobaczyć na własne oczy tego słynnego Edgara – spytałam któregoś dnia.

William zgorszył się tym pomysłem i zapewnił mnie wyniośle:

– No, wiesz!... Więc ty sobie wyobrażasz, że Edgar zgodziłby się jeść obiad ze zwykłą służbą?

To właśnie od Edgara zapożyczył William ten niezrównany sposób glansowania meloników, nadawania im nieprawdopodobnego wprost połysku. A pewnego razu na wyścigach w Auteuil zaczął Edgara młody markiz de Plérin.

– Powiedz mi, Edgarze – błagał markiz – jak to się dzieje, że twój melonik tak wspaniale się błyszczy?

– Mój melonik, panie markizie? – odpowiedział Edgar, któremu to bardzo pochwaliło, bo młody Plérin, choć kradł na wyścigach i oszukiwał w grze w karty, był w owych czasach jedną z najsłynniejszych osobistości paryskiego światka. – To bardzo proste... i łatwe do osiągnięcia, ale trzeba znać sposób...

Polega on na tym: każdego ranka każe biegać memu służącemu przez piętnaście minut... Poci się wtedy, nieprawdaż? A w pocie jest oliwa. Fularem z bardzo cienkiego jedwabiu służący zbiera pot z czoła i glansuje nim moje meloniki. A potem lekko przeciąga po nich żelazkiem... Ale trzeba, żeby to był czysty i zdrowy mężczyzna... najlepiej szatyn... bo pot blondynów nieraz za mocno pachnie... i nie każdy się nadaje... W zeszłym roku udzieliłem tego przepisu księciu Walii.

A kiedy młody markiz de Plérin, dziękując Edgarowi, ukradkiem uściskał mu rękę, tamten dorzucił poufnie:

– Proszę obstawić Baladera... siedem do jednego. Wygra z pewnością, panie markizie.

Doszło doprawdy do tego – bardzo mnie śmieszy, kiedy dziś o tym myślę – że i ja, ja sama, także czułam się pochlebiona stosunkami Williama. Dla mnie Edgar stał się kimś godnym podziwu, kimś równie niedostępnym jak cesarz niemiecki... Victor Hugo... Paul Bourget... no, sama już nie wiem, kto jeszcze... Więc dlatego myślę, że będzie dobrze, jeśli opiszę zgodnie z tym, co mi William opowiadał, tę postać więcej niż sławną: historyczną.

Edgar urodził się w Londynie w straszliwej speluncie. Matką przy porodzie miotła pijacka czkawka. Zaczął łązikować jako całkiem mały chłopiec... żebrał, kradł, poznał, co to więzienie. Nieco później, ponieważ miał odpowiedni wzrost i wagę, a prócz tego podejrzaną skłonność, zwerbowano go i zrobiono gramem, i gdy już zdążył się otrząsać z przebiegłością, chciwością, drapieżnością – słowem z wszelkiego typu przywarami, typowymi dla służby zatrudnionej we wspaniałych posiadłościach – szybko przeszedł do stadniny w Eaton, gdzie zrobiono z niego *lad*. W Eaton chodził, pyszniąc się i pusząc, w szkockiej dżokejce, w kamizelce w żółte i czarne prążki; nosił jasne spodnie, bufiaste na biodrach, ciasno opięte wokół łydek, a przy kolanach wyraźnie sfałdowane... Ledwie dorósł, a już przypominał wyglądem starego człowieczka o zwiotczałych kończynach, pomarszczonej twarzy, skórze pożółkłej na skroniach, pałającej czerwienią na policzkach. Zmięte usta wykrzywiały brzydki grymas; włosy, przeredzone, tłuste, układał nad uszami w misterne fale. W środowisku, które wpada w zachwyty, gdy tylko poczuje smród końskiego łajna, Edgar nie był już kimś anonimowym jak byle chłop czy robotnik – był niemal dżentelmenem.

W Eaton zgłębił wszystkie tajniki swojego zawodu. Wiedział, jak należy dbać o drogocenne konie, jak powinno się ich doglądać, gdy zachorują, znał wszystkie szczegóły i zawiłości stroju, który tym koniom przysługuje w zależności od maści; wiedział, jak trzeba je obmywać, szczotkować w specjalny sposób, wiedział, na czym polega umiejętny pedikiur i pomysłowy makijaż... tymi zabiegami bowiem podnosi się wartość i dodaje piękności zwierzętom przeznaczonym do udziału w wyścigach... jak kobietom przeznaczonym do miłości... W różnych barach poznał ważnych, będących w cenie dżokejów, sławnych trenerów i brzuchatych baronetów, fałszywych diuków, zwykłych szarlatanów – którzy byli śmietanką tej mierzwy i kwiatem końskiej gnojówki. Edgar pragnął zostać dżokejem, bo już umyślił sobie, jakie to interesy mógłby przy tym robić. Ale niestety rozrósł się. I choć nogi miał nadal chude i pałakowate, to jednak urósł mu brzuch... Za dużo ważył. Więc nie mogąc przywdziać dżokejskiego fracza, zdecydował się na liberię stangreta...

Dzisiaj Edgar ma czterdzieści trzy lata. I jest jednym z pięciu czy sześciu angielskich, włoskich czy francuskich forysiów, o których mówi się z zachwytem w eleganckim świecie. Jego nazwisko zamieszcza się w pismach sportowych, a nawet w rubryce wydarzeń codziennych gazet i pism literackich. Jego

obecny pan, baron Borgsheim, jest z niego dumny, może nawet bardziej dumny z Edgara niż ze swej sławetnej kombinacji finansowej, która zrujnowała sto tysięcy dozorców. Nadymając się, mówi: „Mój foryś” – tonem bezwzględnej wyższości, niczym jakiś kolekcjoner obrazów mówiący: „Mój rubens”. I rzeczywiście ma powód do dumy, szczęściarz z tego barona, gdyż odkąd ma Edgara, wiele zyskał na dostojności i szacunku. To Edgarowi zawdzięcza wejście do elitarnych, nieprzekupnych salonów, czego długo i daremnie pożądał... I dzięki Edgarowi udało mu się w końcu przełamać wszelkie towarzyskie opory, przesady wobec rasy, do której należy... W klubie mówiono o sławnym „zwycięstwie barona nad Anglikami”. Anglicy odebrali nam Egipt.. ale baron odebrał Anglikom Edgara... i to przywróciło równowagę. Gdyby baron podbił Indie, nie mógłby być bardziej oklaskiwany... Taki wielki podziw nie może się jednak obyć bez potężnej zazdrości. Chciano baronowi wydrzeć Edgara, więc odbywały się wokół niego przeróżne intrygi i machinacje, przekupstwa i zaloty, niczym wokół pięknej kobiety. Co zaś do gazet, to w swym pełnym szacunku entuzjazmie zabrnęły tak daleko, że nie można się już było dokładnie połapać, o kogo właściwie chodzi, który z nich, Edgar czy baron, jest wspaniałym forysiem, a który wybitnym finansistą. Obaj rozplłynęli się, złączyli w jedno we wspólnej glorii.

Jeśli zechcecie choć raz jeden, wiedzeni ciekawością, wmieszać się w ten arystokratyczny motłoch, to z pewnością napotkacie Edgara, ponieważ Edgar stanowi jedną z najpopularniejszych i najcenniejszych ozdób tego właśnie motłochu. Jest to mężczyzna średniego wzrostu, bardzo brzydki ową ośmieszającą brzydota Anglików, z przesadnie długim nosem, dwukrotnie haczykowato zakrzywionym, przypominającym równocześnie nosy semickie i nosy burbońskie. Przykrótkie, wywinięte wargi odsłaniają czarne dziury w spróchniałych zębach. Jego cera, w zasadzie jasna, przybrała z wiekiem różne odcienie żółci i tylko na wystających kościach policzkowych ożywiają ją jaskrawoczerwone plamy. Nie jest gruby, jak to obowiązuje stangretów w staroświeckim stylu, ma jednak dostateczną wagę, by warstwa tłuszczu mogła pokryć gminne, prostackie guzy, co deformują tu i ówdzie jego kościec. Chodzi, podrygując, wypinając lekko tors i trzymając łokcie w przepisowej odległości od ciała. Gardzi modą, chciałby ją raczej sam narzucać tym, którzy ją narzucają innym, wobec tego ubiera się bogato i fantazyjnie. Nosi granatowy redingot o jedwabistych wyłogach z mory, zbyt obcisły i za nowy, za jasne spodnie angielskiego kroju, krawaty zbyt białe, ozdoby za duże, chusteczki za mocno wyperfumowane, buty zanadto błyszczące, meloniki zbyt lśniące... Och, od jak dawna młodzi strojniesz zazdroszczą Edgarowi tego niespotykanego połysku, jakim lśnią jego nakrycia głowy!

Każdego ranka o godzinie ósmej Edgar wysiada ze swego automobilu przed pałacykiem barona. Ma na sobie krótki jak marynarka, jasnobezowy płaszcz z ogromną żółtą różą w butonierce i mały melonik na głowie. Czyszczenie koni właśnie się kończy. Obrzuciwszy podwórze niechętnym spojrzeniem, wchodzi do stajni i rozpoczyna inspekcję, za nim posuwa się stajenny, pełen szacunku i niepokoju... Nic nie zdoła ujść podejrziwym, rzucanym spod oka spojrzeniom: wiadro nie na swoim miejscu, plama na uprzęży, rysa na srebrnych lub miedzianych ozdobach... Gdera, unosi się, grozi zaflegmionym głosem, bo w płucach rzezi mu wczorajszy szampan, jeszcze niestrawiony. Zagląda do każdego boksu i ręką w białej rękawiczce przesuwając pod włos po grzbiecie, po szyi, po brzuchu, po nogach każdego konia. Jeśli dostrzeże najmniejszy ślad brudu, sztorcuje stajennego, wyrzuca z siebie stek rynsztokowych słów i obelżywych przekleństw, którym towarzyszy burza wściekłych gestów. Następnie sprawdza szczegółowo końskie kopytka, wacha owies w marmurowych żłobach, bada podściółkę, długo studiuje kształt, kolor i gęstość końskiego łajna, a to łajno nigdy nie jest takie, jakby sobie tego życzył.

– To ma być łajno? To? Do pioruna! A może to łajno dorożkarskiego konia, wtedy zgoda!... Jeśli jutro będzie takie samo, każę ci je zjeść, ty brudna szelmo!

Niekiedy pojawia się w stajni pan baron, szczęśliwy, że może porozmawiać ze swoim forysiem. Edgar ledwie dostrzega obecność swego pana. Na jego pytania, zresztą bardzo nieśmiało, odpowiada krótko. Nigdy nie mówi: „Panie baronie”. Odwrotnie, to baron chętnie by się do niego zwracał: „Panie stangrecie”. Zresztą w obawie, by nie zirytować Edgara, nie zostaje długo i wycofuje się dyskretnie.

Po ukończonym przeglądzie stajen, wozowni, komórek na siodła, po wydaniu poleceń brzmiących jak komenda wojskowa, Edgar wsiada znowu do swego automobilu i szybko jedzie na Pola Elizejskie, gdzie najpierw zatrzymuje się na chwilę w małym barze pełnym ludzi z wyścigów, tippsterów o lisich pyszczkach, którzy sączą mu do uszu tajemnicze słowa i pokazują poufne telegramy. Resztę przedpołudnia poświęca na odwiedzanie dostawców oraz handlarzy koni i prowadzi z nimi rozmowy w takim oto stylu:

- No, jak tam, master Edgar?
- No, jak tam, master Poolny?
- Mam kupca na przyprzężnego gniadosza pana barona.
- Nie jest do sprzedania.
- Pięćdziesiąt funtów dla pana.
- Nie.
- Sto funtów, master Edgar.
- Zobaczymy, master Poolny...
- To jeszcze nie wszystko, master Edgar.
- No, co tam jeszcze, master Poolny?
- Mam dwa wspaniałe kasztany dla pana barona.
- Nie są nam potrzebne.
- Pięćdziesiąt funtów dla pana.
- Nie.
- Sto funtów, master Edgar.
- Zobaczymy, master Poolny.

W osiem dni później Edgar zajeździł umiejętnie, ani za dużo, ani za mało, przyprzężnego gniadosza, potem udowodnił baronowi, że trzeba się tego konia pozbyć jak najszybciej, sprzedał więc gniadosza Poolny’emu, a ten z kolei sprzedał Edgarowi dwa wspaniałe kasztany. Poolny tak wykombinuje, że najpierw wyśle gniadosza na trzy miesiące gdzieś na zieloną trawkę, a za dwa lata... kto wie czy nie odsprzeda go znów baronowi.

W południe Edgar kończy służbę. Wraca na obiad do własnych apartamentów przy ulicy Euler, ponieważ nie mieszka u pana barona i nigdy nie powozi jego zaprzęgiem. Ulica Euler – mieszkanie na parterze, całe wyściełone pluszami i haftami w stonowanych kolorach, a na ścianach porozwieszane angielskie ryciny: polowania, sławni forysie, portrety księcia Walii w przeróżnych pozach, jeden nawet z dedykacją. Łaski, bicze, strzemiona, rogi myśliwskie zostały rozmieszczone na osobnej ścianie, w ściśle określonym porządku, niczym rycerska zbroja. Pośrodku owej ściany, między dwoma złożonymi

filarami, wznosi się potężnych rozmiarów popiersie królowej Wiktorii, wykonane z polichromowanej terakoty. Beztroski, wciśnięty w granatowy redingot, w nakryciu głowy, które z daleka rzuca blask niczym latarnia morska, Edgar przez resztę dnia zajmuje się własnymi interesami i własnymi przyjemnościami. Prowadzi rozliczne interesy, bo jest cichym współnikiem kasjera pewnego stowarzyszenia, cichym współnikiem bukmachera i fotografa specjalizującego się w zdjęciach koni, a poza tym posiada trzy konie, które trenuje w Chantilly. Co zaś do przyjemności, to i w tej dziedzinie Edgar nie próżnuje: najszynniejsze damulki Paryża dobrze znają w okresie posuchy drogę na ulicę Euler i wiedzą, że tam zawsze się dla nich znajdzie filiżanka herbaty i pięć ludwików.

Wieczorem Edgar przebiera się we frak ozdobiony jedwabnymi wyłogami, w którym wygląda bardzo przepisowo, i pokazawszy się najpierw w Ambasadorze, w Cyrku, w Olimpii, udaje się wreszcie do knajpy Starożytna, by tam w towarzystwie stangretów, co wyglądają na dżentelmenów, i dżentelmenów, co wyglądają jak stangreci, popijać ile wlezie przez resztę nocy...

Ilekcioć William opowiadał mi którąś z tych historyjek, kończył ją zawsze i nieodmiennie takim oto zdaniem:

– Och, ten Edgar! O nim można bez wahania powiedzieć: tak, to prawdziwy mężczyzna!

Moi państwo należeli w Paryżu do tak zwanego wielkiego świata; to znaczy, pan pochodził ze szlacheckiego rodu i nie miał grosza przy duszy, a o rodzinie pani niewiele się wiedziało. Jednak na temat jej pochodzenia krążyło wiele opowieści, jedna gorsza od drugiej. William, który znał masę plotek z życia wyższych sfer i świetnie się w tych sferach orientował, utrzymuje, że pani jest córką dawnego stangreta i byłej panny służącej; ci ludzie zdołali sobie uciuć skromny kapitalik, głównie dlatego, że on dostawał duże napiwki, a ona się puszczała... Potem, już z tymi pieniędzmi, osiedlili się w jakiejś zakazanej dzielnicy Paryża i zajęli się lichwą. Tym sposobem bardzo szybko doszli do wielkiej fortuny, przy czym pożyczali forsy przeważnie kokotom i służbie domowej. Para szczęściarzy, nie ma co!...

Prawdę mówiąc, moja pani, mimo bardzo ładnej buzi i pozornej elegancji, miała dziwne maniery i prostackie nawyki, co mnie ogromnie raziło. Ta świntucha lubiła na przykład gotowaną wołowinę, kapustę ze słoniną... i zwyczajem dorożkarzy dolewała sobie do zupy czerwonego wina. To był dopiero dla niej prawdziwy przysmak. A w kłótniach z mężem zapominała się tak dalece, że krzyczała: „Gówno!”. Widać złość wydobywała na wierzch resztki rodzinnego błotka, z których nie zdążyła jej obmyć bardzo jeszcze świeża elegancja i wykwent; widać to bagno bulgotało w niej nadal niczym brudna piana, wylewało się w słowach... och, w jakich słowach... Nawet ja, nie będąc przecież damą, wstydzę się takich słów używać i gdy wyrwą mi się mimo woli, zawsze tego żałuję. W ogóle ludzie nie zdają sobie sprawy, ile kobiet o twarzach aniołków, o oczach jak gwiazdy, w sukniach po trzy tysiące franków, zachowuje się we własnym domu strasznie, plugawo i wulgarnie, używa grubiańskich słów, ordynarnie gestykuluje, niczym zwyczajne dziwki!...

– Wielkie damy są jak sosy z najlepszych kuchni – mówił William – nie należy patrzeć, jak się je przyrządza... Nikt by ich potem nie chciał tknąć...

William umiał takimi powiedzonkami odzierać rzeczy z uroku. Ale ponieważ był jednak szarmanckim mężczyzną, więc objąwszy mnie wpół, oświadczył:

– A taki kotek jak ty, choć nie zaspokaja w pełni próżności kochanka... mimo to bardziej się liczy.

Muszę powiedzieć, że pani całą złość i ordynarne wymysły skrupiałała zawsze na panu. W stosunku do nas, powtarzam, była raczej nieśmiała...

I jeszcze jedno: w tym okropnym bałaganie, który panował w całym domu, przy tym nieopisanym, wprost nieprzyzwoitym marnotrawstwie, na które łatwo się godziła, pani potrafiła całkiem nieoczekiwanie wykazać niepojęte, bezsensowne skąpstwo. Potrafiła targować się z kucharką o dwa grosze przy każdej główce sałaty, oszczędzała na praniu kuchennych ścierek, cofała się na widok rachunku opiewającego na trzy franki i nie spoczęła, póki nie uzyskała umorzenia piętnastu franków opłaty kolejowej za wysłanie jakiejś paczki, prowadząc w tej sprawie niekończącą się korespondencję i składając bez przerwy zażalenia lub sprostowania. Za każdym razem, gdy wynajmowała powóz, dochodziło do ordynarnych kłótni z woźnicą, któremu nie tylko nie dawała napiwków, ale jeszcze próbowała go naciągnąć. Co nie przeszkadzało, że wszędzie rozrzucała pieniądze, biżuterię i klucze: walały się na parapetach, na kominkach, na meblach. Niszczyła ot tak sobie najkosztowniejsze suknie, najdelikatniejszą bieliznę, pozwalała się bezczelnie wyzyskiwać dostawcom różnych zbytkownych drobiazgów. Akceptowała bez zmrużenia oka każdy rachunek starego kamerdynera, podobnie zresztą jak pan – każdy rachunek Williama. A przecież Bóg jeden wie, ile w nich było szalbierstwa. Niekiedy mówiłam Williamowi:

– Nie, daj już spokój... Za dużo kradniesz... To ci nie ujdzie na sucho... Kiedyś za to zapłacisz.

Na co William, spokojny i niewzruszony, odpowiadał:

– Nie zawracaj głowy... wiem, co robię... i jak daleko mogę się w tym posunąć. Gdy się ma takich głupich państwa jak ci nasi, byłoby zbrodnią nie wykorzystać tego.

Ale nie dorobił się, biedaczek, na ciągłych kradzieżach, bo mimo niezawodnych, poufnych informacji, których mu zawsze udzielano, przegrywał na wyścigach i pana pieniądze powiększały tylko majątek bukmacherów.

Moi państwo pobrali się pięć lat temu. Z początku dużo bywali, utrzymywali światowe stosunki, przyjmowali u siebie, wydawali kolacje. Potem, powolutku, zaczęli ograniczać zarówno wizyty u innych, jak i przyjęcia u siebie, bo – jak publicznie głosili – byli o siebie nawzajem zazdrośni. Pani zarzucała panu, że flirtuje z kobietami, pan zaś karciał panią, że ciągle zerka na mężczyzn. Kochali się bardzo, to znaczy kłócili się ze sobą całymi dniami, jak przeciętne, drobnomieszczańskie małżeństwo. A prawda wyglądała tak: pani nie powiodło się w wielkim świecie, jej maniery stały się powodem wielu afrontów. Pani więc miała panu za złe, że nie potrafił narzucić swemu otoczeniu jej osoby, a pan miał jej za złe, że go ośmieszała przed przyjaciółmi. Nie przyznawali się do tych gorzkich uczuć i doświadczeń, uznawszy, że prościej złożyć owe swary na karb miłości.

Każdego roku, w połowie czerwca, wyjeżdżali na wieś do Turenii, gdzie pani posiadała wspaniałą, jak się zdaje, zamek. Wtedy powiększali służbę o stangreta, dwóch ogrodników, młodszą i dziewczynę folwarczne. Na wsi mieli krowy, pawie, kury, króliki... Ile szczęścia! William opowiadał mi szczegółowo o życiu, jakie tam wiedli, ale mówił to cierpko, gderliwie. Nie lubił życia na wsi; wśród łąk, drzew i kwiatów straszliwie się nudził. Naturę mógł znieść, tylko przesiadując po w barach, na polu wyścigowym, wśród bukmacherów i dżokejów. Był w każdym calu, od stóp do głów, paryżaninem.

– Czy znasz coś równie idiotycznego jak kasztan? – mówił mi często. – Spójrz na Edgara... jest

przecież naprawdę szykownym mężczyzną, mężczyzną dużej klasy... i co, może myślisz, że kocha wieś?

Odpowiadałam z zapałem:

– Och, nie ma jak kwiaty na rozległej łące. A ptaszki...

William szydził:

– Kwiaty? Są piękne jedynie na kapeluszach i u modystek. A ptaszki? Lepiej nie mówić. Przeszkadzają rano spać. O nie, nie! Mam już po uszy tej wsi... Wieś jest dobra dla chłopów.

I prostując się, pełen godności, kończył z dumą:

– Ja potrzebuję sportu... Ja nie jestem chłopem... ja jestem sportsmenem...

A mnie wieś uszczęśliwia, więc niecierpliwie oczekiwałam czerwca. Och, te rumianki na łąkach, wąziutkie ścieżki, a nad nimi drżące liście na drzewach, ptasie gniazdeczka ukryte w kępach bluszczu, w załomach starych murów. A słowiki w księżycowe noce, a miłe pogwarki, gdy trzymając się za ręce, przycupnie się z kimś na ocembrowaniu studni porośniętej mchem... spowitej w kapryfolium... A te miski pełne mleka, parujące świeżością, i wielkie słomkowe kapelusze... a kurczaki... a nabożeństwa w wiejskich kościółkach... a kołyszące się dzwony... tak to wszystko mnie wzrusza, czaruje i chwyta za serce, jak te prześliczne romanse, co je śpiewają w niektórych kawiarniach.

Bo ja, choć lubię się śmiać i żartować, mam poetyczną duszę. Starzy pasterze... siano suszy się na łące... ptaszki przeskakują z gałązki na gałązkę... leśne narcyzy, można z nich układać żółte, koliste bukietki... strumyki toczą się z szumem po jasnych kamieniach... piękni chłopcy o rumianych twarzach, nagrzeni słońcem jak winogrona ze starych winnic... piękni chłopcy o mocnych ramionach i potężnych kłatkach piersiowych... Boże, jak mnie to wszystko cudownie rozmarza! A kiedy tak rozmyślam i marzę, staję się na powrót małą dziewczynką... całkiem niewinną i prostą. Niewinność i prostota wypełnia mi duszę i ożywia serce... podobnie jak łagodny deszcz ożywia spalony słońcem, wysuszony wiatrem kwiatuszek.

A wieczorami, czekając w łóżku na Williama, pełna coraz większego zapału, zachwycona świetlistą, radosną przyszłością, która mnie czeka, układam wiersze:

O kwiatka mały,

Braciszku mój!

W toni twej dla mnie

Upojeń zdrój!

I ty, strumyku,

Pagórku, ty!

Drzewko nad wodą,

Co cudnie lśni.

Cóż wam powiedzieć,

W zachwyty czas?

Że wzdycham rzewnie,

Że kocham was!...

I ty, kochanie

Jednego dnia...

Słodki twój urok

Przez wieki trwa...[2]

Gdy William wraca, poezja ulatuje. William przynosi ze sobą ciężki odór baru, a jego pocałunki, zionące dżinem, szybko łamią skrzydła mym marzeniom.. Nigdy nie chciałam mu pokazać tych wierszy. Bo i po co? Śmiałyby się z nich, podobnie jak z uczuć, które je zrodziły... Pewnie by mi powiedział:

– Edgar jest niezwykłym człowiekiem... a czyż on pisze wiersze?

Ale nie tylko z powodu poetyckiej natury oczekiwałam z taką niecierpliwością wyjazdu na wieś. Mój żołądek był mocno zrujnowany długotrwałą nędzą, która dopiero co się skończyła. I rujnowałam go sobie zapewne nadal zbyt obfitym, ciężkostrawnym jedzeniem, szampanem i hiszpańskimi winami, do których picia zmuszał mnie William. Cierpiałam nie na żarty. Często wstając rano z łóżka, czułam, że nogi uginają się pode mną, a głowa boli, jakby kto walił w nią młotem. Rzeczywiście potrzebowałam spokojniejszego trybu życia, żeby się trochę wzmocnić.

Niestety! Widać było mi sądzone, by moje marzenia o szczęściu i zdrowiu raz jeszcze legły w gruzach.

A gównu, jak mawiała pani.

Kłótnie między panem a panią zaczynały się zawsze w pani garderobie i zawsze z jakiejś błahej przyczyny... z niczego. A im bardziej błaha był powód, tym gwałtowniejsze sceny. Gdy już zrzucili z serca gorycz i złość, która długo się w nich gromadziła, dąsali się potem na siebie całymi tygodniami... Pan zamykał się w swoim gabinecie, gdzie stawiał pasjansy i układał na nowo kolekcję fajek, coś tu i ówdzie w niej zmieniając. Pani zaś nie opuszczała wcale sypialni i wyciągnięta wygodnie na kozetce czytała powieści miłosne. Przerывała czytanie jedynie po to, by w zapamiętaniu i ze wściekłością porządkować szuflady i szafy, przy tym wyglądało to tak, jakby je plądrowała. Spotykali się tylko przy posiłkach. Z początku, nie znając jeszcze ich manii, przypuszczałam, że będą ciskali w siebie talerzami, nożami i butelkami. Niestety – nic z tego. Właśnie w takich dniach odnosili się do siebie z wyszukaną uprzejmością, a pani starała się sprawiać wrażenie światowej damy. Rozmawiali o jakichś nieważnych, drobnych sprawach, bardziej ceremonialni, sztywni i chłodni niż zazwyczaj. I na tym koniec... Można by przypuszczać, że jedzą obiad na mieście... Po skończonym obiedzie wstawali od stołu, bardzo godni, po czym każde, z poważną miną i smutkiem w oku, udawało się do swego pokoju... Pani powracała do powieści i szuflad... Pan do pasjansów i fajek. Czasem pan wychodził na godzinę lub dwie do klubu. Ale rzadko... No i zawzięcie korespondowali ze sobą, ciągle wręczali mi sekretniki w kształcie serca lub gołąbka, bez przerwy musiałam je nosić od jednego do drugiego... Całymi dniami, niczym listonosz, biegałam z pani sypialni do gabinetu pana, roznosząc kategoryczne warunki... groźby... błagania... przeprosiny i łzy. Można było umrzeć ze śmiechu.

Po upływie kilku dni dochodzili do porozumienia i godzili się ze sobą bez żadnych widocznych powodów, tak jak poprzednio wdawali w kłótnie również bez powodu. Rozlegały się szlochy i krzyki:

„Ach, ty niegodziwy!”, „Ach, ty niegodziwa!” i „To już skończone, raz na zawsze... mówię, że skończone”.

Wychodzili z domu, by uczcić zgodę małą kolacyjką w restauracji, a rano wstawali bardzo zmęczeni po miłosnej nocy.

Z punktu pojęłam, na czym polega ta komedia, którą przed sobą grali... para nieszczęsnych kabotynów... a kiedy grozili, że się rozejdą, bardzo dobrze wiedziałam, że nie mówią tego poważnie. Byli do siebie przykuci. On własnym wyrachowaniem, ona próżnością. Pana trzymały przy pani jej pieniądze, pani uczepiła się jego nazwiska i tytułu. Ale ponieważ w głębi duszy nienawidzili się, choćby z tej racji, że w tym związku oboje zostali wystrychnięci na dudka, odczuwali od czasu do czasu przemożną potrzebę zakomunikowania sobie tego, musieli dać upust własnym rozczarowaniom, własnym urazom i własnej pogardzie. Robili to w równie nikczemny i niegodny sposób, jak niegodne i nikczemne były ich dusze.

– No i cóż za pożytek z takiej egzystencji? – powiedziałam kiedyś Williamowi.

– Pożytek dla mnie – odpowiedział William, który w każdej sytuacji umiał znaleźć trafne, mordercze słówko.

I żeby mi natychmiast dać rzeczowy dowód swej racji, wyjął z kieszeni cygaro, które ściągnął panu tegoż ranka... Starannie je przyciął, zapalił z satysfakcją i spokojnie oświadczył, puszczając kłęby wonnego dymu:

– Nie wolno się nigdy skarżyć, moja Celestyno, na głupstwa, które popełniają nasi państwo. Bo to jedyna gwarancja i korzyść, jaką możemy z nich ciągnąć. Im więcej państwo popełniają głupstw, tym służbie jest lepiej. Idź teraz i przynieś mi butelkę wytrawnego szampana.

Wyciągał się wygodnie w fotelu na biegunach; z nogami sterczącymi do góry, z cygarem w gębie i butelką starego martela w ręce zaczął powoli, metodycznie analizować sprawę Autorytetu, przy czym robił to z uprzejmą pobłażliwością:

– Widzisz, moja Celestyno... należy być silniejszym od ludzi, u których się służy... Cała rzecz właśnie na tym polega... Bóg mi świadkiem, że Cassagnac to tęgi chłop, wspaniały mężczyzna... Bóg mi świadkiem, że ogromnie podziwiam tego chłopca i że mam w głowie pełno jego myśli... No, dobrze... staraj się mnie zrozumieć... za nic na świecie nie chciałbym u niego służyć... A to, co mówię o Cassagnacu, odnosi się również do Edgara, tak, do diabła! Służyć u mądrych ludzi, którzy w dodatku „znają się na rzeczy”, to dać się niechybnie wystawić do wiatru, mój głuptasku!

I rozkoszując się cygarem, dorzucił po chwili ciszy:

– Kiedy sobie pomyślę, że istnieją wśród służby ludzie, którzy przez całe życie szkalują swych państwa, robią im na złość, odgrażają się... Cóż to za prostacy! Jak sobie pomyślę, że są wśród nich i tacy, co chcieliby nawet swych państwa zabić... Zabić? A co potem? Czyż zabija się krowę, która daje nam mleko, owcę, która daje wełnę? Doi się krowę... strzyże się owcę... umiejętnie... łagodnie...

I pogrążył się w rozmyślaniach o tajemnicach i zagadkach konserwatywnej polityki.

Przez cały ten czas Eugenia krążyła po kuchni, zakochana, słaniająca się z miłości. Wykonywała swe czynności całkiem machinalnie, jak przez sen, bujając gdzieś wysoko, z dala od zajęć, z dala od nas, z dala od siebie samej. Miała nieobecne spojrzenie, a jej wargi szeptały bezustannie słowa bolesnego uwielbienia:

– Te twoje usteczka... te twoje rączki... te twoje wielkie oczy...

Wszystko to razem zasmucało mnie i często, sama nie wiem dlaczego, doprowadzało do płaczu... Tak, ten dziwaczny dom wydierał z siebie czasem trudną do określenia, niepochwytą melancholię, a wówczas wszyscy jego mieszkańcy: stary, milczący kamerdyner, William, nawet ja sama, sprawiali wrażenie posępnych istot, pozbawionych życia, niczym jakie zjawy.

Lecz ostatnia kłótnia, przy której byłam obecna, wydała się nadzwyczaj komiczna.

Pewnego ranka pan wszedł do gotowalni, gdzie pani przymierzała z moją pomocą nowy gorset. Okropnie brzydki, satynowy gorset, koloru lilaróż, przybrany żółtymi kwiatuskami, ściągany na żółte, jedwabne sznurowadła. Pani nigdy nie grzeszyła dobrym gustem.

– A to co znowu – odezwała się nagle moja pani tonem żartobliwego wyrzutu – to tak się wchodzi do kobiet, bez pukania?

– Och, zaraz do kobiet? – zaświergotał pan. – Zresztą, ty nie jesteś kobietą.

– Ja nie jestem kobietą? Więc czymże jestem?

Pan złożył usta w ciup – Boże, ale miał głupią minę! – i bardzo czule, a raczej udając czułość, zapewnił:

– Ależ ty jesteś moją żoną... moją żoneczką... moją śliczną żoneczką. Myślę, że to jest w porządku, gdy wchodzę bez pukania do mojej żoneczki?

Ilekcóż pan udaje zakochanego i robi z siebie idiotę, z całą pewnością chce od pani wyłudzić pieniądze...

A pani, ciągle nieufna, odpowiedziała:

– Nie, to nie jest w porządku...

I mizdrząc się, ciągnęła dalej:

– „Moja żoneczką... moja żoneczką...” To nie jest wcale takie pewne, że jestem twoją żoną...

– Jak to?... To nie jest takie pewne?

– No cóż, nic nie wiadomo. Mężczyźni są tacy dziwni...

– Przecież ci powiedziałem, że jesteś moją żoneczką... moją jedyną, kochaną żoneczką... Och!

– A ty... moim bobaskiem... moim dużym bobaskiem... jedynym, dużym bobaskiem twojej małej żonusi... Tak!

Sznurowałam dalej gorset, a ona przeglądała się w lustrze, dotykając ręką kępek włosów pod pachami, na przemian to jednej, to drugiej. Chciało mi się śmiać. Ale mi obrzydła ta „moja żonusi” i ten „mój bobasek”! Jakie mieli głupie miny!

Znalazłszy się w garderobie, pan popodnosił z ziemi halki, pończochy, ręczniki, poprządał szczotki do włosów, a potem wziął jakiś magazyn mód, który poniewierał się na toalecie, i zasiadł z nim na pluszowym pufie. Spytał:

– Jest tu jakiś rebus?

– Tak, przypuszczam, że jest tam jakiś rebus.

– Już go odgadłaś?

– Nie, jeszcze nie...

– No to popatrzmy, jak ten rebus wygląda...

I podczas gdy pan, zmarszczywszy czoło, pogrążył się w studiowaniu rebusu, pani powiedziała oschle:

– Robercie?

– Co, kochanie?

– Więc niczego nie zauważyłeś?

– Nie, a bo co? W tym rebusie?

Wzruszyła ramionami i zacięła wargi.

– Oczywiście, tobie chodzi tylko o rebus... A więc niczego nie zauważyłeś?... Zresztą ty nigdy niczego nie zauważasz...

Pan zaczął uważnie rozglądać się po pokoju, wodził wybałuszonymi, ogłupiałymi oczami od sufitu do podłogi, od toaletki do drzwi...

– Do diabła, nic nie widzę. O co ci chodzi? Czy przybyła tu jakaś nowa rzecz, której nie zauważyłem? Nic nie dostrzegam, daję słowo honoru!

Pani posmutniała i tylko jęknęła:

– Robercie, ty już mnie nie kochasz...

– Jak to, nie Kocham? Nie, tego już za wiele! Coś podobnego!

Wstał i machając żurnalem, powtórzył:

– Jak to, ja cię nie Kocham? Oto mi pomysł! Dlaczego tak mówisz?

– Nie, ty mnie już nie kochasz... bo gdybyś mnie jeszcze kochał... zauważyłbyś coś...

– Ale co?

– No, wiesz!... Zauważyłbyś mój gorset...

– Jaki gorset? Ach, tak... ten gorset... No, po prostu... rzeczywiście go nie zauważyłem... Co za głupiec ze mnie!... Ale wiesz, on jest prześliczny... zachwycający...

– To teraz tak mówisz... i zdrowo sobie ze mnie pokpiwasz. Ale ja jestem niemądra! Wysilałam się i meczę... żeby pięknie wyglądać... żeby wynaleźć rzeczy, które mogą ci się spodobać... A ty nic sobie z tego nie robisz... Zresztą, kim ja dla ciebie jestem?... Nikim... mniej niż nikim... Wchodzisz tu i co dostrzegasz? Ten wstrętny żurnal! A czym się interesujesz?... Rebusem!... Och prowadzę piękne życie przy tobie, nie ma co! Nikogo nie widzujemy... nigdzie nie bywamy... żyjemy jak na odludziu, jak wilki... jak nędzarze...

– Opamiętaj się, opamiętaj się, proszę cię... nie wpadaj w złość... Opamiętaj się! Dlaczego od razu jak biedacy?

Chciał się zbliżyć do pani, objąć ją wpół... pocałować... Ale ona zirytowała się. Odepchnęła go szorstko:

– Nie, daj mi spokój. Drażnisz mnie...

– Kochanie... Opamiętaj się... Żoneczko...

– Drażnisz mnie, słyszysz?... Zostaw mnie... Nie zbliżaj się... Jesteś wielkim egoistą... wielkim mazgajem... Niczego nie umiesz dla mnie zrobić... Wstrętny z ciebie typ... słyszysz?

– Dlaczego tak do mnie mówisz?... To szaleństwo. Opamiętaj się... Nie zachowuj się w ten sposób...

No, dobrze już, dobrze... Więc zawiniłem... Powiniennem od razu spostrzec ten gorset... ten prześliczny gorset... Jak mogłem go od razu nie zauważyć? Sam tego nie pojmuję!... Spójrz na mnie... uśmiechnij się. Boże, jaki on jest śliczny... i jak ci w nim do twarzy...

Pan zanadto napierał... i przesadził. Ja sama czułam, że przebiegają po mnie ciarki, ja, której przecież ich kłótnia nie dotyczyła. Pani tupnęła nogą w dywan i coraz bardziej się denerwowała; zaciskała dłonie i zaczęła pobladłymi ustami mówić bardzo szybko, kładąc nacisk na każde słowo:

– Drażnisz mnie... drażnisz mnie... drażnisz mnie... Mówię jasno? Wynoś się stąd!

Pan nadal coś bełkotał, ale zdradzał już oznaki desperacji:

– Kochanie... To nie ma sensu... O jakiś gorset... Co to ma do rzeczy... Zastanów się, kochanie... Spójrz na mnie... uśmiechnij się do mnie... Czy to mądrze sprawiać sobie tyle bólu z powodu jakiegoś gorsetu...

– Przestań w końcu mendzić... – bluznęła pani głosem rozjuszonej praczki. – Przestań mendzić... Idź precz!...

Skończyłam sznurowanie... i wstałam z podłogi właśnie przy tych słowach... zachwycona, że mogę przyjrzeć się ich duszom uwolnionym z osłonek... i zmusić ich potem, by się mnie wstydzili... Zdawali się w ogóle nie pamiętać, że tu jestem. Pragnąc doczekać końca tej sceny, zrobiłam się całkiem malutka i cichutka jak myszka.

Pan, który długo trzymał się w ryzach, teraz wściekł się nie na żarty. Zwinął zurnał w gruby rulon i z całych sił cisnął nim w toaletkę, krzycząc przy tym:

– Ani myślę!... Cóż do licha! Ja też mam już tego dość... Stale jedno i to samo. Cokolwiek zrobię, cokolwiek powiem, zawsze się mnie traktuje jak psa. I stale te chamstwa, te grubiaństwa... Mam już dość takiego życia... Mam po uszy tych twoich manier przekupki. Chcesz, żebym ci powiedział prawdę? Ten gorset... no więc, ten twój gorset jest ohydny... To gorset w sam raz dla dziwki z domu publicznego...

– Nędzniku!

Z okiem nabiegłym krwią, z pianą na ustach, z zaciśniętymi pięściami zbliżyła się do pana i zaczęła mu wygrażać. Wpadła w taką furję, że słowa więzły jej w gardle... z ust dobywała się chrypiąca czkawka...

– Nędzniku! – ryknęła wreszcie. – Ty śmiesz się tak do mnie odzywać, ty? Ty? Nie, to niesłychane! Ale jak go wyciągałam z błota, tego lalusia, tego golca... gdy tonął w haniebnym długach... skompromitowany w towarzystwie... kiedy go uratowałam od nędzy... wtedy nie stawiał się tak... nie był taki dumny! Chodzi ci o nazwisko, prawda? O tytuł? Och, twoje nazwisko i tytuł były tak nieskalane, że żaden lichwiarz nie zgodziłby się za nie wypłacić nawet pięciu su... Możesz je sobie zabrać z powrotem, to twoje nazwisko, i podtrzeć się nim... On mi będzie mówił o godności... o swoich przodkach... Wielki mi pan, którego sobie kupiłam i którego utrzymuję. W porządku... ale pan szlachcic nie dostanie ode mnie już nic... ani grosza... Skończyło się... A co do tych twoich przodków, nicponiu... to możesz ich sobie zanieść do lombardu... zobaczysz, czy ci ktoś pożyczy choć grosz za ich żołdackie i lokajskie mordy!... Dość tego, słyszysz?... Nigdy już... przenigdy! Wracaj, oszuście, do swoich szulerni... i do swoich dziwek, rajfurze!

Och, jakaż była straszna! Nieśmiały, drżący, rzucając pokorne spojrzenia, pan cofał się, przygarbiwszy plecy, pod tym potokiem plugastwa... Gdy dotarł już do drzwi, spostrzegł mnie nagle i... uciekł, a pani krzyczała jeszcze za nim na cały korytarz przerażającym, coraz bardziej schrypniętym głosem:

– Alfons... nędzny alfons!

Potem padła na swoją kozetkę, powalona gwałtownym atakiem nerwowym, który udało mi się wreszcie uśmierzyć, podając jej do wążania eter... zużyła cały flakon.

I znów pani zajęła się czytaniem romansów i porządkowaniem szuflad. A pan pograżył się bardziej niż kiedykolwiek w układaniu skomplikowanych pasjansów i przemieszczaniu kolekcji fajek. A potem, jak zawsze, zaczęli wymieniać listy. Z początku nieśmiało, z rzadka, w dużych odstępach czasu, lecz niebawem ich korespondencja ożywiła się i nabrała tempa. Ledwo dyszałam od tego ganiań, nosiłam bez przerwy z sypialni do gabinetu i z powrotem ich groźby i zaklęcia w kształcie serduszek i gołąbków... Ale miałam zabawę!

Mniej więcej w trzy dni po opisanej scenie pani, czytając kolejne przesłanie męża, napisane na różowym papierze ze znakiem herbowym, nagle zbladła i spytała mnie, drżąc cała:

– Celestyno? Czy sądzisz naprawdę, że pan chce się zastrzelić? Czy widziałas broń w jego ręku? Mój Boże... a jeśli on się zabije?

Roześmiałam się jej prosto w nos... I ten śmiech, który wybuchnął mimo woli, nabierał siły, potężniał, stawał się coraz gwałtowniejszy. Myślałam, że umrę... że się uduszę tym przeklętym śmiechem, że mnie zadławi, bo rósł we mnie niepowstrzymanie, rozsadzał mi piersi niczym huragan, wypełniając gardło niemożliwą do opanowania czkawką.

Mój śmiech wprowadził panią na chwilę w osłupienie.

– Co to znaczy?... Co ci się stało?... Dlaczego się tak śmiejesz?... Uspokój się wreszcie... Uciszyć się w tej chwili, szkaradna dziewczyno...

Ale nie mogłam, nie zdołałam pohamować chichotu. Między jednym a drugim napadem śmiechu wykrztusiłam tylko:

– Ach, nie, nie mogę... Bo te historie, co je państwo wyprawiają, są zbyt komiczne... zbyt głupie...

Oczywiście jeszcze tego samego wieczoru musiałam opuścić dom i raz jeszcze znalazłam się na bruku.

Psi zawód... Psie życie...

Tym razem to była bardzo dotkliwa strata, ciężki cios, i mówiłam sobie – ale za późno – że już nigdy w życiu nie trafi mi się takie miejsce jak to... Miałam w tym domu wszystko: dobrą pensję, różne dodatkowe dochody, lekką pracę, swobodę, przyjemności... Słowem, żyć nie umierać. Kto inny, nie tak szalony jak ja, mógłby tu uciulać sporo pieniędzy, zaopatrzyć się w niezłą wyprawę ślubną i piękną garderobę, w piękne i eleganckie przedmioty do gospodarstwa. Wystarczyłoby tylko pięciu, sześciu lat i kto wie?... Mogłabym wyjść za mąż, kupić jakiś sklepik, być na własnym, mieć się gdzie schronić przed wyzyskiem i niepowodzeniem, być nareszcie szczęśliwą, być... damą... A teraz musiałam rozpocząć na nowo życie w nędzy, znosić wszelkie obelgi i przeciwności losu... Złościła mnie utrata tego miejsca, byłam wściekła; wściekła na samą siebie, na Williama, na Eugenię, na panią, na cały świat. A jednocześnie, co ciekawe i wprost nie do pojęcia, zamiast starać się zahaczyć, uczepić tej pracy, a nie było to trudne przy takiej pani jak ta, brnęłam coraz dalej we własnej głupocie i odpłaciwszy im za wszystko bezczelnością, sprawiłam, że to, co dałoby się jeszcze naprawić, stało się nie do naprawienia. Przychodzą takie momenty, gdy zaczynają się dziać z nami dziwne rzeczy, które niełatwo zrozumieć. Spada na człowieka jakieś szaleństwo... Nie wiadomo skąd... nie wiadomo po co... i zaczyna toba trząść... podniecać... wywołuje krzyki i stek przekleństw. Ogarnięta takim właśnie szaleństwem,

obrzuciłam panią strasznymi obelgami. Wypomniałam jej ojca i matkę, a przede wszystkim to, że tak głupio okłamuje samą siebie i marnuje własne życie, potraktowałam ją tak, jak nie wolno traktować nawet dziwki, plułam na jej męża. Gdy tylko o tym pomyślę, chwytą mnie przerażenie... i ogarnia wstyd, wstydzę się, że tak łatwo wyłazi ze mnie podłość, że mieszam ludzi z błotem, że często całkiem tracę rozwagę, równowagę umysłu, tracę poczytalność i w takim zapamiętaniu zdolna jestem wszystko zniszczyć, zerwać... posunąć się do zbrodni. Jak to się stało właściwie, że jej wtedy nie zabiłam?... Jak to się stało, że jej wtedy nie udusiłam?... Nie wiem... nic nie wiem... A przecież Bóg widzi, że mimo to nie jestem zła. Teraz patrzę zupełnie innymi oczami na tę nieszczęśliwą kobietę, inaczej widzę jej przetrącone, zmarnowane życie, takie smutne u boku nędznego, tchórzliwego męża... Teraz czuję dla niej bezbrzeżną litość... i pragnę, by znalazła dość sił na rozstanie się z mężem, by wreszcie była szczęśliwa...

Po tej okropnej scenie zbiegłam szybko do kuchni. William czyścił ospale srebra, zaciągając się jednocześnie rosyjskim papierosem.

– Co się stało? – spytał jak gdyby nigdy nic.

– Odchodzę... opuszczam tę budę jeszcze dziś wieczór – sapałam reszką tchu. Ledwie mogłam mówić...

– Jak to, odchodzisz? – mruknął William najspokojniej w świecie. – A dlaczego?

W krótkich zdaniach, urywanym głosem, opowiedziałam całą scenę, jaka rozegrała się między mną a panią. Na mojej twarzy malowało się ogromne poruszenie. William, obojętny i nadal spokojny, wzruszył tylko ramionami:

– Nie, to już doprawdy zbyt wielki idiotyzm... – powiedział. – Nie wolno być aż tak głupią!

– Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– A cóż ja ci mogę więcej powiedzieć? Przecież mówię, że to głupie. Co tu można więcej powiedzieć...

– A ty... co ty zamierzasz zrobić?

Rzucił mi wykrętne, umykające spojrzenie. Szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta. Och, ależ miał wstrętny wzrok w tej strasznej chwili, a jaki podły, jaki szkaradny wyraz ust!...

– Ja? – powiedział, udając, że nie rozumie, jak go błagam, jak modłę się do niego tym pytaniem.

– Tak, ty... Pytam, co zamierzasz zrobić?

– Nic... ja nie mam nic do zrobienia... Chcę tu dalej pracować. Ale z ciebie wariatka, moja droga... Chyba nie myślisz...

Wybuchnęłam:

– Będziesz miał czelność zostać w tym domu, z którego mnie wypędzają?

Wstał, zapalił ponownie papierosa, który zdążył mu zgasnąć, i odezwał się lodowato:

– Och, tylko bez żadnych scen, dobra? Nie jestem przecież twoim mężem... Zachciało ci się palnąć głupstwo... Nie będę za to odpowiadała. Czego się spodziewałaś? Musi się ponosić skutki swego postępowania. Życie jest życiem...

Oburzyłam się:

– A więc mnie rzucasz? Wiesz, jesteś takim samym potworem, taką samą kanalią jak inni... Czy choć

wiesz o tym?

William uśmiechnął się. Był człowiekiem wyższym ponad to.

– Po co mówić rzeczy, które się i tak na nic nie zdadzą? Kiedy żeśmy się zesli... niczego ci nie obiecywałem... Ludzie się spotykają... śpią ze sobą... i tak ma być, tak jest w porządku. A potem się rozchodzą... rozłączają... i to też jest w porządku. Życie jest życiem...

I dodał uroczystym tonem:

– Widzisz, Celestyno... w życiu człowiek musi wiedzieć, jak ma się zachować... trzeba, jak to mówią, mieć głowę na karku... A ty nie umiesz się dobrze zachować... nie masz głowy na karku... Dajesz się ponosić nerwom... A nerwy w naszym fachu to zguba... Zapamiętaj sobie dobrze: życie jest życiem!

Myślę, że byłabym się na niego rzuciła, myślę, że poharatałabym paznokciami jego oschłą, kamienną twarz tchórzliwego fagasa... ale nagle coś we mnie pękło, zalałam się łzami i łzy odprężyły napięte do ostatnich granic nerwy. Opuściła mnie złość, zaczęłam go błagać:

– Williamie... Williamie... mój Williamku... mój drogi Williamku... taka jestem nieszczęśliwa!...

William próbował trochę mnie podnieść na duchu. Trzeba przyznać, że robił to z wielkim przekonaniem, wspierając perswazją własną filozofię życiową. Przez resztę dnia co i raz obsypywał mnie hojnie i wielkodusznie podniosłymi myślami i budującymi sentencjami, przy tym w żadnej z nich nie zabrakło owych słów, co zdążyły mi już z kretesem obrzydnąć, choć na pozór brzmiały kojąco: „Życie jest życiem”.

Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość. W tym ostatnim dniu był naprawdę uroczy, jakkolwiek zbyt podniosły, za to spisał się wspaniale jako mężczyzna... Późnym wieczorem, po kolacji, załadował do fiakra tobołki i zawiózł mnie do swego znajomego, który wynajmował pokoje, a potem zapłaciwszy z własnej kieszeni za osiem dni z góry, polecił mu dbać o mnie. Chciałam, żeby został na noc. Ale miał się spotkać z Edgarem...

– Z Edgarem, sama rozumiesz... Nie mogę mu sprawić zawodu. A przy tym on może mieć jakieś miejsce dla ciebie. Miejsce z polecenia Edgara... to byłaby dopiero wspaniała praca.

Odchodząc, powiedział:

– Przyjdę cię jutro odwiedzić... I bądź rozsądna... nie rób już więcej głupstw... To do niczego nie prowadzi... I przemyśl sobie dokładnie tę sprawę, że życie, Celestyno... jest życiem.

Nazajutrz na próżno go oczekiwałam. Nie przyszedł.

– Życie jest życiem – powiedziałam sobie.

Ale następnego dnia tak się niecierpliwiłam, tak chciałam go zobaczyć, że poszłam jednak do tego domu. W kuchni zastałam tylko jakąś wysoką, jasną blondynę, bezczelną, frywolną... i ładniejszą ode mnie...

– Nie ma Eugenii? – spytałam.

– Nie, nie ma – odpowiedziała sucho dziewczyna.

– A Williama?

– Williama także nie ma.

– A gdzie jest?

– Skąd mam wiedzieć?

– Chcę się z nim zobaczyć... Idź i powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć...

Dziewczyna spojrzała na mnie z pogardą:

– A to co takiego? Czy ja jestem twoją pokojówką?

Pojęłam wszystko... Ale czułam się zbyt zmęczona, żeby walczyć... i po prostu poszłam sobie...

„Życie jest życiem”.

To zdanie prześladowało mnie, uczepiło się niczym refren kabaretowej piosenki.

Kiedy już wychodziłam z mieszkania, nie umiałam się powstrzymać i z bolesnym smutkiem wspominałam sobie, jak mnie tu wesoło witano... I tym razem musiała się odbyć podobna scena... Obowiązkowo odkorkowali butelkę szampana... William posadził sobie na kolanach tę blondynkę i szeptał jej do ucha:

– Musisz być bardzo dla mnie milusia.

Te same słowa... te same ruchy... te same pieszczoty... Eugenia pożera oczami syna dozorczyńni, uprowadzając go do sąsiedniego pomieszczenia.

– Och, ten twój pyszczek!... Te twoje rączki!... Te wielkie oczy!

Szłam, słaniając się, całkiem otępią, i powtarzałam sobie w duchu z głupim uporem: „No cóż, życie jest życiem... życie jest życiem...”.

Przeszło godzinę łąziłam tam i z powrotem pod drzwiami domu... Sto kroków naprzód... Sto kroków w tył... miałam nadzieję, że William albo wróci do mieszkania, albo z niego wyjdzie... Widziałam, jak wchodzili do środka sklepikarz... modystka z dwoma ogromnymi pudłami... roznosiciel z wielkiego magazynu... widziałam, jak wychodził ślusarz... i już nie wiem, kto jeszcze... jakieś cienie... cienie... cienie... Nie śmiałam zajrzeć do dozorczyńni sąsiedniej kamienicy... Pewnie by mnie źle przyjęła. A zresztą, co by mi miała do powiedzenia? Więc wreszcie poszłam sobie na dobre... i ciągle ścigały mnie te przebrzydłe słowa: „Życie jest życiem”.

Ulice wydawały mi się przerażająco smutne... Przechodnie sprawiali wrażenie zjaw... Naraz dostrzegłam z daleka jakiegoś mężczyznę w meloniku... który lśnił niczym latarnia morska w mroku, niczym złocona kopuła w słońcu, i od razu serce podskoczyło mi do gardła. Ale to wcale nie był William. Pod nawisłym, szarym jak ołów niebem nie zalśnił żaden promyk nadziei.

Wróciłam do swego pokoju, pełna wstrętu do całego świata.

Ach, ci mężczyźni! Czy to będzie stangret, czy lokaj, ksiądz czy poeta – wszyscy są jednacy... Co za łotry!

Mam głęboką nadzieję, że są to już ostatnie wspomnienia, które przywołuje moja pamięć. Co nie oznacza, że już je wyczerpałam... Zostało ich jeszcze wiele, bardzo wiele... Ale wszystkie są tak do siebie podobne... nuży mnie ciągle opisywanie tych samych historyjek, odmalowywanie tych samych wnętrz, ożywianie tych samych twarzy, tych samych dusz, tych samych widm... Zresztą brak mi już zapału i chęci, bo teraz bardziej zaprzatają mnie myśli o tym, co mnie czeka, niż popioły przeszłości... Miałam co prawda opisać jeszcze moją służbę u księżnej Fardin. Ale właściwie po co? Jestem już zanadto zmęczona i zbrzydło mi to wszystko. U księżnej zetknęłam się, obok takich samych co i gdzie indziej obyczajów,

z jedną szczególnie mi wstrętną próżnością... Próżnością pisarską... i z pewnym typem głupoty, gorszym od innych: z głupotą polityczną...

Starczy powiedzieć, że właśnie u księżnej poznałam Paula Bourgeta w glorii sławy. Tak, to on był właśnie tym filozofem, poetą, moralistą, który najlepiej odpowiadał zadufaniu tamtejszej miernoty, fałszywym wzlotom głupich intelektualistów, zakłamaniu pewnej kategorii światowców, dla których wszystko jest sztuczne: elegancja, miłość, jedzenie, uczucia religijne, patriotyzm, sztuka, miłosierdzie, a nawet występki... choć przecież u tych ludzi, co z pomocą ogłady i literatury przyoblekają się w mistyczne szaty i przywdziewają świątobliwe maski, znaleźć można jedno – chciwe pożądanie pieniądza. I nic innego jak tylko ta chciwość zamienia śmieszne marionetki w istoty ohydne i groźne. Ale – z drugiej strony – tylko dzięki niej owe żalosne widma są istotami z krwi i kości, przynależą do gatunku ludzkiego... żyją...

U księżnej Fardin poznałam także pana Jana. On również był psychologiem, on również był moralistą, i choć moralistykę uprawiał w kuchni, a psychologią zajmował się w przedpokoju, to jednak pyszałkowatością i cwaniactwem niewiele ustępował temu, który królował w salonach... Pan Jan opróżniał nocniki... Pan Paul Bourget czynił to samo z ludzkimi duszami. Bo co do rodzaju spełnianych usług, to między kuchnią a salonem nie istnieje aż tak wielka różnica, jak się to na ogół przypuszcza... Ale skoro już ukryłam fotografię pana Jana na samym dnie walizki, niech więc i wspomnienia o nim spoczną na samym dnie mego serca, pod grubą warstwą zapomnienia...

Jest druga w nocy... Ogień za chwilę wygaśnie, lampa kopci, a nie mam już ani drewna, ani nafty. Powinnam się położyć. Ale mój umysł jest zbyt rozgorączkowany, nie będę mogła usnąć. Będę znów marzyć o tym, co ku mnie nadciąga... co niechybnie jutro się stanie... Za oknem noc... spokojna i cicha. Silny mróz sprawił, że ziemia stwardniała na kamień, a niebo skrzy się od gwiazd. Tej nocy Józef znajduje się w drodze... Widzę go na odległość... doprawdy go widzę... Siedzi w przedziale wagonu... poważny, zamyślony... potężny... i uśmiecha się do mnie... zbliża się do mnie... jest już tuż przy mnie... Przynosi mi wreszcie spokój, wolność, szczęście... Szczęście?

To się dopiero jutro okaże.

XVII

No i proszę, już od ośmiu miesięcy nie napisałam ani jednej linijki w tym dzienniku... Miałam przez ten czas co innego do roboty i inne myśli w głowie... Dziś mijają akurat trzy miesiące, jak razem z Józefem, po opuszczeniu Opatówki, osiedliliśmy się w Cherbourgu, w tej małej kawiarence blisko portu. Wzięliśmy ślub, interesy idą dobrze, moje zajęcie spodobało mi się, jestem szczęśliwa. Urodziłam się nad morzem i wróciłam nad morze. Nie powiem, żeby mi tego morza szczególnie brakowało, niemniej powitałam je z radością... Tu nie ma zresztą podobnie smutnych i przygnębiających krajobrazów jak w Audierne: ponurych nadbrzeży, piaszczystych plaż, po których morze przelewa się z morderczym wyciem... Tu w ogóle nie jest smutno; przeciwnie, wszystko wokół jest wesołe i napęnia radością... Miasto pełne wojska kipi wrzawą, po ulicach przelewają się pstre tłumy, malownicze i ruchliwe, jak to zwykle w porcie wojennym... Rozpusta szwenda się po ulicach, powłóczy szablą, grzmi gromkimi salwami nocnych, dzikich hulanek... Motłoch spieszy się, chce sobie użyć, ile się tylko da, chce do końca wykorzystać krótki postój między dwoma długimi rejsami. W tym zmieniającym się bez przerwy, zabawnym korowodzie łowią znane mi swojskie zapachy smoły, którą smarują liny okrętowe, i wodorostów... Zawsze ten zapach lubiłam, choć nie był mi słodki w dzieciństwie. Znów patrzę na chłopców z moich rodzinnych stron, którzy pełnią służbę na państwowych statkach... Ale nigdy nie wdaję się z nimi w rozmowy i nie powstało mi w głowie zapytać któregoś z nich, czy nie wie przypadkiem czegoś o moim bracie... Tyle już upłynęło czasu... mój brat już dla mnie umarł... Dzień dobry... dobry wieczór... no, jak ci idzie?... Gdy nie są pijani, są całkiem otepaleni... Gdy nie są otepaleni, są całkiem pijani... I mają twarze łudzaco podobne do łbów starych ryb... Nie ma mowy o żadnej bliskości... nie dochodzi do zwierzeń... Zresztą Józef nie lubi, żebym się spoufalała ze zwykłymi majtkami czy grubymi Bretończykami, którzy nie mając grosza przy duszy, upijają się szklanką taniego wina...

No, ale trzeba, żebym opisała pokrótce wydarzenia, które miały miejsce przed naszym wyjazdem z Opatówki.

Pamiętacie, że w Opatówce Józef sypiał nad komórką z uprzężą, w osobnym budyńeczku. Zawsze, latem czy zimą, wstawał o szóstej. Otóż rankiem 24 grudnia, równo w miesiąc po powrocie z Cherbourga, spostrzegł, że drzwi do kuchni są otwarte na oścież.

„A cóż to... – powiedział sobie – czyżby już wstali?” Ale jednocześnie zauważył, że w oszklonej tafli drzwi ktoś wyciął diamentem, tuż koło zamka, niewielki kwadrat, akurat taki, by dało się wsunąć rękę. Zasuwę odemknęła fachowa dłoń. Na kamiennym progu widać było kilka wąskich szczapek drzewa, odłamki żelaza i rozprysnięte wokół szkło. Wewnątrz wszystkie drzwi, które wczoraj wieczorem, pod pani osobistym nadzorem, tak starannie zaryglowano, również stały otworem... Musiało się stać coś strasznego... to się od razu czuło... Józef, ogromnie poruszony i wstrząśnięty – powtarzam tu jego własne zeznania, złożone na policji – minął kuchnię i sunął korytarzem... Z korytarza po prawej ręce miał drzwi

do spiżarni, gdzie gromadzono owoce, do pokoju kąpielowego i przedpokoju, a po lewej: do kuchni, jadalni i saloniku, w samej głębi zaś – do dużego salonu. Jadalnia przedstawiała okropny widok: była całkowicie splądrowana, wszystko poniewierało się w straszliwym nieładzie... porozkręcane meble... kredens przetrząsnięty od góry do dołu, jego szuflady wywalone na dywan, podobnie jak i z dwóch innych serwantek, a na stole, wśród okropnego bałaganu, między pustymi pudełkami i mnóstwem walających się przedmiotów bez żadnej wartości, stała świeca w cynowym lichtarzu, która właśnie dogasała... Ale dopiero w kuchni zniszczenie osiągnęło szczyt... W kuchni – zdaje się, że już o tym wspominałam – znajdowała się bardzo głęboka szafa ścienna. Tej szafy strzegł niezwykle skomplikowany system zamków, których tajemnice znała tylko sama pani... Tam właśnie, w tej szafie, spoczywała owa słynna, bezcenna zastawa z czystego srebra. Spoczywała w trzech ciężkich drewnianych skrzyniach, wzmocnionych w poprzek i po rogach stalowymi okuciami. Skrzynie były dołem przyśrubowane do desek szafy, w głębi i po bokach przylegały ściśle do ścian i zostały do nich przykute solidnymi, żelaznymi uchwytami. Otóż te trzy skrzynie, ukryte w tak przemyślnie zbudowanym i, zdawać by się mogło, nie do zdobycia schowku, zostały wyrwane i stały puste pośrodku kuchni. Na ten widok Józef wszczął alarm... krzyczał w kierunku schodów co sił w płucach:

– Proszę pani!... Proszę pana!... Niech państwo szybko schodzą... okradli... okradli...

Zwalili się jak lawina, znaleźli się w kuchni nadzwyczaj szybko... Pani w samej tylko koszuli i w byle jak zarzuconej na plecy chustce. Pan dopinał kalessony, z których tu i ówdzie wyłaziły poły koszuli. Oboje rozchełstani, bardzo bladzi... z wykrzywionymi twarzami, jakby ich wyrwano z ponurego, sennego koszmaru... Krzyczeli:

– Co się stało?... Co się stało?

– Okradli... okradli...

– Co ukradli?... Co ukradli?...

W jadalni pani zaczęła na głos jęczeć:

– O, mój Boże... O, mój Boże...

Pan zaś, z ustami wykrzywionymi przykrym grymasem, krzyczał dalej:

– Ukradli... co ukradli?... Co ukradli?...

Pani podążała za Józefem, który wskazywał jej drogę, i kiedy znalazła się w kuchni i zobaczyła te trzy rozbite skrzynie... rozłożyła szeroko ręce... wydała z siebie głośny okrzyk:

– Moje srebro! Wielki Boże! Czy to możliwe... Moje srebro!

Po czym zaczęła wyjmować, jedną po drugiej, puste przegródki, wywracać dnem do góry opróżnione skrzynie i przerażona, zdjęta zgrozą, osunęła się bezwładnie na posadzkę.

Ledwie starczyło jej sił, by wymamrotać jak dziecko:

– Wszystko zabrali... wszystko zabrali... wszystko... wszystko... wszystko... nawet przybory do oliwy i octu Ludwika XVI.

I podczas gdy pani patrzyła na skrzynie wzrokiem matki; wpatrującej się w martwe dziecko, pan, drapiąc się po karku i tocząc wkoło błędnym wzrokiem, wykrzykiwał w zapamiętaniu dzikim, szalonym głosem:

– Psiakrew!... O, psiakrew!... Psiakrew... psiakrew! Józef także pomstował, wykrzywiając straszliwie

twarz:

– Przybory do octu i oliwy Ludwika XVI... Przybory do octu i oliwy Ludwika XVI... O, bandyci!...

Potem zaległo tragiczne milczenie, długie minuty całkowitego upadku ducha; martwa cisza, bezwład ludzi i rzeczy, jak po jakimś kataklizmie. Jedyne stajenna latarnia, którą Józef trzymał w rękę, chybotając się z lekka, przesuwała po oniemiałych twarzach i wybebeszonych skrzyniach czerwony, niepewny i ponury odblask.

Posłyszawszy wołanie Józefa, zbiegłam na dół w tym samym czasie, co moi państwo. Na widok tej klęski ogarnęła mnie litość, mimo że od razu dostrzegłam nieprzeparty komizm zgromadzonych wokół postaci. Czułam się tak, jakby to mnie samą dosięgło nieszczęście, jakbym była co najmniej kimś z rodziny i musiała dzielić wraz z nią dopust boży i cierpienie. Chciałam zwrócić się do pani z jakimiś słowami pociechy, z trudem przychodziło mi znieść widok tej kobiety powalonej rozpaczą... Ale uczucie rodzinnej wspólnoty, chęć przyjscia z pomocą szybko mi minęła.

Zbrodnia ma w sobie przemoc, pewną wzniosłość, jest w niej i coś z wyroku, i coś z religii, co mnie zapewne przeraża, a równocześnie – jakby to określić? – wprawia w podziw. Nie, nie w podziw, bo podziw jest uczuciem moralnym, jest porwywaniem duszy. I co ciekawe, i bez wątplenia osobliwe, a nawet straszne – nie umiem dociec prawdziwej przyczyny tych silnych doznań – dla mnie każda zbrodnia, a zwłaszcza morderstwo, ma zagadkowe związki z miłością.

No więc tak, o to chodzi, wspinała zbrodnia powala mnie jak wspinały samiec.

Muszę jednak powiedzieć, że wystarczyła jedna, jedyna myśl, aby nagle zmienić w beztroską wesołość i łobuzerskie rozbawienie tę ponurą, obezwładniającą rozkosz zbrodni, co przeszła mnie po pierwszym niewczesnym odruchu litości, który z początku targał moim sercem... Wystarczyło, że pomyślałam: „Masz przed sobą dwoje ludzi, którzy żyją jak krety, jak larwy. Dobrowolnie zrobili z siebie więźniów, dobrowolnie zamknęli się, jak w ciupie, w tych nieprzytulnych, odpychających chmurach. Przepędzili z własnego domu wszystko, co niesie z sobą radość, życie, uśmiech... Uznali to za zbyteczne... Wystrzegają się, niczym brudu i plugastwa, najmniejszych odruchów serca, czym mogliby odkupić, choć w części, własne bogactwo... wystrzegają się uczynków, które mogłyby w pewnym stopniu usprawiedliwić ich całkiem bezużyteczną egzystencję. Baczą pilnie, by żadna okruszynka, co spadnie przypadkiem z ich suto zastawionego stołu, nie nasyciła głodu nędzarzy, by z ich oschłych serc nie dobyła się ni kropla uczucia, co mogłaby ulżyć nieszczęściu cierpiących. Skąpią nawet na własnym szczęściu, na szczęściu, które mogłoby być tylko ich udziałem... Więc jakże ja mogłam uzalać się nad nimi?... Och, nie, nigdy! To, co ich spotkało, jest wyrokiem sprawiedliwości. Ograbiając moich państwa z części majątku... wpuszczając trochę świeżego powietrza do zamurowanych skarbców, szlachetni złodzieje przywrócili tym sposobem jakąś równowagę. Żałuję tylko, że nie ogołocili tych pasożytów doszczętnie, że nie zostawili ich w skrajnej nędzy, bardziej obdartych niż ci włóczędzy, co po tylekroć daremnie żebrali u drzwi ich domu, ciężiej chorych niż porzuceni na drodze ludzie, którzy konali samotnie o dwa kroki od ich ogromnego, przeklętego bogactwa”.

Nagle wyobraziłam sobie, że moi państwo, przerzuciwszy worek przez plecy, okryci żalonymi łachmanami, włoką okrwawione stopy po rozstajnych drogach... wyciągają rękę po prośbie na progu

domu jakiegoś bogacza o zakamieniałym, zatwardziałym sercu... Boże, jak mnie ta myśl zachwyciła, w jaką wprawiła radość! Ale jeszcze bardziej cieszył mnie widok mojej pani, czułam żywiołowe, pełne nienawiści ukontentowanie. Leżała powalona na ziemi, tuż obok pustych skrzyń, bardziej martwa, niż gdyby umarła naprawdę, bo świadoma własnej śmierci... A jeszcze do tego nikt nie mógłby wymyślić okrutniejszej jak właśnie ta śmierci dla osoby, która nie kochając w życiu nikogo, jedną rzecz przecież kochała: przeliczanie na pieniądze wartości nieprzeliczalnych... radości, zachcianek serca, miłosierdzia, miłości, słowem – wszystkiego, co stanowi o boskim przepychu ludzkiej duszy. Jej bezwstydną rozpacz, jej niegodny upadek ducha był dla mnie zapłatą za wszystkie okrucieństwa i upokorzenia, jakimi mnie zadreżczała, bo raniła mnie każdym słowem, które dobywało się z jej ust, upokarzała każdym spojrzeniem, gdy tylko jej wzrok na mnie spoczął. Syciłam się do woli okrutnym odwetem losu. Chciałam krzyknąć do niej: „Dobrze się stało!... Dobrze się stało!...”. Ale nade wszystko chciałabym poznać tych godnych podziwu, sprawiedliwych złodziei i złożyć im podziękowanie w imieniu wszystkich biedaków. Och, drodzy złodzieje, to litość i sprawiedliwość przyoblekła się w wasze postaci, to wam zawdzięczam to potężne i rozkoszne przeżycie!

Ale pani szybko wzięła się w garść. Jej mężna, zaborcza natura niebawem się ocknęła... i to z jaką mocą...

– A ty co tu robisz? – powiedziała do pana z wściekłością i największą pogardą. – Dlaczego tu jeszcze jesteś? Czy już nie dość się ośmieszylesz tą nadętą twarzą i koszulą, co ci zewsząd wyłazi? Czy myślisz, że to nam zwróci srebra? No, dość tego... Otrząśnij się... zakrzętnij się trochę... staraj się zrozumieć, co się stało... Idź, sprowadź policję i sędziego śledczego... Czyż nie powinni już tu być od dawna? Och, co za człowiek, mój Boże...

A gdy pan, skuliwszy ramiona, zabierał się już do wyjścia, pani nagle zażądała od niego wyjaśnień:

– Jak to się mogło stać, że niczego nie słyszałeś? Zatem splądrowali cały dom, wyważyli drzwi, wyłamali zamki, rozpruli ściany i skrzynie... a ty niczego nie słyszałeś? Więc co z ciebie za pożytek, stary nicponiu?

Pan zdobył się na odwagę i odpowiedział:

– Ależ ty także, duszko, niczego nie słyszałaś...

– Ja? Ja to całkiem co innego... Przecież to obowiązek mężczyzny!... A zresztą, drażnisz mnie. Idź już sobie.

Pan poszedł więc na górę, by się ubrać, a wtedy pani zwróciła całą złość przeciw nam. Ostro się do nas zabrała:

– A wy? Co tak na mnie patrzycie jak woły? Na pewno nic was nie obchodzi, że obrabowano waszych państwa? Oczywiście wy również niczego nie słyszeliście. Jak to miło mieć takich domowników... Ale was obchodzi tylko jedno: jeść i spać. Stado bydła...

Zwróciła się wprost do Józefa:

– A czemu psy nie szczekały?... No, niech mi Józef powie, czemu?

Wydawało mi się, że po tym pytaniu Józef zmieszał się na mgnienie sekundy. Ale szybko wzięł się w garść.

– Nie wiem, proszę pani – powiedział całkiem swobodnym tonem. – Ale to naprawdę ciekawe... psy

rzeczywiście nie szczekały. Tak, to ciekawe... coś podobnego...

– Spuściłeś je na noc?

– Oczywiście, że je spuściłem tak jak każdego wieczoru. A to ciekawe... Więc można pomyśleć, że złodzieje znali i ten dom, i psy?

– Krótko mówiąc, Józef, taki oddany, taki czujny, też niczego nie słyszał? Jak to się mogło stać, że Józef niczego nie słyszał?...

– Tak, to prawda... niczego nie słyszałem. I to jest także podejrzane... Bo ja mam lekki sen... Wystarczy, żeby kot przeszedł przez ogród... a już słyszę. Tak czy inaczej niejasna sprawa. A zwłaszcza te przekłete psy... A to ci dopiero... A to ci dopiero...

Ale pani przerwała Józefowi:

– Niech już Józef przestanie... Zostawcie mnie w spokoju. Dobre z was bydlaki... Wszyscy... wszyscy... A Marianna... Gdzie się podziała Marianna? Dlaczego jej tu nie ma? Pewnie jeszcze śpi kamiennym snem...

I wyszedłszy z kuchni, zawołała w stronę schodów:

– Marianno!... Marianno!...

Patrzyłam na Józefa, a on patrzył na skrzynie. Józef był bardzo poważny. I w oczach krył jakąś tajemnicę.

Nawet nie będę się starała opisać dokładnie tego dnia, tyle się w nim zdarzyło różności, rzeczywiście to był zwariowany dzień. Po południu, wezwany depeszą, przyjechał prokurator sądu okręgowego i rozpoczął przesłuchanie. Badali kolejno: Józefa, Mariannę i mnie. Przesłuchanie Marianny i Józefa było zwykłą formalnością. Natomiast do mnie ostro się zabrali, co wcale nie było miłe. Obejrzelili mój pokój, przetrząsnęli komodę i tobołki. Przeczytali dokładnie całą korespondencję... I tylko szczęśliwy traf, który do dziś błogosławię, zrzucił, że ten dziennik nie dostał się w ręce policji. Parę dni wcześniej dostałam serdeczny list od Kleci, więc wzruszona wysłałam jej mój dziennik, żeby go sobie przeczytała. Gdyby nie to, prowadzący śledztwo z pewnością znaleźliby na jego kartach wystarczającą liczbę dowodów, by postawić Józefa w stan oskarżenia lub co najmniej zacząć go podejrzewać... Na samą myśl o tym jeszcze dziś cała dygocę... Rozumie się, że zbadali dokładnie alejki w ogrodzie, grządki i zewnętrzne mury domu, każdą wyrwę w parkanie oraz podwórko, z którego można było wyjść prosto na ulicę. Tropili ślady kroków, wdrapywania się po murze... Ale ziemia była sucha i twarda i nie można było wykryć żadnego, choćby niewyraźnego odcisku stopy... Również krata, mury, szczerby w parkanie strzegły zazdrośnie swych tajemnic... Okoliczna ludność napłynęła tłumnie, podobnie jak w tamtej sprawie o zgwałcenie, chcąc składać zeznania. Jeden widział „jakiegoś mężczyznę, blondyna... nigdy się tu już więcej nie pokazał”. Inny „bruneta, który miał niewyraźną minę”. Krótko mówiąc, śledztwo utknęło w martwym punkcie. Żadnego śladu, żadnej poszlaki.

– Trzeba poczekać – oświadczył tajemniczo prokurator, gdy wyjeżdżał wieczorem. – Być może paryska policja naprowadzi nas na ślad winnych...

Przez calutki dzień, bardzo męczący, pełen bezustannej krzątaniny, nie mogłam ani na chwilę odsapnąć i zastanowić się, jakie skutki może mieć ten dramat, co po raz pierwszy wniósł pewne ożywienie pod dach tego ponurego domu. Pani nie dawała nam chwili wytchnienia. Trzeba było bez przerwy biegać,

latać to tu, to tam, w dodatku bez żadnej przyczyny i sensu, bo pani jednak trochę straciła głowę... Co zaś do Marianny, to ta zdawała się w ogóle niczego nie dostrzegać... jakby całkiem nie zdawała sobie sprawy, że coś się w domu przydarzyło, że panuje jakieś zamieszanie... Podobnie jak Eugenia, Marianna była całkowicie i wyłącznie zaprzątnięta własnymi myślami... a te myśli daleko odbiegały od naszych trosk.

Gdy tylko pan pojawiał się w kuchni, Marianna od razu zaczynała zachowywać się jak pijana i wlepiła w niego zachwycony wzrok.

„Ach ta twoja mordka... te twoje łapska... te twoje ślepia...”

Wieczorem, po kolacji, która minęła w milczeniu, mogłam się wreszcie spokojnie nad wszystkim zastanowić. I od razu przyszła mi do głowy myśl – po dziś dzień coraz bardziej się ona we mnie umacnia – że Józef miał coś wspólnego z rabunkiem. Niejasno się domyślałam, że między wyprawą Józefa do Cherbourga a przygotowaniem tak zuchwałego i wykonanego z niesłychaną zręcznością napadu istnieje oczywisty związek. Przypomniała mi się także odpowiedź, jakiej mi udzielił w dniu wyjazdu:

– To zależy... od pewnej bardzo ważnej sprawy.

A choć Józef usiłował zachowywać się całkiem swobodnie, to jednak wyczuwałam w jego ruchach, postawie, a nawet w jego spokoju jakieś nienaturalne skrępowanie... tylko dla mnie widoczne.

Ale nie starałam się odpędzać od siebie tych przeczuć i podejrzeń, wręcz przeciwnie... dogadzały mi. Pławiłam się w nich z radością... Kiedy w kuchni Marianna zostawiła nas na chwilę samych, podeszłam do Józefa, kierowana trudnym do określenia uczuciem. Spytałam go bardzo czule i pieszczotliwie:

– Przyznaj się, Józefie... to ty zgwałciłeś tę małą Klarcie, tam, w lesie... Przyznaj się... powiedz, prawdę... to ty ukradłeś pani srebra...

Spojrzał na mnie zaskoczony, pytanie całkiem go oszołomiło. Potem chwycił mnie wpół, przyciągnął do siebie i pod pocałunkiem, ciężkim jak uderzenie maczugi, ugięło się moje ciało. A potem powiedział:

– Przestań już o tym mówić... Pojedziesz przecież tam ze mną... do tej kawiarenki... wiesz dobrze, że nasze dusze są tak do siebie podobne.

Przypomniał mi się posążek jakiegoś hinduskiego bożka, który stał w saloniku u księżnej Fardin... piękny... straszliwie, zabójczo piękny... W tamtej chwili Józef był do niego podobny.

Mijały dni, mijały miesiące... Oczywiście śledztwo nie zdołało niczego wykryć i ostatecznie umorzono dochodzenie. Wedle opinii policji napadu dokonali doświadczeni włamywacze z Paryża... A Paryż na to gwizdże... Idź, szukaj ich w stogu siana...

Pani oburzała się, że dochodzenie nie dało żadnych wyników. Zajadle szkalowała urząd śledczy za to, że nie umiał zwrócić jej sreber. Ale nie traciła nadziei, że zdoła odzyskać „przybory do octu i oliwy Ludwika XVI”, jak mawiał Józef. Każdego dnia świtały jej w głowie coraz to nowe, coraz bardziej dziwaczne pomysły, które natychmiast przekazywała agentom śledczym, ale oni, zmęczeni już tymi bzdurami, w ogóle przestali jej odpowiadać. Dopiero wtedy uspokoiłam się o los Józefa... bo ciągle się jeszcze bałam, że spotka go jakaś katastrofa.

Józef stał się na powrót oddanym i milczącym sługą, członkiem rodziny, prawdziwą perłą. A ilekroć przypomnę sobie rozmowę, jaką pani odbyła z prokuratorem w dniu kradzieży – podsłuchiwałam pod

drzwiami salonu – jeszcze dziś parskam na cały głos śmiechem...

Pan prokurator, niski chudzielec o pożółkłej cerze, wąskich wargach i ostrym jak klinga szabli profilu, pytał:

– A pani nie podejrzewa nikogo z domowników? Stangreta?

– Józefa? – pani, zgorzona, aż krzyknęła. – Człowieka, który jest nam tak oddany? On od przeszło piętnastu lat jest u nas na służbie... To chodząca uczciwość, panie prokuratorze... prawdziwa perła!... Skoczyłby dla nas w ogień.

Zatroskana, ze zmarszczonym czołem, chwilę się nad czymś zastanawiała.

– Tu mogłaby wchodzić w grę tylko ta dziewczyna... ta pokojówka... Ja w ogóle nie znam tej dziewczyny. A może ma jakieś powiązania z Paryżem... Przyłapałam ją parę razy, jak pociągała sobie wino przeznaczone na nasz stół... jak zajadała nasze śliwki... Ktoś, kto może popijać wino przeznaczone dla państwa... jest zdolny do wszystkiego...

I jeszcze mruknęła:

– Nigdy nie należy przyjmować do służby ludzi z Paryża. Rzeczywiście jest w niej coś podejrzanego...

No, coś podobnego... Wyobrażacie sobie, co to za jędza?

Ale tak to już jest z podejrzliwymi ludźmi. Nie ufają nikomu, oczywiście z wyjątkiem tych, którzy ich naprawdę okradają. Bo jestem coraz bardziej przeświadczona, że to Józef był duszą całej sprawy. Już od dawna go śledziłam, a kierowały mną, jak się domyślacie, nie żadne wrogie uczucia, lecz jedynie ciekawość, i uzyskałam pewność, że ten wierny i oddany sługa... ta prawdziwa perła... kradł w tym domu, co się dało. Ściągał owies, węgiel, jaja i mnóstwo innych rzeczy – krótko mówiąc, wszystko, cokolwiek nadawało się do odsprzedania, bo trudno byłoby ustalić, skąd to pochodzi. I ten jego przyjaciel zakrystian nie na darmo odwiedzał go wieczorami, zachodził do komórki z uprzężą nie tylko po to, żeby sobie porozmawiać z Józefem o dobrodziejstwach antysemityzmu. Józef, będąc człowiekiem przezornym, cierpliwym, ostrożnym i akuratnym, wiedział dobrze, że małe codzienne kradzieże przynoszą w rocznym rozrachunku wielki dochód, i jestem przekonana, że tymi oto sposobami podwajał, a może nawet potrajał swoją miesięczną pensję, co nie było do pogardzenia. Wiem, oczywiście, że jest różnica między drobnymi kradziejami a tak zuchwałym rabunkiem, którego dokonano w nocy 24 grudnia... Ale dowodzi to tylko, że Józef nie lubił poprzestawać na małym... A kto mnie zapewni, że Józef nie był powiązany z jakąś bandą? Och, jakże wtedy pragnęłam i dotąd jeszcze pragnę dowiedzieć się o wszystkim...

Lecz od tamtego wieczoru, gdy ulegając żądzy, oddał się w moje ręce, uznałam jego pocałunek za swego rodzaju przyznanie się do zbrodni, Józef zaparł się w sobie. Mogłam na różne sposoby dobierać się do niego, zastawiać, ile chcąc pułapek, owijać go czułymi słówkami i pieszczotą – trzymał się mocno do końca i nie puścił farby ani razu. Pozwolił się pani wciągać w jej obłudne nadzieje. Sam układał różne plany, odtwarzał okoliczności kradzieży, szczególnie po szczególnie, bił psy za to, że wtedy nie czekały, wygrażał pięścią nieznanym złodziejom, tak że ktoś mógłby pomyśleć, że on naprawdę widzi tych wyimaginowanych złodziei, że widzi, jak uciekają gdzieś w dali. Już sama nie wiedziałam, czego się trzymać, co sądzić o tym nieprzeniknionym człeku. Jednego dnia wierzyłam głęboko, że popełnił zbrodnię, drugiego – uważałam, że jest niewinny.

Strasznie mnie to drażniło.

Tak jak i przedtem, znów spotykaliśmy się w tej komórcie na uprząż:

– No i jak tam, Józefie?

– Ach, to ty, Celestyno?

– Czemu Józef mnie unika? Czemu w ogóle ze mną nie rozmawia?

– Ja ciebie unikam... ja? O, mój Boże!

– Tak, Józefie... Od czasu, kiedy to się stało... no, od tego pamiętnego poranka...

– Przestań już o tym mówić, Celestyno... Przychodzą ci do głowy niebezpieczne myśli... – smutno postękiwał Józef.

– E, co tam, Józefie... sam wiesz, że to żarty... Czyż ja mogłabym cię lubić... gdybyś popełnił taką zbrodnię... mój Józeczku...

– No tak, no tak... ale ty lubisz ludzi bałamucić... a to niedobrze...

– No, kiedy wyjedziemy?... Nie mogę tu dłużej żyć...

– Nie tak od razu... Trzeba jeszcze trochę poczekać...

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że nie da się tak od razu.

Lekko urażona, powiedziała, dając się:

– Ale czy to ładnie? Wcale ci nie spieszno, żeby być już ze mną?

– Mnie? – wykrzyknął Józef z rozplomienioną twarzą. – Boże, gdybyż to tylko było możliwe... Przecie we mnie aż kipi... aż kipi.

– No więc jedźmy.

Ale on uparł się przy swoim, nie dając żadnych wyjaśnień...

Oczywiście pomyślałam sobie: „Mimo wszystko, ma rację... Jeśli to on ukradł te srebra... nie może teraz stąd odejść ani też urządzić się gdzie indziej... Mógłby tym wzbudzić jakieś podejrzenia... Musi upłynąć sporo czasu... aż pył zapomnienia pokryje tę sprawę...”.

Innego znów wieczoru zaproponowałam:

– Słuchaj, Józefie, jest jeden sposób, żeby stąd wyjechać: trzeba wywołać jakąś kłótnię z naszą panią... i zmusić ją, żeby nas oboje wyrzuciła za drzwi.

Ale on gwałtownie się temu sprzeciwił.

– Nie, nie – mówił. – Wszystko, tylko nie to... Och, nie, tylko nie to... Ja moich państwa kocham... To są dobrzy państwo... Trzeba się z nimi rozstać w zgodzie... Musimy opuścić to miejsce jak para przyzwoitych ludzi... jak odpowiedzialni ludzie, no tak... Trzeba, żeby państwo żalowali naszego odejścia, żeby im to sprawiło przykrość... żeby płakali, patrząc, jak odchodzimy...

I z pełną smutku powagą, w której nie czułam śladu ironii, zapewnił mnie:

– Czy zdajesz sobie sprawę, w jakiej ja się pograżę żalobie, gdy stąd odejdę... Pracuję tu od piętnastu lat... do licha! Człowiek się przywiązuje do każdego domu... A tobie, Celestyno, nie sprawi to przykrości?

– Och, nie! – krzyknęłam, śmiejąc się.

– To niedobrze... to niedobrze... Należy kochać swoich państwa... bo państwo są państwem. I, słyszysz

mnie, powinnaś też tak sądzić, namawiam cię do tego... Bądź miła, urocza, bardzo oddana... staraj się dobrze pracować. Nie wyklócaj się... No, bo w końcu należy się z nimi rozstać po dobroci... Zwłaszcza z naszą panią...

Poszłam za radą Józefa i przez dwa ostatnie miesiące mojego tam pobytu zawzięłam się, chciałam stać się wzorową panną służącą, chciałam, żeby i mnie, mnie także, uznano za prawdziwą perłę... Spożytkowałam w tym celu całą moją inteligencję, uprzejmość i delikatność... Pani zrobiła się w stosunku do mnie bardziej ludzka, powoli stając się prawdziwą przyjaciółką... Nie przypuszczam, żeby tylko moje starania zmieniły do tego stopnia jej charakter. Pani została tak dalece zraniona w swej dumie, że straciła cel dalszego istnienia. I teraz, jak po wielkiej żałobie, jak po druzgocącej stracie kogoś najdroższego, przestała dalej walczyć, poddała się; łagodna, skarżąca się, podcięta, załamana nerwowo i upokorzona w swej pysze, zdawała się szukać wokół siebie, u tych, co ją otaczali, jedynie pocieszenia, litości, zaufania. Piekło panujące w tym domu zamieniło się w prawdziwy raj dla wszystkich.

Pewnego ranka, w pełni rozkwitu tej rodzinnej sielanki i domowej słodyczy, zawiadomiłam moją panią, że muszę ją nagle opuścić. Wymyśliłam jakąś romantyczną opowiastkę... powinnam koniecznie wrócić w rodzinne strony, żeby tam poślubić dzielnego chłopca, który od dawna już na mnie czeka... W rozczulających słowach wyraziłam moją troskę, mój żal, mówiłam o pani dobroci i tak dalej. Pani stała jak wryta... Usiłowała mnie zatrzymać na wszelkie sposoby: odwoływała się do moich uczuć i do wyrachowania, zaproponowała wyższą pensję i piękny pokój na drugim piętrze. Ale musiała się poddać, widząc, jak silne jest moje postanowienie.

– Tak się teraz do ciebie przyzwyczaiłam! – wzdychała. – Och, nie mam ja szczęścia...

Ale sprawy miały się o wiele gorzej, kiedy w osiem dni później z kolei Józef zaczął jej tłumaczyć, że czuje się już za stary, zbyt zmęczony, by móc dalej pełnić swe obowiązki, że musi bezwzględnie odpocząć.

– Jak to, Józefie – wykrzyknęła pani – ty także? To być nie może... Jakieś przekleństwo ciąży nad tym domem. Wszyscy mnie opuszczają... Wszyscy mnie opuszczają...

Pani płakała. Józef płakał. Pan płakał. Marianna płakała.

– Józef zabiera z sobą nasze serca... nasze uczucia i żal.

Niestety, oprócz uczuć i żalu Józef zabrał także i srebra...

A gdy już opuściłam ten dom, od razu poczułam się zagubiona i bezradna. Nie miałam żadnych skrupułów, biorąc od Józefa pieniądze... Kradzione pieniądze... zresztą co mi tam, kradzione czy nie, nie w tym rzecz. Bałam się, żeby moje dla Józefa uczucie nie okazało się tylko przelotnym zainteresowaniem. Józef miał co prawda nade mną władzę, nad moją duszą i nad moim ciałem... ale czy ta władza będzie trwała? A jeśli z mojej strony to jest tylko chwilowy szalony zmysłów? Zdarzały się nawet chwile, kiedy pytałam samą siebie, czy to aby nie moja wyobraźnia, tak skłonna do marzeń i urojeń, podsunęła mi taki wizerunek Józefa, jakim pragnęłabym go widzieć, gdy w rzeczywistości jest on po prostu zwykłym chamem czy zwykłym wieśniakiem, którego wcale nie stać na żadną wielką przemoc, na żadną wielką zbrodnię? Przeraziłam się skutków mojej decyzji. A ponadto – ale to już zupełnie niepojęte – na myśl, że już nigdy nie będę u nikogo na służbie, ogarniał mnie żal. Kiedyś wyobrażałam sobie, że chwila, w której poczuję się wolna, napełni mnie szaloną radością. A tu, proszę... nic podobnego. Widać mam we krwi zawód służącej. Może odczułam od razu i bardzo boleśnie brak mieszczańskiego zbytku, do którego od lat

przywykłam? Już widziałam oczami duszy moje własne mieszkanie, zimne i nieprzytulne, podobne do mieszkań robotników, i życie, jakie będę w nim wiodła; takie przeciętne, odarte z różnych śliczności: z pięknych, miłych w dotyku tkanin, z wesołych grzeszków, którym z taką ochotą służyłam, w których się grzebałam, które roztrząsałam, pławiąc się w nich jak w wonnej kąpeli... Ale nie było odwrotu.

Och, któż mógł przewidzieć, gdy w ów deszczowy dzień zjawiłam się w Opatówce, że zakończę służbę u boku dziwnego czelczy, zamkniętego w sobie i mrukliwego, który w dodatku patrzy na mnie z takim lekceważeniem?

Obecnie mamy już tę kawiarenkę. Józef wyraźnie odmłodził. Przestał być przygarbiony i osowiały. Chodzi lekkim, zwinnym krokiem od stolika do stolika, biega kłusem z sali do sali. Jego bary, które niegdyś napełniały mnie takim przerażeniem, teraz nabrały poczciwości, groźny kark ma w sobie coś ojcowskiego i kojącego. Zawsze świeżo ogolony, z twarzą brunatną i lśniącą jak mahoń, ubrany w granatową, bardzo schludną bluzę, w zawadiacko nasuniętym na czoło berecie, Józef wygląda jak jakiś marynarz, stary wilk morski, który napatrzył się niezwykłych rzeczy, przemierzał niezbrane krainy... Uwielbiam jego spokój ducha. Jeszcze nigdy nie odkryłam w jego wzroku najlżejszego wahania... Widać od razu, że oparł swe życie na solidnych podstawach... Teraz jeszcze bardziej niż kiedyś jest fanatycznym zwolennikiem rodziny, własności, religii, marynarki, armii, ojczyzny... Nawet mnie, mnie samą wprawia w podziw.

W dniu ślubu Józef przyznał mi się do dziesięciu tysięcy franków. A nie tak dawno, gdy pewien komisarz do spraw morskich dał mu zezwolenie na zakup części rzeczy pochodzących z rozbitego statku, Józef zapłacił ochoczo piętnaście tysięcy franków, po czym szybko je odsprzedał z dużym zyskiem. Przeprowadza również drobne transakcje finansowe, to znaczy, mówiąc po prostu, pożyczka pieniądze rybakom. I już namyśla się, czyby nie powiększyć interesu, kupując sąsiedni dom. Być może urządzi tam kawiarnię z muzyką i występami.

Zastanawia mnie, skąd Józef ma aż tyle pieniędzy? I ile wynosi naprawdę jego majątek? Nie wiem, nic nie wiem. Nie lubi, kiedy o tym mówię. Nie lubi, żeby mu przypominać tamte czasy, gdy jeszcze oboje byliśmy na służbie u ludzi... Można by sądzić, że całkiem zapomniał o przeszłości i że jego życie zaczęło się naprawdę dopiero w dniu, w którym kupił tę kawiarenkę. Kiedy pytam go o tamtą sprawę, co mnie dręczy, zdaje się w ogóle nie rozumieć, o czym mówię... I w jego oku zapala się niebezpieczny błysk, jak dawniej... Nigdy już nie dowiem się prawdy o Józefie, nigdy nie przeniknę zagadki jego życia... Ale kto wie, może właśnie to, że go nie znam, wiąże mnie z nim najbardziej.

Józef czuwa nad całym domem i wszystko chodzi jak w zegarku. Mamy trzech kelnerów do obsługi klientów, służącą, która i gotuje, i sprząta, więc nic nie kuleje. Co prawda w ciągu trzech miesięcy cztery razy zmienialiśmy służącą. Ale te dziewczyny z Cherbourg... mają wymagania... a jakie z nich złodziejki, jakie bezwstydnice!... Aż trudno w to uwierzyć i wstręt człowieka bierze, gdy na to patrzy...

Ja trzymam w kawiarni kasę... króluję za kontuarem, otoczona lasem różnobarwnych butelek. Ja także jestem tu dla ozdoby... i żeby goście mieli z kim pogawędzić... Józef życzy sobie, bym była zawsze ślicznie wystrojona, i nigdy mi nie odmawia niczego, co może mnie przyozdobić, lubi, żeby wieczorem niewielki, ale ponętny dekolt odsłaniał mi szyję. Bo klienci mają być bez przerwy weseli i mają płonąć do mnie pożądaniem... Znalazło się dwóch czy nawet trzech dzielnicowych potentatów, dwóch czy trzech mechaników z morskiej floty, dobrze uposażonych, którzy się stale do mnie zalecają. Oczywiście,

pragnąc mi się przypodobać, tracą masę pieniędzy. A ponieważ to okropne pijaczyny, więc Józef ich rozpuszcza. Przyjęliśmy również czterech pensjonariuszy na całodzienne wyżywienie. Jadają razem z nami, ale każdego wieczoru płacą osobno za wino i wszelkie trunki, choć wypijamy je wspólnie. Bardzo mi nadskakują, a ja ze swej strony wabię ich i zachęcam najlepiej jak tylko umiem. Ale uważam, że nie powinnam się posuwać za daleko... przekraczać granicy zwykłych umizgów... perskiego oczka... dwuznacznych uśmiechów... mglistych obietnic... Zresztą, nie w głowie mi te rzeczy... Józef mi wystarcza. I myślę, że z kimkolwiek bym go zdradziła, zawsze stracę na zamianie, nawet jeśli to będzie sam admirał. O, do licha... W tych sprawach to z Józefa tęgi zuch. Niewielu młodych potrafiłoby i miało siły tak zaspokoić kobietę jak on... Śmieszne, doprawdy, ale mimo że wiem, jak jest brzydki, nie ma dla mnie mężczyzny równie pięknego jak mój Józek... Kocham go namiętnie i nic na to nie poradzę... Ale stara bestia!... Umiał się do mnie zabrać... Zna wszystkie sposoby... ciągle wymyśla nowe... Jak sobie pomyślę, że on nigdy nie opuszczał prowincji... że przez całe życie był prostym wieśniakiem... zachodzę w głowę, gdzie i kto wyuczył go tych grzesznych sztuczek...

Ale największe sukcesy przyniosła Józefowi polityka. To polityka sprawiła, że nasza mała kawiarenka – nad którą umieszczono wielki szyld ze złotych liter, co błyszczą za dnia na całą dzielnicę, a wieczorem płoną szeregiem małych żaróweczek – stała się obecnie oficjalnym miejscem spotkań wybitnych antysemitów z całego Cherbourga i wszystkich patriotycznych krzykaczy. Przychodzą tu, by bratać się z podoficerami piechoty i marynarzami niższej rangi. Już nieraz dochodziło w tej naszej kawiarence do krwawych bijatyk, bo podoficerowie lubią często i bez żadnej przyczyny wyciągać szable, grożąc, że rozniosą na nich urojonych wrogów. Tego wieczoru, gdy wysadzono Dreyfusa na francuski brzeg, myślałam, że nasza kawiarenka runie od okrzyków: „Niech żyje armia! Śmierć Żydom!”.

To właśnie tego samego wieczoru Józef, który już zdążył stać się w mieście bardzo popularną osobistością, odniósł tak oszałamiający triumf. Wskoczył bowiem na stół i zaczął krzyczeć:

– Jeśli ten zdrajca jest winien, niech go z powrotem załadują na okręt. A jeśli jest niewinny, niech go rozstrzelają.

Ze wszystkich stron rozległy się wrzaski:

– Tak, tak... Niech go rozstrzelają... Niech żyje armia!

Okrzyk Józefa wywołał powszechny, gromki entuzjazm. Kawiarenką wstrząsało wycie, słychać było jedynie szcęk szabli i walenie pięściami w marmurowe blaty stołów. Kiedy jakiś człowiek usiłował coś spokojnie powiedzieć, zresztą do dziś nikt nie wie dokładnie co, bo został natychmiast wygwizdany, Józef podszedł do niego i jednym uderzeniem pięści rozkwasił mu wargi, wybijając przy tym pięć zębów... Po czym ten nieszczęśnik, uderzony dodatkowo szablą, ranny, okrwawiony, na pół martwy, został wyrzucony niczym jaki śmieć ma ulicę przy akompaniamencie stale tych samych okrzyków: „Niech żyje armia! Śmierć Żydom!”.

Zdarzały się i takie chwile, że mnie samą ogarniał strach, zaczynałam się bać tej atmosfery rzezi, otoczona zewsząd zwierzęcymi, żądnymi krwi, tępyimi od alkoholu twarzami... Ale Józef uspokajał mnie:

– To przecie nic wielkiego... Musi się tak dzieć... Żeby interes szedł dobrze... Nie może być inaczej.

Wczoraj Józef, wróciwszy z targu, zatarł ręce i oświadczył wesoło:

– Przynoszę złe nowiny... Mówi się o wojnie z Anglią

– Ach, mój Boże! – zawołałam. – A jeśli Cherbourg będzie bombardowany?

– Ojoj, ojoj! – sztydził Józef. – A jeśli myślę tylko o jednym strzale... mocnym strzale...

Mimo woli zaczęłam od razu cała dygotać. Pewnie znów knuje nie lada łotrostwo...

– Im dłużej ci się przyglądam – powiedział – tym bardziej jestem pewien, że nie masz wcale rysów Bretonki... Nie, nie, zupełnie nie wyglądasz na Bretonkę... Masz raczej głowę typowej Alzatki. No, co ty na to? To byłby dopiero celny strzał zza kontuaru...

Poczułam się rozczarowana. Oczekiwałam, że Józef zaproponuje mi jakąś okropną rzecz. Już byłam dumna, że będę miała okazję odegrać rolę w śmiałym napadzie czy zamachu. Bo ilekroć spostrzegam, że Józef się nad czymś zastanawia, od razu w mojej głowie świtają straszne pomysły. Wyobrażam sobie jakieś tragedie... zakradanie się do okien... rabunek... wyciąganie noży... ludzkie ciała walające się po wrzosowiskach... No i proszę... a jemu chodziło tylko o reklamę... niewielką, pospolitą reklamę...

Z rękami w kieszeniach, w granatowym berecie na głowie, zaczął się śmiesznie kiwać, przestępując z nogi na nogę.

– Pojmiesz mnie? – nalegał. – Na wypadek wojny... śliczna Alzatka... pięknie wystrojona... takie kobiety rozpalają serca... wzmacniają patriotyzm... A nic tak nie zachęca ludzi do picia jak patriotyzm. No i co o tym myślisz? Już ja się postaram, żeby twoją fotografię umieścili w gazetach, a może nawet i na plakatach...

– Wolałabym być ubrana tak jak teraz... wyglądać jak dama – odpowiedziałam dość oschle.

A potem od razu zaczęliśmy się kłócić. I doszło do tego, że po raz pierwszy zaczęły padać ordynarne słowa.

– Nie wyprawiałaś takich ceregieli, kiedy lazałaś z każdym do łóżka!... – krzyknął Józef.

– A ty... kiedy... Uważaj, zostaw mnie w spokoju... bo powiem za dużo...

– Dziwka!...

– Złodziej!...

Wszedł jakiś klient... Więc nie mogło być już mowy o dalszej kłótni... A wieczorem pogodiliśmy się w łóżku.

Dam sobie uszyć śliczny strój alzacki... z aksamitu i jedwabiu... W gruncie rzeczy jestem zupełnie bezsilna wobec Józefa... zawsze ulegam jego woli... I mimo że czasem trochę się buntuję, Józef trzyma mnie krótko i ma nade mną demoniczną władzę. A ja czuję się szczęśliwa, gdy mu ulegam... Czuję, że uczynię wszystko, czego ode mnie zażąda, że posunę się tak daleko, jak on zechce... aż do zbrodni!...

Marzec 1900

[1] Po polsku można by powiedzieć Pierdzińscy – przyp. tłum.

[2] W przekładzie H.O. Garlikowskiej.